www.polska-zbrojna.pl

Polska Zbrojna

NR 6 (866) CZERWIEC 2018 INDEKS 337 374 ISSN 0867-4523

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

KOREA PÓŁNOCNA

POLITYKA UŚMIECHU

Waldemar Jan Dziak o szansach na porozumienie z Kimem

Jedna armia

WSZYSTKO O WOJSKACH OBRONY TERYTORIALNEJ

OSTATNI ŚWIADEK

POKŁAD SPŁYWAŁ KRWIĄ, A MY STRZELALIŚMY DALEJ

Stanisław Pyrek, marynarz ORP „Gryf", wspomina pierwszy dzień wojny

ISSN 08674523 06
9 770867 452809

PACZKA DLA BOHATERA
A.D. 2010

WALCZYLI DLA NAS
ZAWALCZMY DLA NICH

PPŁK. ZBIGNIEW GALPERYN
PS. "ANTEK"
BATALION "CHROBRY I" AK
POWSTANIEC WARSZAWSKI

JEDEN Z PONAD 1500
PODOPIECZNYCH
PACZKI DLA BOHATERA

WALCZYMY O PAMIĘĆ

DLA BOHATERÓW
NARODU POLSKIEGO

WIĘCEJ O NAS
PaczkaDlaBohatera

WSPOMÓŻ NASZĄ DZIAŁALNOŚĆ
44 1140 2004 0000 3202 7690 1396

Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA BORAŃSKA-CHMIELEWSKA

FORMOWANIE WOJSK OBRONY TERYTORIALNEJ ROZPOCZĘŁO SIĘ W 2016 ROKU. DWA LATA WYTĘŻONEJ PRACY PRZYNIOSŁY REZULTATY, A TO DOPIERO POCZĄTEK.

Trwa proces formowania 13 z docelowych 17 brygad. Żołnierze WOT-u doskonalą umiejętności, rozwijają kompetencje szkoleniowe i taktyczne. Coraz intensywniej współdziałają z pozostałymi rodzajami wojsk oraz administracją publiczną i społeczeństwem. Wojska obrony terytorialnej idealnie wpisują się w procesy wychowania i szkolenia wojskowego ochotników. A jak mówią dowódcy brygad WOT-u, dziś wojsko przyciąga jak magnes. Nie trzeba szukać potencjalnych terytorialsów, ponieważ zgłaszają się sami. Kandydaci do służby są zdyscyplinowani, ambitni, pełni zapału i chcą społeczeństwu dać coś od siebie. W bieżącym numerze prezentujemy Państwu obszerne podsumowanie pierwszych lat tworzenia i funkcjonowania WOT-u. Zachęcamy do zapoznania się szczególnie z debatą, do której zaproszenia przyjęli: ppłk Krzysztof Leszczyński, szef wydziału kształcenia ogólnego Dowództwa WOT, ppłk Zbigniew Krzyszczuk, zastępca dowódcy 2 Lubelskiej Brygady Obrony Terytorialnej, płk Mirosław Bryś, dowódca 4 Warmińsko-Mazurskiej Brygady OT, płk Grzegorz Kaliciak, dowódca 6 Mazowieckiej Brygady OT, oraz płk Tomasz Białas, dowódca 13 Śląskiej Brygady OT. Kompleksowo pokazujemy również założenia projektu „Parasol", polegającego na rozwijaniu szerokiej współpracy terytorialsów z cywilami.

POLSKI ŻOŁNIERZ – ETOS I DUMA
Polska Zbrojna
KONKURS LITERACKI

„Oto dziś dzień krwi i chwały. Jest on dniem wolności, bo rozpostarł skrzydła Orzeł Biały nie tylko nad ziemiami polskimi, ale i nad morzem polskim", powiedział gen. broni Józef Haller w trakcie uroczystych zaślubin Polski z morzem w 1920 roku, niezwykle ważnego wydarzenia nie tylko dla marynarzy. W 2018 roku marynarka wojenna świętuje stulecie powstania. Z nami podzielił się wspomnieniami ostatni żyjący marynarz ORP „Gryf", ppor. Stanisław Pyrek, który opowiedział o heroicznej postawie swoich kolegów w pierwszych dniach II wojny światowej. Zachęcamy do lektury!

Szanowni Czytelnicy, po raz trzeci zapraszamy do udziału w konkursie literackim „Polski Żołnierz – etos i duma", który organizujemy z okazji Święta Wojska Polskiego. ■

VI 2018 / nr 6 (866)

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK, PAULINA GLIŃSKA, PIOTR RASZEWSKI
10 Siła przyciągania
Debata dotycząca rozwoju wojsk obrony terytorialnej

PAULINA GLIŃSKA
20 Jak najbliżej społeczeństwa

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
24 Szkolenie bez picu

ANNA DĄBROWSKA
26 To dopiero początek przygody

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
28 Misja gwardzisty
Rozmowa z Nickiem Johnsonem

MACIEJ NOWAK-KREYER
31 Szybkie wojsko

ANNA DĄBROWSKA
34 Czerpanie ze źródeł

ŁUKASZ ZALESIŃSKI, EWA KORSAK
36 Niebo dla tygrysów
Ćwiczenia NATO Tiger Meet w Polsce

MICHAŁ ZIELIŃSKI
43 Jedna wielka rodzina

EWA KORSAK, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
46 Daleko poza strefą komfortu

MICHAŁ ZIELIŃSKI
50 Chrzest bojowy

BOGUSŁAW POLITOWSKI
54 Baza specjalistów
Rozmowa z Piotrem Kaczmarkiem

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
56 Zielony kosmos

ROBERT SENDEK
70 Atak decybeli
Groźna broń akustyczna

KRZYSZTOF WILEWSKI
76 Walka o prąd

KRZYSZTOF WILEWSKI
78 Wspólny system

RAFAŁ CIASTOŃ
81 Peryskop Gundlacha

MICHAŁ ZIELIŃSKI
82 Nie ma planu B
Konsekwencje zerwania porozumienia nuklearnego

TADEUSZ WRÓBEL
88 Polityka fałszywego uśmiechu
Rozmowa z Waldemarem Janem Dziakiem

MICHAŁ ZIELIŃSKI
92 Zapomniana wojna

TOMASZ OTŁOWSKI
96 Zadeptane kwiaty rewolucji

RAFAŁ CIASTOŃ
100 Kolekcja klejnotów

TADEUSZ WRÓBEL
104 Trudne partnerstwo

ROBERT SENDEK
107 Miniaturowe mocarstwo

BOGUSŁAW SZKUDLAREK
110 Stary niedźwiedź wcale nie śpi

TOMASZ OTŁOWSKI
113 Taktyka asasynów

MARCIN RZEPKA
115 Inny wymiar F-35

KRZYSZTOF KUBIAK
116 Skrojona na miarę
Budowanie polskiej marynarki wojennej

TOMASZ GOS
122 Władanie na morzu

PIOTR KORCZYŃSKI
126 Pokład spływał krwią, a my strzelaliśmy dalej
Rozmowa ze Stanisławem Pyrkiem

TADEUSZ WRÓBEL
130 Tyralierzy z Atlasu

ROBERT SENDEK
134 W pułapce generała

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
137 Wydobyć z niepamięci

PIOTR KORCZYŃSKI
138 Mistrz konspiracji

TADEUSZ WRÓBEL
142 Czas half-tracków

KRZYSZTOF KUBIAK
145 Rakietą z lądu

PAULINA GLIŃSKA
146 Debiutanci na medal
Polscy podchorążowie na zawodach w West Point

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
152 Władca pomysłów

ANNA DĄBROWSKA
156 Dwaj bracia

ANDRZEJ FĄFARA
162 Husaria pod osłoną beczek

Zdjęcie na okładce:
Dowództwo WOT

Znajdziesz nas tutaj:

WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
Maciej Podczaski,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Izabela Borańska-Chmielewska,
tel.: 261 840 222; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO
Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213
Zastępcy sekretarza redakcji
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY
Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński, Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendek, Magdalena Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata Schwarzgruber, Robert Sendek, Jacek Szustakowski, Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel
WSPÓŁPRACA: Rafał Ciastoń, Andrzej Fąfara, Tomasz Gos, Krzysztof Kubiak, Maciej Nowak-Kreyer, Tomasz Otłowski, Piotr Raszewski, Marcin Rzepka, Bogusław Szkudlarek, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

ZDJĘCIA
Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA
Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka, Monika Siemaszko, tel.: 261 845 170; Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE
Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;
Renata Gromska, January Szustakowski

MARKETING I PROMOCJA
Piotr Zarzycki (kierownik), Agnieszka Karaczun, Anita Kwaterowska (tłumacz), Radosław Lechowicz, Marta Szulc, Małgorzata Szustkowska, tel. 261 845 387, 261 845 180, faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.
ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek
tel: 542 315 201, 502 012 187
elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

Numer zamknięto: 25.05.2018 r.

DRUK

ARTDRUK ul. Napoleona 2, 05-230 Kobyłka,
www.artdruk.com

PRENUMERATA
Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych „Polski Zbrojnej" można składać poprzez:
– www.polska-zbrojna.pl
– www.prenumerata.ruch.com.pl
– www.garmondpress.pl/prenumerata
– www.kolporter.com.pl/prenumerata
Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej", dostępna na: http://e-kiosk.pl, www.egazety.pl

PARTNER
Narodowe Archiwum Cyfrowe.
220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl

Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.
Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400.
Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna" materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

KADR

W Łazienkach Królewskich z okazji V Warszawskich Dni Kawaleryjskich odbyły się zawody we władaniu szablą i pokazy musztry konnej w wykonaniu jeźdźców ze Szwadronu Honorowego 3 Pułku Szwoleżerów Mazowieckich.

FOT. MICHAŁ NIWICZ

MICHAŁ NIWICZ

NAGRODA W KONKURSIE GRAND PRESS PHOTO

MALARSKIE UJĘCIE

Zdjęcie naszego fotoreportera zdobyło nagrodę w konkursie Grand Press Photo.

Fotografia szarży Kieleckiego Ochotniczego Szwadronu Kawalerii im. 13 Pułku Ułanów Wileńskich została zrobiona podczas rekonstrukcji największej bitwy kawaleryjskiej XX wieku, do której doszło 31 sierpnia 1920 roku pod Komarowem.

Autorem zdjęcia jest Michał Niwicz, fotoreporter „Polski Zbrojnej". Jego praca zajęła drugie miejsce w kategorii Kultura i rozrywka jednego z najbardziej prestiżowych konkursów dla zawodowych fotoreporterów Grand Press Photo. W tym roku do rywalizacji zgłoszono 4800 prac, z tego do ścisłego finału jury zakwalifikowało 65 zdjęć i 15 reportaży. Nadesłane zdjęcia są oceniane w kategoriach: Wydarzenia, Ludzie, Życie codzienne, Sport, Środowisko, Kultura i rozrywka, Portret oraz Projekt dokumentalny.

„Jestem bardzo zaskoczony. Zazwyczaj nagrody otrzymują autorzy zdjęć, którzy uwieczniają ważne wydarzenia społeczne, ludzkie emocje czy najdalsze zakątki świata. Nie sądziłem, że jury doceni tak odległy dziś temat, jakim jest kawaleria", mówi Michał Niwicz. Tematyką wojskową zajmuje się od trzech lat, a zanim trafił do zespołu „Polski Zbrojnej", pracował m.in. w „Życiu Warszawy", „Życiu" i „Super Expressie". „Teraz wojsko stało się moją specjalizacją, a to bardzo wdzięczny temat". PZ, MM ■

Rosną w siłę

Wojska obrony terytorialnej liczą 10 tys. żołnierzy.

Blisko 600 ochotników z Podlasia, Lubelszczyzny, Podkarpacia oraz Mazowsza stawiło się w połowie maja na kolejne szkolenia podstawowe i wyrównawcze do wojsk obrony terytorialnej. W ten sposób liczebność WOT-u przekroczyła 10 tys. żołnierzy. „Na duże zainteresowanie służbą mają wpływ wysoka jakość szkolenia oraz innowacyjne metody stosowane przez instruktorów", informuje ppłk Marek Pietrzak, rzecznik Dowództwa Wojsk Obrony Terytorialnej.

Dotychczas wnioski o powołanie do piątego rodzaju sił zbrojnych złożyło ponad 17 tys. osób. Dowództwo WOT ocenia, że na koniec 2018 roku formacja będzie liczyła 20 tys. żołnierzy, z czego 17 tys. będą stanowili żołnierze pełniący terytorialną służbę wojskową. Teraz szkolenie ochotników jest prowadzone w sześciu brygadach utworzonych w pierwszym i drugim etapie budowy formacji: na Podlasiu, Lubelszczyźnie, Podkarpaciu, Mazowszu (dwie brygady) oraz na Warmii i Mazurach. AD ■

Zgodnie z decyzją ministra obrony narodowej

KADM. KRZYSZTOF JAWORSKI

stanął na czele Centrum Operacji Morskich – Dowództwa Komponentu Morskiego.

Wzgórze pamięci

Na obchody do Włoch przyjechali weterani 2 Korpusu Polskiego, przedstawiciele władz państwowych i duchowieństwa.

Mówiono, że Monte Cassino jest nie do zdobycia, że nikt sobie nie poradzi. Udowodniliście, że żołnierz polski nie ma sobie równych, że Polacy kochają swoją ojczyznę, że są gotowi na największe poświęcenie, żeby osiągnąć cel", mówił minister Mariusz Błaszczak podczas uroczystości na Polskim Cmentarzu Wojennym na Monte Cassino z okazji 74. rocznicy bitwy.

Elementem uroczystości był zlot organizacji proobronnych i wojskowych. Do Włoch pojechało 110 osób z Polski, m.in. przedstawiciele Stowarzyszenia Ułanów Karpackich, Zrzeszenia Weteranów Działań poza Granicami Państwa, Związku Strzeleckiego „Strzelec" oraz żołnierze 12 Batalionu Dowodzenia Ułanów Podolskich ze Szczecina. Organizatorem zlotu było Koło Żołnierzy 12 Pułku Ułanów Podolskich na terytorium Republiki Włoskiej i San Marino. W trakcie centralnych uroczystości strzelcy złożyli na Monte Cassino ślubowanie, które odebrał 96-letni mjr Otton Hulacki, żołnierz 2 Korpusu Polskiego. W trakcie uroczystości żołnierz 2 Korpusu Wojska Polskiego i uczeń włoskiej szkoły odsłonili okolicznościową tablicę, nadającą historycznemu miejscu nazwę Wzgórze Pamięci.
PZ, JS, PG ■

POLSKI ŻOŁNIERZ – ETOS I DUMA
Polska Zbrojna
KONKURS LITERACKI

ETOS MOJEGO BOHATERA

W ROKU JUBILEUSZU STULECIA ODZYSKANIA PRZEZ POLSKĘ NIEPODLEGŁOŚCI POKAŻMY, ŻE PAMIĘTAMY O NASZYCH ŻOŁNIERZACH, O NASZYCH BOHATERACH. PO RAZ TRZECI ZAPRASZAMY DO WZIĘCIA UDZIAŁU W KONKURSIE LITERACKIM „POLSKI ŻOŁNIERZ – ETOS I DUMA – NA PRZYKŁADZIE HISTORYCZNYM LUB WSPÓŁCZESNYM"!

Bohaterowie to nie tylko historyczne postacie, którym stawiamy pomniki, lecz także młodzi, zdolni żołnierze, służący Ojczyźnie dzisiaj. Pokażmy ich, chwalmy się nimi. Wzorem lat ubiegłych organizujemy konkurs literacki dla wszystkich czytelników „Polski Zbrojnej". Waszym bohaterem jest ktoś, kto walczył z bronią w ręku? Był wybitnym strategiem? A może służy w Waszej jednostce? Zachęcamy do opisania ludzi nietuzinkowych, którzy uosabiają takie słowa jak „etos", „honor" czy „heroizm".

Tegoroczna edycja jest już trzecią z kolei – dwie poprzednie pokazały duże zainteresowanie konkursem nie tylko wśród studentów cywilnych i podchorążych wojskowych uczelni wyższych. To utwierdza nas w przekonaniu, że młodzi ludzie potrzebują postaci będących dla nich wzorcem. Doskonale znają zarówno historię, jak i współczesną rzeczywistość. Co więcej, potrafią wspaniale argumentować swoje wybory. Napiszcie zatem, kto jest dla Was autorytetem, wzorem do naśladowania. Może to być postać historyczna lub współczesna. Objętość pracy konkursowej nie powinna przekraczać 10 tys. znaków ze spacjami.

Teksty należy przesłać do redakcji „Polski Zbrojnej" do 8 lipca 2018 roku (adres: Wojskowy Instytut Wydawniczy, Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa lub e-mail: konkurs@zbrojni.pl). W temacie wiadomości elektronicznej lub na kopercie powinna znajdować się adnotacja: Konkurs „Polski Żołnierz – etos i duma". Każda praca musi być podpisana imieniem i nazwiskiem oraz zawierać adres i numer telefonu uczestnika konkursu, a także nazwę uczelni, kierunek i rok studiów (dotyczy studentów i podchorążych). Teksty bez podanych danych osobowych nie będą brały udziału w konkursie. Nadesłane prace muszą być samodzielne i nie mogą być wcześniej publikowane (nawet we fragmentach) ani nagradzane w innych konkursach.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do 17 lipca 2018 roku. Nagrodzimy trzy najlepsze utwory literackie, a ten, który zajmie pierwsze miejsce, opublikujemy w sierpniowym numerze miesięcznika „Polska Zbrojna". Wszystkie trzy teksty zostaną zaprezentowane 15 sierpnia na naszej stronie internetowej polska-zbrojna.pl. Laureaci otrzymają pióro „Polski Zbrojnej", prenumeratę naszego miesięcznika oraz nagrody rzeczowe.

Serdecznie zapraszamy do udziału!

IZABELA BORAŃSKA-CHMIELEWSKA, redaktor naczelny miesięcznika „Polska Zbrojna"

TEMAT NUMERU

/ WOJSKA OBRONY TERYTORIALNEJ

SIŁA PRZYCIĄGANIA

„Nie jesteśmy osobnym tworem w armii, ale częścią jednego wojska”,

mówią przedstawiciele najmłodszego rodzaju sił zbrojnych.

Z Grzegorzem Kaliciakiem, Tomaszem Białasem, Mirosławem Brysiem, Zbigniewem Krzyszczukiem i Krzysztofem Leszczyńskim rozmawiają Paulina Glińska, Magdalena Kowalska-Sendek i Piotr Raszewski.

WACHNICKI
ZAMOŚĆ ZAWSZE BLISKO
SANITARIUSZ

WIZYTÓWKA

PŁK GRZEGORZ KALICIAK

jest dowódcą 6 Mazowieckiej Brygady Obrony Terytorialnej.

Reprezentujecie Panowie jednostki, które powstawały na różnym etapie formowania wojsk obrony terytorialnej. Z jakimi wyzwaniami przyszło się Wam mierzyć na początku działalności?

Zbigniew Krzyszczuk: Jesteśmy jedną z trzech pierwszych brygad, które powstały. Zaczynaliśmy w momencie, kiedy nie było jeszcze aktów prawnych, sankcjonujących funkcjonowanie żołnierzy i całej formacji. Początki przypominały trochę poruszanie się we mgle. Siedem osób w grupie organizacyjnej, puste ściany i kilka dokumentów z Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych. Wiedziałem jednak, że wiele zależy od ludzi – ja spotkałem takich z pozytywną energią.

Grzegorz Kaliciak: Byłem w nieco lepszej sytuacji, bo przejmowałem brygadę formowaną już od kilku miesięcy. Do wyzwań na pewno trzeba zaliczyć dobór ludzi. Należy pamiętać, że jesteśmy jednostką budowaną od nowa, złożoną z osób, które wcześniej się nie znały, zajmowały różne stanowiska. Stanowimy taką hybrydę żołnierzy z jednostek specjalnych, lądowych, powietrznych i marynarki wojennej. Potrzeba czasu, by się zgrać w działaniu. Podobnie jak wiele jednostek operacyjnych, borykamy się z niewielkim ukompletowaniem. Wyzwaniem jest też infrastruktura. Pamiętam czasy, gdy wojsko pozbywało się swoich terenów. Tak było w Gorzowie, Żarach, Sulęcinie. A teraz, gdy szukamy lokalizacji dla pododdziałów WOT-u, okazuje się, że nie dysponujemy takim zasobem, by po niewielkim remoncie można było wejść do koszar.

Mirosław Bryś: Do WOT-u trafiłem w styczniu 2017 roku, a dowodzenie brygadą objąłem po czterech miesiącach. Bazując na swoich doświadczeniach związanych z przygotowaniem kontyngentów i międzynarodowych ćwiczeń, wiedziałem, że najważniejszy jest plan. Mój dotyczył pięciu dziedzin. Priorytetem byli ludzie: żołnierze i pracownicy wojska. Druga dziedzina to infrastruktura. Kolejna to nawiązanie współpracy – z WSzW i WKU, ale i ze środowiskiem cywilnym: wojewodą, samorządami, kuratorem oświaty, szkołami. Czwarta dziedzina to promocja, czyli dotarcie z informacją o nas do społeczeństwa. Ostatnią było przygotowanie brygady i batalionów do szkolenia. Po roku funkcjonowania te kierunki działania wciąż obowiązują, ale inaczej rozkłada się ich ciężar. Dalej szukam ludzi i dbam o infrastrukturę. Nadal rozwijam współpracę i zajmuję się komunikacją. Główny wysiłek jednak skupiam już na szkoleniu.

Tomasz Białas: My właściwie dopiero zaczynamy pracę, ale myślę, że kierunki, które wymienił płk Bryś, można przypisać formowaniu każdej z brygad OT. Ważne jest to, co niektórym umyka, że te brygady budujemy od podstaw. Nie mamy okresu przygotowawczego ani zgranego zespołu. Ogromna jest tu rola dowódcy, który musi odejść niekiedy od przyjętego w wojsku modelu

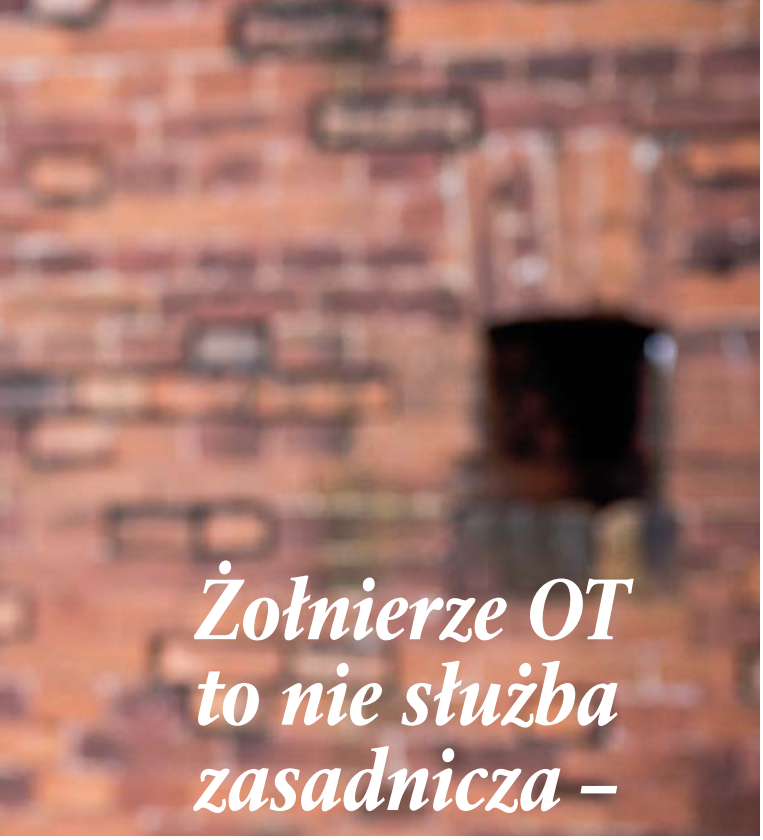

Żołnierze OT to nie służba zasadnicza – naszym zadaniem jest tych ochotników zdobyć i zatrzymać w wojsku

dowodzenia, w którym to sztab przygotowuje rozwiązania. Tutaj dowódca musi się maksymalnie zaangażować. W 13 ŚBOT cały czas jeszcze prowadzimy nabór do zawodowej służby wojskowej, ale lada chwila ruszamy z rekrutowaniem żołnierzy do terytorialnej służby wojskowej.

Mirosław Bryś: Żadna z brygad OT nie powstała na bazie innej jednostki i żaden z żołnierzy nie przyszedł do nich na rozkaz. Wszyscy, którzy dziś służą w naszej formacji, robią to na własny wniosek.

WOT to praca ze społeczeństwem, które nie zawsze jest przychylnie nastawione do tej formacji. Czy przez te miesiące wypracowano mechanizmy, które pozwoliły przełamać niechęć do tego rodzaju sił zbrojnych?

Zbigniew Krzyszczuk: Być może w wymiarze ogólnokrajowym, zwłaszcza na początku tworzenia formacji, nastawienie nie było pozytywne. Gdy jednak spojrzeć na poziom lokalny, w naszym wypadku na województwo lubelskie, okazuje się, że społeczeństwo było nam bardzo przychylne. Nie odczuliśmy niechęci czy wrogości. W swoich szeregach mamy już ponad 2 tys. żołnierzy, a nikt ich do służby nie zmuszał.

D W O T

Mirosław Bryś: Na początku zaobserwowałem, że wojska obrony terytorialnej są różnie postrzegane, głównie za sprawą mediów. Szum informacyjny budził w społeczeństwie różne emocje. Spotkałem się z brakiem rzetelnej informacji na temat WOT-u i tworzących się brygad. Dlatego postawiłem na komunikację. Mam za sobą kilka misji, więc doświadczenia ze współpracy z lokalnymi władzami starałem się wykorzystać i na tym gruncie. Udzieliłem wielu wywiadów, spotykałem się z dyrektorami i uczniami szkół, ze studentami wyższych uczelni, z samorządowcami. Dużą rolę odegrał też tzw. marketing szeptany. Ochotnicy po zakończeniu „szesnastek" wracali do swojego środowiska i tam opowiadali o szkoleniu. Ich przekaz był może nawet bardziej wiarygodny niż żołnierzy zawodowych.

Grzegorz Kaliciak: Mazowieckie jest specyficznym województwem, ale tu też kluczem była rzetelna informacja o WOT. Bardziej niż na samej Warszawie skupiliśmy się jednak na miastach, w których będą powstawać nasze bataliony. Podobnie jak płk Bryś, uważam, że wiele dobrego zrobiła opinia osób, które się szkolą. Gdyby było źle, kolejni ochotnicy by do nas nie przychodzili.

Czyli jakość szkolenia działa jak magnes i przyciąga kolejnych ochotników…

Grzegorz Kaliciak: Musimy wiele dać od siebie, by tym ludziom w wojsku się spodobało. Pamiętajmy, że żołnierze OT to nie służba zasadnicza – naszym zadaniem jest tych ochotników zdobyć i zatrzymać w wojsku. Jeśli w jakiś sposób nawalimy, to wystraszymy kandydatów. I tu nie będzie chodziło wyłącznie o tych dziesięciu, którzy zrezygnują, ale o kolejnych kilkudziesięciu, którzy mogliby przyjść dzięki ich rekomendacjom.

Z czego, Waszym zdaniem, wynika tak duże zainteresowanie formacją?

Oferujemy terytorialsom możliwości rozwoju.

Prowadzimy kursy oficerskie w Akademii Wojsk Lądowych i Wojskowej Akademii Technicznej, a podoficerski – w Poznaniu. Proponujemy szkolenia specjalistyczne, dbamy o podnoszenie kwalifikacji

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

WIZYTÓWKA

PPŁK KRZYSZTOF LESZCZYŃSKI

jest szefem Wydziału Kształcenia Ogólnego Dowództwa WOT.

Grzegorz Kaliciak: Zawieszeniu służby zasadniczej towarzyszył na początku duży entuzjazm. Młodzież się cieszyła, że nie ma wojska z poboru, ale po trzech, czterech latach nagle się okazało, że zaczyna tego powszechnego wojska brakować. Niszę zaczęły w jakimś stopniu wypełniać tworzące się organizacje paramilitarne i stowarzyszenia proobronne. Wielu z naszych kandydatów decyduje się na służbę z ciekawości, pewnego poczucia obowiązku, ale też z chęci sprawdzenia siebie.

Tomasz Białas: Choć żołnierzom terytorialnej służby wojskowej oferujemy 500 zł miesięcznie, to po zapoznaniu się z ochotnikami na Śląsku wiem, że im wcale nie chodzi o pieniądze. Aspekt finansowy, jeśli już się pojawia, to na samym końcu rozmowy. Gdy aplikowałem na stanowisko dowódcy brygady, zadano mi pytanie, gdzie będę szukał ludzi do WOT-u. Powiedziałem wtedy, że sami do nas przyjdą. I tak się dzieje. Gdy pojawia się nowa struktura, znajdują się też kandydaci. Odejście od służby zasadniczej, przejście na armię zawodową sprawiło, że dziś wojsko stało się w pewien sposób elitarne. To jest magnes, który przyciąga.

Grzegorz Kaliciak: Atutem jest możliwość pogodzenia życia rodzinnego, osobistego ze służbą wojskową. Nasza propozycja nie zamyka też drogi do edukacji. Służbę w WOT mogą podjąć studenci bez względu na to, w jakim mieście się kształcą.

Krzysztof Leszczyński: Oferujemy terytorialsom możliwości rozwoju. Prowadzimy kursy oficerskie w Akademii Wojsk Lądowych i Wojskowej Akademii Technicznej, a podoficerski – w Poznaniu. Proponujemy szkolenia specjalistyczne, dbamy o podnoszenie kwalifikacji. Niektórzy ochotnicy będą więc mogli zdobyć specjalności przydatne na cywilnym rynku.

Mirosław Bryś: Aspektem, na który kandydaci często zwracają uwagę, jest terytorialność. To szczególnie ważne dla kobiet, które mają pewność służby w jednym miejscu i blisko rodziny. Ochotnicy doceniają też elastyczność naszej formacji. Wszystkie szkolenia w WOT: „szesnastki", szkolenia wyrównawcze oraz ćwiczenia, są zaplanowane na cały rok i żołnierze znają te daty. Mogą także wybrać termin 14-dniowego szkolenia zintegrowanego, które każdy z nich musi przejść raz w roku. Mamy bowiem na uwadze to, że ochotnicy to ludzie, którzy mają swoje rodziny, pracę, biznes, szkoły.

Zbigniew Krzyszczuk: Za nami nie tylko „szesnastki", lecz także pierwsze szkolenie zintegrowane. Spędziłem cztery tygodnie na poligonie w Wędrzynie z dwiema turami żołnierzy. Zakładaliśmy przeszkolenie około 600 żołnierzy, a przeszło je prawie 700. Ochotnicy wystawili nam pozytywne opinie. W sierpniu planujemy kolejne cztery tygodnie szkolenia, tym razem na poligonie w Nowej Dębie.

Testowanie sprzętu jest kolejnym zadaniem WOT-u. *Mamy być papierkiem lakmusowym całej armii. Parę lat temu w podobnej roli występowały wojska specjalne*

D W O T

WIZYTÓWKA

PŁK TOMASZ BIAŁAS

jest dowódcą 13 Śląskiej Brygady Obrony Terytorialnej.

Nie macie wrażenia, że dla niektórych WOT to tylko przystanek do armii zawodowej?

Krzysztof Leszczyński: Tak, ale nie widzimy w tym nic złego. Zanim taki żołnierz trafi do wojsk operacyjnych, musi przez trzy lata szkolić się w ramach wojsk obrony terytorialnej. Taka służba da gwarancję, że będzie to żołnierz wyszkolony, który ma wszelkie predyspozycje, aby zostać zawodowym.

Grzegorz Kaliciak: Niektórzy faktycznie chcą rozpocząć służbę w WOT, a potem przejść do armii zawodowej, ale nie dotyczy to większości. Wydarzenia na świecie sprawiły, że straciliśmy poczucie bezpieczeństwa i coraz więcej osób chce się nauczyć posługiwania bronią, by je zapewnić w domu, małej ojczyźnie, a także w kraju. Takie osoby nie biorą pod uwagę stania się zawodowcem. Jest to dla państwa bardzo korzystne: w krótkim czasie odtworzymy i odmłodzimy zasoby rezerwy.

Mirosław Bryś: Na rynku jest kilka projektów alternatywnych dla WOT-u. Mamy narodowe siły rezerwowe, służbę przygotowawczą, Legię Akademicką. Ci, którzy są zainteresowani włożeniem munduru, mają więc wybór.

Trzyletni okres przygotowania żołnierza terytorialnej służby wojskowej rozpoczyna się od szkolenia podstawowego, tzw. szesnastki. Czy w tak krótkim czasie z cywila można zrobić żołnierza?

Krzysztof Leszczyński: „Szesnastka" tylko otwiera trzyletni okres szkolenia. Jestem w WOT od samego początku i pracowałem nad tym programem. Odbyliśmy wiele spotkań z członkami różnych grup społecznych zainteresowanych służbą w OT, żeby się dowiedzieć, jak długie szkolenie będziemy mogli zaplanować, aby nie tracić na jakości, ale też uwzględnić potrzeby wojska i oczekiwania ochotników. Wniosek był taki: dwa tygodnie będą optymalne. Na taki czas możemy powołać ochotników, którzy mogą np. zrezygnować z pracy czy nauki. Potem stanęliśmy przez kolejnym wyzwaniem: jak w tak krótkim czasie treści zawarte w obowiązującym programie szkolenia podstawowego zmieścić w dwutygodniowym cyklu? Uznaliśmy, że większość rzeczy teoretycznych da się przenieść do e-learningu. Ta platforma jest jeszcze tworzona, więc na potrzeby dotychczasowych „szesnastek" wydaliśmy specjalny dokument, zawierający treści odpowiadające około stu godzinom szkolenia teoretycznego. Każdy kandydat najpierw musi się ich nauczyć. Szkolenie praktyczne stało się więc bojowym. Nie rozdzielamy go na poszczególne zagadnienia, ale integrujemy w całość: jeśli żołnierz przechodzi właśnie część taktyczną albo strzelecką, to w ramach podpunktów nauczania są przerabiane zagadnienia z rodzajów wojsk. Bardzo duży nacisk kładziemy także na szkolenie medyczne.

Grzegorz Kaliciak: Pamiętajmy, że mówimy o ochotnikach. Mam doświadczenie w szkoleniu żołnierzy zasadniczej służby wojskowej i pamiętam, że nie wszystkim chciało

się coś robić. Tu jest zupełnie inaczej. Przychodzą do nas ludzie z własnej woli. Zanim zaczną szkolenie, samodzielnie opanowują teorię, którą kiedyś żołnierzowi „zetki" trzeba było przekazać podczas zajęć w jednostce. Miło popatrzeć na entuzjazm tych ludzi, którzy prześcigają się w zdobywaniu wiedzy, poszerzaniu horyzontów, szukaniu nowinek technicznych.

Mirosław Bryś: Ten pakiet informacji kandydat musi przyswoić, by płynnie wejść w szkolenie. To, jak ta wiedza została opanowana, sprawdzamy już pierwszego dnia w koszarach, kiedy dajemy do wypełnienia test. Każdego sprawdzamy też pod kątem sprawności fizycznej. Oceniamy poziom wyjściowy kandydata, by później zweryfikować jego postępy. Sama „szesnastka" zaczyna się wcieleniem, wyposażeniem i umundurowaniem ochotnika. Drugiego dnia są zajęcia dotyczące warunków bezpieczeństwa, a od trzeciego do piętnastego dnia prowadzimy szkolenie praktyczne. Nauka kończy się egzaminem, czyli pętlą taktyczną i uzyskaniem oceny. Potem terytorialsi wypełniają ankiety, w których z kolei to oni oceniają instruktorów, sposób prowadzenia zajęć, jakość przekazywanych treści i przedstawiają propozycje zmian w programie. Terytorialsi wskazują dużo plusów, np. wysoko oceniają zajęcia praktyczne i ich intensywność. To pozwala mi np. zmodyfikować plan zajęć i wyciągnąć wnioski dotyczące przygotowania instruktorów do prowadzenia szkolenia.

Grzegorz Kaliciak: Ocena wyjściowa kandydatów jest bardzo ważna. Nie tylko robimy sprawdzian fizyczny, lecz także badamy ich za pomocą body analyzera, który pokazuje m.in. skład ciała i określa wiek metaboliczny. Okazuje się, że czasami wiek metaboliczny żołnierza, który ma 40 lat, jest na poziomie 55 lat. Ta informacja wywołuje szok, ale też jest bodźcem do tego, by coś ze sobą zrobić. Terytorialsi chętnie korzystają z porad trenerów personalnych, chodzą na siłownię i basen. To bardzo ważne, by rozbudzić w nich świadomość dbania o własne zdrowie i kondycję.

Pierwsza „szesnastka" wystartowała rok temu. Czy program szkolenia podstawowego został w jakimś stopniu zmodyfikowany?

DWOT

WIZYTÓWKA

PŁK MIROSŁAW BRYŚ

jest dowódcą 4 Warmińsko-Mazurskiej Brygady Obrony Terytorialnej.

Jeżeli budowa WOT-u ma być projektem długofalowym, musimy oprzeć się na nowych rozwiązaniach

Krzysztof Leszczyński: Pierwsza wersja programu szkolenia powstała ponad rok temu, ale na podstawie doświadczeń z poszczególnych brygad wprowadzamy zmiany. Uznaliśmy, że nie wszystko jest potrzebne na tak wczesnym etapie i część zagadnień można przenieść do szkolenia indywidualnego. Pracujemy nad kolejną wersją programu. Dotyczy to zarówno szkolenia podstawowego, jak i ośmiodniowego wyrównawczego, przeznaczonego dla żołnierzy rezerwy.

Zbigniew Krzyszczuk: 2 BOT jest jedną z trzech jednostek, które jako pierwsze uruchomiły szkolenie podstawowe terytorialsów. Mamy więc spore doświadczenia i wyciągamy z nich wnioski. Po każdym szkoleniu dowódca brygady spotyka się z dowódcami batalionów, kompanii i plutonów, by omówić zajęcia. Chcemy w ten sposób poprawiać ewentualne niedociągnięcia. Wnioski nie dotyczą tylko szkolenia i czasami są bardzo prozaiczne, np. w ubiegłym roku w lecie okazało się, że żołnierze mieli non stop przepocone i brudne mundury. Musieliśmy więc kupić pralki. Zimą i jesienią zaś chodzili brudni i mokrzy, więc trzeba było zainwestować w suszarki.

W jaki sposób doświadczenia w szkoleniu trzech pierwszych brygad WOT-u są wykorzystywane przez kolejne jednostki?

Tomasz Białas: W WOT przyjęto rozwiązania systemowe dotyczące wymiany informacji i doświadczeń. Mamy dobrą atmosferę pracy, a to oznacza, że żaden z dowódców nie boi się mówić nie tylko o swoich sukcesach, lecz także o problemach. Wprowadzono też zasadę powszechnie stosowaną w wojskach specjalnych, czyli tzw. after action review. Sprawdza się ona zarówno przy potknięciach, jak i wtedy, kiedy zostanie odniesiony sukces.

Zbigniew Krzyszczuk: Dowódca 4 Warmińsko-Mazurskiej Brygady przeprowadzał ankiety z naszymi żołnierzami, które miały mu pomóc w przygotowaniu się do pierwszej „szesnastki" w 4 BOT. Z informacji zebranych przez płk. Brysia skorzystaliśmy także w Lublinie.

Tomasz Białas: Mówiąc o szkoleniu, nie można zapomnieć o rozwiązaniu, które funkcjonuje w WOT, a nie działa w żadnym innym rodzaju sił zbrojnych, czyli mobilnych zespołach szkoleniowych, utworzonych z byłych żołnierzy wojsk specjalnych. Taką formułę stosuje się w wielu krajach, m.in. w USA, gdzie garściami czerpie się wiedzę od rezerwistów.

Mirosław Bryś: Udało nam się wprowadzić wiele rozwiązań, których nie ma w innych rodzajach sił zbrojnych. Chodzi nie tylko o MZS, lecz także o nowatorskie programy szkolenia i strzelań oraz sposób przygotowania kadry instruktorskiej. Przez rok nie byliśmy wolni od błędów, ale potrafimy z nich wyciągać wnioski.

Dla osób, które mają za sobą służbę wojskową, przewidziano specjalne szkolenia. Czy wyrównywanie poziomu rezerwistów stanowi jakiś problem?

Mirosław Bryś: O ile żołnierze, którzy odeszli ze służby dwa czy trzy lata temu, nie mają większych problemów adaptacyjnych, o tyle ci, którzy służyli np. 15 lat temu, mogą mieć pewne kłopoty. Jednak nie tylko czas odejścia ze służby ma wpływ na konieczność wyrównania umiejętności, lecz także wiedza zdobyta w czasie służby na różnych stanowiskach. Niektórzy byli kucharzami, inni służyli w tzw. linii, jeszcze inni pracowali za biurkiem.

Grzegorz Kaliciak: Szkolenia wyrównawcze pokazały duże rozbieżności w poziomie przygotowania żołnierzy. Widzimy, że wiele zależy też od tego, kto przed laty szkolił żołnierza.

Krzysztof Leszczyński: W dowództwie WOT-u pracujemy nad pewnymi rozwiązaniami. Chodzi o to, by żołnierze, którzy przeszli do rezerwy w ciągu ostatnich czterech lat, a służbę pełnili nieprzerwanie przez trzy lata, mieli zmieniony okres szkolenia wyrównawczego.

Żołnierze ćwiczą umiejętności nie tylko podczas szkolenia podstawowego, wyrównawczego czy szkoleń rotacyjnych. Czerpią także ze współpracy z wojskami operacyjnymi. Jak układają się te relacje?

Mirosław Bryś: Wszyscy, jak tu siedzimy, wywodzimy się z wojsk operacyjnych. Jak mielibyśmy działać w oderwaniu od innych rodzajów sił zbrojnych? Trzeba zrozumieć, że WOT nie jest osobnym tworem, lecz częścią sił zbrojnych. Jako dowódca 4 Warmińsko-Mazurskiej Brygady Obrony Terytorialnej nie wyobrażam sobie, że nie będę współpracował z jednostkami z mojego województwa. Cały czas współdziałam z pododdziałami 16 Dywizji Zmechanizowanej, 9 Pułkiem Rozpoznawczym. Korzystamy z tych samych obiektów szkoleniowych, wymieniamy się informacjami, bierzemy udział w tych samych ćwiczeniach. Teraz wspólnie szykujemy się do „Anakondy".

Wiele mówi się o wyposażeniu i uzbrojeniu WOT-u. Dlaczego tak ważne jest, żeby żołnierz terytorialnej służby wojskowej dostawał nowy sprzęt?

Mirosław Bryś: Czy człowiek, który buduje swój dom, czyli podejmuje inwestycję na wiele lat, wykorzystuje stare rozwiązania i materiały? Nie! Będzie chciał skorzystać z nowych technologii. Jeżeli budowa WOT-u ma być projektem długofalowym, przynoszącym korzyści w długiej perspektywie, musimy oprzeć się na nowych rozwiązaniach i uzbrojeniu.

Grzegorz Kaliciak: Żeby żołnierze terytorialnej służby wojskowej mogli zatrzymać wojska operacyjne jakiegokolwiek państwa, potrzebują nowego sprzętu. Chciałbym, żeby cała polska armia miała najnowszy technologicznie sprzęt. To byłoby rozwiązanie idealne, ale jest nierealne, bo

→

nas na to nie stać. Ale nie stać nas również na to, by używać starego sprzętu. Jeżeli żołnierz WOT-u dostanie nowoczesny hełm, to będzie go używał przez kilkanaście lat, a nie co roku dostawał nowy.

Mirosław Bryś: 4 Brygada ma do dyspozycji groty. Wcielamy nowych żołnierzy, dajemy im nowy sprzęt, uczymy obsługi. Jaki wysiłek szkoleniowy musielibyśmy włożyć, gdybyśmy szkolili ich na starym sprzęcie, a po roku czy dwóch latach przeszkalali na nowy? Nasi koledzy z jednostek operacyjnych także będą przechodzili sukcesywnie z beryli na groty. U nas ten proces nastąpił zdecydowanie wcześniej. Trzeba pamiętać, że możliwości rozwojowe beryla już się skończyły. Z kolei grot to nowa platforma, którą możemy dowolnie modyfikować.

Tomasz Białas: Testowanie sprzętu to jest kolejne zadanie WOT-u. Mamy być papierkiem lakmusowym całej armii. Ostatnio w podobnej roli występowały wojska specjalne.

Co z karabinami maszynowymi UKM, które mają trafić do terytorialsów? Czy to odpowiednia broń dla lekkiej piechoty?

Mirosław Bryś: Raczej nie widziałbym możliwości odejścia od tak ważnego środka ogniowego dla drużyny jak karabin maszynowy. Do rozstrzygnięcia pozostaje kwestia, jakich karabinów będziemy używać: tych, które mamy, czy zostaną kupione jakieś inne? Tu w grę wchodzi MSBS, bo można przecież zmienić jego kaliber.

Czy założenie, że korzystamy wyłącznie z polskiego sprzętu, w jakiś sposób ogranicza wyposażenie WOT-u?

Mirosław Bryś: W polskim przemyśle zbrojeniowym są bardzo dobre rozwiązania, z których korzystamy. Musimy bazować na ofercie rodzimych firm, bo w razie potencjalnych konfliktów będziemy w pełni niezależni.

Grzegorz Kaliciak: Broń, karabinki czy moździerze – to wszystko ma polski przemysł zbrojeniowy. Pozostaje kwestia odpowiedniego wdrożenia sprzętu. Nasza drużyna, sekcja, pluton czy kompania mają mieć konkretne zdolności do działania i odpowiednio dobrany sprzęt. Mieszkam przy południowej granicy i często bywam w Czechach. Widzę, jak w czasie manewrów jeżdżą tam tatry – czy to cysterna do wody, paliwa, czy mobilne stanowisko dowodzenia. My mamy jelcza, doskonale spisującego się w terenie. Dlaczego nie możemy go tak wykorzystać?

A jakie są najpilniejsze potrzeby na tym etapie rozwoju WOT-u? Chociażby na przykładzie 2 Lubelskiej Brygady Obrony Terytorialnej, która wchodzi w okres szkolenia specjalistycznego.

Zbigniew Krzyszczuk: Sukcesywnie odbieramy karabiny wyborowe, dostajemy ciężki sprzęt, trenażery. Teraz skupiamy się na tym, żeby przygotować instruktorów do rozpoczęcia szkolenia specjalistycznego. Ale pamiętajmy też, że strzelec wyborowy specjalistą zostanie dopiero wtedy, gdy przejdzie testy po zakończeniu całego cyklu szkoleniowego. Operator koparki czy piły w kompanii saperów

2 LBOT

WIZYTÓWKA

PPŁK ZBIGNIEW KRZYSZCZUK

jest zastępcą dowódcy 2 Lubelskiej Brygady Obrony Terytorialnej.

Po każdym szkoleniu dowódca brygady szczegółowo omawia zajęcia. Chcemy w ten sposób poprawiać ewentualne niedociągnięcia

też najpierw ukończy kurs, a dopiero potem będzie potrzebował sprzętu. Wszystko, co jest nam niezbędne, będzie stopniowo uzupełniane. Dziwię się, że każdy uważa, że w szkoleniu specjalistycznym najważniejszy jest sprzęt. Dla nas najistotniejsze jest to, by dopasować odpowiedniego człowieka na odpowiednie stanowisko.

Ważna jest kwestia sprzętu, ale istotne jest też miejsce, gdzie można z niego skorzystać. Czy strzelnice kontenerowe rzeczywiście pomagają w szkoleniu?

Zbigniew Krzyszczuk: Dostaliśmy taką strzelnicę jako jedni z pierwszych. Nie chodzi tu tylko o proste strzelanie do tarczy czy do celu ruchomego, bo daje nam ona duże możliwości wykonania rożnych typów strzelań i programów. Niedawno prowadziliśmy szkolenie szesnastodniowe w Białej Podlaskiej i przemieściliśmy tę strzelnicę z Lublina na potrzeby tamtejszego batalionu. Cała operacja transportu na odległość 120 km zajęła jeden dzień.

Teraz ta strzelnica wystarcza, ale co będzie potem, jak żołnierzy przybędzie?

Mirosław Bryś: Żołnierze muszą dobrze strzelać, ale ich szkolenie nie opiera się na doskonaleniu tej umiejętności.

Grzegorz Kaliciak: Racja. Strzelnica kontenerowa jest jednym z elementów systemu szkolenia. Można w sposób bezkolizyjny, bez uciążliwości dla społeczeństwa, prowadzić trening. Tylko przepustowość pozostawia wiele do życzenia. Gdy przyjedzie pododdział, który liczy 120 żołnierzy, to strzelanie będzie trwało długo. Jest to więc bardzo przydatny obiekt, ale nie zastąpi szkolenia poligonowego.

Zbigniew Krzyszczuk: Lubelskie kompanie – podobnie pewnie jest w innych brygadach – nie szkolą się tylko na pasach ćwiczeń czy strzelnicach. Żołnierze wychodzą w teren. Dzięki temu poznają swój rejon odpowiedzialności, spędzają czas w lesie, przechodzą przez miejscowości, doskonalą to, czego uczyli się na szkoleniu zintegrowanym.

Mirosław Bryś: Większym wyzwaniem jest dla nas to, że np. na poligonie nie możemy się szkolić w sobotę i niedzielę. Od 2010 roku zawiesiliśmy zasadniczą służbę wojskową i przestaliśmy myśleć o tym, że wojsko będzie ćwiczyć też w weekendy. A przecież nasi żołnierze właśnie w te dni to robią. Chcielibyśmy, by cała infrastruktura logistyczna i zabezpieczająca szkolenie WOT-u, która w większości jest w jurysdykcji Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych, mogła być wykorzystana na potrzeby naszych weekendowych szkoleń. I to jest najpilniejsze wyzwanie. ■

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL

PolskaZbrojna

MAGAZYN
PUBLICYSTYCZNY
O POLSKIEJ ARMII

ZAPRASZAMY
DO PRENUMERATY
REDAKCYJNEJ

KOSZT 1 EGZEMPLARZA
„POLSKI ZBROJNEJ" – 6,50 ZŁ.

Warunkiem wysyłki egzemplarzy
jest złożenie zamówienia na adres
prenumerata@zbrojni.pl
lub telefonicznie: 261 840 400
oraz wpłata odpowiedniej kwoty na nasze konto:
23 1130 1017 0020 1217 3820 0002
Wojskowy Instytut Wydawniczy
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

PAULINA GLIŃSKA

JAK NAJBLIŻEJ SPOŁECZEŃSTWA

Choć wojska obrony terytorialnej wciąż są w fazie formowania, ich przedstawiciele przygotowują solidne podstawy do współpracy z cywilami.

Misją formacji jest obrona i wspieranie lokalnych społeczności. Wojska obrony terytorialnej nie tylko rozwijają swoje struktury, kupują sprzęt i rekrutują nowych żołnierzy, lecz także skupiają się na nawiązywaniu kontaktów ze środowiskiem cywilnym. „Naszym celem jest pełna integracja ze sferą pozamilitarną. Chcemy zbudować networking, czyli taką sieć współpracowników cywilnych, z którymi będziemy mogli efektywnie współdziałać na rzecz bezpieczeństwa lokalnych społeczności", mówi ppłk Magdalena Otocka-Szwed, szef Wydziału Współpracy z Administracją Państwową w Oddziale Współpracy Cywilno-Wojskowej Dowództwa WOT.

AMBASADOROWIE WOJSKA

Działania prowadzi się na trzech poziomach. Dowództwo WOT odpowiada za współpracę z instytucjami szczebla centralnego, brygady kontaktują się z administracją wojewódzką, bataliony i kompanie zaś – z samorządem szczebla powiatowego i gminnego.

Dowództwo WOT odpowiada za współpracę z instytucjami szczebla centralnego, brygady kontaktują się z administracją wojewódzką, bataliony i kompanie zaś – z samorządem szczebla powiatowego i gminnego.

Forum terytorialsów

Z Maciejem Kliszem o planach współpracy z formacjami terytorialnymi innych państw rozmawia Paulina Glińska.

Jak powstała Europejska Inicjatywa Współpracy Regionalnej Obrony Terytorialnej?

Niemal w każdym z państw europejskich działają formacje o charakterze terytorialnym. Są one elementem systemu obronności państwa. Funkcjonują co prawda pod różnymi nazwami, mają nieco inne zadania, ale istota ich działania jest taka sama – obrona terytorium kraju i zarządzanie kryzysowe na poziomie lokalnym. Taka idea przyświeca chociażby Ochotniczym Siłom Obrony Narodowej na Litwie, Lidze Obrony w Estonii czy wojskom regionalnym w Finlan-

bataliony i kompanie zaś – z samorządem szczebla powiatowego i gminnego. Jednostki nawiązały relacje z urzędami, szkołami, organizacjami pozarządowymi. Prowadzone są m.in. szkolenia i akcje informacyjne. Co więcej, niektórzy terytorialsi są pracownikami urzędów wojewódzkich, starostw powiatowych i urzędów gmin. „Stają się oni naszymi ambasadorami i naturalnymi integratorami ze światem cywilnym. Informacyjnie wprowadzają w temat pracowników, więc wiele nam to ułatwia, jeśli chodzi o przekaz na temat naszej formacji", mówi płk Marek Pietrzak, rzecznik prasowy Dowództwa WOT.

Cały czas rozwijana jest współpraca na linii wojsko – cywile. Wkrótce na Podkarpaciu formacja planuje uruchomić projekt „Parasol", czyli cykl warsztatów dla przedstawicieli gmin i powiatów oraz służb, inspekcji i straży w stałych rejonach odpowiedzialności (SRO) brygady OT. W ten sposób terytorialsi chcą przygotować cywilnych partnerów do efektywnego wykorzystania potencjału formacji w zarządzaniu kryzysowym. Takie szkolenia pozwolą również WOT-owi oszacować potrzeby i oczekiwania samorządów. „Chcemy też poznać, jakie zagrożenia niemilitarne na danym terenie występują najczęściej. Umożliwi nam to lepiej i wcześniej przygotować się do działania w razie kryzysu", mówi ppłk Otocka-Szwed. Zresztą WOT mają już gotowe pewne pomysły na skuteczną pomoc. Jednym z takich projektów jest zespół oceny wsparcia, który, współdziałając z terenowymi organami administracji publicznej, będzie na bieżąco prowadził ocenę sytuacji oraz szacował potrzeby użycia sił i środków z zasobów Sił Zbrojnych RP w zagrożonym rejonie. Zespół wsparcia odbudowy powstał po to, by działać, gdy służby użyte w sytuacji kryzysowej opuszczają już dany rejon.

POMOC MAJĄ WE KRWI

Działania zmierzające do efektywnej współpracy WOT-u ze światem cywilnym nie ograniczają się jedynie do kontaktów urzędowych. Formacja ma wiele pomysłów na projekty prospołeczne, takie jak „Krwioobieg terytorialsa". „Ma on propagować ideę honorowego krwiodawstwa, a w efekcie także zdrowego stylu życia. Wpisujemy się też w potrzeby społeczne na wypadek kryzysu – wystarczy wspomnieć sytuację, gdy zawalił się dach hali Międzynarodowych Targów Katowickich. Tuż po katastrofie ludzie oddawali krew dla potrzebujących. Chcemy wspomóc społeczeństwo również w taki sposób", mówi ppłk Marlena Bielewicz, szef Wydziału Współpracy z Organizacjami Pozarządowymi w Oddziale Współpracy Cywilno-Wojskowej DWOT.

W ramach projektu 26 maja 2018 roku zbiórka krwi ruszyła w pięciu lokalizacjach: w Ciechanowie, Olsztynie, →

dii. Doszliśmy do wniosku, że warto spotkać się z sojusznikami z NATO i Unii Europejskiej, żeby podyskutować, jak u nich funkcjonują te formacje. Już jesienią 2016 roku zaczęliśmy organizować spotkania z partnerami zagranicznymi oraz attaché wojskowymi akredytowanymi w Polsce.

Takich spotkań w ubiegłym roku odbyło się ponad 30. Jakie przyniosły efekty?

Inicjatywa ta jest nowością. Jako państwo, które niedawno zaczęło budować nowoczesną formację terytorialną, nie chcieliśmy, by nasi potencjalni partnerzy odnieśli wrażenie, że mamy gotową receptę na to, jak tworzyć sprawnie działającą organizację. Dlatego postanowiliśmy najpierw stworzyć tzw. dobrą atmosferę. Na roboczych spotkaniach pokazywaliśmy, że poważnie podchodzimy do tematu, nie wiemy jeszcze wszystkiego i chętnie skorzystamy z wiedzy innych. I sami podzielimy się doświadczeniami. Wielu przedstawicieli innych krajów wyraziło zainteresowanie nawiązaniem z nami stałych kontaktów. Gdy w czerwcu 2017 roku uzyskaliśmy akceptację ministra obrony, do 12 państw skierowaliśmy zaproszenia do współpracy. Tak narodziła się Europejska Inicjatywa Współpracy Regionalnej Obrony Terytorialnej.

Kogo zaprosiliście do współpracy?

Z racji doświadczeń i znakomitej współpracy z Siłami Zbrojnymi RP zaczęliśmy od amerykańskiej Gwardii Narodowej stanu Illinois jako naszego partnera strategicznego. Dołączyły też Litwa, Łotwa i Estonia, a także przedstawiciele z północy Europy, w tym Szwedzi, Finowie, Duńczycy i Norwegowie. Będą z nami współdziałać także Niemcy i Brytyjczycy. Do grona państw Inicjatywy weszły też Węgry, będące na początku tworzenia odpowiednika naszego WOT-u, oraz Izrael. Tamtejszy Home Front Command nie jest do końca formacją terytorialną, bo armia Izraela nie ma podziału na wojska operacyjne i terytorialne, ale wykonuje zadania o takim charakterze.

Dlaczego formacja z natury terytorialna chce wysyłać żołnierzy na zagraniczne ćwiczenia, szkolenia?

Dlaczego mielibyśmy nie korzystać z wypracowanych na przestrzeni lat doświadczeń innych państw? Estończycy na przykład po 18 latach budowania swojej formacji zdecydowali się, żeby żołnierze przechowywali →

Rzeszowie, Lublinie i Białymstoku. Podczas organizowanych w miastach pikników stanęły specjalne krwiobusy. „Tego dnia krew można było oddać w regionalnych i wojskowych stacjach krwiodawstwa. Nie jest to jednak akcja jednorazowa, bo trwa cały czas. Nasz plan to 2 tys. krwiodawców i tysiąc litrów krwi do końca roku. A do tego pół tysiąca alarmowych krwiodawców", dodaje ppłk Bielewicz. Już na przełomie lipca i sierpnia terytorialsi będą mogli w praktyce przećwiczyć procedury związane z alarmowym powiadamianiem o zapotrzebowaniu na krew. Wtedy bowiem mają się odbyć pierwsze tego rodzaju ćwiczenia z udziałem brygad OT z Lublina i Rzeszowa.

W planach WOT-u jest też projekt o roboczej nazwie „Kobiety dla WOT – duma i moc". „Będzie on skierowany zarówno do potencjalnych kandydatek do służby, jak i matek, żon, córek i sióstr naszych żołnierzy, by lepiej zrozumiały ideę tej służby. Szukamy również rozwiązań mających ułatwić żołnierzom godzenie wymogów służby z obowiązkami rodzinnymi", mówi ppłk Otocka-Szwed.

WSPÓŁPRACA NABIERA TEMPA

Duży nacisk formacja kładzie też na współdziałanie z organizacjami pozarządowymi, w tym proobronnymi, i partnerami społecznymi. „Jest mnóstwo dziedzin, w których możemy działać razem. To nie tylko udzielane przez nas wsparcie organizacyjne i logistyczne przy różnych przedsięwzięciach, lecz także pogadanki w szkołach, udział w wydarzeniach o charakterze promocyjnym czy wspólne szkolenia strzeleckie i ćwiczenia obronne", mówi ppłk Bielewicz. Jak zapewnia ppłk Pietrzak, takich form współpracy będzie dużo więcej.

Formacja zaangażowała się też w pilotażowy projekt MON-u dotyczący klas mundurowych. W ramach porozumień podpisanych ze szkołami żołnierze brygad prowadzą zajęcia teoretyczne i praktyczne. „Jednym z naszych zadań jest też edukacja patriotyczna i prospołeczna, dlatego bardzo cenimy sobie współpracę ze szkołami i organizacjami pozarządowymi. Chodzi głównie o spotkania z młodzieżą, podczas których przekazujemy pewne wzorce, ale też budujemy lokalne więzi", mówi ppłk Otocka-Szwed. Tym samym celom służą, organizowane dzięki podpisanemu porozumieniu, spotkania żołnierzy i młodzieży z przedstawicielami Światowego Związku Żołnierzy AK. „Młodzi mają okazję spotkać się ze świadkami ważnych dla Polski wydarzeń", dodaje ppłk Otocka-Szwed. Pytani o plany przedstawiciele formacji przyznają, że jest ich mnóstwo. To m.in. podpisanie porozumień z formacjami mundurowymi podległymi MSWiA, z Wojskowym Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa, Polskim Czerwonym Krzyżem oraz Narodowym Centrum Krwi. ■

Amerykanie zainteresowali się naszym modułowym systemem przechowywania uzbrojenia oraz strzelnicami kontenerowymi

broń w domach. Przyglądamy się też z uwagą kwestiom personalnym. Chodzi o problem, który dziś nas jeszcze nie dotyczy, ale boryka się z nim niemal każda struktura OT, czyli utrzymanie żołnierzy w służbie. Dlatego stawiamy na jakość szkolenia. Amerykańscy koledzy pokazali nam swoje kompanie z niskim ukompletowaniem, w których dowódca nie miał pomysłu na szkolenie, więc żołnierze rezygnowali ze służby. Budujemy też system bonusów, nie tylko finansowych. Ważne są różnego rodzaju szkolenia, kursy, podnoszenie kwalifikacji, dofinansowanie nauki czy zdobywanie nowych umiejętności. Istotne jest też zbudowanie pozytywnej atmosfery wokół WOT-u. Tu też Amerykanie podpowiedzieli nam, żeby kampanie promocyjne kierować nie tylko do kandydatów, lecz także ich pracodawców.

Czy inne kraje mogą już korzystać z naszych doświadczeń?

Amerykanie zainteresowali się na przykład modułowym systemem przechowywania uzbrojenia oraz strzelnicami kontenerowymi. Kiedy byli w jednej z naszych brygad, zobaczyli, jak terytorialsi ćwiczą strzelanie w centrum miasta. Sami również nie mogli odmówić sobie okazji urządzenia krótkiego treningu ogniowego. Gdy amerykańscy gwardziści dostają powołanie na 14-dniowe szkolenia, muszą najpierw dwa dni jechać w konwoju na poligon i tak samo długo stamtąd wracać. ■

Płk MACIEJ KLISZ jest szefem sztabu wojsk obrony terytorialnej.

GLOBALNE ROZWIĄZANIA PATRIOT®

SKUTECZNE DZIŚ.
GOTOWE NA WYZWANIA JUTRA.

Raytheon dostarczy Polsce baterie Patriot zgodnie z wymaganiami i ze znaczącym udziałem polskiego przemysłu. Patriot, stanowiący najnowocześniejszą na świecie, sprawdzoną w boju obronę przeciwlotniczą i przeciwrakietową, ewoluuje wraz z nowo pojawiającymi się zagrożeniami, gwarantując bezpieczeństwo 14 państwom po umiarkowanych kosztach.

Raytheon.com/Poland

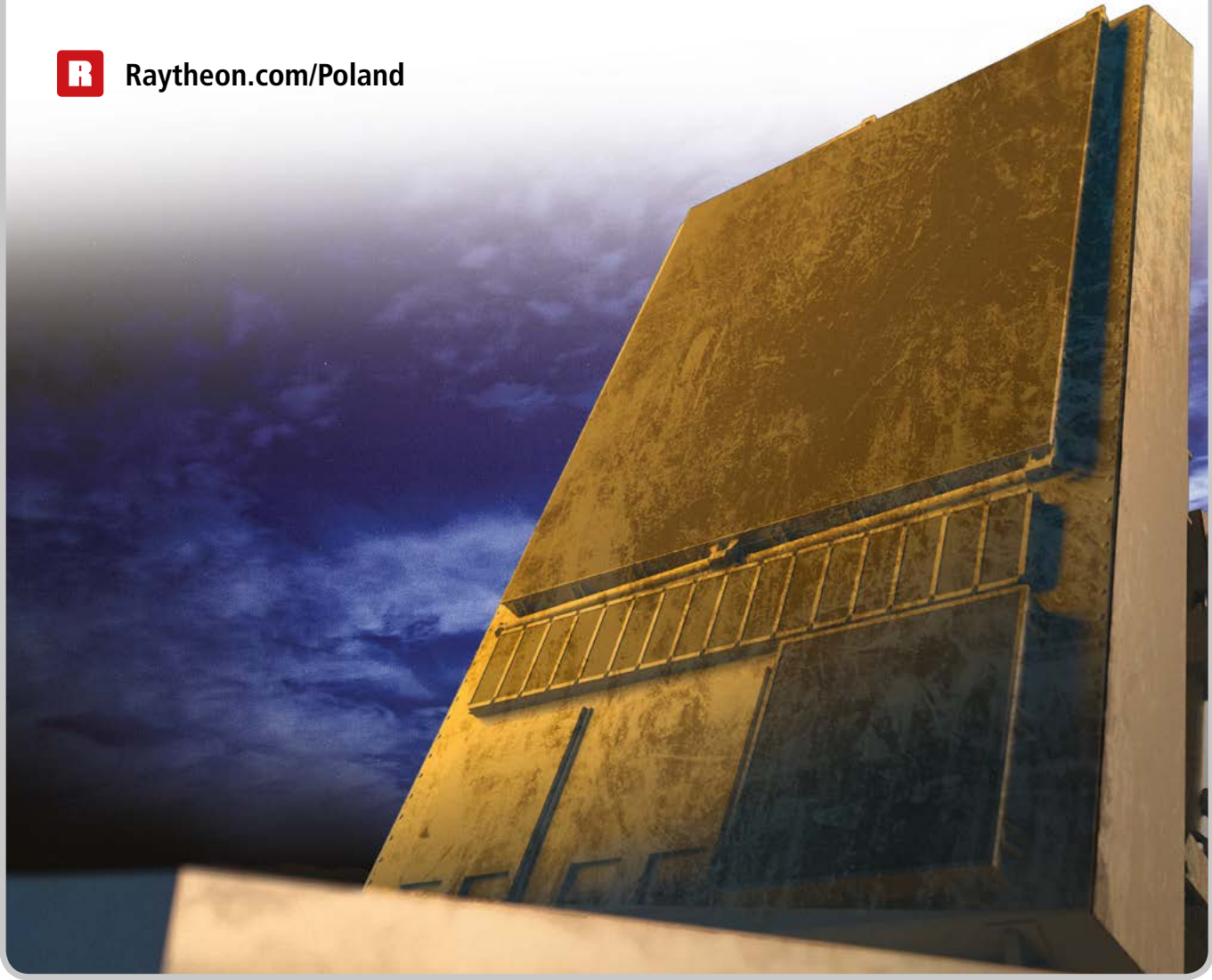

Raytheon

© 2018 Raytheon Company. All rights reserved.

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

Szkolenie bez picu

Terytorialsi zostali operatorami dronów uderzeniowych krótkiego zasięgu Warmate.

DWOT

Zakończyliśmy drugie szkolenie dla operatorów dronów uderzeniowych krótkiego zasięgu. W szeregach sił zbrojnych mamy kolejnych ośmiu specjalistów w tej dziedzinie. W dwóch kursach wzięło udział 20 żołnierzy, ale certyfikaty dostało 16 wojskowych", mówi ppłk Marek Pietrzak, rzecznik prasowy Dowództwa Wojsk Obrony Terytorialnej. W szkoleniach uczestniczyli także żołnierze wojsk specjalnych.

„Służyłem w armii wiele lat. Później odszedłem do rezerwy, ale gdy dowiedziałem się o tworzeniu nowego rodzaju sił zbrojnych, postanowiłem wrócić do służby. Wstąpiłem do terytorialnej służby wojskowej, ale teraz jestem już żołnierzem zawodowym", opowiada 45-letni st. chor. Krzysztof Nawrocki. Podoficer służy w 20 Zamojskim Batalionie Lekkiej Piechoty 2 Lubelskiej Brygady Obrony Terytorialnej. „Dla mnie to wielkie wyróżnienie, że zostanę operatorem nowego rodzaju broni". Krzysztof jest jednym z dziesięciu żołnierzy, którzy w maju przyjechali do Nowej Dęby na dwutygodniowe szkolenie dla operatorów dronów uderzeniowych krótkiego zasięgu Warmate.

NAUKA OD PODSTAW

Szkolenie poligonowe poprzedzono selekcją kandydatów. Trzy brygady OT wytypowały kilkudziesięciu kandydatów. „Terytorialsi dostali materiały szkoleniowe, a następnie zostali zaproszeni do siedziby producenta broni – Grupy WB, gdzie po krótkim szkoleniu odbył się test, mający wyłonić najlepszą dwudziestkę", opisuje mjr Wojciech Gosiewski z pionu szkolenia DWOT-u i jednocześnie kierownik zgrupowania poligonowego w Nowej Dębie. Oficer wyjaśnia, że kandydaci na operatorów warmate'ów podczas egzaminu musieli się wykazać znajomością podstawowych zagadnień z meteorologii, orientacją przestrzenną oraz wiedzą na temat sprzętu. „Szukaliśmy ludzi, którzy w cywilu mieli do czynienia z dronami, zajmowali się modelarstwem i działali w aeroklubach. Ważna była też znajomość obsługi komputera oraz podstaw języka angielskiego", dodaje mjr Gosiewski.

Poligonowy kurs trwał niespełna dwa tygodnie. Przez osiem lub dziesięć godzin dziennie zajęcia prowadzili instruktorzy Grupy WB. To oni, jak podkreśla ppłk Jacek Bujacz z DWOT-u, decydowali o tym, kto musi się pożegnać z kursem. „Tu nie ma picu. Trzeba pamiętać, że szkolimy operatorów śmiercionośnej broni, więc nie można sobie pozwolić na błędy i pobłażanie. Każdy etap nauki kończył się egzaminem, kto nie zdał – odpadał".

Katarzyna z 2 Lubelskiej Brygady OT ma 31 lat. Z wykształcenia jest politologiem, ale pracuje w firmie farmaceutycznej. Coraz częściej zastanawia się, czy przyszłości nie związać mocniej z armią. „To szkolenie zaproponował mi przełożony. Zgodziłam się bez wahania. Najtrudniejsze były dla mnie początki, kiedy trzeba było przyswoić bardzo dużo informacji. Teraz nie mam problemów z naprowadzaniem bezzałogowca", opisuje jedyna na kursie kobieta.

Poligonowy kurs trwał niespełna dwa tygodnie. Przez osiem lub dziesięć godzin dziennie zajęcia prowadzili instruktorzy Grupy WB.

WARMATE PO POLSKU

Produkowane przez polską firmę WB Electronics (lider Grupy WB) bezzałogowce Warmate (drony uderzeniowe krótkiego zasięgu – DUKZ) to konstrukcje typu kamikadze, czyli takie, które atakują cel, rozbijając się o niego i rażąc go umieszczoną z przodu głowicą bojową. Na mocy podpisanej w listopadzie 2017 roku umowy o wartości 100 mln zł wojsko dostanie do końca 2018 roku aż tysiąc sztuk amunicji krążącej Warmate, czyli sto zestawów po dziesięć dronów każdy. W pierwszej kolejności nowy sprzęt trafi do brygad WOT-u na ścianie wschodniej.

Naukę podzielono na kilka etapów. Najpierw żołnierze mieli zajęcia teoretyczne. Podczas wykładów uczyli się o systemie Warmate i opanowywali wiedzę niezbędną do prawidłowego użytkowania sprzętu, a więc np. zasady lotu i nawigacji. Potem ćwiczyli z wykorzystaniem symulatorów – np. planowanie misji, taktykę ataku oraz zachowanie w sytuacjach awaryjnych i niebezpiecznych. Ci, którzy zaliczyli teorię, rozpoczęli naukę z dronami. Żołnierze uczyli się montażu oraz przygotowania do lotu systemu naziemnego i platformy powietrznej, trenowali procedury przedstartowe, różnego rodzaju komendy, a także poznawali obsługę logistyczną systemu.

„Już czwartego dnia kursu ćwiczyliśmy loty. Zależy nam na tym, by kursanci jak najwięcej czasu spędzili na ćwiczeniach. Im więcej godzin »wylatanych« pod opieką instruktora, tym lepiej im później pójdzie w samodzielnych zadaniach”, tłumaczy jeden z instruktorów Grupy WB. „Podczas całego kursu zwracamy uwagę na bezpieczeństwo. Uczymy żołnierzy, że istotna jest kolejność działań i postępowanie zgodne z instrukcjami”.

Początkowo większość osób miała problemy z określeniem miejsca statku w przestrzeni powietrznej, ale one najczęściej znikają po ćwiczeniach. „Ważne jest dokładne wykonanie wszystkich czynności. Wraz z postępami w nauce zwracamy też uwagę na czas realizacji zadania. Przygotowanie sprzętu do lotu nie powinno zająć więcej niż dziesięć minut”, opisuje operator drona z Grupy WB.

NA BOJOWO

„Przez wiele lat byłem modelarzem, więc praca z bezzałogowcem to niejako powrót do starego hobby. Oczywiście cel szkolenia jest zupełnie inny. Obsługa zestawu nie jest bardzo skomplikowana, choć trzeba się do tego przyłożyć. Poza tym nie każdy ma odpowiednie predyspozycje. Myślę, że kluczowa jest tu podzielność uwagi. Trzeba w jednym momencie obserwować obraz z kamery drona, kontrolować wysokość lotu i jego tryb, uzbrojenie głowicy i autoryzację ataku. Przy czym, gdy ma się maszynę w powietrzu, czas upływa znacznie szybciej”, mówi st. chor. Krzysztof Nawrocki z 2 LBOT.

Kurs kończy się egzaminem: każdy z uczestników musi zaliczyć samodzielny lot z użyciem głowicy treningowej. Ci, którzy najlepiej radzili sobie na szkoleniu, mogli wykonać to zadanie na bojowo, czyli z głowicą odłamkową lub kumulacyjną. Takie wyzwanie przypadło w udziale m.in. szer. Jackowi Sidorukowi z 21 Batalionu 2 Brygady Obrony Terytorialnej z Lublina. „Zajęło mi to nie więcej niż dziesięć minut. Najpierw musiałem określić tzw. wirtualny płot, czyli obszar, w obrębie którego może poruszać się statek. Później wyznaczyłem strefę podejścia samolotu do celu”, opowiada żołnierz. „W trakcie lotu musiałem zrobić korektę kursu ze względu na zmieniający się kierunek wiatru, no i ostatecznie trafiłem w cel, czyli wrak czołgu. Nie towarzyszyły temu jakieś większe emocje. Starałem się je opanować, żeby porządnie wykonać to zadanie”, dodaje. Sidoruk zawodowo zajmuje się tłumaczeniem z języka angielskiego i w 2 BOT służy od maja 2017 roku.

Najlepsi spośród żołnierzy WOT-u, którzy ukończyli szkolenia przygotowujące operatorów dronów uderzeniowych krótkiego zasięgu, w przyszłości przejdą kurs na wyższym poziomie i zostaną instruktorami. ■

MACIEJ MIKOSZ I ANNA TONIA-SOSNOWSKA: „WSZYSCY BYLIŚMY OCHOTNIKAMI POZYTYWNIE NASTAWIONYMI DO SZKOLENIA, WIEDZIELIŚMY, GDZIE IDZIEMY, WIĘC PRZYGOTOWALIŚMY SIĘ NA WOJSKOWY RYGOR, ROZKAZY I DYSCYPLINĘ”.

ANNA DĄBROWSKA

TO DOPIERO POCZĄTEK PRZYGODY

Pierwsze strzelanie z beryla, przetrwanie nocą w terenie czy udzielanie pierwszej pomocy – dwoje żołnierzy WOT-u opowiada, które z zajęć „szesnastki” zrobiły na nich największe wrażenie.

Do armii ciągnęło ich od dawna. „Zawsze interesowałam się wojskiem, ale kiedyś nie było takich możliwości służby jak dzisiaj, potem przyszły studia, dziecko, praca. Wojska obrony terytorialnej pozwoliły mi to wszystko połączyć”, mówi st. szer. Anna Tonia-Sosnowska z 3 Podkarpackiej Brygady Obrony Terytorialnej.

BROŃ JAK BRAT

Jej kolega z jednostki, st. szer. Maciej Mikosz, chciał włożyć mundur zaraz po studiach: „Poszedłem do Wojskowej Komendy Uzupełnień w Rzeszowie, ale się okazało, że zostałem przeniesiony z urzędu do rezerwy”. Zaczął pracować w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, ale ciągle myślał o wojsku. „Dlatego, kiedy tylko zaczęła się tworzyć OT, złożyłem wniosek o przyjęcie mnie w jej szeregi”.

Po przejściu kwalifikacji, 8 maja 2017 roku trafił na szesnastodniowe szkolenie podstawowe dla kandydatów na żołnierzy WOT-u, którzy do tej pory nie mieli do czynienia ze służbą wojskową. „To była pierwsza »szesnastka«”, podkreśla szer. Mikosz. Szer. Tonia-Sosnowska swoje szkolenie rozpoczęła w sierpniu. „Odbywałam je w Jarosławiu rotacyjnie, czyli w formie ośmiu weekendowych zjazdów”. Oboje dobrze wspominają pierwsze chwile w jednostce. „Wszyscy byliśmy ochotnikami pozytywnie nastawionymi do szkolenia, więc nie było narzekania ani zaskoczenia. Przygotowaliśmy się na wojskowy rygor, rozkazy i dyscyplinę”, mówią.

Zaczęli od nauki regulaminów, przeszli kontrolne badania lekarskie oraz psychologiczne, a także wstępny test sprawności fizycznej. „Był bieg na 3 km, były pompki i brzuszki, czyli nic trudnego dla aktywnej osoby”, uważa szer. Tonia-Sosnowska. Specjalnie się do testu nie przygotowywała, ale zawsze lubiła ruch, dużo jeździ po górach na rowerze. Z kondycją problemów nie miał też szer. Mikosz, ultramaratończyk.

O ile egzamin z WF-u nie zrobił na nich większego wrażenia, o tyle zapamiętali moment otrzymania broni. „W chwili, kiedy pierwszy raz wziąłem do ręki karabinek wz. 96 Beryl, po-

„Wypowiedzenie słów przysięgi jest dużym przeżyciem, myśli się o odpowiedzialności za innych i za kraj”, mówi st. szer. Maciej Mikosz.

czułem odpowiedzialność za to, aby o tę broń dbać, dobrze ją obsługiwać i nie zrobić nikomu krzywdy", opowiada szer. Mikosz. Terytorialsi, aby nauczyć się prawidłowych nawyków, broń mieli cały czas przy sobie. „Zabieraliśmy ją wszędzie przez całą dobę, nie było nam wolno się z nią rozstawać", wspomina szer. Tonia-Sosnowska.

Jak opowiada szer. Mikosz, kolejne dni były bardzo intensywne. Pobudka o 5.00 rano, zaprawa, śniadanie, ćwiczenia na poligonie w Nowej Dębie obejmujące m.in.: podstawy taktyki, przetrwanie na polu walki, topografię, maskowanie, rzut granatem ćwiczebnym, pokonywanie terenu, nakładanie maski przeciwgazowej, komunikację radiową, ratownictwo medyczne. Dzień kończył się czyszczeniem broni około 22.00.

„SZESNASTKA" TO PRZYGODA, ALE MOŻE BYĆ WYCZERPUJĄCA, DOBRZE WIĘC WCZEŚNIEJ ZADBAĆ O KONDYCJĘ

„U mnie było podobnie, tylko nie mieliśmy porannej zaprawy i nocnych zajęć w terenie", dodaje szer. Tonia-Sosnowska. Podczas „szesnastki" zdobyła wiele umiejętności przydatnych także poza wojskiem, takich jak znajdowanie wody w terenie, budowa schronienia czy rozpalanie ognia.

Podczas szkolenia ochotnicy musieli przyswoić wiele nowej wiedzy. „Na szczęście mieliśmy świetnych instruktorów, którzy zawsze znaleźli czas na tłumaczenie i rozmowę", dodają. Większość kadry to weterani misji w Afganistanie i Iraku. W wolnych chwilach opowiadali o swoich doświadczeniach z tych operacji. „Widać było, że wiedzą, o co chodzi w wojsku, znają nie tylko teorię, ale też praktykę. Imponowali mi", stwierdza szer. Mikosz.

Naukę zwieńczył egzamin w formie pętli taktycznej. „Musieliśmy pokonać kilkanaście punktów i w każdym wykonać zadanie. To było wyzwanie, ale jeśli brało się udział w zajęciach, egzamin nie był trudny", opowiadają szeregowi OT.

Ostatnim akcentem była uroczysta przysięga wojskowa w Rzeszowie. „Wypowiedzenie jej słów jest dużym przeżyciem, myśli się o odpowiedzialności za innych i za kraj", wspomina szer. Mikosz. Swoją przysięgę składał 21 maja 2017 roku, razem z grupą 320 pierwszych ochotników do WOT-u. Z kolei szer. Tonia-Sosnowska przysięgała w listopadzie. Na rynku stanęło wówczas 3 tys. żołnierzy.

Po „szesnastce" czuli niedosyt. „Wiemy, że jest to tylko zasygnalizowanie, czego będziemy się uczyć podczas kolejnych trzech lat szkolenia, ale chciałoby się więcej", mówi szer. Tonia-Sosnowska, którą „szesnastka" zmotywowała do skończenia kursu ratownika kwalifikowanej pierwszej pomocy i zapisania się do sekcji strzeleckiej.

Teraz terytorialsi raz w miesiącu zgłaszają się do jednostki na szkolenia m.in. ze strzelania i taktyki. „Czekamy na te wojskowe weekendy z niecierpliwością", mówią. Szer. Mikosz miał w Starachowicach ostatnio zajęcia z naprawy wojskowych starów i jelczy, a jego koleżanka poznawała specyfikę pracy straży pożarnej i granicznej. Latem czeka ich zaś dwutygodniowe szkolenie poligonowe.

„Po zakończeniu całego trzyletniego szkolenia chciałabym przejść do służby zawodowej", mówi szer. Tonia-Sosnowska. Miłością do munduru zaraziła też 19-letniego syna, który chce iść do policji, np. do jednostki antyterrorystycznej. Z kolei szer. Mikosz zamiłowanie do wojska przekazał młodszemu bratu. „Przeszedł »szesnastkę«, we wrześniu złożył przysięgę, a teraz studiuje w Wojskowej Akademii Technicznej", opowiada szeregowy.

DOBRE NASTAWIENIE I BUTY

Żołnierze mają kilka rad dla przyszłych uczestników „szesnastek". „Przede wszystkim trzeba chcieć się szkolić, nie bać się ubłocić i zmęczyć. Warto spróbować, aby się przekonać, czy służba w WOT się podoba", mówi szer. Tonia-Sosnowska. Zapewnia jednocześnie, że dziewczyny bardzo dobrze sobie radzą na szkoleniu. „Są zdeterminowane, wytrzymałe, ambitne i dzielne, a po nieprzespanej nocy z makijażem z błota wcale nie wygląda się tak źle".

Jej kolega dodaje, że jeśli ktoś się zdecyduje na uczestnictwo w szkoleniu, niech da z siebie wszystko. „Warto też pamiętać, że »szesnastka« to przygoda, ale nie urlop – może być wyczerpująca, dobrze więc zadbać o kondycję", radzi szer. Mikosz. Trzeba też dobrze dobrać wojskowe buty, aby nie obcierały. Oboje podkreślają jednak, że w „szesnastce" nie chodzi o to, aby komuś udowodnić, że się tu nie nadaje. „Kiedy ktoś jest słabszy fizycznie, pozostali dostosowują do niego swoje tempo, pomaga się też tym, którym jakiś punkt szkolenia sprawia trudność, ponieważ wartością wojsk obrony terytorialnej są ludzie, którzy chcą w nich służyć", tłumaczy szeregowy.

Dodaje, że do WOT-u idą ochotnicy, z których wielu ma wyższe wykształcenie lub cenne umiejętności. „Są wśród nas studenci, nauczyciele, dyrektorzy, inżynierowie, prawnicy – i to oni zmieniają podejście do wojska", mówi szer. Tonia-Sosnowska.

Żołnierze zaznaczają też, że misją WOT-u jest obrona i służba lokalnym społecznościom, a ludzie to widzą i doceniają. „Jesteśmy żołnierzami i cały czas pozostajemy w gotowości, aby w razie potrzeby natychmiast stawić się w jednostce, ponieważ terytorialna służba wojskowa to przede wszystkim powołanie i odpowiedzialność", podsumowuje szer. Mikosz. ■

MISJA GWARDZISTY

Z Nickiem Johnsonem

o służbie w Gwardii Narodowej, relacjach z innymi rodzajami sił zbrojnych i współpracy z polskimi wojskami obrony terytorialnej rozmawia Magdalena Kowalska-Sendek.

Kilka tygodni temu odwiedził Pan Polskę i spotkał się m.in. z gen. bryg. Wiesławem Kukułą oraz żołnierzami WOT-u. Czy to początek nowej polsko-amerykańskiej współpracy?

To była moja druga, i jak dotąd najlepsza, wizyta w waszym kraju, przy czym pierwszy raz miałem okazję spotkać się z żołnierzami WOT-u. Gen. Kukuła ma świetny zespół. Moja obecność w Polsce nie jest początkiem współpracy polsko-amerykańskiej, bo nasze narody od wielu lat łączą silne związki kulturowe, a Gwardię Narodową z Illinois od 25 lat łączą bliskie relacje z polskim wojskiem, co zaowocowało m.in. podczas operacji w Iraku czy Afganistanie.

Od niespełna roku dowodzi Pan 65 Brygadą Dowodzenia, która jest częścią Gwardii Narodowej Stanów Zjednoczonych. Ale z armią jest Pan związany od dawna.

Specyfika 65 Brygady polega na tym, że zapewnia ona dowodzenie różnym jednostkom ze stanu Illinois, które nie podlegają żadnemu wyższemu zwierzchnictwu. Dowodzę nią od sierpnia 2017 roku, ale z Gwardią Narodową jestem związany od 1989 roku. Dołączyłem do programu szkolenia korpusu oficerów rezerwy [Reserve Officers' Training Corps – ROTC], a po przejściu komisji wojskowej piechoty w 1992 roku zostałem żołnierzem Gwardii Narodowej i służyłem w różnych jednostkach piechoty.

Dlaczego zdecydował się Pan na służbę w armii? Jest Pan przecież cywilnym psychologiem klinicznym.

Zawsze marzyłem o armii. W dzieciństwie bawiłem się żołnierzykami, wojskowymi samochodzikami i kiedy oglądałem filmy o tematyce militarnej, myślałem, że któregoś dnia sam włożę mundur. Jako uczeń szkoły średniej wziąłem udział w przeszkoleniu wojskowym. Pamiętam, że instruktor z kursu opowiadał nam o możliwościach, jakie daje służba w Gwardii, m.in. o stypendiach naukowych. Dwadzieścia sekund po tym, jak skończył opowiadać, byłem już gotowy, by wypełnić wniosek o przyjęcie

do ROTC. Od tego momentu minęło już 30 lat. Służba jest ważną częścią mojego życia, ale z zawodu faktycznie jestem psychologiem klinicznym. Te proporcje między cywilnym a wojskowym życiem mogą się oczywiście zmieniać w zależności od potrzeb operacyjnych, o czym my obywatele żołnierze doskonale wiemy.

Można to pogodzić?

W służbie zdrowia pracuję od 25 lat i nie miałem nigdy problemów z pogodzeniem tych dwóch sfer mojego życia. No może oprócz tego, że rezygnuję z urlopu, by w tym czasie zaliczyć swoje roczne szkolenie wojskowe. Poza tym w USA obowiązuje wiele przepisów prawnych ułatwiających służbę rezerwistom. Największą trudnością w sprawach związanych z pracą było porozumiewanie się z moim przełożonym z dużym wyprzedzeniem, tak aby zaplanować urlopy niezbędne do pełnienia służby wojskowej. Tak naprawdę życie wojskowe i zawodowe uzupełniają się nawzajem. Dzięki armii jestem lepszym człowiekiem i profesjonalistą w cywilu. A zawód psychologa sprawia, że jestem lepszym żołnierzem i liderem. Nie stanowię tu wyjątku. Spotkałem wielu wojskowych, którzy w cywilu są świetnymi hydraulikami, elektrykami czy funkcjonariuszami zajmującymi się egzekwowaniem prawa. W Afganistanie służyłem ze starszym podoficerem, który w cywilu jest adwokatem. I on wcale nie zamierzał zostać oficerem ani prawnikiem w armii. On po prostu chciał być piechocińcem.

Na jakich zasadach żołnierze służą w Gwardii Narodowej?

Gwardia Narodowa w stanie Illinois, podobnie jak wszystkie siły Gwardii Narodowej w Stanach Zjednoczonych, wywodzi się z milicji kolonialnej. Powstała ona w wyniku połączenia się ludzi różnych kolonii i z różnych terytoriów w celu wspólnej ochrony. Jest to najstarsza część armii amerykańskiej, której początek datuje się na 1636 rok. W Illinois historia Gwardii sięga 1723 roku. Gdy USA przyjęły konstytucję, Kongres otrzymał zdolność normowania zasad funkcjonowania milicji w każdym stanie. W ten sposób ustanowiono podwójną misję dla Gwardii Narodowej. W stanie Illinois podlegamy dowództwu i nadzorowi gubernatora stanu. Prezydent USA ma jednak kompetencje, by użyć każdego oddziału Gwardii i reagować w razie zagrożenia w kraju czy za granicą. Za nasze szkolenie i wyposażenie płaci rząd federalny, ale to do kompetencji gubernatora stanu Illinois należy włączenie nas do czynnej służby państwu, finansowanej przez stan. Jesteśmy siłami rezerwy USA, a jednocześnie stanową siłą pod rządami gubernatora.

WIZYTÓWKA

PŁK NICK JOHNSON

Jest dowódcą 65 Brygady Dowodzenia Gwardii Narodowej Stanów Zjednoczonych w Illinois. W Gwardii służy od 1992 roku, zajmując różne stanowiska. Brygadą dowodzi od sierpnia 2017 roku. ■

Jak duża jest to formacja?

Gwardia Narodowa stanu Illinois liczy około 13 tys. osób, z tego 10 tys. jest w siłach lądowych i 3 tys. w siłach powietrznych. Żołnierze ci przechodzą takie same szkolenia jak członkowie armii i sił powietrznych w służbie czynnej. Nasi oficerowie są mianowani przez gubernatora, ale mają również uprawnienia jako przedstawiciele poszczególnych rodzajów sił zbrojnych. Po przejściu początkowego szkolenia wojskowego wraz z jednostkami wojsk lądowych i sił powietrznych zwykły przedstawiciel Gwardii Narodowej ćwiczy dwa dni w miesiącu i 15 dni w roku. Ta liczba może wzrosnąć i często tak się dzieje, w zależności od potrzeb amerykańskich sił zbrojnych. Niektórzy z naszych żołnierzy pozostają na pełnych etatach, ale nie znam ich dokładnej liczby. Ich funkcje nie różnią się od tych, które pełnią pełnoetatowi żołnierze służący w WOT. Polegają one na zarządzaniu codzienną działalnością jednostek, tak aby utrzymać ich wysoką gotowość. Rozwinęliśmy się do tego stopnia, że pododdziałami wielkości kompanii dowodzi od dwóch do trzech pełnoetatowych gwardzistów, a dowódcy brygad, batalionów, sztabów oraz starsi podoficerowie służą w niepełnym wymiarze godzin.

W jaki sposób Gwardia Narodowa integruje się z innymi rodzajami sił zbrojnych USA?

Współpracujemy zarówno z wojskami lądowymi, jak i siłami powietrznymi, bo de facto jesteśmy ich częścią. Przechodzimy szkolenie na wysokim poziomie i obowiązują nas te same standardy, co naszych odpowiedników ze służby czynnej. Niemniej jednak podlegamy również dowództwu i zwierzchnictwu gubernatora stanu Illinois. Stwarza to interesującą dynamikę między rządem stanowym a federalnym, co wymaga dobrej komunikacji i koordynacji, ale jest to system, który sprawdził się w historii Stanów Zjednoczonych. ■

MUZEUM MARYNARKI WOJENNEJ W GDYNI

ul. Zawiszy Czarnego 1B
81-374 Gdynia
tel. 58 620 13 81

www.muzeummw.pl

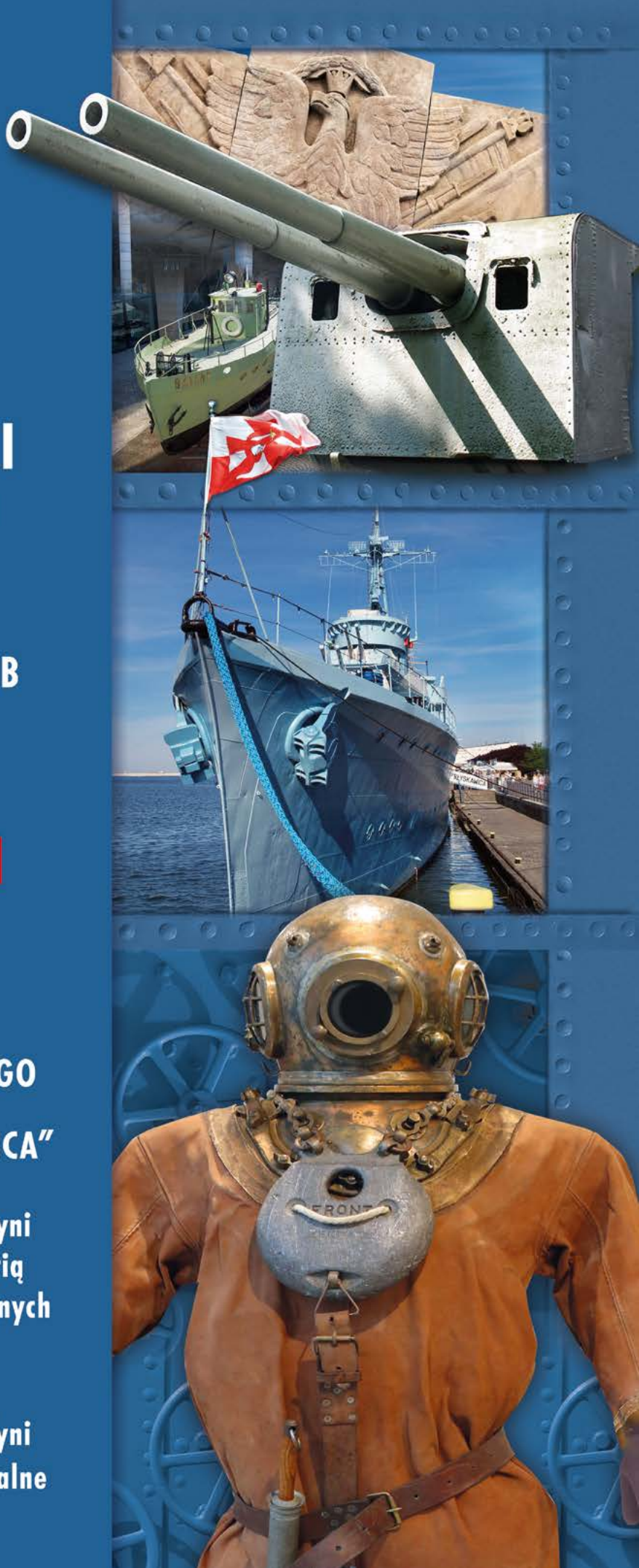

SALE WYSTAWOWE

EKSPOZYCJA PLENEROWA BRONI i UZBROJENIA MORSKIEGO

OKRĘT-MUZEUM ORP „BŁYSKAWICA"

Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni gromadzi zabytki związane z historią i tradycją morskiego rodzaju sił zbrojnych

Edukatorzy Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni proponują lekcje, zabawy i gry muzealne

MACIEJ NOWAK-KREYER

SZYBKIE WOJSKO

Obrona Narodowa stanowiła pionierską próbę tworzenia w Polsce nowoczesnej formacji terytorialnej.

Historia wojen wielokrotnie dowodziła, że oprócz wojska stałego, prowadzącego działania na szeroką skalę, dla obronności ważne są siły regionalne, z determinacją broniące ojczystego terytorium do czasu nadejścia sił głównych, odciążające je przez wykonywanie mniejszych zadań, a także zdolne nękać nieprzyjaciela w sposób partyzancki.

ŚCIERANIE KONCEPCJI

W drugiej połowie lat trzydziestych ubiegłego stulecia, w obliczu coraz wyraźniej rysującego się na Zachodzie zagrożenia wojennego, postanowiono zorganizować w Polsce takie właśnie siły milicyjne. Pierwsze projekty, autorstwa gen. dyw. Tadeusza Kutrzeby, zakładały utworzenie formacji wspomagającej ochronę linii granic, która zagospodarowywałaby nadkontyngent poborowych, zmniejszając też rozmiary bezrobocia. W 1936 roku nie było jeszcze jasności, czy nowa formacja ma być kolejną organizacją paramilitarną i pomocniczą, służącą głównie szkoleniu poborowych, dla których zabrakło etatów w wojsku stałym, czy też integralną częścią sił zbrojnych.

Wygrała ta druga koncepcja i 12 marca 1937 roku powołano do życia Obronę Narodową jako formację sił zbrojnych, obok wojska stałego i Korpusu Ochrony Pogranicza. Jednostki postanowiono tworzyć w rejonach kraju szczególnie ważnych ze względu na przemysł i gospodarkę. Na początku, przy granicy z Niemcami, zwłaszcza na Śląsku – jako pierwszą, błyskawicznie stawianą zaporę przed wrogim najazdem, aż do zjawienia się wojska stałego pierwszego rzutu, a także jako formację odciążającą.

W wojskowym żargonie do Obrony Narodowej przylgnęło miano „tanie wojsko". Wyraźnie widać, że organizowano ją z myślą o jak największych oszczędnościach. Można też odnieść wrażenie, że mimo wyraźnej decyzji Ministerstwa Spraw Wojskowych o tworzeniu elementu sił zbrojnych, na niższych szczeblach nie traktowano jej poważnie jako potencjalnej siły na przyszłym polu bitwy. Widać to szczególnie po wyposażaniu tej formacji w przestarzały ekwipunek i broń, czasem sprawiające wrażenie wygrzebanych z dna wojskowych magazynów. Do Obrony Narodowej przekazano na przykład stare francuskie karabiny Lebel i Berthier, zawodne erkaemy Chauchat, a także cekaemy Hotchkiss.

We wrześniu 1939 roku uzbrojenie w karabiny strzelające amunicją kalibru 8 mm przyniosło tragiczne następstwa. Po zużyciu nabojów nie można było uzupełnić braków ani od wojska stałego, ani od nieprzyjaciela, który używał amunicji mauserowskiej. Zapewne też z powodów oszczędnościowych zrezygnowano z koszarowania jednostek Obrony Narodowej, co akurat miało pozytywne skutki, bo mocniej związało żołnierzy z rejonem, którego mieli bronić.

PROBLEMY ORGANIZACYJNE

Tworząc Obronę Narodową jako element sił zbrojnych, ustalono, że największymi jednostkami tej formacji będą brygady i półbrygady podległe dowództwom okręgów korpusów, na których terenie je tworzono. W skład tych jednostek miały wchodzić m.in. bataliony piechoty, oddziały artylerii, łączności oraz cyklistów. Pod względem organizacyjnym jednostki ON przyporządkowano odpowiednim pułkom.

Ze względu na problemy organizacyjne, wynikające z braków kadry oficerskiej, szkolenie rozpoczęto dopiero późną jesienią 1937 roku. Pierwsze zbiórki odbywały się bez udziału publiczności, na zapraszanie przedstawicieli miejscowej społeczności zdecydowano się dopiero w styczniu 1938 roku. Wiosną 1939 roku, gdy zagrożenie wojenne ze strony Niemiec stało się realne, znacznie

→

ŻOŁNIERSKI DOBYTEK

Od początku były problemy z umundurowaniem, co sprawiało, że niektóre jednostki jako mundurów używały strojów regionalnych. Wyznaczony czas ich noszenia wielokrotnie przewyższał normy dla wojska stałego. O ile broń Obrony Narodowej przechowywano w pułkach, którym podlegała ona organizacyjnie, o tyle mundury żołnierze trzymali w domach. Nie różniły się one w zasadzie od tych, które nosiło wojsko stałe, jedynie miały naszyte na kołnierzach biało-czerwone romby. Żołnierze niższych stopni nie mieli też rogatywek garnizonowych, dlatego na uroczyste wystąpienia usztywniali miękkie rogatywki polowe i przyczepiali na nich z boku pleciony biało-czerwony sznurek zakończony chwościkiem. Taki sam sznurek na rogatywki garnizonowe zakładała kadra. Żołnierzom Obrony Narodowej wydawano stare oporządzenie, pamiętające często jeszcze I wojnę światową, nie dostawali oni też tornistrów i hełmów.

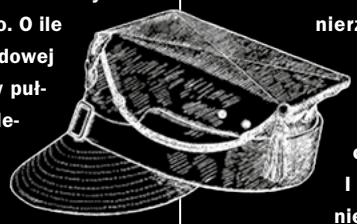

Wyjątek stanowiła śląska Obrona Narodowa – przed operacją zaolziańską wyposażono ją w hełmy, które zachowała do wojny obronnej 1939 roku, co można zobaczyć na fotografiach. ■

zintensyfikowano rozbudowę Obrony Narodowej. Doświadczenia poprzednich lat wykazały duży potencjał tych sił, zwłaszcza wynikający z ich samodzielności i szybkości reakcji. Przystąpiono więc do tworzenia nowych jednostek, opierając je na przeszkolonych już wcześniej żołnierzach ON. Wprowadzono też nowości organizacyjne: podział na dwa rodzaje dowództwa brygad i półbrygad, a także na pięć typów batalionów: I–IV oraz typ S. Bataliony typów I–III, różniące się pod względem organizacji i uzbrojenia, z zasady składały się na istniejące już jednostki ON, a w nowo utworzonych brygadach przewidywano uzbrojone w moździerze bataliony typu IV. Zaczęto też tworzyć bataliony S. Utworzono również specjalne stanowisko generała do spraw Obrony Narodowej i szefa Biura do spraw Jednostek Obrony Narodowej, które 31 maja 1939 roku objął gen. bryg. Kazimierz Sawicki.

Do oddziałów ON rekrutowano na podstawie zaciągu ochotniczego i poboru. Kadrę stanowili oficerowie przysposobienia wojskowego. Sporo stanowisk powierzano także oficerom rezerwy. Podoficerów funkcyjnych lub administracyjnych mianowano z tych zawodowych i nadterminowych kadry przysposobienia wojskowego. Przyjmowano także podoficerów rezerwy wszystkich rodzajów broni niemających przydziału mobilizacyjnego. Służbę w Obronie Narodowej przedstawiano jako zaszczyt i tak też była odbierana przez żołnierzy. Wiązała się także z pobieraniem przez nich konkretnych świadczeń pieniężnych – jak wojsko stałe – ale tylko za okres pełnienia służby czynnej, czyli ćwiczeń. Do tego dochodził ryczałt na konserwację umundurowania w wysokości 30 gr dziennie. Nie otrzymywali go oficerowie, którzy sami ponosili także koszt wykonania odznak i dystynkcji.

W pierwszej fazie organizacji Obrony Narodowej szkolenie żołnierzy trwało dziesięć tygodni. Prowadzono je w dwóch osobnych grupach: dla poborowych i rezerwistów, przy czym tych drugich wyznaczano do obsługi cięższej broni. Na naukę przeznaczono pięć dni w tygodniu, szósty pozostawiając do dyspozycji dowódcy kompanii. Całość szkolenia nadzorowali dowódcy tych pułków, którym organizacyjnie podlegały oddziały ON.

Ten system zmieniono w 1938 roku i podzielono szkolenie na doraźne (do szczebla plutonu, na zbiórkach oraz ćwiczeniach trwających do trzech dni) i okresowe (na szczeblu od kompanii wzwyż, raz w roku latem, trwające 14 dni). Łączny czas szkolenia żołnierzy ON miał nie przekraczać 23 dni. Pierwsze dwutygodniowe ćwiczenia okre-

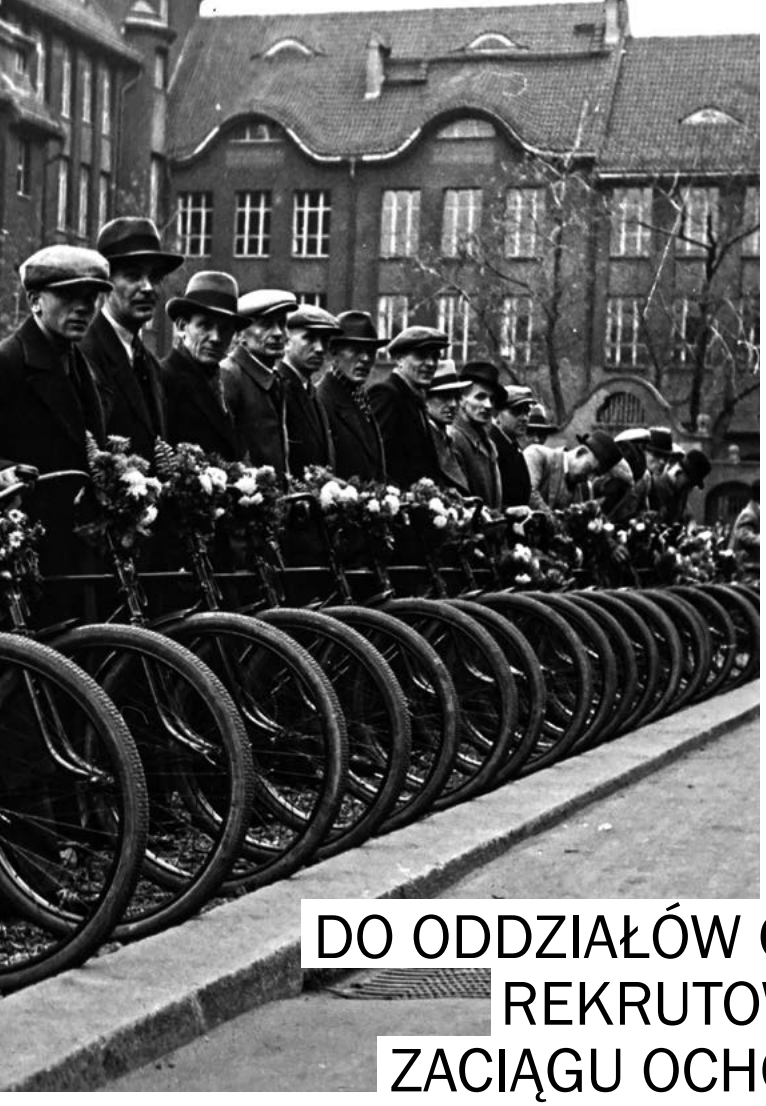

Rowery ofiarowane oddziałom Obrony Narodowej w Katowicach, 1938 rok.

Odradzano także przeznaczanie jej do działań opóźniających na otwartym terenie. Wyraźnie widać, że nie uznawano Obrony Narodowej za pełnowartościowe wojsko i starano się raczej chronić je przed zmasakrowaniem, niż wykorzystywać bojowo.

Najstarsze brygady Obrony Narodowej – na Górnym Śląsku, Śląsku Cieszyńskim i na Pomorzu – składały się z batalionów typu II i III. Stanowiły siłę równą stałej armii i tak zostały potraktowane w planach mobilizacyjnych. W 1938 roku zaś żołnierze z tych regionów wzięli udział w operacji zajmowania Zaolzia – wtedy przez dziesięć tygodni przebywali w służbie czynnej jako jednolita formacja. W rezultacie na bazie dziewięciu batalionów ON ze Śląska i Zagłębia utworzono w 1939 roku 55 Rezerwową Dywizję Piechoty. Jej żołnierze sprawdzili się na polach bitew we wrześniu 1939 roku, swój długi szlak bojowy kończąc pod Tomaszowem Lubelskim.

DO ODDZIAŁÓW OBRONY NARODOWEJ REKRUTOWANO NA PODSTAWIE ZACIĄGU OCHOTNICZEGO I POBORU

sowe odbyły się latem 1938 roku. Nowością na skalę europejską było wykorzystanie w nich doświadczeń zebranych zarówno przez jednostki wojska stałego, jak i organizacje paramilitarne.

O zbiórkach informowano, rozsyłając gońców oraz przez tak zwane skrzyknięcie: powiadomiony żołnierz przekazywał wiadomość wyznaczonej mu grupie kolegów. System okazał się niezwykle skuteczny, bo cała kompania zbierała się w gotowości bojowej już w ciągu dwóch, trzech godzin, w czasie wielokrotnie krótszym niż jest potrzebny na mobilizację wojska stałego.

WOJENNY EPILOG

Generalny inspektor sił zbrojnych w czerwcu 1939 roku wydał instrukcję zmieniającą zasady używania ON w trakcie działań wojennych. Zrezygnowano z wysyłania na pole walki brygad i półbrygad, rozdzielając poszczególne bataliony między jednostki wojska stałego, przy czym w roli normalnych batalionów piechoty miano używać tylko tych typu II i III. Postanowiono wykorzystywać tę formację wyłącznie w ścisłej współpracy z wojskiem stałym – do osłony rejonów mobilizacji i utrzymywania ważnych punktów terenowych, aż do nadejścia jednostek wojska stałego.

Obrona Narodowa potwierdziła swoją przydatność na polu walki, co może skłaniać do wniosku, że gdyby pozwolono na jej rozwój, zdecydowanie zwiększyłaby nasze możliwości obronne we wrześniu 1939 roku. Niestety rozproszenie batalionów tej formacji, do tego fizyczna niemożność wypełniania zadań bojowych wynikająca z braku sprzętu i amunicji skłaniały do raczej negatywnej oceny.

W latach powojennych byli wrześniowi dowódcy wyrażali gorzką opinię, że główny cel organizacji Obrony Narodowej stanowiło uspokajanie nastrojów społecznych oraz zagospodarowywanie bezrobotnych, kwestie militarne zaś były jedynie ku temu pretekstem, o drugorzędnym znaczeniu, co tragicznie zemściło się w 1939 roku.

Nie można jednak zaprzeczyć, że Obrona Narodowa stanowiła pionierską próbę utworzenia w Wojsku Polskim nowoczesnej obrony terytorialnej, a zdobyte dzięki niej doświadczenia, również te okupione krwią, pomogły w latach późniejszych – przy formowaniu podobnych jednostek, jawnych i konspiracyjnych. Trzeba też docenić to, że za jej sprawą przeszkolenie wojskowe przeszło wielu poborowych, którzy nie otrzymaliby go w wojsku stałym, co po roku 1939 stanowiło bazę ludzi potrzebną do odtworzenia sił zbrojnych i organizacji zbrojnego ruchu oporu. ■

ANNA DĄBROWSKA

Czerpanie ze źródeł

Zasady walki mimo upływu czasu pozostają takie same, zmieniają się tylko jej środki. Dlatego najmłodszy rodzaj sił zbrojnych korzysta z doświadczeń żołnierzy Armii Krajowej.

Niektóre rozwiązania stosowane w Armii Krajowej mogą stanowić drogowskaz dla wojsk obrony terytorialnej, bo obie formacje łączy bliskość sposobu działania", uważa dr Paweł Makowiec z Dowództwa WOT. Jak dodaje, największą nauką płynącą z tradycji AK jest konieczność zbudowania tego komponentu armii tak, aby składał się on z dwóch elementów: wojsk operacyjnych i obrony terytorialnej.

DZIAŁANIA NIEREGULARNE

Zgodnie z obecną doktryną w początkowej fazie konfliktu zbrojnego WOT będą współpracować z wojskami operacyjnymi. Muszą być również zdolne do przejścia do działań nieregularnych na terenie czasowo zajętym przez przeciwnika. Dlatego jednym z doświadczeń AK, które warto przenieść do WOT-u, jest opracowanie szczegółowej i precyzyjnej taktyki działań nieregularnych dostosowanej do możliwości tego rodzaju wojsk. „Dziś problematykę operacji niekonwencjonalnych, czyli organizacji i wsparcia ruchu oporu, udało się usystematyzować wyłącznie w wojskach specjalnych. Nie jest to jednak doktryna wojny partyzanckiej, lecz opisanie roli, jaką odgrywają te wojska w tego typu działaniach", podkreśla dr Makowiec.

Warto przy tym starać się przewidzieć przyszłe zdarzenia na polu walki, aby nie stało się tak, jak w 1939 roku. Wówczas przedwojenna koncepcja nie do końca się sprawdziła. „Zakładała ona, że istnieje front, a na jego tyłach nasze siły prowadzą dywersję. Nie przewidziano, że całe polskie terytorium będzie pod okupacją". Dlatego w konspiracji musiano od podstaw stworzyć nową koncepcję walki nieregularnej. Ten dokument, nazwany „Instrukcją walki powstańczej", opracował ppłk dypl. Karol Ziemski „Wachnowski", szef Wydziału Piechoty i Wyszkolenia Oddziału III Komendy Głównej AK. W powiązaniu z tą koncepcją powstała „Instrukcja bojowa", czyli regulamin walki pododdziałów lekkiej piechoty oraz wytyczne szczegółowe, np. dotyczące walki saperów w mieście.

Według koncepcji walki AK, głównym zadaniem żołnierzy było przygotowanie i przeprowadzenie powstania powszechnego, czyli działań nieregularnych, na masową skalę. Chodziło o to, żeby opanować całe terytorium kraju, następnie odtworzyć w nim siły zbrojne i po połączeniu z polskimi wojskami na Zachodzie doprowadzić do odzyskania niepodległości. Plany zmieniła nowa sytuacja strategiczna powstała po przystąpieniu ZSRR do wojny. „Wówczas koncepcję powstania powszechnego ostatecznie zastąpił plan »Burza«, czyli powstanie obszarowe", podaje historyk.

Jednocześnie z przygotowaniem do powstania AK prowadziła walkę bieżącą: partyzantkę i działania dywersyjne. Obejmowały one m.in. przerywanie sieci łączności i energetycznych, wykolejanie transportów wojskowych, wysadzanie mostów kolejowych, akcje likwidacyjne czy zdobywanie zaopatrzenia. Zajmowało się tym Kierownictwo Dywersji Kedyw KG AK, wykorzystując oddziały dyspozycyjne Kedywu oraz te dywersji bojowej poszczególnych okręgów AK. „Należy się zastanowić, czy nie rozważyć podobnego modelu organizacyjnego, czyli z jednej strony całe siły są przygotowane do działań nieregularnych na dużą skalę, a z drugiej – mamy wyspecjalizowane oddziały dywersji bojowej przeznaczone do walki niekonwencjonalnej", mówi dr Makowiec.

Wartością jednostek Kedywu AK byli ludzie. Teraz również należy wykorzystać potencjał osób niezwiązanych z zawodową służbą wojskową, a często mających unikatowe specjalności i predyspozycje niezbędne do prowadzenia działań nieregularnych. Niech inspiracją dla nas będą takie postaci, jak kpt. Ryszard Białous „Jerzy", dowódca Batalionu AK „Zośka", czy też kpt. Józef Rybicki „Andrzej", dowódca Kedywu Okręgu Warszawa AK.

Kolejne doświadczenie, które warto przenieść z Armii Krajowej, to podejście do szkolenia. Model ten musi być inny niż w wojskach operacyjnych. „Tak było w AK, w której regulamin walki i instrukcje bojowe były napisa-

ne nietypowo w stosunku do klasycznych uregulowań z okresu przedwojennego", podaje historyk. Dokument ten adresowano do ludzi, którzy nie mieli za sobą klasycznego szkolenia wojskowego, ale przeszli je w ograniczonym zakresie w warunkach konspiracyjnych. Dlatego został napisany prostszym językiem i odwoływał się bardziej do przykładów bojowych niż teorii.

„Także dziś model szkolenia WOT-u musi być inny niż wojsk operacyjnych. Szkolimy żołnierzy w systemie weekendowym i tylko nieznaczna część ćwiczeń odbywa się na poligonach. Jest ich też mniej niż w wypadku żołnierzy zawodowych", tłumaczy dr Makowiec. Dlatego pewne elementy nauki muszą być realizowane w formie kształcenia indywidualnego i e-learningu. „Musimy przygotować nowoczesne podręczniki, w których język i sposób przekazu będą dostosowane bardziej do cywilnej edukacji zawodowej niż wojskowego żargonu".

DOŚWIADCZENIE, KTÓRE WARTO PRZENIEŚĆ Z **ARMII KRAJOWEJ**, TO ODMIENNE NIŻ W PRZYPADKU WOJSK OPERACYJNYCH PODEJŚCIE DO SZKOLENIA

CENNE INSPIRACJE

Dowództwo WOT-u podkreśla rolę żołnierzy wojsk specjalnych w szkoleniu. „Tylko oni mają doświadczenie w działaniach nieregularnych", mówi dr Makowiec. Jego zdaniem jest to analogia do brytyjskiego programu Special Operations Executive (Kierownictwo Operacji Specjalnych), którego polska sekcja realizowała program cichociemnych. Żołnierze ci, zrzucani na tereny okupowanej Polski, byli doskonałą kadrą, która potrafiła przekazać wiedzę o prowadzeniu walki nieregularnej na kursach i w szkołach podchorążych w kraju. „Zasady walki pozostają takie same, zmieniają się tylko jej środki, dlatego mimo upływu ponad 70 lat AK może być dla nas cennym źródłem inspiracji. Warto odwołać się do nauki płynącej z polskiej historii", podsumowuje dr Makowiec. ■

POD ZNAKIEM **KOTWICY**

Od początku formowania wojsk obrony terytorialnej pewne było, że nasze tradycje będą nawiązywać do Armii Krajowej. Była to formacja ochotnicza o charakterze terytorialnym, podobnie jak dzisiejsze wojska OT", mówi gen. bryg. Wiesław Kukuła, dowódca WOT-u. Proces przejmowania tradycji AK przez WOT trwa od chwili powołania nowego rodzaju sił zbrojnych. W czerwcu 2017 roku ówczesny minister obrony Antoni Macierewicz na wniosek żołnierzy i kombatantów zdecydował, że Dowództwo WOT przejmie tradycje Komendy Głównej AK. Zarząd Główny Światowego Związku Żołnierzy AK zaakceptował wniosek terytorialsów o umieszczenie na tarczy orła WOT-u znaku Polski Walczącej, czyli kotwicy. W maju tego roku Sejm przyjął projekt ustawy zatwierdzający taki wzór. Terytorialsi utrzymują ścisłe relacje ze ŚZŻAK i na początku marca 2018 roku podpisali porozumienie o wzajemnej współpracy. Związek zobowiązał się do merytorycznego wsparcia szkolenia żołnierzy WOT-u w kwestiach kształcenia obywatelskiego, historycznego i patriotycznego. Akowcy mają też doradzać np. przy wyborze patronów dla jednostek, w miarę możliwości uczestniczyć w przysięgach wojskowych oraz uroczystościach patriotycznych organizowanych przez wojska OT. Z kolei Dowództwo WOT zaangażuje się we wsparcie logistyczne inicjatyw Związku. Terytorialsi będą uczestniczyć w organizowanych przez akowców uroczystościach. MKS ■

ARMIA

/ **LOTNICTWO**

ŁUKASZ ZALESIŃSKI, EWA KORSAK

NIEBO DLA TYGRYSÓW

W 2018 roku jedne z najtrudniejszych i najbardziej prestiżowych ćwiczeń lotniczych na świecie NATO Tiger Meet po raz pierwszy w historii odbyły się w Polsce.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Ponad 70 samolotów i śmigłowców z eskadr, które w logo mają wizerunek tygrysa, wzięło udział w kolejnej edycji ćwiczeń.

Huk silników. Powietrze za ogonami samolotów zaczyna drżeć, obraz zamazuje się za sprawą wyrzucanych przez silniki gazów, w końcu równy rząd zaczyna topnieć. Maszyny jedna po drugiej wytaczają się na pas startowy, nabierają szybkości, wznoszą się, by po chwili zniknąć za horyzontem. Niemieckie i hiszpańskie eurofightery, rafale z Francji, czeskie i węgierskie gripeny, F-16 z Polski, Holandii, Grecji, szwajcarskie hornety… Niebawem w ślad za nimi w powietrze wzbiją się bojowe śmigłowce z Francji, Włoch czy Wielkiej Brytanii. Łącznie ponad 70 różnego typu statków powietrznych. Do bazy na poznańskich Krzesinach lotnicy wrócą za kilka godzin. „I liczę na to, że będą lekko wkurzeni, bo z taką właśnie myślą przygotowywaliśmy poszczególne scenariusze. Chcemy zaskakiwać, komplikować życie, piętrzyć trudności", podkreśla mjr pil. Dominik „Zippity" Duda, szef sekcji zastosowania bojowego w 31 Bazie Lotnictwa Taktycznego. „Tu nie może być łatwo. Gdyby było, takie ćwiczenia nie miałyby sensu".

Z Poznania samoloty skierowały się na północ, gdzieś w rejon Morza Bałtyckiego i Mazur. Przez kilka najbliższych godzin będą

MICHAŁ ZIELIŃSKI (2)

MANEWRY Z PAZUREM

Historia NATO Tiger Meet sięga 1961 roku. Wówczas to 79 Dywizjon Myśliwski Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych w Europie zaprosił do wspólnych ćwiczeń eskadry z Francji i Wielkiej Brytanii. W ten sposób Amerykanie odpowiedzieli na apel francuskiego ministra obrony Pierre'a Messmera. Wnioskował on o zbliżenie wojsk z poszczególnych państw NATO. Jednostki, które zaczęły wspólnie trenować, miały w logo tygrysa. W tym samym roku powołały one NATO Tiger Association. Organizacja rozrastała się niemal z każdym rokiem. Regularnie też organizowała „tygrysie" manewry. Dziś skupia ponad 30 lotniczych jednostek. 24 z nich mają status pełnego członka, dziesięć to członkowie honorowi, jedna zaś jest w okresie próbnym.

Polskę w NATO Tiger Association reprezentuje 6 Eskadra Lotnicza z 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach. Jej piloci pełnoprawnymi członkami „tygrysiej" rodziny stali się w 2013 roku, ale o wiele wcześniej F-16 z biało-czerwoną szachownicą brały udział w NATO Tiger Meet we Francji. Dziś wśród lotników z tygrysem w logo mają niezwykle mocną pozycję. Dowodem na to jest choćby statuetka Best Flying Squadron, zdobyta podczas ćwiczeń. A także prawo organizacji tegorocznej imprezy. ■

wykonywać misję COMAO (Composite Air Operation). To zakrojona na szeroką skalę operacja, która ma poskromić zapędy hipotetycznego przeciwnika. Oczywiście „hipotetycznego" nie oznacza „wirtualnego" – oko w oko z siłami Niebieskich stają bowiem wydzieleni spośród ćwiczących Czerwoni. Jedna ze stron konfliktu, Niebiescy nie znają planów wroga, bo chodzi o zapewnienie maksimum realizmu.

Rozgrywający się w powietrzu spektakl śledzi zespół koordynacji szkolenia pod czujnym okiem air bossa. To on tutaj pociąga za sznurki i jest odpowiedzialny za stworzenie warunków odpowiadających realnym sytuacjom. Nie tylko stawia pilotom oraz ośrodkom dowodzenia i naprowadzania kolejne zadania, lecz także generuje problemy taktyczne. Cel to sprawdzenie umiejętności państw sojuszu w operacjach połączonych. „W sumie na czas NATO Tiger Meet zaplanowaliśmy osiem misji COMAO, a do każdej wymyśliliśmy kilka wariantów. W szczegóły nie mogę wchodzić. Powiem tylko, że operacje mają zarówno charakter defensywny, jak i ofensywny", wyjaśnia mjr pil. Duda. W pierwszym wypadku Niebiescy bronią swojego terytorium. W drugim muszą interweniować poza granicami swojego kraju – by wspomóc zaatakowanego sojusznika albo państwo spoza układu.

Warunkiem powodzenia operacji jest wywalczenie i utrzymanie przewagi w powietrzu. Piloci Niebieskich toczą więc podniebny bój z Czerwonymi: odstraszają przeciwnika, atakują go po to, by inne misje mogły zostać z powodzeniem przeprowadzone. Samoloty wykonują też zadania CAS (Close Air Support), polegające →

MICHAŁ ZIELIŃSKI

na bliskim wsparciu pola walki, czyli po prostu udzielają pomocy własnym siłom walczącym na lądzie, choćby przez uderzenia we wskazane cele. Obiekty namierzane są na przykład drogą satelitarną, przez zasobniki optyczno-celownicze, rozpoznawcze czy też radary. W operacji bierze również udział samolot dozoru radiolokacyjnego dalekiego zasięgu AWACS, który podczas NATO Tiger Meet stacjonuje na położonym nieopodal Krzesin cywilnym lotnisku Ławica.

WYTKNĄĆ PALCEM? NIC ZŁEGO…

Tymczasem dwa samoloty Niebieskich zostają zestrzelone. Piloci zdołali się katapultować, ale wylądowali na terytorium kontrolowanym przez przeciwnika. Jak im pomóc? To zadanie dla śmigłowców. Ich załogi, korzystając z osłony myśliwców, muszą pilotów namierzyć, odnaleźć i bezpiecznie przerzucić do macierzystej bazy. Na tym właśnie polega misja zwana „Personnel Recovery". Bywa, że śmigłowce przerzucają też we wskazany rejon wojska specjalne, bo NATO Tiger Meet to nie tylko ćwiczenia lotnicze. W przedsięwzięcie zaangażowani są żołnierze wojsk specjalnych, 4 i 8 Pułku Przeciwlotniczego czy 36 Dywizjonu Rakietowego Obrony Powietrznej. Przeciwlotnicy stanowią niezwykle ważny element tej układanki, ponieważ wraz z lotnictwem tworzą zintegrowany system obrony powietrznej. Bywa jednak, że w czasie treningu symulują wojska nieprzyjaciela. Na pilotów czekają na poligonach. Od tej reguły są jednak wyjątki. Jednostki przeciwlotnicze na przykład zostały rozstawione również poza nimi, chodzi przecież o zaskoczenie przeciwnika.

Bezcenne doświadczenie

Rozmowa z gen. bryg. pil. Jackiem Pszczołą, dowódcą 2 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego w Poznaniu

Teraz w Poznaniu jest centrum lotniczego świata?

Kiedy patrzy się na te wszystkie samoloty i śmigłowce zgromadzone w naszej bazie, to trudno zaprzeczyć, że tak właśnie jest. Przynajmniej, kiedy mówimy o lotnictwie wojskowym.

A jak to się stało, że zostaliście gospodarzami NATO Tiger Meet?

Prawo do zorganizowania NTM przyznało nam NATO Tiger Association, czyli stowarzyszenie, które zrzesza eskadry z tygrysem w logo, w tym 6 Eskadrę Lotniczą z Poznania. Dla nas było to ogromne wyróżnienie i kolejny dowód na to, że nasi piloci są cenieni przez sojuszników. Przygotowania trwały cztery lata, pochłonęły mnóstwo czasu i energii.

O co przede wszystkim należało zadbać?

Na lotnisku widać ustawione w rzędzie pięknie prezentujące się samoloty, które następnie jeden po drugim przez godzinę wzbijały się w powietrze. Żeby tak się stało, trzeba było jednak wprawić w ruch potężną machinę. Ogromną pracę każdego dnia wykonują nasi logistycy, bo tym samolotom należy dostarczyć paliwo, a lotnikom i obsłudze naziemnej przygotować miejsce do pracy. W zorganizowaniu tego

F-16 KRÓLUJE

W tegorocznej edycji NATO Tiger Meet wykorzystano 80 różnego typu maszyn.

Najwięcej było wielozadaniowych F-16. Na liście uczestników znalazły się aż 22 jastrzębie różnych typów, latające w barwach „tygrysich" eskadr z Polski, Holandii, Belgii oraz Grecji. W 31 Bazie Lotnictwa Taktycznego pojawiło się 13 eurofighterów typhoon z Włoch, Hiszpanii i Niemiec. Czesi i Węgrzy przysłali dziewięć gripenów. Było też pięć rafale'i z Francji, cztery niemieckie tornada, siedem myśliwców F/A-18 C/D Hornet ze Szwajcarii, a także trzy saaby 105 z Austrii. Na Krzesiny przyleciały też śmigłowce Gazelle z Francji, Mi-24 Hind z Czech, Puma i Merlin z Wielkiej Brytanii i dwa włoskie AB-212 ICO, a także natowski AWACS. W poznańskich ćwiczeniach wzięły również udział maszyny spoza NATO Tiger Association – cztery należące do Niemiec samoloty Learjet i A-4N Skyhawk. Obserwatorów do Poznania wysłały dwie eskadry bojowe z Francji oraz jedna z Turcji. ■

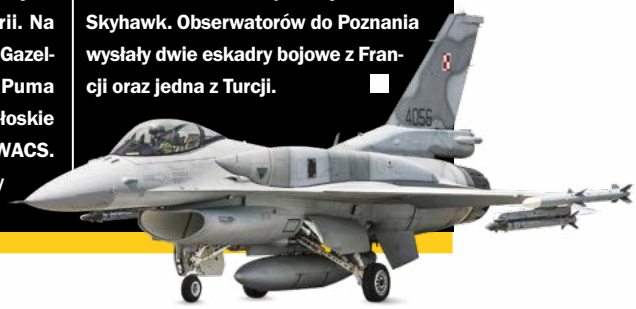

Piloci wracają do bazy po południu. Ale i tak na złapanie oddechu będą mieli zaledwie chwilę.

COMAO to najbardziej skomplikowany rodzaj misji powietrznych. „Planowanie każdej z nich trwa długo", przyznaje płk pil. Rafał Zadencki, dowódca 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach. W przededniu startu piloci spotykają się na cztery godziny, kolejnego dnia rano jeszcze na dwie. „Misją dowodzi tzw. mission commander. Za każdym razem pochodzi on z innego kraju. W sam proces planowania jest zaangażowany cały personel latający. Najpierw odbywa się ono z udziałem wszystkich uczestników, a potem w podgrupach odpowiedzialnych za wykonanie danego zadania", wyjaśnia płk pil. Zadencki. Po lądowaniu pilotów czeka tzw. debriefing, czyli szczegółowe omówienie tego, co działo się w powietrzu. „Tutaj wytykanie palcami błędów to nic złego", przyznaje mjr pil. Duda. →

Na lotnisku widać ustawione w rzędzie pięknie prezentujące się samoloty, które następnie jeden po drugim przez godzinę wzbijały się w powietrze

wszystkiego pomogli nam koledzy z innych baz. Równie wielka odpowiedzialność spoczywa na barkach specjalistów od łączności czy kontroli ruchu lotniczego.

Jeszcze intensywniej jest chyba już w powietrzu…

Zgadza się. Staramy się, by poniesione koszty były współmierne do szkoleniowego efektu. Stąd takie szerokie spektrum wykonywanych zadań. Na szczęście pogoda nam sprzyja. Praktycznie wszystkie zamierzenia udało się zrealizować.

A czy sytuacja międzynarodowa miała jakiś wpływ na to, że szkolenie odbywa się właśnie w Polsce?

Kiedy dostaliśmy propozycję zorganizowania NATO Tiger Meet, sytuacja międzynarodowa była jeszcze inna niż w tej chwili. Ale rzecz jasna, w scenariuszach ćwiczeń są brane pod uwagę hipotetyczne zagrożenia, które wynikają z obecnego układu sił oraz warunków geopolitycznych.

Jakie korzyści może odnieść Polska za sprawą takich ćwiczeń?

Zwrócę uwagę na jedną, niezwykle istotną. Do służby przyszło nowe pokolenie lotników. Dla nich to drugie, trzecie ćwiczenia. A doświadczenie zdobyte podczas misji wykonywanych z taką intensywnością, przez tak dużą liczbę różnych samolotów, jest po prostu bezcenne. ŁZ ■

„Chodzi o to, by je dostrzec i wyeliminować. Lepszej okazji nie będzie”.

I na Krzesinach chyba trudno byłoby znaleźć kogokolwiek, kto myślałby inaczej. Bo NATO Tiger Meet to obok organizowanych w Holandii Frisian Flag najważniejsze manewry lotnicze sojuszu północnoatlantyckiego w Europie. „Takich możliwości treningu jak przez te dwa tygodnie nie mamy u siebie przez cały okrągły rok”, podkreśla mjr pil. „Bleach” z 74 Skrzydła Myśliwskiego w Neuburgu. Piloci, jak mówi, rzadko mają okazję, by ćwiczyć w tak dużych ugrupowaniach.

OSTATNIE TAK DUŻE ĆWICZENIA LOTNICZE, NATO AIR MEET, ODBYWAŁY SIĘ U NAS W 2003 ROKU. FAKT, ŻE PO KILKUNASTU LATACH POWIERZONO NAM ORGANIZACJĘ RÓWNIE DUŻYCH MANEWRÓW, TO ZNAK, ŻE POLSKIE LOTNICTWO WRACA NA WŁAŚCIWY POZIOM

NATO Tiger Meet jest testem nie tylko dla nich. „W sumie niemieckie siły powietrzne mają tutaj ośmiu pilotów zasiadających za sterami eurofighterów i kilkunastu pilotów tornado. Do tego dochodzą jeszcze technicy, personel operacyjny, nawigatorzy. Łącznie około stu osób”, wylicza niemiecki lotnik. W podobnym tonie wypowiada się por. pil. Przemysław Skiba, pilot F-16 z 6 Eskadry Lotniczej, która stacjonuje w poznańskich Krzesinach. „Na co dzień trenujemy głównie w swoim gronie, czasem wspólnie z MiG-29 i Su-22. Tymczasem tutaj mamy dziesiątki różnych statków powietrznych, pilotów i… mnóstwo okazji do zadawania pytań. Staram się więc dowiedzieć od kolegów, w jaki sposób planują misje, jak wykonują poszczególne zadania, co można zrobić inaczej”, wylicza por. pil. Skiba. „To już mój trzeci Tiger Meet, a każdy utwierdza mnie w przekonaniu, że taką wymianę doświadczeń trudno czymkolwiek zastąpić”.

Tymczasem po formalnościach związanych z porannymi lotami COMAO piloci powoli przygotowują się do wieczornych misji „Shadow Wave”. „Są łatwiejsze, treningowe, bez zakrojonego na szeroką skalę współdziałania samolotów”, tłumaczy płk pil. Zadencki.

I tak przez dwa tygodnie. W tym czasie piloci łącznie spędzili w powietrzu około 1600 godzin.

KRĘGLE CZY RODEO?

Byłby to najzwyklejszy kombinezon lotniczy, gdyby nie tygrysie paski wyzierające z rozcięć na nogawkach i okolic kołnierza. Mjr pil. Carlos „Sola” Hidalogo, dowódca 142 Eskadry w hiszpańskim Alicante, nie ustawał w zapewnieniach, jak bardzo mu się w Polsce podoba. Wspólnie z kolegami postanowił to zaakcentować w niecodzienny sposób. Podczas ceremonii otwarcia NATO Tiger Meet Hiszpanie paradowali... przebrani za tygrysy. „Lubimy, kiedy jest wesoło i zabawnie. Staraliśmy się wnieść do uroczystości nasz południowy temperament”, zapewnia pilot. Nie tylko oni, i nie tylko południowy. W tygrysim kostiumie po lotnisku paradował też jeden z czeskich techników. Kombinezony z tego typu motywami przywieźli do Poznania również Niemcy.

Do tego dochodzą jeszcze malowania samolotów. Część maszyn, które każdego dnia wzbijały się w niebo z lotniska na Krzesinach, została przyozdobiona logo z drapieżnikami w różnych odsłonach. Bo NATO Tiger Meet to wyzwanie nie tylko czysto lotnicze, lecz także... towarzyskie. „Ćwiczenia stanowią doskonałą okazję do budowania więzi wykraczających poza współpracę wojskową”, podkreśla ppłk pil. Łukasz Piątek, dowódca Grupy Działań Lotniczych 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach. „Towarzyszą mu różnego rodzaju konkursy, zabawy, nietypowe zawody sportowe”, wylicza. W tym roku piloci spotkali się nad poznańskim jeziorem Malta. Tam rozegrali zawody kręglarskie, ścigali się smoczymi łodziami, ujeżdżali mechanicznego byka. Był też turniej „żywych piłkarzyków” – zawodnicy grali w piłkę na ograniczonym bandami boisku, trzymając się specjalnych prowadnic.

Dlaczego podobne aktywności są tak ważne? Bo kluczową sprawą w NATO jest zgranie. Doprowadzenie do sytuacji, w której poszczególne jednostki stanowią zwartą całość, sami zaś żołnierze wiedzą, na co stać sojuszników i mają poczucie, że mogą na nich liczyć. Nieformalne więzy dopełniają procesu zachodzącego podczas wspólnych ćwiczeń czy misji. „Dobrze jest znać chłopaków, do których możesz potem zadzwonić z pytaniem czy problemem, żeby zapytać o sugestie”, podkreśla mjr pil. „Bleach”.

Tymczasem NATO Tiger Meet ’18 ma też inny, istotny dla Polski, wymiar. „Ostatnie tak duże ćwiczenia lotnicze, NATO Air Meet, odbywały się u nas w 2003 roku. Fakt, że po kilkunastu latach powierzono nam organizację równie dużych manewrów, to znak, że polskie lotnictwo wraca na właściwy poziom”, przekonuje gen. dyw. pil. Jan Śliwka, zastępca dowódcy generalnego rodzajów sił zbrojnych. To jednak nie tylko kwestia prestiżu. „W świat poszedł sygnał, że Polska potrafi skutecznie współdziałać z sojusznikami. I że oni, gdyby źle się działo, są gotowi przyjść nam z pomocą”, podsumowuje gen. dyw. pil. Śliwka. ■

Współpraca MICHAŁ ZIELIŃSKI

MICHAŁ ZIELIŃSKI

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Jedna wielka rodzina

Niemal sześćdziesięcioletnia tradycja tych ćwiczeń przekłada się nie tylko na poziom wyszkolenia pilotów służących w tygrysich eskadrach. Dzięki wspólnym misjom lotnicy poznają swoje mocne i słabe strony oraz budują wzajemne zaufanie.

Międzynarodowe ćwiczenia przeznaczone dla pilotów z wizerunkiem tygrysa w herbie są co najmniej nietypowe. Skąd się wziął pomysł na NATO Tiger Meet i jaki cel mu przyświeca?

Maciej „Slab" Krakowian: Sama idea narodziła się w 1960 roku, kiedy dwie „tygrysie" eskadry, 74 z RAF-u i 79 z US Air Force, zdecydowały się zorganizować wspólne ćwiczenia. To pierwsze spotkanie przyniosło satysfakcjonujące efekty, więc postanowiono nadać mu cykliczny charakter. Co więcej, z roku na rok eskadr przybywało! W ten sposób powstało NATO Tiger Meet, którego głównym celem jest wymiana doświadczeń pomiędzy pilotami w trakcie misji, ale również w czasie nieformalnych spotkań. Właśnie dlatego NTM ma dwa oblicza – pierwsze z nich to ćwiczenia typowo wojskowe, drugie – tzw. social events.

Zacznijmy od oblicza wojskowego.

To specyficzne szkolenie. Skupiamy się na dwóch rodzajach misji. W COMAO [Composite Air Operation] przygotowujemy scenariusz zaplanowany na dwa tygodnie. W tym czasie każdego dnia działamy tak, jakby trwała wojna. Na przebieg kolejnych mają wpływ wszystkie dotychczasowe wydarzenia, dlatego scenariusz jest dynamiczny. Wszystko zależy od tego, czy poprzedniego dnia udało nam się osiągnąć założone cele, na przykład czy zniszczyliśmy dany punkt bądź zatrzymaliśmy siły wroga. Do zbierania tych informacji mamy specjalną komórkę – „white cell". Oprócz tego przez cały czas w szkoleniu biorą udział siły specjalne, żołnierze jednostek liniowych, przedstawiciele służb meteorologicznych i ruchu lotniczego.

Jeden z pilotów wspominał, że to nie są jedyne zmienne. Od konkretnej sytuacji zależy również, →

którzy piloci wcielają się w siły koalicji, a którzy odgrywają przeciwnika.

Zgadza się. Przed samym szkoleniem mieliśmy dwie konferencje planistyczne, na których ustaliliśmy cele szkoleniowe konkretnych państw. Staraliśmy się, żeby każda nacja wykonała przynajmniej trzy–cztery misje jako „red air", czyli siły przeciwnika. Ponadto każdy kraj określa przedstawicieli do danego projektu. Podczas misji COMAO jest szansa uzyskać stopień wyszkolenia tzw. mission commandera, czyli dowódcy całego ugrupowania, które brało udział w misji danego dnia. To także ma wpływ na to, po której stronie latamy.

Ten drugi rodzaj misji to „shadow wave". Na czym one polegają?

Odbywają się po południu i nie są bezpośrednio powiązane z misjami COMAO. Ich przebieg opiera się na ustaleniach między eskadrami. Mogą to być walki na bliskich odległościach, misje wsparcia lub stawiające na integrację sił lotnictwa typowo bojowego ze śmigłowcami. Chociaż te popołudniowe loty są trochę mniej wymagające i bierze w nich udział mniejsza liczba samolotów, znacząco podnoszą nasze umiejętności. Staramy się, żeby każdego dnia w czasie „shadow wave" różne nacje współpracowały ze sobą na różnych platformach.

No właśnie, mamy tutaj mnóstwo platform z różnych krajów. Jak to się przekłada na loty?

To jest właśnie fajne w tym szkoleniu. Tak naprawdę potrafimy ze sobą współpracować, ale o tej różnorodności musimy pamiętać już na etapie planowania misji. Każda platforma ma inne ograniczenia, na przykład eurofightery lubią latać bardzo wysoko i bardzo szybko. Próbujemy wykorzystać te atuty i zestawić ze sobą wszystkie samoloty w przestrzeni powietrznej. Na same loty ma to jednak niewielki wpływ, zwłaszcza gdy piloci symulują wroga.

Kładziemy nacisk na wydarzenia pogłębiające relacje między pilotami. Dzięki temu budujemy zaufanie

Czym polski NATO Tiger Meet wyróżnia się na tle pozostałych?

Szczycimy się tym, że to pierwszy NATO Tiger Meet w Europie Wschodniej, co już jest przełomowym wydarzeniem. Ponadto nasze scenariusze są dosyć wymagają-

WIZYTÓWKA

MJR CARLOS „SOLA" HIDALGO

jest dowódcą 142 Eskadry Hiszpańskich Sił Powietrznych.

Na czym polega specyfika tegorocznych NATO Tiger Meet?

Carlos „Sola" Hidalgo: Doskonałą formą treningu są nie tylko ćwiczenia w powietrzu, lecz także cały proces planistyczny. Dzięki temu rozszerzamy naszą współpracę międzynarodową. Do tego dochodzi mnóstwo przedsięwzięć towarzyskich, dzięki którym zacieśniamy więzi między sojusznikami.

Organizatorzy wspominali, że przygotowali bardzo złożone misje. Jak to wyglądało z perspektywy gości?

Cały proces planistyczny jest bardzo skomplikowany. Do tego trzeba pamiętać, że przestrzeń powietrzna wydzielona na ćwiczenia jest dość ograniczona. Uczestniczy w nich wiele platform z różnych krajów i trzeba to wszystko w jednym czasie oraz miejscu dograć. Jest to trudne, aczkolwiek wykonalne.

Dwa lata temu NATO Tiger Meet odbywał się Hiszpanii. Czym różniła się tamta edycja od polskiej?

ce. W poprzednich edycjach skupiano się przede wszystkim na działaniach „air to air", gdzie główną rolę odgrywają samoloty. U nas już od pierwszego dnia postawiliśmy na bardzo zintegrowane działania z udziałem JTAC-ów, sił specjalnych i obrony przeciwlotniczej. Niektóre eskadry były zdziwione, że mamy do dyspozycji tak dużo różnych systemów obrony lotniczej. Postawiliśmy też na loty połączone śmigłowców z samolotami. Wcześniej często organizowano osobny NTM dla śmigłowców i dla samolotów odrzutowych.

Jak takie misje wyglądają?

Przykładem może być ta, w której brałem udział. Śmigłowiec miał podjąć personel naziemny przed napływem sił przeciwnika, a naszym zadaniem była obrona tej maszyny. Z kolei w misjach odzyskiwania personelu zza linii wroga przede wszystkim trzeba wziąć pod uwagę to, że śmigłowce latają dużo wolniej, do tego bardzo nisko, więc jednocześnie ciężko je wykryć. Ma to szczególne znaczenie, jeżeli wróg także dysponuje śmigłowcami. Dla nas nie stanowią większego zagrożenia, ale mogą wpłynąć na przebieg misji.

Podobno część nieoficjalna tych manewrów ma nie mniejsze znaczenie niż same misje.

To odróżnia NATO Tiger Meet od innych szkoleń. Kładziemy ogromny nacisk na wszystkie wydarzenia pogłębiające relacje między pilotami. Dzięki temu budujemy wzajemne zaufanie. Jeżeli w przyszłości spotkamy się podczas działań wojennych, to nasze wspólne loty będą dużo bardziej intuicyjne.

Między pilotami biorącymi udział w NATO Tiger Meet istnieje rywalizacja czy jest raczej poczucie wspólnoty pod godłem tygrysa?

Na koniec NTM wręczane są nagrody w wielu konkurencjach, na przykład dla najlepiej latającej eskadry czy za najlepsze malowanie samolotu, więc duch rywalizacji na pewno jest obecny, ale to drugoplanowa kwestia. Przeważa współpraca i chęć celebrowania latania w ciągu dnia oraz wspólnego przebywania popołudniami. Widać, że tygrys łączy. Nie ma lotniska w Europie, gdzie nie zobaczymy znajomej twarzy człowieka, którego spotkaliśmy właśnie na NTM. Jakiś czas temu z powodu drobnej awarii samolotu byłem skazany na nieplanowany pobyt w Grecji. Każdego dnia piloci z greckiej eskadry, która pełniła dyżur bojowy w oddalonej o 300 km bazie, na zmianę przyjeżdżali do mnie, żebym nie był sam. Tygrys w potrzebie nigdy drugiego tygrysa nie zostawi i dotrzyma towarzystwa nawet, jeżeli będzie musiał jechać przez całą noc, a następnego dnia spędzi cały dzień w pracy. ■

WIZYTÓWKA

POR. MACIEJ „SLAB" KRAKOWIAN

jest dowódcą klucza lotniczego oraz oficerem projektowym NATO Tiger Meet.

Jeżeli chodzi o część ćwiczeniową, tzw. COMAO, to poziom jest bardzo podobny. Główne różnice wynikają z ograniczeń przestrzeni powietrznej. W Hiszpanii mogliśmy latać na większych wysokościach. Tutaj de facto jest mniej miejsca na wykonanie zadań, co jest znaczącym utrudnieniem.

Hiszpańscy piloci latają na eurofighterach. Jak sprawdzają się one w polskich warunkach?

Jeżeli mówimy o warunkach technicznych, to trzeba podkreślić, że nie sprawiają one żadnych problemów. Co do Polaków, to mieliśmy okazję współpracować m.in. z pilotem o pseudonimie „Rats" i dogadywaliśmy się znakomicie. Z oczywistych względów polscy piloci bardzo angażowali się w ćwiczenia, odpowiadali za wiele czynników, w tym za proces planowania, „white cell", prowadzenie lotów oraz obsługę wieży. Oni zatem praktycznie nie mieli wolnego czasu, więc byli trudno uchwytni. Cenimy sobie współpracę ze wszystkimi uczestnikami. Dzięki temu nie tylko poszerzamy znajomości, ale poznajemy także inne samoloty i ich możliwości.

Znajomości, które się nawiązuje podczas tych ćwiczeń, pozostają na dłużej?

Moja eskadra brała udział w NTM już wielokrotnie i faktycznie tak jest. Wszyscy dzielą ze sobą nie tylko czas wolny, ale przede wszystkim pasję. To jedna wielka tygrysia rodzina. Najważniejsze jest to, że ten bardzo ludzki aspekt ma bezpośredni wpływ na naszą współpracę i ułatwia wykonanie powierzonych zadań. ■

IREK DOROŻAŃSKI DLA JWK (2)

EWA KORSAK
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

DALEKO POZA STREFĄ KOMFORTU

Reguły gry na selekcji komandosów są jasne, a kto ich nie akceptuje – odpada. Nasze dziennikarki towarzyszyły kandydatom na specjalsów w ich zmaganiach z czasem i własnymi słabościami.

Dowódca Jednostki Wojskowej Komandosów zgodził się na to, byśmy obserwowały selekcję, ale pod warunkiem, że w artykule nie pojawią się informacje o tym, gdzie odbywa się sprawdzian, ile kilometrów mają poszczególne marsze i jak dokładnie wyglądają zadania stawiane przed przyszłymi komandosami.

NOWY JA

Jest niemal środek nocy, gdy po raz pierwszy widzimy kandydatów na żołnierzy zespołów bojowych JWK. Prawie trzydziestu mężczyzn na polanie gdzieś w polskich górach próbuje odpocząć po pierwszym dniu selekcji. Za nimi kilkudziesięciokilometrowy marsz. „Jeszcze kilkanaście godzin temu byli najedzeni i wyspani. Musimy szybko pozbawić ich tego poczucia komfortu”, mówi „Mixu”, kierownik selekcji JWK. Ciszę panującą na polanie przerywa tylko stanowczy głos instruktorów oraz dźwięk rozsuwanych śpiworów. Sen w czasie selekcji jest jedynie krótką drzemką. Wystarczy, że kandydat na chwilę zmruży oczy, gdy słyszy: „»Trójka«, do mnie”. Śpiwór rozsuwa się i „Trójka” (na selekcji wszyscy kandydaci są jedynie numerami) podchodzi do instruktora. Nie jest w stanie ukryć zmęczenia. To idealny moment, by sprawdzić, czy radzi sobie z logicznym myśleniem.

Każdy z kandydatów przed selekcją przygotowuje swoją „legendę”. To zmyślona tożsamość. Ważne są szczegóły, bo instruktorzy są bardzo dociekliwi. Sprawdzają je wielokrotnie. „Musimy ocenić, czy kandydat jest w stanie zatrzymać pewne informacje dla siebie”, wyjaśnia „Mixu”. Instruktor pyta „Trójkę” o to, jak się nazywa, gdzie mieszka, gdzie pracuje. Chłopak zapewnia, że jest kucharzem w krakowskiej restauracji serwującej sushi, podaje nawet konkretną ulicę. Jego kłopoty zaczynają się chwilę po tym wyznaniu. Sebastian, jeden z instruktorów, znajduje restaurację w internecie i przepytuje kandydata na specjalsa z karty dań. Okazuje się, że ten nie wie nic na ten temat, pogrąża się coraz bardziej, a jego „legenda” powoli się rozsypuje. Instruktor traci cierpliwość. „Jestem

„Selekcję prowadzą doświadczeni byli lub obecni operatorzy. Zawsze tak było, ale teraz ich rola jest znacznie większa. Będąc z kandydatami non stop podczas fazy grupowej, mogą dobrze się im przyjrzeć", mówi ppłk Michał Strzelecki, dowódca Jednostki Wojskowej Komandosów.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

PODCZAS MARSZU INSTRUKTORZY WYŁAPUJĄ KANDYDATÓW, KTÓRZY ODSTAJĄ OD RESZTY.

ALE NIE WYKLUCZAJĄ ICH Z SELEKCJI, DAJĄ IM SZANSĘ, BY ZROBILI TO SAMI

na stronie twojej restauracji, wymień mi nazwy zestawów lunchowych, które podajecie!", mówi Sebastian. „To musi być pomyłka, nasza restauracja nie ma jeszcze strony internetowej", chłopak w końcu sprytnie wybrnął z sytuacji. Może odejść, zdrzemnąć się, by po chwili znowu zostać o coś zapytany. Nikt się tu dziś nie wyśpi.

Przed rozmową z nimi przedstawiłyśmy się, instruktorzy zapewnili całą grupę, że jesteśmy dziennikarkami i że na czas rozmowy z nami można zrezygnować z nowej tożsamości. Ale kandydaci zachowywali czujność. Kiedy pytałyśmy o powód, dla którego są na selekcji, patrzyli na nas zdziwieni: „Ale ja nie jestem na selekcji. Jestem stolarzem i szukam tu dobrego drewna", mówił jeden z nich. „Nie jestem zdziwiony, że tak na was reagują. Równie dobrze możecie być kolejną podpuchą. Dobrze wiedzą, że na każdym kroku szukamy ich słabości", mówi Sebastian.

KUSZĄCA KOLACJA

Selekcji towarzyszy bezwzględna cisza. Kandydaci nie mogą ze sobą rozmawiać, pytanie można zadać tylko po podniesieniu ręki i uzyskaniu zgody instruktora. Robi to duże wrażenie na przykład w czasie odpoczynku. „To, że nie mogą ze sobą rozmawiać, pozbawia ich wsparcia grupy. Każdy problem łatwiej jest rozwiązać wspólnie, a my chcemy zobaczyć, jak dają sobie radę sami", wyjaśnia „Mixu".

Zadaniem, które wykonują bez słowa, jest na przykład kilkugodzinny marsz po górach. Kandydaci idą jeden za drugim, a kolumnę otwierają i zamykają instruktorzy. Mężczyźni cały czas mają ze sobą plecaki ważące ponad 20 kg. W środku są m.in. ubrania na zmianę, śpiwór, pojemnik na wodę, nóż oraz żywność, o którą muszą sami zadbać. Każdego dnia mogą zjeść porcje określone przez jednostkę: pół tabliczki gorzkiej czekolady, dwie konserwy mięsne po 200 g oraz paczkę chrupkiego pieczywa. Mogą mieć ze sobą dwie torebki herbaty ekspresowej oraz jedną saszetkę cukru. „Wykaz rzeczy obowiązkowych, dopuszczalnych i takich, których na selekcji mieć nie można,

→

znajduje się na naszej stronie internetowej", wyjaśnia „Mixu".

Czy warto na selekcję zabierać ręcznik albo kijki trekkingowe? „Indywidualna sprawa. Na pewno warto wcześniej iść w góry z tym wszystkim, co planuje się zabrać. Pochodzić z obciążeniem, sprawdzić, co się przydaje, a z czego można zrezygnować", podpowiadają instruktorzy.

Warto zwrócić uwagę na pewien szczegół. Podczas marszu instruktorzy wyłapują kandydatów, którzy odstają od reszty. Ale nie wykluczają ich z selekcji, dają im szansę, by zrobili to sami. Słabsi kandydaci muszą na przykład rozpakować swój plecak, a jego zawartość przekazują kolegom. Im więcej rzeczy zabierze się w góry, tym więcej osób otrzyma nadbagaż. To zabieg, który obciąża psychicznie kandydata. Świadomość tego, że twój śpiwór niesie kolega, jest nie do wytrzymania i w końcu pada wyczekiwane „rezygnuję".

Instruktorzy usuwają kandydatów z selekcji w wyjątkowych sytuacjach, na przykład gdy ktoś łamie regulamin albo zgubi swój numer. Ale pomagają podjąć decyzję tym, którzy są za mało zmotywowani. Czasami słychać łagodny głos: „Zrezygnuj. Wróć do ciepłego łóżka, zjedz dobrą kolację...". W czasie tej edycji selekcji nikt nie daje się skusić taką perspektywą.

Elementem, który pojawia się zawsze, choć nie zawsze wygląda tak samo, jest przeprawa wodna. Rzeka nie jest płytka, ale problem i tak leży zupełnie gdzie indziej. W zadaniu sprawdzana jest nie umiejętność pływania, ale pomysłowość, spryt i rozwaga. „Najważniejsze to nie zamoczyć plecaka", mówi „Mixu". Do dyspozycji mężczyźni mają jedynie linę, która łączy oba brzegi rzeki. Kiedy kandydat przechodzi z jednego brzegu na drugi, reszta stoi odwrócona do niego plecami. Niektórzy pomyśleli o tym, że warto zabezpieczyć plecak choćby zwyczajnym workiem na śmieci i całość przywiązać do liny albo przypiąć za pomocą karabińczyków czy szelek plecaka. Inni do wody wchodzili tak jak stali. „Na pewno wiesz, co robisz?", pyta jednego z takich kandydatów instruktor. Mimo tej sugestii mężczyzna nie zmienił planu. Zmoczył wszystko, co ze sobą zabrał. Nie miał szansy przetrwać chłodnej nocy. Odpadł jeszcze wieczorem. Tego samego dnia zrezygnował też chłopak, który podczas marszu doznał kontuzji. „Wrócę jesienią. Nie mam zamiaru się poddać, zwłaszcza że teraz już wiem, jak to wygląda", zapewniał.

KAŻDY Z KANDYDATÓW PRZED SELEKCJĄ PRZYGOTOWUJE SWOJĄ **LEGENDĘ**. TO ZMYŚLONA TOŻSAMOŚĆ. WAŻNE SĄ SZCZEGÓŁY, BO INSTRUKTORZY SĄ BARDZO DOCIEKLIWI

ZMIANA MIEJSC

Po przeprawie i kolejnym marszu kandydatów czekała noc na szczycie góry. Spali w zmoczonych śpiworach. „Nie przyszedłem tu, żeby się poddawać. Przygotowywałem się długo, wstawałem niemal w środku nocy, by chodzić po górach w bardziej ekstremalnych warunkach. Trenowałem na siłowni, biegałem", mówił, trzęsąc się z zimna, jeden z chętnych. Kandydaci na dodatek kilkanaście razy w nocy byli budzeni, wykonywali ćwiczenia fizyczne i szybkie marsze. Dotrwali do rana, a potem kolejny dzień i znowu... marsze. W nogach mieli już dużo ponad 100 km. To był idealny moment, by przebiec maraton: ponad 40 km w górach. Wyruszyli, choć nogi odmawiały im posłuszeństwa. Gdyby wiedzieli, co czeka ich za kilka godzin...

Nagle, zaledwie po kilku kilometrach, instruktorzy przerwali maraton. Zapakowali mężczyzn do samochodów ciężarowych i wywieźli w oddalone o 300 km miejsce na drugą część selekcji. „Kandydaci nie wiedzą, dokąd jadą, co będą robić i jak długo potrwa ich sprawdzian. W górach walczyli sami ze sobą, pokonywali niemoc fizyczną. Teraz przyszedł czas na sprawdzian ze współdziałania w grupie. Tu zobaczymy, kto nadaje się do zespołu bojowego", wyjaśnia st. chor. Adam Kraszewski, starszy podoficer dowództwa Jednostki Wojskowej Komandosów.

„Na selekcji sprawdzamy wszystkie cechy motoryczne: siłę, szybkość, wytrzymałość. Trzeba się przygotować we wszystkich tych aspektach. Ważne są też treningi w górach – tam nauczymy się, jak rozkładać siły na podejściach, jak dawkować wodę, jedzenie", podpowiada „Mixu", kierownik selekcji Jednostki Wojskowej Komandosów.

Po wielogodzinnej podróży czas na pierwsze zadanie: podzieleni na dwie grupy ruszają w teren. Muszą znaleźć punkty wyznaczone przez instruktorów. Do dyspozycji mają wyłącznie mapę i kompas. Każda z drużyn dostała też ważący kilkadziesiąt kilogramów balast. Mają do przejścia kilkanaście kilometrów. „Byli zdezorientowani, zmęczeni, ale o to chodziło. Chcieliśmy sprawdzić, czy nie puszczą im nerwy, czy nie będą na siebie krzyczeć, czy będą wiedzieli, jak rozłożyć zadania", mówi jeden z instruktorów.

PROFIL PSYCHOLOGICZNY

Kandydaci na specjalsów są sprawdzani z wydawałoby się różnych czynności, na przykład robienia okopów, nawigowania w terenie czy udzielania pomocy rannemu. Instruktorzy obserwują, jak układa się współpraca w grupie. Zmaganiom przygląda się też psycholożka. Jej opinia jest dla wyniku selekcji niezwykle ważna. „Obserwuję kandydatów właściwie od momentu, kiedy złożą dokumenty do jednostki", mówi. Podkreśla, że każdy z etapów selekcji, poczynając od egzaminu z WF-u aż po sprawdzian w górach, wymaga motywacji. „Młode pokolenie żyje w rzeczywistości »instant«. Wszystko mogą dość łatwo zdobyć. Tymczasem tu nie jest łatwo. Motywacja musi więc być bardzo silna, by przetrwać, pokonać przeciwności i sięgnąć po zwycięstwo", wyjaśnia.

Ponieważ profil psychologiczny komandosa JWK jest ściśle określony, kandydaci są poddawani testom. „Badam na przykład ich spostrzegawczość, ile czasu potrzebują na reakcję, czy są w stanie wyłapywać błędy, nieścisłości, czy są czujni. Również wtedy, gdy są zmęczeni, gdy głowa nie pracuje już na najwyższych obrotach", wyjaśnia psycholożka. Dodaje przy tym, że kandydaci w górach mogą próbować udawać, że są w stanie dopasować się do grupy, czasami nawet nieświadomie oszukiwać. „Pamiętajmy, że to tylko kilka dni, więc teoretycznie jest możliwe, by grać. Ale jest coś, co obnaża prawdę o kandydacie – olbrzymi wysiłek fizyczny. Dzięki temu widzimy, jak człowiek zachowuje się w sytuacji skrajnej", mówi psycholożka.

Kolejne zadania wyzwalały wiele emocji, na przykład gdy do miejsca oddalonego o kilka kilometrów trzeba było przenieść ważący wiele kilogramów zasobnik. Kandydaci musieli wymyślić, w jaki sposób – korzystając z dostępnych w lesie materiałów – to zrobić. Żaden z ich pomysłów nie był dobry. Nosze z drewnianych bali się rozpadły. Gdy nic się nie udaje, łatwo wpaść w irytację, zwłaszcza że nad głową stoi wściekły instruktor: „Nie macie na to zadanie całego dnia! Ruszcie się wreszcie, zacznijcie myśleć!". Potem zaczyna odliczać minuty, sekundy. Pod presją czasu kandydaci wreszcie tworzą odpowiednio mocną konstrukcję i ruszają. „Ile musieliście z tym iść?", pytamy. „Całą wieczność...", słyszymy w odpowiedzi.

Wszystkie zadania podczas drugiej części selekcji kandydaci wykonywali w grupie. Dzięki temu można było wyeliminować tych, którzy narzucają swoją wolę innym, nie potrafią zdobyć akceptacji otoczenia albo są zbyt agresywni. „Takich w Jednostce Wojskowej Komandosów nie chcemy", mówi „Kraszan". Jak być spokojnym, kiedy przez kilka dni niewiele się jadło, spało? Czy jest jakiś sposób, by psychicznie przygotować się do selekcji? Psycholożka uważa, że tak. „Trzeba jak najczęściej wychodzić poza swoją strefę komfortu. Robić to, na co nie ma się ochoty, nie nagradzać się po wykonanym wysiłku. Na siłowni można się przygotować fizycznie do sprawdzianu, ale jeśli ktoś chce popracować nad psychiką, musi zrobić coś więcej niż zestaw ćwiczeń, a potem ciepły prysznic i regeneracja", mówi.

Podczas selekcji z tej bezpiecznej strefy komfortu kandydaci wychodzili nieraz. Na pewno się spodziewali, że nogi będą odmawiać posłuszeństwa. Ale czy przypuszczali, że będą musieli wskazywać słabych kolegów? Nie wiedzieli, czy ich odpowiedź będzie miała jakiekolwiek konsekwencje. Trudno decydować o koledze, z którym tyle się już przeszło.

Z 29 mężczyzn selekcję przeszło 19, ośmiu odpadło w etapie górskim, niestety dwóch kandydatów musiało zrezygnować tuż przed końcem. Pierwszy z nich, mimo świetnego przygotowania fizycznego, nie potrafił odnaleźć się w grupie, współpracować z innymi. A drugi – „Dziewiątka" – budził podziw instruktorów swoim uporem. Wyszedł z pierwszego stopnia hipotermii, która dopadła go w górach, ale pokonały go rany nóg, nie był w stanie zrobić już ani jednego kroku. „Każdego szkoda. Ale takie są reguły gry. Ci, którzy odpadli, mówili, że wrócą jesienią. Może tak będzie", mówi „Mixu".

Wielu z tych, którzy ukończyli wiosenną edycję selekcji, już na jesieni rozpocznie kurs bazowy, przygotowujący do objęcia stanowiska w grupach specjalnych i grupach wsparcia zespołów bojowych JWK. Dotyczy to przede wszystkim żołnierzy już służących w Lublińcu na stanowiskach zabezpieczających, ale nie tylko ich. „Jesteśmy w trakcie wyznaczania na stanowiska w JWK kandydatów spoza naszej jednostki, którzy w kwietniu pozytywnie zakończyli proces selekcji do pododdziałów bojowych. Znaleźliśmy miejsca dla wszystkich, poza podchorążym, którego czeka jeszcze kilka semestrów nauki w Akademii Wojsk Lądowych. Jeżeli uda się ściągnąć ich do Lublińca w porę, staną przed szansą, by już za kilkanaście miesięcy stać się operatorami zespołów bojowych JWK", mówi ppłk Michał Strzelecki, dowódca jednostki z Lublińca. ■

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Chrzest bojowy

Misja rozpoznawcza nad Irakiem dobiegła końca. W czasie jej trwania polscy piloci bezpośrednio przyczynili się do pokonania tzw. Państwa Islamskiego. W zamian mogli sprawdzić swoje umiejętności na prawdziwym polu walki.

To inny świat. Nie mówię o tym, co się działo na ziemi, po prostu krajobraz z góry wygląda zupełnie inaczej. Dolot trwał około godziny, miałem więc trochę czasu na podziwianie widoków. Brakuje zieleni. Mózg musi się przestawić, że przez najbliższe trzy miesiące będzie widział wszystko w kolorze piasku", tak mjr Krzysztof Jędrzejczak, zastępca dowódcy PKW OIR Kuwejt podczas I i III zmiany, wspomina swój pierwszy lot nad Irakiem. Żartuje, że przez cały czas zastanawiał się, kto nasypał tu tyle piasku. Zapytany o emocje, stwierdza, że wszyscy piloci latają według procedur i wiedzą, jak mają się zachować w danej sytuacji, także w tych najtrudniejszych momentach. Poza tym, „przecież kierowca prowadzący samochód nie zastanawia się, co ma robić, gdy dojdzie do poważnego wypadku".

Piloci jastrzębi do zadań wykonywanych na Bliskim Wschodzie podchodzą z pewnym dystansem. Podkreślają, że tak naprawdę te loty nie różniły się od ćwiczeń w Europie, a podwieszane pod ich samolotami zasobniki w większości wypadków wykonują pracę zdalnie. Czasem piloci dodają, że z ich perspektywy nie ma znaczenia, czy robią zdjęcia w czasie szkolenia nad Polską, czy na Bliskim Wschodzie. Ich rolą jest obranie właściwego kursu i parametrów lotu.

Prawdą jest jednak, że na misjach rozpoznawczych w czasie operacji „Inherent Resolve" polscy lotnicy musieli się wykazać nie tylko umiejętnościami pilotażu na najwyższym poziomie, lecz także niecodzienną odpornością na stres. Podczas czterech zmian jastrzębie były w powietrzu ponad 3600 godzin, większość tego czasu nad terytorium kontrolo-

wanym przez tzw. Państwo Islamskie. Zdjęcia robione przez Polaków wykorzystywano do wskazywania celów nalotów oraz oceniania skutków uderzeń koalicji. Wyzwolenie Mosulu, walki o Tal Afar czy wreszcie żmudne przeczesywanie pogranicza iracko-syryjskiego – we wszystkich tych operacjach brali udział polscy piloci.

POLACY W MISJI NAD IRAKIEM UDOWODNILI SWOJĄ WARTOŚĆ, ZDOBYLI NOWE DOŚWIADCZENIA WE WSPÓŁPRACY MIĘDZYNARODOWEJ ORAZ SPRAWDZILI SWOJE ZDOLNOŚCI W WARUNKACH BOJOWYCH

BRAK MIEJSCA NA BŁĄD

Ppłk Łukasz Piątek, dowódca III zmiany PKW OIR, zaznacza, że misje bojowe i ćwiczebne planowane są w taki sam sposób. Dlatego służba w Kuwejcie nie odbiegała od codzienności znanej z Polski. Każdy poranek zaczynał się od odprawy oraz ustalenia procedur odzyskiwania personelu. Lotnicy dowiadywali się, jakie mają cele, z jakimi zagrożeniami przyjdzie im się zmierzyć i gdzie przebiega linia kontaktu z nieprzyjacielem. Całe ich dotychczasowe szkolenie symulowało walkę, dlatego nie był to dla nich szok. Każdy zdawał sobie jednak sprawę z tego, że teraz nie ma miejsca na błąd.

„Nad Irakiem sytuacja ma bardzo dynamiczny charakter. Trwają walki. Ścierają się wpływy różnych mocarstw. W razie nagłych wypadków nie możemy wylądować na dowolnym lotnisku, ponieważ nie na każdym potraktowano by nas jako sojuszników. Może niekoniecznie jako nieprzyjaciół, ale na pewno inaczej niż byśmy tego chcieli", ocenia podpułkownik. Ma na myśli tereny zajęte przez Al-Haszd asz-Szabi. Te szyickie bojówki wspierają rząd centralny w walce z fundamentalistami, ale tak naprawdę reprezentują interesy Iranu. „Podczas III zmiany teoretycznie wojna się skończyła, ale liczba naszych zadań wcale nie zmalała. Po prostu uległy one rozproszeniu", wyjaśnia ppłk Piątek. „Komórki bojowników tzw. Państwa Islamskiego nie koncentrowały się już wokół dużych miast, dlatego wykonywaliśmy zadania nad całym Irakiem. Z wyłączeniem terenów pozostających pod kontrolą kurdyjską".

Typowy lot polskich pilotów trwał od czterech do sześciu godzin i zazwyczaj wymagał podwójnego tankowania w powietrzu. Ze względu na skomplikowane procedury oraz wzmożony ruch wiązało się to z niecodziennymi sytuacjami. „W większości były tam bezzałogowce, ale razem z nami latali także Włosi i Niemcy, wykonujący podobne zadania rozpoznawcze, oraz Amerykanie, którzy prowadzili działania kinetyczne. Zdarzyło się, że musieliśmy odczepić B-52 od tankowca, ponieważ podlecieliśmy w chwili, w której on nie skończył jeszcze pobierać paliwa. Wpuścił nas, zatankowaliśmy te nasze 10 tys. funtów, i wtedy on znowu się podłączył", wspomina ppłk Piątek.

Piloci musieli wykazać się elastycznością także w chwilach, kiedy przydzielano im nowe zadania bezpośrednio nad polem walki. Dotychczasowe cele zastępowały te bardziej priorytetowe, a zasobniki należało ustawiać ręcznie. Na przebieg misji miały wpływ także nieprzewidziane wcześniej bombardowania. Dotyczyło to również samolotów spoza koalicji. Zdarzały się sytuacje, w których rosyjskie Su-22 przecinały przestrzeń powietrzną Iraku w drodze do Syrii. Nie zawsze trasy ich przelotów były oczywiste.

KTOŚ MOŻE ZOSTAĆ TRAFIONY

Polscy piloci mogli obserwować działania nie tylko w powietrzu, lecz także na ziemi. Był to niezwykły widok. Z dużej wysokości ciężko rozpoznać sytuację taktyczną, ale bez trudu można dostrzec salwy artylerii rakietowej oraz płonące miasta. Płk Norbert Chojnacki, dowódca II zmiany, tak wspomina najbardziej intensywne walki o Mosul: „W nocy nieraz widzieliśmy, jak strzelają ze wschodniego brzegu Tygrysu na zachód. Przez noktowizję widać było balistykę pocisków. W pewnym momencie człowiek zdaje sobie sprawę, że mogą one równie dobrze sięgnąć jego. To nie jest tylko kwestia wyobraźni. Ktoś strzela i ktoś może zostać trafiony".

Bojownicy tzw. Państwa Islamskiego nie dysponowali zaawansowaną bronią, ale w pewnych okolicznościach przenośne zestawy przeciwlotnicze także mogły spowodować realne zagrożenie. Lotnictwo koalicji musiało uważać na takie ostrzały, szczególnie w trakcie startów i lądowań sił stacjonujących w Iraku. Odnotowano także próby strącenia śmigłowców za pomocą granatników RPG. „Kiedy lecieliśmy w rejon konfliktu, nie byliśmy w stanie powiedzieć, jakim sprzętem dysponują bojownicy. Oni bardzo szybko się przemieszczali i mogli pojawić się w niespodziewanym miejscu. Każdy był narażony na ostrzał", przyznaje płk Chojnacki i podkreśla, że Polacy byli na to przygotowani. „Planowaliśmy trasy tak, by dotrzeć do rejonu operacji w najbardziej bezpieczny dla nas sposób. Gdy już wlatywaliśmy nad tereny kontrolowane przez tzw. Państwo Islamskie, obieraliśmy odpowiednią taktykę. Zachowywaliśmy także zdwojoną ostrożność". Każdy plan lotu zakładał scenariusz, w którym jeden z pilotów zostaje zestrzelony. Siły koalicyjne były przygotowane do podjęcia tego typu misji, a lotnicy zostali wyszkoleni z combat SERE.

→

MICHAŁ ZIELIŃSKI

LOT HARTUJE PILOTÓW PSYCHICZNIE. UDZIAŁ W REALNYM KONFLIKCIE DAJE MOŻLIWOŚĆ POZNANIA REAKCJI W OBLICZU PRAWDZIWEGO ZAGROŻENIA

Trudności w trakcie lotów nie wiązały się jedynie z zagrożeniem z ziemi. Kilka godzin spędzonych w ciasnej kabinie F-16 nie pozostaje bez wpływu na cały organizm. Daje się we znaki fizjologia. Do kabiny można ze sobą zabrać jedynie kanapki oraz niewielkie przekąski. Ze względu na temperaturę, czas lotu i słońce operujące przez owiewkę należy także zaopatrzyć się w duże ilości wody. Mjr Krzysztof Jędrzejczak podkreśla, że mimo tych niedogodności piloci przez cały czas musieli być maksymalnie skupieni na swoim zadaniu. „W naszej pracy nie ma miejsca na rutynę. Trzeba się przygotować do każdej misji, ale jednocześnie każdy też ma lepszy i gorszy dzień. Dlatego uznawaliśmy, że jeżeli ktoś nie czuje się na siłach, żeby wykonać lot, to zastępuje go kolega. Zawsze coś się może wydarzyć podczas samego zadania. Występują problemy z zatankowaniem, są turbulencje, pojawiają się emocje. Były takie sytuacje w powietrzu, że lekko podnosiło się ciśnienie".

NA INNYM FRONCIE

Doświadczenia zebrane na misji nad Irakiem przekładają się nie tylko na umiejętności naszych pilotów, lecz także na funkcjonowanie całych sił zbrojnych. Polacy udowodnili swoją wartość, zdobyli nowe doświadczenia we współpracy międzynarodowej oraz sprawdzili swoje zdolności w warunkach bojowych. Płk Chojnacki zaznacza, że NATO przez długi czas liczyło na udział polskich samolotów w prawdziwym konflikcie. Pierwsza próba mogła nastąpić w 2011 roku w czasie operacji prowadzonej nad Libią. Już wtedy byliśmy gotowi, ale chrzest bojowy przeszliśmy kilka lat później. „Lot hartuje pilotów psychicznie", zauważa pułkownik. „Udział w realnym konflikcie daje możliwość poznania reakcji w obliczu prawdziwego zagrożenia. Dzięki temu lepiej zgrywamy się w zespole i nabieramy pewności siebie".

Według mjr. Jędrzejczaka, każda godzina spędzona nad Irakiem przekłada się bezpośrednio na umiejętności pilota. „Na pewno wzrosło nasze morale. Daliśmy sobie radę w obcym terenie, w trakcie prawdziwych działań. Zmierzyliśmy się z ich dużą dynamiką oraz wielozadaniowością. Cały czas mieliśmy świadomość, że jesteśmy tylko małym kawałkiem całego tortu jedzonego na jednym przyjęciu".

Mjr Jędrzejczak dodaje, że za dobrym przygotowaniem polskich pilotów stoją międzynarodowe ćwiczenia, takie jak NATO Tiger Meet. Ich scenariusze są oparte na prawdziwych sytuacjach, dzięki czemu można się nie tylko oswoić z sojusznikami, lecz także przejąć od nich doświadczenie zdobyte w boju. Są jednak rzeczy, do których nie da się przygotować. Niezależnie od umiejętności i odporności psychicznej rozłąka z rodziną zawsze jest elementem misyjnej codzienności. „Dysponujemy zaawansowaną technologią i możemy nawet porozmawiać na wizji, ale małemu dziecku to nie wystarczy. Podczas I zmiany moja córka miała cztery lata i to właśnie ona najbardziej przeżyła mój wyjazd. Dopytywała się, dlaczego nie ma taty. Drugi był jeszcze trudniejszy, ponieważ już wiedziała, czego się spodziewać. Są to jedne z konsekwencji naszego zawodu. Nie jest łatwo, ale musimy sobie z tym poradzić", podkreśla pilot.

Wpływ, jaki ma na pilotów rozłąka z rodziną, podkreśla także ppłk Łukasz Piątek. Pilotaż można opanować niemal do perfekcji, nie da się jednak w podobny sposób podejść do relacji międzyludzkich. „Nasze rodziny także walczyły, tylko na innym froncie. To są cisi uczestnicy misji w Kuwejcie". ■

MBDA
MISSILE SYSTEMS
EXCELLENCE
AT YOUR SIDE

EMADS

na każdą pogodę
na każde zagrożenie
zawsze gotowy

EMADS to wysoce elastyczny system zaprojektowany w celu zwalczania gamy szybkoewoluujących zagrożeń z powietrza, zarówno dziś jak i w przyszłości. Sprawdzona interoperacyjność, zdolność do działania w każdych warunkach pogodowych i innowacyjna technologia suchego startu umożliwiają platformie EMADS dookólne rażenie celów powietrznych przy minimalnej sygnaturze wystrzału w podczerwieni i zapewnienie najwyższego poziomu ochrony sił.

PANOWANIE W POWIETRZU

OBRONA POWIETRZNA

PRZEWAGA NA MORZU

KONTROLA POLA WALKI

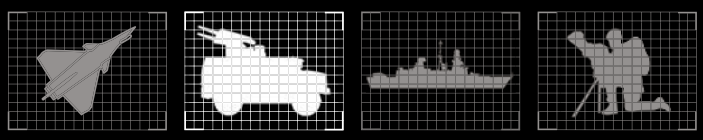

www.mbda-systems.com

BAZA SPECJALISTÓW

Z Piotrem Kaczmarkiem

o zwiększeniu Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie i zadaniach uczestników VIII zmiany rozmawia Bogusław Politowski.

Rozpoczęła się VIII zmiana „Resolute Support" w Afganistanie. Misji tak różnej od tej w składzie Międzynarodowych Sił Wsparcia Bezpieczeństwa…

Podczas wcześniejszych misji pod egidą ISAF polskie dowództwa i sztaby planowały, organizowały i przeprowadzały różnego rodzaju działania zbrojne przeciwko rebeliantom. Żołnierze brali udział w operacjach bojowych. „Resolute Support" ma zupełnie inny charakter – doradczo-szkoleniowy. Nie przewiduje się, że polscy żołnierze będą brali udział w akcjach bojowych. Inna jest też teraz struktura kontyngentu.

Podczas wizyty w Afganistanie minister Mariusz Błaszczak zapowiedział, że polski kontyngent w tym kraju zostanie zwiększony o ponad 50 żołnierzy.

Wyjechało tam teraz ponad 80 żołnierzy i pracowników więcej niż w poprzedniej zmianie. Obecnie kontyngent liczy 320 osób. Wcześniej w kontyngencie były dwa plutony ochrony, a teraz są trzy. Przemodelowany został też narodowy element wsparcia. Przybyło w nim kilka stanowisk logistycznych. W składzie VIII zmiany są również eksperci od EOD [explosive ordnance disposal], którzy mają doradzać afgańskim saperom, jak wykrywać i neutralizować improwizowane ładunki wybuchowe. Powstała także nowa komórka złożona z kilkunastu osób, które będą pełniły funkcje doradcze w afgańskiej szkole wojsk pancernych [Armour Branch School] w Kabulu. Zostaną jednak nie tylko zaangażowani w kształcenie miejscowych pancerniaków i żołnierzy wojsk zmechanizowanych, lecz także zajmą się doradztwem przy tworzeniu odpowiedniej infrastruktury uczelni i prowadzeniu w niej właściwej gospodarki finansowej i efektywnego wykorzystania budżetu.

Jak wygląda obecna struktura PKW?

Składa się m.in. z części narodowej, znajdującej się w Bagram. W jej skład wchodzą dowództwo i sztab, narodowy element wsparcia z ze-

społem zabezpieczenia medycznego, grupą łączności oraz sekcją żandarmerii. W tej bazie stacjonuje również pluton ochrony. Kolejną część PKW stanowią doradcy pracujący nad podniesieniem zdolności afgańskich armii i policji. I nie chodzi bynajmniej o oficerów czy podoficerów jak kiedyś szkolących afgańskie pododdziały, lecz wykwalifikowanych specjalistów, którzy doradzają afgańskim odpowiednikom na szczeblach ministerialnych i dowództw korpusów. Chodzi tu o szczebel strategiczny i operacyjny, m.in. w dowództwach 201 Korpusu Afgańskiej Armii Narodowej i Narodowych Sił Policji oraz w Regionalnym Centrum Operacyjnym. Jedna grupa naszych specjalistów stacjonuje w Kabulu, druga razem z dwoma plutonami ochrony – w Gamberi, gdzie zadania mandatowe wypełnia personel wydzielony do Dowództwa Doradczo-Szkoleniowego „Wschód", a trzecia, o której już mówiłem, w szkole pancernej w Kabulu.

WIZYTÓWKA

PŁK PIOTR KACZMAREK

Jest dowódcą VIII zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego „Resolute Support" w Afganistanie. Ukończył Wojskową Akademię Techniczną w Warszawie. Pierwsze stanowisko służbowe, dowódcy plutonu, objął w 4 Pułku Przeciwlotniczym w Czerwieńsku, gdzie dowodził również baterią dowodzenia. W dowództwie 11 Dywizji Kawalerii Pancernej był m.in. szefem Wydziału Personalnego G1. Od ponad roku jest szefem Oddziału Służby poza Granicami Państwa w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych. ■

Nie wspomniał Pan nic o Kandaharze...

Rozmieszczony jest tam zespół doradców wojsk specjalnych wraz z zabezpieczeniem, który tak naprawdę podlega mi tylko administracyjnie. Nawet certyfikacja przed wyjazdem na misję przebiegała według odrębnego planu. W ich wypadku, w razie konieczności dopuszcza się podczas misji prowadzenie działań bojowych. Ten zespół zajmuje się doradztwem i szkoleniem afgańskiej jednostki specjalnej policji ATF-444 [Afghan Territorial Force], która jest jednym z trzech pododdziałów szczebla strategiczno-operacyjnego, przeznaczonym do prowadzenia najtrudniejszych operacji specjalnych.

Trudno jest dowodzić ludźmi rozproszonymi w tylu miejscach?

Podczas pobytu na misji działamy nie tylko w narodowym, lecz także sojuszniczym łańcuchu dowodzenia. Nasi doradcy pod względem merytorycznym podlegają właśnie takim dowództwom. Zadaniem moim oraz sztabu kontyngentu jest zapewnienie bezpieczeństwa wszystkim uczestnikom misji. Odpowiadamy zatem za całą sferę logistyczną, w tym medyczną. Uczestnicy misji podlegają mi też pod względem dyscyplinarnym. Dowództwo PKW jest odpowiedzialne także za przemieszczenie żołnierzy i pracowników kontyngentu z kraju na teatr działań oraz z powrotem, po zakończeniu misji.

Czy po zmianie charakteru misji nasi żołnierze są bezpieczniejsi niż w czasie służby w ISAF?

Zagrożenie dla żołnierzy jest z pewnością mniejsze niż kiedyś, ponieważ nie bierzemy bezpośredniego udziału w operacjach bojowych. Proszę jednak pamiętać, że przebywamy w kraju, gdzie z siłami rządowymi Afganistanu walczą rebelianci, prawie każdego dnia wybuchają miny pułapki i dochodzi do ataków z użyciem broni. Staramy się naszym ludziom zapewnić maksymalne bezpieczeństwo, ale wielu z nich musi się przemieszczać, dlatego podczas przygotowań żołnierze plutonów ochrony tak dużą wagę przywiązywali do organizacji konwojów i ich ochrony w razie zagrożenia. Na szczęście większość z nas wykonuje zadania w bazach wojskowych lub w ich pobliżu. Rebelianci jednak nie przestali ich ostrzeliwać. Nadal, tak jak w sierpniu 2013 roku w polskiej bazie w Ghazni, zdarzają się próby wtargnięcia terrorystów na teren, gdzie stacjonują siły międzynarodowe. Dlatego polskich żołnierzy włączono w system ochrony baz. Nasze pododdziały są gotowe do pełnienia dyżurów sił natychmiastowego reagowania w wypadku zagrożenia.

Obserwując doniesienia z Afganistanu o ciągłych walkach i zamachach, można wysnuć wniosek, że międzynarodowe działania nie przynoszą należytych rezultatów. Czy tam widać efekty pracy naszych żołnierzy?

Te efekty trudno zmierzyć. Nasi żołnierze darzeni są wielkim zaufaniem przez międzynarodowych doradców. Słyszymy wiele słów uznania ze strony przedstawicieli dowództwa afgańskiej armii i sił bezpieczeństwa. Ich zdaniem to, co robimy, ma znaczący wpływ na poprawę bezpieczeństwa w ich kraju. Doceniają też sposób, w jaki prowadzimy szkolenia. Nasi specjaliści przekazują swoją wiedzę z zachowaniem wzajemnego poszanowania świadomi, że między nami i Afgańczykami istnieje pewna odmienność mentalna i kulturowa. Ważna jest też obecność sił międzynarodowych, również Polaków, w tym kraju. Dzięki niej władze Afganistanu czują się pewniej, mogą przeprowadzać niezbędne reformy nie tylko w armii czy policji, lecz także w całej sferze gospodarczej i społecznej. Dobrze też wypełniamy sojusznicze zobowiązania, które mają wpływ na poprawę bezpieczeństwa naszego kraju. ■

37

WOJCIECH KAWCZYŃSKI / OSNIP

POZNAJCIE Z NAMI SPECYFIKĘ SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻNYCH JEDNOSTKACH POLSKIEGO WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO OD KULIS" PRZECZYTACIE O MARYNARZACH, PILOTACH, LOGISTYKACH, ARTYLERZYSTACH, PRZECIWLOTNIKACH CZY CHEMIKACH.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Zielony kosmos

Zaczęło się od byłego oficera carskiej armii, który przekonał swoich przełożonych, że odradzająca się polska marynarka powinna mieć nurków. Dziś gdyński Ośrodek Szkolenia Nurków i Płetwonurków WP w niczym nie odstaje od placówek natowskich.

W odpowiedniej chwili wystarczy odkręcić zawór butli. Powietrze w mgnieniu oka wypełnia pomarańczowy kombinezon i dosłownie wyrzuca człowieka na powierzchnię. „To jest jak strzał", podkreśla bosman Mirosław Furtek z załogi ORP „Bielik". „Robiłem to już sześć, może siedem razy. Ale za każdym czuję przypływ adrenaliny i, co tu dużo mówić, jakąś niepewność", dodaje.

STRZAŁ Z DNA

Jestem właśnie na „spluwaczkach", czyli jednym z basenów gdyńskiego Ośrodka Szkolenia Nurków i Płetwonurków Wojska Polskiego. Przyszedłem, by podejrzeć, jak marynarze ćwiczą ewakuację z uszkodzonego okrętu podwodnego typu Kobben. „Dlaczego »spluwaczki«?", pytam por. mar. Dariusza Świerzba, wykładowcy instruktora Cyklu Szkolenia Ratowniczego, który prowadzi zajęcia. „Nazwę wymyślili sami marynarze. Zdarzało się, że ćwiczący wypływali na powierzchnię z ustami pełnymi wody. Wypluwali ją do otaczających basen rynienek", tłumaczy.

Ów basen to głęboki na 8 m cylinder, który został podzielony na dwie części. Mniejsza znajduje się u dołu, a woda początkowo wypełnia ją tylko do połowy. Kiedy jej poziom wzrośnie, a ciśnienie wewnątrz się wyrówna, ćwiczący otwierają właz znajdujący się ponad ich głowami, stają w nim i napełniają kombinezon. A potem następuje strzał... Siedzę u góry i widzę, jak marynarze, jeden po drugim, pojawiają się u szczytu okrągłej niecki. Już na powierzchni odkręcają zawór kolejnej butli i sprężone powietrze wypełnia złożoną dotąd tratwę ratunkową, którą mieli przy sobie. Wczołgują się do niej, po czym zaciągają suwak tak, by na zewnątrz wystawała im tylko twarz.

Podobne ćwiczenia widziałem już kilka lat temu. Tyle że ewakuacja odbywała się w znacznie spokojniejszym tempie. Marynarze opuszczali zalany przedział u dołu basenu, →

wypływali, trzymając się bojrepu, czyli specjalnej liny, i co pewien czas robili przystanek, by uniknąć choroby dekompresyjnej. Ale wówczas trenowała załoga ORP „Orzeł". „W naszej marynarce wojennej mamy dwa różne systemy samoratowania załóg okrętów podwodnych", wyjaśnia kmdr por. Robert Szymaniuk, komendant OSNiP-u w Gdyni. „W uproszczeniu można je nazwać: wschodnim i zachodnim. Na ORP »Orzeł«, czyli skonstruowanym w ZSRR okręcie typu Kilo, załogi mają do dyspozycji skafandry ratunkowe ISP 60 wraz z aparatami ucieczkowymi IDA-59M. Marynarze z kobbenów korzystają z inaczej zbudowanych i działających na odmiennych zasadach skafandrów MK".

Z myślą o ratowaniu załóg okrętów podwodnych, które osiadły na dnie, stworzono nowoczesne systemy, takie jak URF czy NSRS. Specjalistyczne pojazdy mogą przylgnąć do włazu uszkodzonej jednostki i zabrać na powierzchnię ludzi uwięzionych w jej wnętrzu. Podwodniacy jednak nie mogą zdać się wyłącznie na innych. „A co jeśli ekipy ratownicze będą miały problem z odnalezieniem zaginionego okrętu? Albo na przykład dojdzie do awarii podczas działań wojennych? W takich warunkach trudno myśleć o organizowaniu zakrojonej na szeroką skalę akcji poszukiwawczej. Proszę sobie przypomnieć historię naszego ORP »Orzeł«, który zaginął w 1940 roku", argumentuje kmdr por. Szymaniuk. Dlatego marynarze uczą się samodzielnych technik ewakuacji. Każdy z nich raz na kilka lat musi zaliczyć pięciodniowy kurs. Co roku przez jeden dzień musi odświeżać zdobyte podczas niego umiejętności. A wszystko pod okiem instruktorów z OSNiP-u. „Organizowanie kursów z samoratowania na morzu to jeden z filarów naszej działalności", podkreśla komendant ośrodka.

LOTNIK CHCE PRZETRWAĆ

To zawsze robi ogromne wrażenie. Stoję na krawędzi basenu, spoglądam w dół, a tam... przepaść. Dno z wyrysowanym logo OSNiP-u znajduje się dokładnie 10 m pod moimi stopami. A kiedy jeszcze człowiek wejdzie na czterometrową rampę, ma wrażenie, jakby za chwilę miał rzucić się z budynku. Ale skoczyć trzeba, bo to nieodłączny element szkolenia, które przechodzą zarówno marynarze z jednostek nawodnych, jak i piloci wraz z członkami załóg wojskowych samolotów i śmigłowców.

„Oferujemy im kursy dostosowane do specyfiki używanego sprzętu i wykonywanych zadań", podkreśla kmdr por. Szymaniuk. Gdy dojdzie do katastrofy okrętu, załoga ma przede wszystkim więcej czasu, by się przygotować do ewakuacji. W ośrodku marynarze wykonują skok z rampy, wspinają się na nią po sztormtrapie i specjalnej siatce, uczą się obchodzić z tratwami jedno- i wieloosobowymi. W wypadku lotników sprawa się komplikuje. Kiedy do wody wpada na przykład śmigłowiec, mają chwilę, by prawidłowo zareagować.

TRZY PYTANIA DO

Roberta Szymaniuka

Co wyróżnia Ośrodek Szkolenia Nurków i Płetwonurków WP spośród innych jednostek polskiej armii?

Jesteśmy jednostką szkolnictwa wojskowego i podlegamy Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej w Ustce. W tym roku świętujemy 50-lecie działalności. Nasze główne zadanie polega na prowadzeniu szkoleń ratowniczych i nurkowych na potrzeby całych sił zbrojnych. Nie ma w polskiej armii drugiej takiej placówki. Kursy z samoratowania na morzu organizujemy dla personelu latającego, czyli załóg wojskowych samolotów i śmigłowców, marynarzy z okrętów podwodnych oraz jednostek nawodnych. Od kilku lat uczestniczymy też w kursach SERE. Szkolenia nurkowe obejmują wszystkie trzy specjalności występujące w naszych siłach zbrojnych: nurka ratownictwa, minera oraz nurka inżynierii bojowej. Jesteśmy w stanie wyszkolić specjalistów od zera do najwyższego szczebla w wojskowej drabince kwalifikacji: starszego nurka. Organizujemy również elementy szkolenia, które prowadzi do zdobycia kwalifikacji nurka bojowego. Biorą w nich udział żołnierze wojsk specjalnych. Ale nurkowanie nie wiąże się wyłącznie

MARYNARZE UCZĄ SIĘ SAMODZIELNYCH TECHNIK EWAKUACJI. KAŻDY Z NICH RAZ NA KILKA LAT ZALICZA PIĘCIODNIOWY KURS. CO ROKU PRZEZ JEDEN DZIEŃ MUSI ODŚWIEŻAĆ ZDOBYTE PODCZAS NIEGO UMIEJĘTNOŚCI

I tego uczą się w symulatorze METS. Składa się on z ruchomego wysięgnika i kabiny, która wpada do wody i obraca się o 180 stopni. Jeszcze na powierzchni kursant musi nabrać powietrza, a już pod wodą uwalnia się z pasów bezpieczeństwa, wypycha drzwi kabiny, żeby wypłynąć na powierzchnię. Łatwo powiedzieć, ale gorzej jest, kiedy na skutek obrócenia kabiny szaleje błędnik, a woda wdziera się do nosa i oczu.

„Symulatora METS obawia się zdecydowana większość kursantów", przyznaje por. mar. Świerzb. „Żeby przygotować się do treningu, najpierw ćwiczą w małym symulatorze SWET". Zajmują miejsce w jednoosobowym siedzisku, z przodu i z tyłu staje instruktor, a ono jest obracane w płytkiej wodzie. „I tak jednak, jeśli ktoś nie zalicza kursu, to dzieje się to właśnie czwartego dnia, za sprawą METS-a. Albo drugiego, kiedy lotnicy uczą się korzystania z lotniczego aparatu ucieczkowego", wyjaśnia instruktor. Składa się on z butli i ustnika do oddychania. „Korzystając z niego, trzeba na przykład uważać, by przez nos nie wciągnąć wody. Nie jest to łatwe, zwłaszcza gdy znajdujemy się w pozycji do góry nogami", zaznacza por. mar. Świerzb.

Podczas kursu lotnicy uczą się też m.in. wyswobadzać ze spadochronu, który jest ciągnięty po wodzie. Sprawę nierzadko komplikują dodatkowo fale, zaciemnienie, deszcz czy wiatr, które za pomocą różnego rodzaju urządzeń muszą wytworzyć instruktorzy. „Przez pięciodniowy kurs lotnicy najczęściej przechodzą pomyślnie. Ci, którym się to nie udaje, wracają do nas niebawem. Zaliczenie szkolenia jest dla członków personelu latającego obowiązkowe", podkreśla instruktor. Podobnie jak podwodniacy, każdego roku muszą oni odświeżać nabyte umiejętności podczas jednodniowych zajęć. „Niewykluczone, że już wkrótce będą one obowiązkowe również dla żołnierzy oraz innego personelu, który korzysta z transportu powietrznego nad wodą", zapowiada kmdr por. Szymaniuk.

Gdyński ośrodek często organizuje szkolenia niejako na specjalne zamówienie. Tak było, kiedy procedury samoratowania na morzu przyswajali sobie funkcjonariusze Służby Ochrony Państwa. „Od pewnego czasu nasi instruktorzy prowadzą też jednodniowe szkolenie w ramach kursu SERE", wyjaśnia komendant OSNiP-u. Uczy on żołnierzy, jak przetrwać w skrajnie trudnych sytuacjach, choćby po katastrofie na terytorium wroga. →

z działaniami pod wodą. Mamy również kursy dla operatorów komór dekompresyjnych, sprzętu nurkowego czy kierowników nurkowań.

Jakie kwalifikacje muszą mieć żołnierze, którzy służą w OSNiP-ie?

Idealnie byłoby, gdybyśmy mogli oprzeć kadrę na żołnierzach posiadających najwyższe nurkowe kwalifikacje: starszego nurka, kierownika nurkowania, kierownika podwodnych działań minerskich, ratowniczych, inżynieryjnych, a do tego doświadczenie wyniesione z jednostek liniowych. Rzeczywistość jest, niestety, bardziej skomplikowana. Takich fachowców niezmiernie trudno zdobyć. Tym bardziej że potrzebujemy ich naprawdę wielu. Do jednego kursanta często trzeba oddelegować dwóch instruktorów. Niemniej wszyscy nasi żołnierze prowadzący zajęcia w Cyklu Szkoleniowym to wykwalifikowani nurkowie. Mają za sobą nie tylko sporo godzin spędzonych na wykonywaniu różnego typu zadań pod wodą, lecz także zmysł dydaktyczny.

Jak trafić w szeregi tej kadry?

Trzeba zgłosić akces, stanąć przed komisją morsko-lekarską, a potem konsekwentnie podnosić swoje kwalifikacje. Środowisko nurków w polskiej armii jest małe. Wielu żołnierzy zainteresowanych tego rodzaju służbą nie poprzestaje na pierwszym szczeblu w zawodowej drabince. Młodsi nurkowie często chcą zostać nurkami, wyspecjalizować się w konkretnej dziedzinie. Wracają więc do nas na kolejne kursy. My ich dobrze poznajemy, możemy obserwować i czasem proponujemy im przejście do OSNiP-u. Tyle że dowódcy ich jednostek zwykle są takiemu transferowi niechętni. Wyszkolenie dobrego nurka zajmuje sporo czasu, a potem taką osobę nie jest łatwo zastąpić. Dowódców trudno nawet przekonać argumentem, że ich żołnierz po przejściu do OSNiP-u będzie szkolił pokolenia przyszłych nurków. Prawdę mówiąc, ja to rozumiem... ■

Kmdr por. ROBERT SZYMANIUK jest komendantem Ośrodka Szkolenia Nurków i Płetwonurków Wojska Polskiego w Gdyni.

OŚRODEK SZKOLENIA NURKÓW I PŁETWONURKÓW WOJSKA POLSKIEGO

Rozpoczął działalność 1 czerwca 1968 roku. Historia nurkowania w Marynarce Wojennej RP sięga jednak początku lat dwudziestych ubiegłego wieku. Wówczas pierwsi marynarze ukończyli specjalistyczny kurs, który uprawniał ich do wykonywania zadań pod wodą. W 1924 roku została powołana Szkoła Nurków przy Kierownictwie Robót Nurkowych, dwa lata później zaś w polskich siłach morskich działał już Oddział Nurków Dowództwa Flotylli w Gdyni. W 1945 roku w Gdyni powstał Oddział Ratowniczy Marynarki Wojennej. To z niego blisko 20 lat później został wyłoniony Ośrodek Szkolenia Specjalistów Ratownictwa, który dał początek OSNiP WP. ■

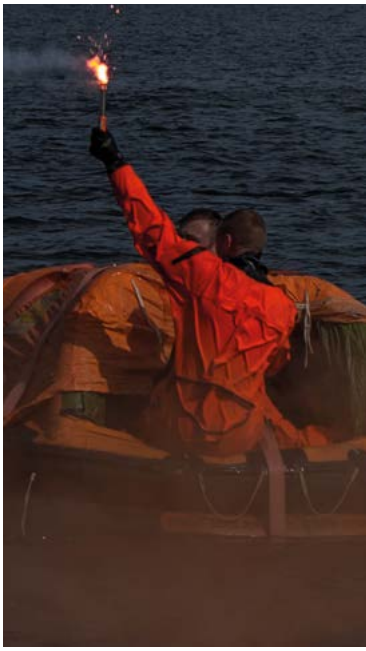

WOJCIECH KAWCZYŃSKI/OSNIP (2)

„My odpowiadamy za doskonalenie technik przetrwania na wodzie”, informuje kmdr por. Szymaniuk.

NIEOGRANICZONA PRZESTRZEŃ

To zaledwie część zadań Ośrodka. Drugi filar jego działalności stanowi szkolenie nurków na potrzeby całych sił zbrojnych. Edukacja rozpoczyna się od kursu na młodszego nurka. Ukończenie zajęć i pomyślne zdanie egzaminu przed zewnętrzną komisją pozwala wykonywać zadania do głębokości 20 m, a także otwiera drogę do podjęcia szkolenia na kolejny stopień w określonej specjalizacji. „Przygotowujemy do służby minera, nurka inżynierii oraz ratownictwa”, wylicza por. mar. Krzysztof Ossowski, szef sekcji nurków-minerów i inżynierii Cyklu Nurkowego. Specjaliści z dwóch pierwszych dziedzin mogą pracować na głębokości 50 m, trzeciej zaś – do 60 m. „Różnica w samej technice nurkowania polega też na tym, że osoby zajmujące się ratownictwem korzystają pod wodą ze sprzętu przewodowego, a nurkowie inżynierii i minerzy z autonomicznego. Choć oczywiście wszyscy kursanci muszą się nauczyć obu technik”, zastrzega por. mar. Ossowski. Do tego minerzy używają aparatów Crabe o obiegu półzamkniętym, które są zasilane nie powietrzem, lecz tzw. sztucznym czynnikiem oddechowym. Wydech w tym wypadku nie przechodzi do wody, lecz przez pojemnik z sodowanym wapnem. Tam następuje absorpcja dwutlenku węgla, oczyszczona mieszanina trafia zaś do worka oddechowego, z którego nurek może ją ponownie zaczerpnąć. Dzieje się to tak długo, aż zawartość tlenu w mieszaninie nie spadnie poniżej określonego poziomu. Wówczas do tzw. pętli oddechowej dozowana jest porcja czystego tlenu. Dzięki takiej konstrukcji aparatu nurkowie mogą pracować pod wodą dłużej, niż gdyby korzystali z aparatów o obiegach otwartych.

Ostatnim szczeblem kwalifikacji jest stopień starszego nurka: minera, ratownictwa oraz inżynierii. Ci, którzy go zdobędą, mogą działać na głębokości 80 m, a ratownicy nawet 90 m. Do tego dochodzą jeszcze kursy na operatorów komór czy kierowników nurkowań. A jak to się odbywa w praktyce?

„Kurs rozpoczyna się oczywiście od wykładów. Potem kursanci wchodzą do basenów”, wyjaśnia por. mar. Ossowski. W głównym uczą się samego pływania pod wodą, korzystania z różnego rodzaju sprzętu, przechodzenia z powietrza na mieszaniny oddechowe. W mniejszym specjaliści od inżynierii ćwiczą m.in. spawanie i cięcie pod wodą. Ważnym elementem są też procedury awaryjne. „Nurek musi wiedzieć, że kiedy pod wodą straci maskę, ma jeszcze drugą, zapasową. A jeśli i ona przepadnie, musi wezwać na pomoc kolegę z pary, który złapie go za rękę i razem powoli się wynurzą. Gdy dojdzie do awarii zaworu podającego powietrze, trzeba czym prędzej wypiąć wąż i korzystać z aparatu kolegi”, tłumaczy por. mar. Ossowski. „To tylko z pozoru wydaje się proste”.

Por. mar. Ossowski wie, co mówi, bo kiedyś zagrożenie poczuł na własnej skórze. „Podczas nurkowania zawór podawczy przestał działać i mój kombinezon szybko zaczął się wypełniać powietrzem. Groziło to niekontrolowanym wynurzeniem, a co za tym idzie – chorobą dekompresyjną. Na szczęście koleżanka z pa-

WYPOSAŻENIE

Do prowadzenia szkoleń instruktorzy Ośrodka Szkolenia Nurków i Płetwonurków wykorzystują pięć basenów. Główny, o głębokości 10 m, znajduje się na terenie Portu Wojennego w Gdyni. Przy basenie został zainstalowany symulator METS, czyli wysięgnik z kabiną śmigłowca, którą można zanurzyć w wodzie i obrócić. Urządzenie pozwala załogom statków powietrznych ćwiczyć techniki samoratowania na morzu po katastrofie lotniczej. Obok stoi wysoka na 4 m rampa do skoków, na którą kursanci mogą się wspiąć po specjalnej sieci lub sznurowej drabince. W samym basenie jest również opuszczana platforma do ćwiczeń nurkowych. Halę można zaciemnić, zasymulować deszcz, wiatr, odtworzyć odgłosy morskiej katastrofy. W niecce znajduje się także urządzenie wywołujące fale.

W budynku jest też basen o wymiarach 4x4 m i takiej głębokości. Na jego dno można opuścić metalowy stół. Na nim prowadzone są treningi z podwodnych prac inżynieryjnych.

W kompleksie nieopodal portu wojennego znajdują się tzw. spluwaczki, czyli baseny stworzone z myślą o ćwiczeniu ewakuacji z okrętów podwodnych. Główny to wysoka na 8 m tuba. Składa się ona z dwóch przedziałów. Dolny imituje wnętrze okrętu, który spoczywa na dnie. Górny – morską toń, do której marynarze muszą się przedostać. Drugi z basenów, głęboki na 5 m, został wyposażony w symulator wyrzutni torpedowych. To jedna z dróg ewakuacji z okrętu, ale również skrytego wyładunku, na przykład operatorów wojsk specjalnych. Trzeci basen, też o głębokości 5 m, służy do wstępnego nurkowania z wykorzystaniem różnego typu aparatów. OSNiP dysponuje dwoma komorami dekompresyjnymi. Ma wszystkie rodzaje sprzętu nurkowego wykorzystywanego w polskiej armii. ■

ry pomogła mi bezpiecznie wyjść na powierzchnię", wspomina. Bo nurkowanie na basenie stanowi zaledwie wstęp. „To jakieś 30% kursu. Potem wychodzi się w morze na tzw. zaliczenie głębokości", tłumaczy por. mar. Ossowski. Kursanci kilkakrotnie muszą osiągnąć głębokość graniczną dla stopnia, o który się ubiegają. Pierwszym nurkowaniom na morzu zwykle towarzyszą spore emocje. „Pamiętam to doskonale", przyznaje por. mar. Ossowski. „Schodziłem na kilkanaście metrów. U góry czuć było jeszcze falowanie, na dole już tylko prąd. Na tyle mocny, że kursanci, opuszczając pokład okrętu, musieli się trzymać liny. Rozejrzałem się, a wokół mnie był ogrom wody, wielka przestrzeń. I wszystko w takim specyficznie zielonkawym kolorze...".

ZNIKAJĄCA RĘKA

O tym, jak wiele zmieniło się w historii nurkowania przez ostatnie kilkadziesiąt lat, można się przekonać, idąc korytarzem, który prowadzi do gabinetu komendanta OSNiP. Na ścianach wiszą czarno-białe fotografie, przedstawiające nurków w gumowych kombinezonach i ogromnych miedzianych hełmach z szybkami. Z bliska kilku takim strojom można się przyjrzeć w ośrodkowej sali odpraw. Wśród eksponatów jest choćby rosyjski hełm nurkowy UWS-50. „A wie pan, że w naszym wojsku był on jeszcze używany pod koniec XX wieku? Sam miałem okazję w takim nurkować", mówi kmdr por. Szymaniuk. „Poruszanie się w takim sprzęcie pod dnie daje dużo radości. Nurek może się poczuć trochę jak kosmonauta w stanie nieważkości. Naprawdę niesamowite wrażenie. Kiedyś przyjechali do nas Amerykanie. UWS-50 interesował ich bardziej niż nowoczesny sprzęt, którym dysponowaliśmy. Każdy chciał w nim choćby raz zanurkować", wspomina komendant.

Podobnych wrażeń musieli doświadczać marynarze, którzy w 1921 roku ukończyli pierwszy zorganizowany w polskich siłach morskich kurs nurkowy. „Na pomysł wpadł kmdr por. Witold Żelechowski, który miał za sobą służbę w carskiej flocie i nurkowania w Morzu Czarnym. W 1919 roku zdołał przekonać jednego z twórców naszej marynarki, szefa Departamentu Spraw Morskich płk. Jerzego Świrskiego, że to naprawdę ważne", zaznacza kmdr por. Szymaniuk.

Dziś polscy nurkowie wojskowi cieszą się renomą nie tylko w kraju, ale też wśród zagranicznych sojuszników, sam OSNiP WP zaś nie odbiega poziomem od tego typu placówek działających w państwach NATO. „Istota nurkowania od dziesięcioleci pozostaje jednak niezmienna", podkreśla komendant ośrodka. „Aby się o tym przekonać, wystarczy spojrzeć w zapiski kmdr. Żelechowskiego. Nurtowały go dokładnie te same problemy, co nas", na przykład stan zdrowia kandydatów na nurków. Bo to służba niezwykle wymagająca. Żołnierze, którzy stawiają w niej pierwszej kroki, z reguły mają przed oczami obraz błękitnego morza, ciepłego i pełnego życia. Tymczasem w Bałtyku jest zimno, często ciemno, a wzbijający się z dna muł sprawia, że często nie widzi się nawet własnej ręki trzymającej latarkę. Mimo wszystko jednak warto to robić", podsumowuje kmdr por. Szymaniuk. ■

ŻYŁÓW

BRATERSTWO KRWI

Waldemar Żyłów

Dlaczego zostałem krwiodawcą?

MICHAŁ NIWICZ

Gen honorowego krwiodawstwa odziedziczyłem po ojcu, który jako funkcjonariusz służb mundurowych oddawał krew dla potrzebujących. Poszedłem w jego ślady, gdy skończyłem 18 lat. Byłem wówczas uczniem technikum samochodowego w Wejherowie. Później oddawałem krew jako podchorąży Akademii Marynarki Wojennej, oficer jednostek pływających, a teraz Komendy Portu Wojennego Gdynia. Honorowym krwiodawstwem zaraziłem moją żonę oraz syna, który już deklaruje, że dołączy do nas, gdy skończy 18 lat. Na tym nie koniec, bo dorasta nam jeszcze dwójka dzieci i mam nadzieję, że także one odziedziczyły ten gen.

Jestem prezesem założonego w grudniu 2015 roku Wojskowego Klubu Honorowych Dawców Krwi przy Komendzie Portu Wojennego w Gdyni. Zrzesza on ponad 120 członków z 3 Flotylli Okrętów oraz pozostałych jednostek na terenie gdyńskiego portu. Od początku 2016 roku do końca marca 2018 roku żołnierze oraz pracownicy resortu obrony narodowej oddali ponad 630 litrów krwi – tego cudownego i niezastąpionego leku.

W swojej działalności kieruję się słowami Jana Pawła II: „Człowiek jest wielki nie przez to, co posiada, lecz przez to, kim jest; nie przez to, co ma, lecz przez to, czym dzieli się z innymi”. Nigdy nie wiem, do kogo trafi moja krew, bo taka jest przecież idea honorowego krwiodawstwa. Od tej zasady tylko raz zrobiłem wyjątek, gdy mój przyjaciel z dzieciństwa pilnie potrzebował krwi po wypadku motocyklowym.

Chciałbym serdecznie podziękować osobom, bez których nasza działalność klubowa oraz osiągnięcie wysokich wyników w oddawaniu krwi byłyby niemożliwe. Szczególne podziękowania kieruję do dowódcy 3 Flotylli Okrętów, komendanta Portu Wojennego w Gdyni, kierownika Wojskowego Cenrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa w Gdańsku i jego załogi, a także do mojego zarządu i wszystkich krwiodawców. MSH ■

HONOROWY KRWIODAWCA

KMDR PPOR. WALDEMAR ŻYŁÓW

Służba: Komenda Portu Wojennego w Gdyni, 3 Flotylla Okrętów
– krwiodawca od 1994 roku
– oddał ponad 26 litrów krwi
– prezes Wojskowego Klubu HDK przy Komendzie Portu Wojennego w Gdyni

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Wsparcie dla kandydatów na studia

Studia w mundurze w tym roku będzie mogło rozpocząć aż 1315 maturzystów. Uczelnie wychodzą naprzeciw kandydatom, którzy chcą lepiej przygotować się do egzaminów wstępnych.

Osoby zainteresowane studiami kształcącymi przyszłych żołnierzy zawodowych mogą wybrać jedną z czterech wojskowych uczelni. Edukację mundurową oferują: Wojskowa Akademia Techniczna w Warszawie, Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni, Akademia Wojsk Lądowych we Wrocławiu oraz Wyższa Szkoła Oficerska Sił Powietrznych w Dęblinie.

Rekrutacja jest prowadzona na podstawie skali punktowej – odbywa się konkurs świadectw maturalnych, w którym liczą się m.in. wyniki z matematyki, fizyki, informatyki i języka angielskiego. Aby zostać studentem, trzeba też pomyślnie przejść badania lekarskie i psychologiczne, rozmowę kwalifikacyjną oraz z powodzeniem zaliczyć testy sprawnościowe. Te ostatnie, jak pokazuje praktyka, sprawiają kandydatom najwięcej trudności. Dlatego niektóre uczelnie, chcąc pomóc w przygotowaniach do egzaminów z WF-u, oferują autorskie rozwiązania.

KURS NA AWL

Akademia Wojsk Lądowych we Wrocławiu już od 2016 roku prowadzi w okresie wiosennym sprawnościowe kursy przygotowawcze. Adresowane są one nie tylko do kandydatów na studia, lecz także aplikujących na studium oficerskie. W 2018 roku ostatni kurs zaplanowano na czerwiec.

Choć te szkolenia są płatne (250 zł), uczelnia nie narzeka na brak zainteresowania. Wiele osób chce bowiem przekonać się w praktyce, jak wygląda egzamin sprawnościowy, będący jednym z kluczowych elementów rekrutacji do wrocławskiej Akademii. Zarówno zagadnienia teoretyczne, jak i ćwiczenia praktyczne na kursie, są opracowane tak, by w pełni przekazać kandydatom wiedzę i umiejętności przydatne na egzaminie ze sprawności fizycznej.

Szkolenie obejmuje teorię (metody treningowe, sposoby przygotowania się i rozgrzewki, aspekty regeneracji organizmu i odnowy biologicznej, rolę diety podczas wzmożonego wysiłku fizycznego), ale przede wszystkim zajęcia praktyczne na siłowni, w hali sportowej i na basenie. Wszystkie ćwiczenia są dopasowane do konkurencji obowiązujących na testach wstępnych. Kandydaci pod okiem instruktorów ćwiczą mięśnie ramion i obręczy barkowej oraz grzbietu, trenują wytrzymałość biegową, kształtują zwinność i szybkość. Na zakończenie kursu odbywa się próbny test z wychowania fizycznego. Do zaliczenia są cztery konkurencje: bieg na dystansie 1000 m (kobiety 800 m), podciąganie na drążku (kobiety zwis na drążku), bieg wahadłowy 10×10 m (kobiety bieg po kopercie) i pływanie na dystansie 50 m. Zalet z udziału w kursie jest sporo. Kandydaci mogą bowiem

DNI OTWARTE

Z myślą o potencjalnych kandydatach wszystkie uczelnie organizują też Dni Otwarte. Podczas ich trwania można się zapoznać z ofertą edukacyjną, zasadami rekrutacji, porozmawiać z wykładowcami i studentami, a także zwiedzić daną uczelnię, w tym obiekty dydaktyczne, laboratoria i pracownie. Dla zainteresowanych placówki organizują praktyczne warsztaty i zajęcia. ■

nie tylko przekonać się o tym, jak w praktyce wygląda egzamin sprawnościowy, lecz także dowiedzieć, w jaki sposób lepiej się do niego przygotować. Nie bez znaczenia są: poznanie zasad oceny egzaminu oraz możliwość treningu w obiektach sportowych uczelni – takich, jak: bieżnia, hala sportowa, basen – w których będą się odbywać lipcowe egzaminy.

APKA I PRÓBNY TEST NA WAT

Naprzeciw kandydatom wychodzi też Wojskowa Akademia Techniczna. Na organizowanych w marcu Dniach Otwartych zainteresowani mogli poznać zasady i system punktacji z egzaminu sprawności fizycznej, a także poddać się ocenie składu ciała za pomocą urządzenia X-SCAN PLUS 970 (BMI, masa mięśniowa sucha, woda komórkowa, woda pozakomórkowa, poziom tkanki tłuszczowej). Dla tych, którzy chcą praktycznie sprawdzić swoje możliwości, już w czerwcu Studium Wychowania Fizycznego warszawskiej Akademii planuje zorganizować próbny test sprawnościowy. Pod okiem instruktorów będzie można wykonać wszystkie konkurencje egzaminacyjne.

Oprócz tego WAT, jako pierwsza uczelnia w Polsce, uruchomiła też specjalną aplikację, dzięki której kandydaci na studia będą mogli lepiej przygotować się do egzaminów wstępnych. Narzędzie o nazwie „WAT rekrut" zawiera m.in. kalendarz postępowania rekrutacyjnego, który przypomni o najważniejszych datach, np. rejestracji kandydatów na studia w systemie internetowym, badań lekarskich i psychologicznych, egzaminów wstępnych oraz ogłoszenia wyników rekrutacji. Aplikacja pozwala też zadbać o kondycję. Osoba z niej korzystająca na początku musi przejść test sprawnościowy. Do wykonania jest kilka ćwiczeń: jak najwięcej pompek w jednej serii – bez przerw, następnie brzuszki – jak najwięcej skłonów w przód w ciągu 30 s, zwis na drążku – trzeba jak najdłużej utrzymać głowę nad drążkiem, bieg na 50 m w jak najkrótszym czasie, bieg na 1000 m (800 m dla kobiet) w jak najkrótszym czasie. Po wprowadzeniu do programu wyników z poszczególnych konkurencji program sam określi poziom zaawansowania kandydata i opracuje dla niego najlepszy plan treningowy.

Jednym z narzędzi aplikacji jest także symulator, który pozwala przeliczyć wyniki maturalne i wykonanych testów sprawnościowych oraz rozmowy kwalifikacyjnej na punkty rankingowe.

Aplikacja WAT rekrut jest bezpłatna, dostępna w sklepie Google Play i przeznaczona dla wszystkich użytkowników telefonów z systemem Android. ■

Metaloplastyka
Brązownictwo

Puławska 41, Warszawa

Od 50 lat wykonujemy wysokiej jakości wyroby upominkowe
dla służb mundurowych, instytucji państwowych, firm prywatnych i teatrów

Biała broń • pistolety • zbroje • świeczniki • ramki • statuetki • ryngrafy • szyldy reklamowe • litery i inne

Wykonujemy naprawy i renowacje
Oprawiamy obrazy • grafiki • dyplomy

Zamów!
tel.: 22 849 82 62, 601 300 891
metaloplastyka@jacekpytlak.pl
www.jacekpytlak.pl

W TYM MIESIĄCU NA HASŁO POLSKA ZBROJNA 5 % RABATU

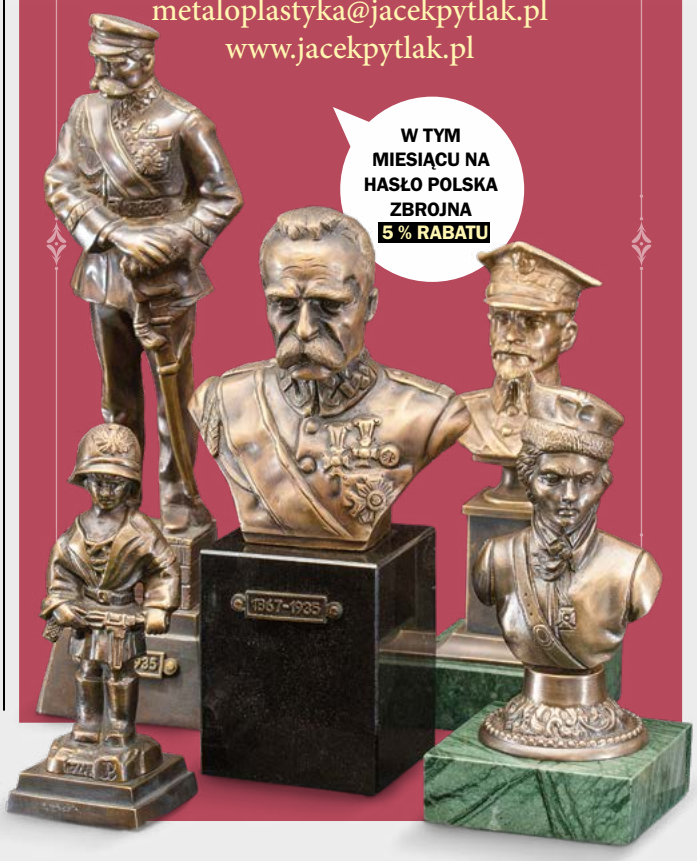

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

WOLNE ZA PRACĘ

Czy należy mi się wolne za pracę w trybie: służba 24 godziny z poniedziałku na wtorek, w środę normalny dzień pracy osiem godzin i służba 24 godziny z czwartku na piątek. Ogólny czas pracy wynosi 56 godzin. Jeśli tak, proszę o podstawę prawną.

➔ Na wstępie należy zwrócić uwagę na przepis art. 60 ust. 2 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych, który stanowi, że **zadania służbowe żołnierzy zawodowych powinny być ustalane przez przełożonych w sposób pozwalający na ich wykonywanie w ramach 40 godzin służby w tygodniu.** Wykonywanie zadań służbowych nie może przekraczać przeciętnie 48 godzin w tygodniu, w czteromiesięcznym okresie rozliczeniowym. W zamian za czas służby przekraczający 40 godzin służby w tygodniu żołnierzowi zawodowemu przysługuje czas wolny od służby w takim samym wymiarze.

Przepisy zatem stanowią, że żołnierza wyznaczonego do pełnienia służby dyżurnej lub dyżuru trwającego co najmniej 24 godziny zwalnia się z wykonywania innych zadań służbowych w dniu rozpoczęcia lub zakończenia tej służby lub dyżuru. Ponadto żołnierzowi, który pełnił służbę dyżurną lub dyżur w dniu ustawowo lub dodatkowo wolnym od służby, w wymiarze co najmniej ośmiu godzin, udziela się za ten dzień czasu wolnego w wymiarze jednego dnia.

Niemniej jednak, odnosząc się do zadanego pytania, wskazać należy, że nie ma podstaw, aby przyjąć, że żołnierzowi należy się dodatkowe wolne. Zgodnie bowiem z § 4 ust. 2 pkt 1 rozporządzenia ministra obrony narodowej z 26 czerwca 2008 roku w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych, do czasu służby żołnierza zalicza się również okres pełnienia służby dyżurnej lub dyżuru, ale trwającego nie więcej niż osiem godzin. Wobec tego, nieprawidłowe jest tu wyliczenie, że czas pracy żołnierza zawodowego wynosi 56 godzin w danym tygodniu. W tej sprawie czas pełnienia służby dyżurnej, która trwa 24 godziny, nie jest wliczany w wymiarze 24 godzin do czasu służby żołnierza zawodowego, a wyłącznie w wymiarze ośmiu godzin. Tym samym czas wykonywania służby przez żołnierza zawodowego nie przekroczył 40 godzin w danym tygodniu. Żołnierzowi zawodowemu zatem, który pełnił służbę dyżurną w wymiarze 24 godzin z poniedziałku na wtorek i z czwartku na piątek, w środę zaś wykonywał zadania służbowe przez osiem godzin, nie przysługuje dodatkowy czas wolny. ■

ANETA KLIMOWICZ
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

Podstawy prawne: art. 60 ust. 2 ustawy z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (tekst jednolity DzU z 2018 poz. 173 ze zm.); § 4 ust. 2 pkt 1 i § 9 ust. 1 i 2 rozporządzenia ministra obrony narodowej z 26 czerwca 2008 roku w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych (DzU 2008.122.786).

SKIEROWANIE DO KOMISJI LEKARSKIEJ

Jestem żołnierzem zawodowym, przebywam na zwolnieniu lekarskim 65 dni. Zwolnienie spowodowane jest moim wypadkiem w czasie służby. Reprezentuję jednostkę wojskową w biegach przełajowych. Zdobyłem wiele wyróżnień i nagród. Z jednostki wojskowej otrzymałem skierowanie do komisji lekarskiej, która ma zdecydować, czy nadal nadaję się do pełnienia służby. Uważam, że to dla mnie krzywdzące, ponieważ od wypadku minęły dopiero dwa miesiące. Miałem poważny uraz kolana, który będę leczył jeszcze przez trzy, cztery miesiące. Ustawa stanowi, że do takiej komisji kieruje się żołnierza, dopiero gdy nie wykonuje on zadań służbowych z powodu choroby trwającej nieprzerwanie przez trzy miesiące. Czy w takim razie skierowanie jest zasadne?

➔ **Skierowanie żołnierza w przedstawionym stanie faktycznym wydaje się przedwczesne.** Zgodnie z art. 5 ust. 3 pkt 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych do wojskowej komisji lekarskiej kieruje się z urzędu żołnierzy zawodowych, gdy nie wykonują oni zadań służbowych z powodu choroby trwającej nieprzerwanie przez trzy miesiące. Jednocześnie art. 5 ust. 3 pkt 2 powołanej ustawy stanowi, że do wojskowej komisji lekarskiej kieruje się z urzędu żołnierzy zawodowych, jeżeli w ich stanie zdrowia nastąpiło pogorszenie uniemożliwiające lub utrudniające wykonywanie zadań służbowych.

Powyższe nie oznacza jednak, że celowość skierowania żołnierza do komisji wynika z samego faktu, że w okresie zwolnienia lekarskiego leczy on skutki wypadku w służbie.

Przedstawiony w pytaniu stan faktyczny w sposób jednoznaczny potwierdza, że do urazu doszło w sytuacji, gdy żołnierz wykonywał czynności za zgodą i w słusznym interesie przełożonych oraz jednostki wojskowej, którą reprezentuje na zawodach. Urazy kolana należą do najbardziej skomplikowanych, a proces ich leczenia trwa średnio od sześciu do ośmiu miesięcy. Stąd też niezasadne staje się kierowanie żołnierza do komisji lekarskiej w celu orzeczenia o zdolności do służby przed zakończeniem leczenia podstawowego. W takiej sytuacji komisja lekarska odstąpiłaby od orzekania w sprawie z uwagi na niezakończony proces leczenia, a jednostka wojskowa zostałaby obciążona kosztami skierowania żołnierza na badania. W tego typu przypadkach żołnierz powinien zwrócić się do przełożonych w sposób pisemny o zawieszenie postępowania administracyjnego w sprawie skierowania do komisji lekarskiej do czasu zakończenia leczenia podstawowego. W razie odmowy zawieszenia takiego postępowania, gdy żołnierz otrzyma jednak wezwanie na badania z ramienia komisji lekarskiej – powinien on powtórzyć wniosek o zawieszenie postępowania orzeczniczego. W każdym z tych przypadków wymagalna jest forma pisemna oraz zadbanie przez żołnierza o otrzymanie potwierdzenia złożenia takiego wniosku. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU z 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.). – art. 5 ust. 1, ust. 3 pkt 1 i 2.

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej" mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

WOKANDA

ZWROT KOSZTÓW PRZEKWALIFIKOWANIA

W ciągu dwóch lat od daty zwolnienia z zawodowej służby wojskowej były żołnierz ma prawo do podnoszenia lub zmiany swoich kwalifikacji ze środków przeznaczonych na rekonwersję kadr.

Sprawa dotyczyła byłego żołnierza zawodowego, który złożył wniosek o pokrycie kosztów przekwalifikowania zawodowego. Wniosek ten został rozpatrzony negatywnie przez dyrektora Wojskowego Biura Emerytalnego w Krakowie. Wskazał on, że pomoc rekonwersyjna przysługuje żołnierzom w ciągu dwóch lat od daty zwolnienia z zawodowej służby wojskowej, a zainteresowany złożył wniosek po upływie tego terminu.

Sąd pierwszej instancji uznał, że do oceny zachowania terminu dwóch lat (określonego w art. 120 ust. 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych) istotna jest nie data złożenia wniosku, lecz ustalenie, czy uzyskanie tej pomocy miało miejsce w ciągu dwóch lat od zwolnienia żołnierza z zawodowej służby wojskowej – w przypadku skarżącego chodziło o rozpoczęcie i zakończenie kursu językowego.

Ze stanowiskiem prezentowanym przez WSA w Warszawie nie zgodził się dyrektor Departamentu Spraw Socjalnych. W skardze kasacyjnej podnosił, że interpretacja art. 120 ust. 1 ustawy przez sąd pierwszej instancji jest błędna, bowiem z przepisów nie wynika, aby dokumenty potwierdzające opłacenie kursu oraz zaświadczenie o ukończeniu kursu z wynikiem pozytywnym musiały być dołączone do wniosku o przyznanie pomocy rekonwersyj-

Uprawnienia do rocznej pensji

Sąd uznał, że niezdolność do służby i orzeczona wobec żołnierza grupa inwalidzka związane są ze schorzeniami, które należy łączyć z wypadkami w służbie.

Były żołnierz zawodowy został zwolniony ze służby z powodu uznania go za niezdolnego do jej pełnienia. Jednocześnie właściwa komisja lekarska uznała, że niezdolność żołnierza nie pozostaje w związku ze służbą czy też wypadkiem lub chorobą związaną ze szczególnymi właściwościami oraz warunkami służby wojskowej.

Zainteresowany – w wyniku odrębnego postępowania sądowego toczącego się przed właściwym sądem pracy i ubezpieczeń społecznych – poddał kontroli sądowej prawidłowość wydanych przez komisje wojskowe orzeczeń lekarskich.

W wyniku kontroli zapadł prawomocny wyrok sądu uznający, że niezdolność do służby i orzeczona wobec żołnierza grupa inwalidzka związane są ze schorzeniami, które należy łączyć z wypadkami w służbie. Organ emerytalny stwierdził, że skoro orzeczenia komisji lekarskich nadal pozostają w obrocie prawnym i nie zostały z niego wyeliminowane – to należy przyjąć, że i niezdolność do służby pozostaje bez związku ze służbą.

Ponadto organ zarzucił skarżącemu, że w sprawie doszło do przedawnienia roszczenia w zakresie ubiegania się żołnierza o prawo do przysługującego uposażenia (na podstawie art. 95 pkt 1 w zw. z art. 96 ust. 2 pkt 2 oraz w zw. z art. 8a ust. 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych), bo przepisy stanowią, że roszczenia takie przedawniają się z upływem trzech lat od dnia, w którym stały się wymagalne.

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie, do którego trafiła skarga zainteresowanego,

nej. Ponadto procedura dotycząca pokrywania kosztów przekwalifikowania zawodowego przez dyrektora Wojskowego Biura Emerytalnego w Krakowie jest kwestią odrębną od procedury przewidzianej dla złożenia wniosku. Organ podniósł, że niezależnie od powyższego, podstawowy problem prawny w sprawie sprowadza się do oceny kwestii, czy uprawnienie do pomocy rekonwersyjnej w zakresie doradztwa zawodowego, przekwalifikowania i pośrednictwa pracy wynika wprost z ustawy, a zatem, czy decyzja wydana przez dyrektora Wojskowego Biura Emerytalnego w Krakowie o udzieleniu tej pomocy w konkretnej dacie ma charakter deklaratoryjny, czy konstytutywny. Zwrócił uwagę, że stosownie do wyraźnego brzmienia art. 120 ust. 1 ustawy były żołnierz zawodowy przed upływem dwóch lat od dnia zwolnienia z zawodowej służby wojskowej może korzystać (nie zaś korzysta) z pomocy w zakresie doradztwa zawodowego, przekwalifikowania i pośrednictwa pracy, a nie tylko z przekwalifikowania, przy czym takiej pomocy mogą udzielić mu jedynie właściwe organy oraz wyłącznie pod warunkiem, że uprzednio złoży w tej sprawie wniosek. W ocenie organu zatem brak wniosku powoduje, że takie prawo wobec niego nie istnieje.

Naczelny Sąd Administracyjny po zapoznaniu się z argumentacją skarżącego uznał, że skarga nie zasługuje na uwzględnienie. NSA stwierdził, że art. 120 ust. 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (…) należy odczytywać nie w sposób zaprezentowany w skardze kasacyjnej, a mianowicie, że były żołnierz jest uprawniony w okresie dwóch lat do korzystania „z pomocy w zakresie przekwalifikowania", lecz że jest uprawniony „do korzystania z przekwalifikowania". Oznacza to, że ma w tym okresie prawo do podnoszenia lub zmiany swoich kwalifikacji ze środków przeznaczonych na rekonwersję kadr, a nie obowiązek złożenia w tym terminie wniosku o pokrycie kosztów przekwalifikowania. Dla skorzystania z tej formy pomocy rekonwersyjnej żadnego znaczenia nie ma data złożenia wniosku. Istotne jest jedynie, aby podany we wniosku termin przekwalifikowania zawodowego mieścił się w okresie dwóch lat od daty zwolnienia z zawodowej służby wojskowej. Inne rozumienie powyższych regulacji, zaprezentowane w skardze kasacyjnej, w istocie ograniczałoby możliwość skorzystania przez uprawnionego z jednego z trybów przewidzianych dla pokrycia kosztów przekwalifikowania.

21 lutego 2018 roku Naczelny Sąd Administracyjny w Warszawie (sprawa o sygn. akt. I OSK 2072/17) oddalił skargę kasacyjną dyrektora Departamentu Spraw Socjalnych. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

uznał ją za nieuzasadnioną i oddalił. W ocenie sądu wyrok sądu pracy nie mógł wywrzeć oczekiwanego przez żołnierza skutku w sferze należności przysługujących w związku ze zwolnieniem ze służby wojskowej. Ponadto sąd uznał, że roszczenie uległo przedawnieniu, ponieważ minęły trzy lata od dnia zwolnienia żołnierza ze służby.

Z takim stanowiskiem sądu nie zgodził się zainteresowany. W uzasadnieniu skargi kasacyjnej ponownie podkreślił, że w wyniku postępowania sądowego toczącego się przed właściwym sądem pracy doszło do zakwestionowania prawidłowości orzeczeń wojskowych komisji lekarskich, z którymi nie zgodzili się biegli sądowi – uważając, że inwalidztwo żołnierza powstało w wyniku doznanych w czasie służby wypadków.

Naczelny Sąd Administracyjny uznał racje byłego żołnierza. Przyznał, że skoro kontrola prawidłowości orzeczeń wojskowych komisji lekarskich w części dotyczącej związku inwalidztwa ze służbą może odbyć się jedynie w toku postępowania przed sądem pracy (na skutek wniesionego odwołania od decyzji rentowej wydanej przez wojskowe biuro emerytalne), to w sytuacji, gdy sąd pracy uzna, że inwalidztwo pozostaje w związku ze służbą, organ rentowy związany jest treścią prawomocnego wyroku. Ponadto NSA w Warszawie uznał, że w ustalonym stanie faktycznym nie mogło dojść do przedawnienia roszczenia, skoro termin do wypłaty świadczenia był uzależniony od wyniku postępowania toczącego się przed sądem pracy.

26 kwietnia 2018 roku Naczelny Sąd Administracyjny w Warszawie uchylił zaskarżony wyrok i zaskarżoną decyzję dyrektora DSS w Warszawie z 15 marca 2015 roku oraz poprzedzającą ją decyzję dyrektora Wojskowego Biura Emerytalnego w Warszawie z 25 maja 2009 roku. Wyrok jest prawomocny. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Źródło: http://orzeczenia.nsa.gov.pl

ARSENAŁ

/ **PRZEGLĄD**

ROBERT SENDEK

ATAK DECYBELI

Coraz więcej państw używa nieśmiercionośnej broni, takiej jak granaty hukowe, akustyczne działka czy bazooki.

Działko akustyczne HyperSpike produkowane przez amerykańską firmę USSI.

USSI

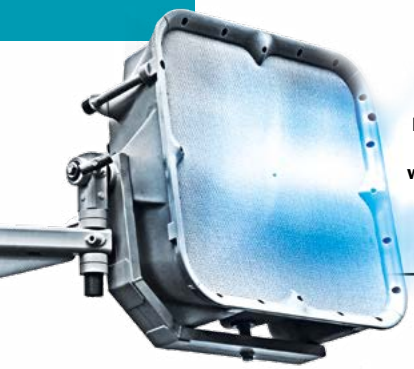

Broń akustyczną wykorzystuje się przede wszystkim w sytuacjach, w których fizyczne wyeliminowanie siły żywej nie jest konieczne.

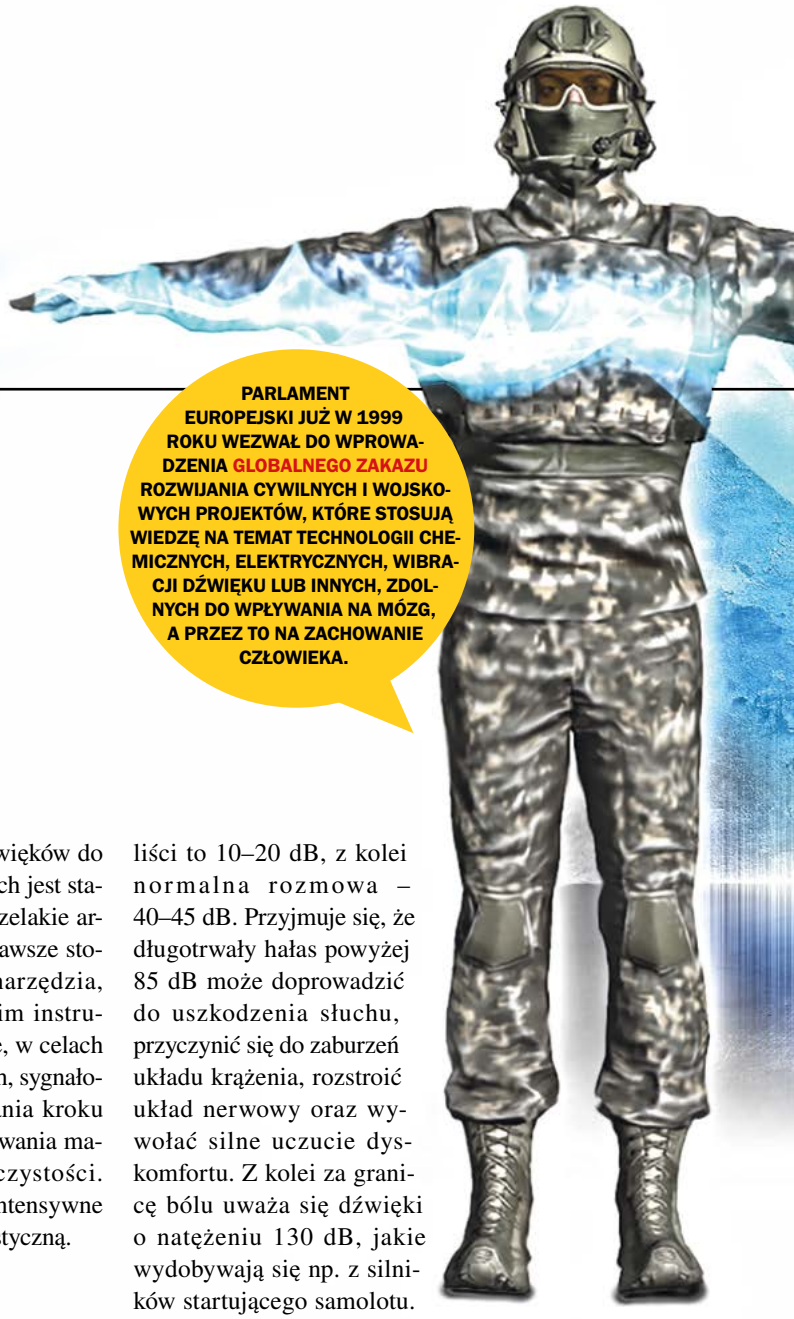

PARLAMENT EUROPEJSKI JUŻ W 1999 ROKU WEZWAŁ DO WPROWADZENIA GLOBALNEGO ZAKAZU ROZWIJANIA CYWILNYCH I WOJSKOWYCH PROJEKTÓW, KTÓRE STOSUJĄ WIEDZĘ NA TEMAT TECHNOLOGII CHEMICZNYCH, ELEKTRYCZNYCH, WIBRACJI DŹWIĘKU LUB INNYCH, ZDOLNYCH DO WPŁYWANIA NA MÓZG, A PRZEZ TO NA ZACHOWANIE CZŁOWIEKA.

Wykorzystanie dźwięków do celów wojskowych jest stare jak świat. Wszelakie armie niemal od zawsze stosowały różne narzędzia, przede wszystkim instrumenty muzyczne, w celach komunikacyjnych, sygnałowych i organizacyjnych; do równania kroku piechoty podczas marszu, sygnalizowania manewrów, w trakcie defilad, uroczystości. W ostatnich latach prowadzone są intensywne badania nad nowoczesną bronią akustyczną.

GROŹNE FALE

Podstawową zasadą działania broni akustycznej jest wykorzystywanie fal dźwiękowych w charakterze środka rażącego. Jako zjawisko fizyczne fale można opisać za pomocą dwóch najważniejszych parametrów: częstotliwości i natężenia. Do określenia częstotliwości dźwięku używana jest jednostka zwana hercem (Hz), z kolei natężenie dźwięku, nazywane popularnie także głośnością, wyraża się w decybelach (dB). Najogólniej rzecz biorąc, człowiek słyszy dźwięki w zakresie częstotliwości od 16 Hz do 20 tys. Hz (20 kHz). Tych o wartości poniżej dolnej granicy (infradźwięki) oraz powyżej (ultradźwięki) już nie zauważa, niemniej jednak mogą one negatywnie oddziaływać na organizm.

Jeśli chodzi o natężenie (głośność), człowiek może usłyszeć dźwięki bardzo ciche, np. szum liści to 10–20 dB, z kolei normalna rozmowa – 40–45 dB. Przyjmuje się, że długotrwały hałas powyżej 85 dB może doprowadzić do uszkodzenia słuchu, przyczynić się do zaburzeń układu krążenia, rozstroić układ nerwowy oraz wywołać silne uczucie dyskomfortu. Z kolei za granicę bólu uważa się dźwięki o natężeniu 130 dB, jakie wydobywają się np. z silników startującego samolotu. Błona bębenkowa w uszach może pęknąć przy 150–160 dB, a dźwięk o natężeniu 200 dB jest w stanie zmienić ciśnienie tętnicze krwi, co może prowadzić do np. zatorów, a w konsekwencji do śmierci człowieka.

To są wielkości graniczne, ale nawet dźwięki o niższym natężeniu, lecz działające dłużej, mogą niekorzystnie wpływać na zdrowie człowieka. Łatwo się o tym mogą przekonać np. właściciele starych, brzęczących lodówek. Długotrwałe buczenie sprzętu kuchennego (o natężeniu np. 40 dB, a więc zbliżone do głośności rozmowy), a nawet tak niegroźny, wydawałoby się, dźwięk, jak szum wody, trwający jednak przez dłuższy czas, są w stanie wywołać w człowieku rozdrażnienie, rozkojarzenie czy bezsenność. Im wyższe natężenie dźwięku, tym mniej czasu potrzeba do ujawnienia się ta-

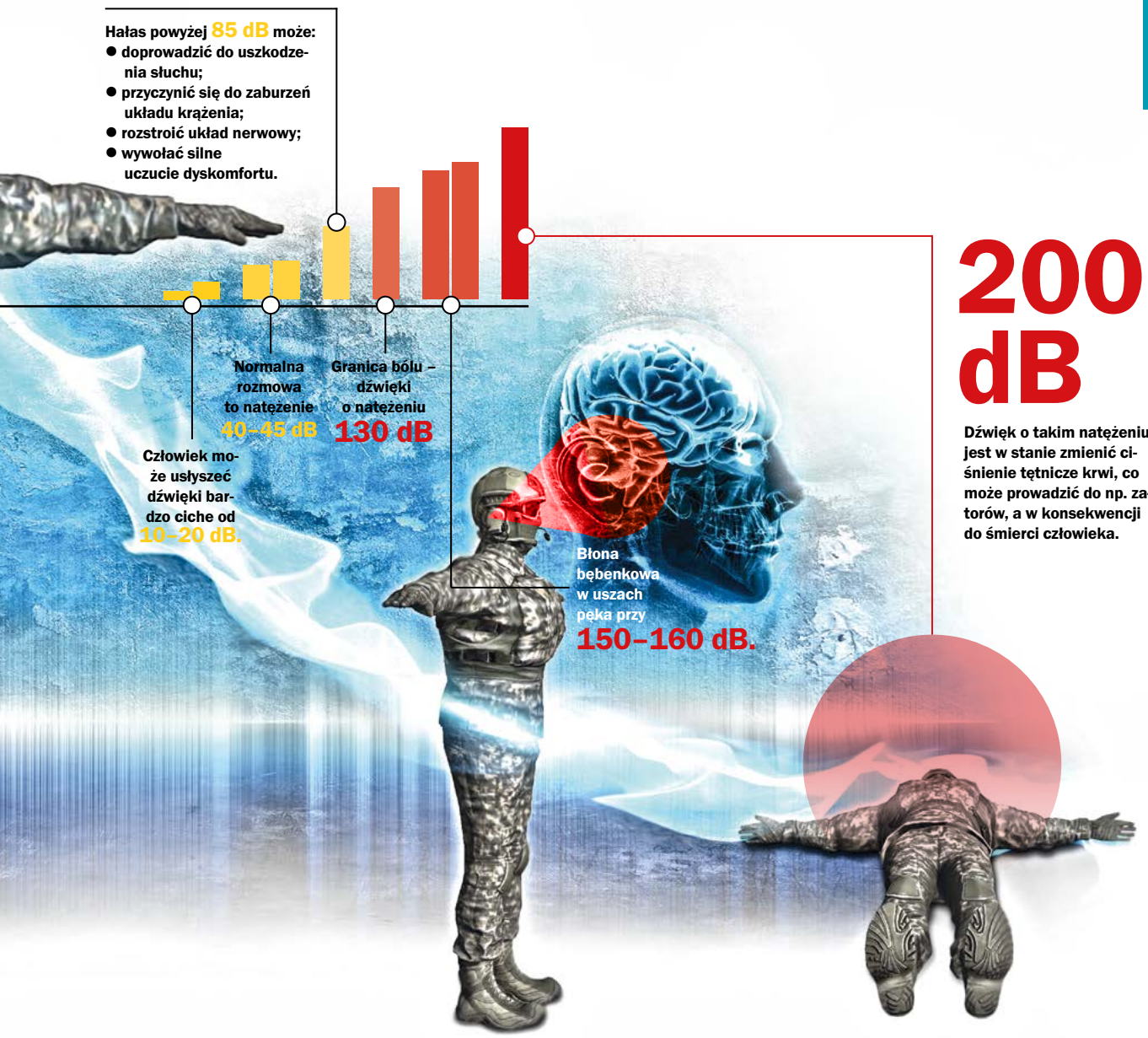

PK/DZIAŁ GRAFICZNY
ADIMAS/FOTOLIA

PODSTAWOWĄ ZASADĄ DZIAŁANIA BRONI AKUSTYCZNEJ JEST WYKORZYSTYWANIE FAL DŹWIĘKOWYCH W CHARAKTERZE ŚRODKA RAŻĄCEGO

kich negatywnych zjawisk. Wiedza o tych szczególnych właściwościach dźwięku jest wykorzystywana do konstruowania i budowy broni akustycznej.

STRZAŁ AKUSTYCZNY

Teoretycy wojskowości zaliczają broń akustyczną do broni nieśmiercionośnej, co jednak nie oznacza, że nie można nią kogoś zabić. Nie takie jest jednak jej główne przeznaczenie. Wykorzystuje się ją przede wszystkim w sytuacjach, w których fizyczne wyeliminowanie siły żywej nie jest konieczne.

Do najbardziej znanych rodzajów broni akustycznej należą granaty hukowe. Wytwarzają one dźwięk bliski progowi bólu bądź nawet go przekraczający (od 130 nawet do 170 dB), przez co są w stanie ogłuszyć przeciwnika, doprowadzić do jego czasowej dezorientacji oraz uniemożliwić mu podjęcie skutecznej walki czy obrony. Zwykle hukowi towarzyszy jasny, oślepiający błysk, co

PEWNEGO RODZAJU BRONIĄ MOŻE BYĆ NAWET... MUZYKA. SWEGO CZASU MÓWIŁO SIĘ O TYM, ŻE AMERYKANIE DO PRZESŁUCHIWANIA WIĘŹNIÓW IRACKICH WYKORZYSTYWALI GŁOŚNO NADAWANE PIOSENKI, M.IN. ZESPOŁU METALLICA

dodatkowo oszołamia przeciwnika. Wytwarzany przez tę broń dźwięk jest jednorazowy i krótkotrwały.

Powstaje jednak także sprzęt wytwarzający głośny, ogłuszający dźwięk przez dłuższy czas. Służą do tego emitery akustyczne, będące specjalnym rodzajem głośników zdolnych do produkowania skupionej wiązki dźwięku. Nazywa się je czasem działkami akustycznymi, ponieważ pozwalają na sterowanie falą dźwiękową oraz kierowanie jej w wybrany cel. Urządzenia tego typu mogą wypuszczać dźwięk o dwóch częstotliwościach, szybko następujących po sobie naprzemiennie, co ludzkie ucho odbiera jako pulsujący, nieprzyjemny sygnał, zbliżony do brzmienia syreny alarmowej. Działka akustyczne są pewnego rodzaju głośnikami, dlatego można je wykorzystywać również do przekazywania informacji głosowej na znacznym dystansie, żeby np. ostrzec potencjalnego przeciwnika lub wydać mu pewne polecenia.

Przykładem broni tego typu jest emiter akustyczny dalekiego zasięgu (Long Range Acoustic Device – LRAD), skonstruowany na początku wieku przez kalifornijską firmę American Technology Corporation (od 2010 roku LRAD Corporation). Urządzenie to jest w stanie wytwarzać skupiony dźwięk pulsujący, który skutecznie działa w odległości nawet do kilkuset metrów (w odległości 300 m od emitera natężenie dźwięku wynosi około 100 dB). Może służyć również do przekazywania informacji i poleceń na dużym dystansie (do 3 km, choć dźwięk jest słyszalny nawet do 9 km, ale już nierozpoznawalny). W wyposażeniu amerykańskiego wojska LRAD znajduje się od 2003 roku i był wykorzystywany przez siły porządkowe m.in. podczas powodzi w Nowym Orleanie w 2005 roku przeciwko rabusiom oraz w czasie demonstracji ulicznych w trakcie szczytu G20 w Pittsburghu cztery lata później.

Emitery tego typu często stosowano przeciwko somalijskim piratom. Gdy zauważono ich jednostkę, z dużej odległości wysyłano im ostrzeżenie. Jeśli mimo to piraci decydowali się podpłynąć, na ich łódź kierowano emiter i uruchamiano pulsujący sygnał. Ze względu na uciążliwość dźwięku napastnicy rezygnowali ze szturmu. Wojska amerykańskie wykorzystywały LRAD również w Iraku oraz Afganistanie do pacyfikacji demonstracji ulicznych.

Działka akustyczne stosowane są m.in. na lotniskach (do odstraszania ptaków), platformach wiertniczych (ostrzeganie statków rybackich, by nie zbliżały się do instalacji), ale także w portach (np. w celu ostrzegania jednostek pływających, które nie odpowiadają na wezwania radiowe). Mniejszą i lżejszą ich odmianą są emitery akustyczne średniego zasięgu (Middle Range Acoustic Device – MRAD), przeznaczone do montowania m.in. w samochodach osobowych.

Tego rodzaju urządzenia pod marką HyperSpike produkuje również amerykańskie przedsiębiorstwo USSI. Emitery LRAD wprowadzane są do użytku przez marynarkę wojenną m.in. USA czy Singapuru, korzysta z nich także straż przybrzeżna Japonii i Wietnamu. System ten jest również w wyposażeniu polskiej policji, choć ze względów prawnych może służyć wyłącznie jako głośnik.

BAZOOKA PRZECIWKO NURKOM

Instytucje badawcze różnych krajów prowadzą badania nad wieloma odmianami broni akustycznej, pojawiło się zatem sporo rozwiązań. Wymienić tu można m.in. opracowane przez LRAD Corporation urządzenie Directed Stick Radiator, nazywane akustyczną bazooką. Jest ono niewielkie (długość około 1 m), przenośne, przystosowane do „strzelania" dźwiękiem o natężeniu do 140 dB na odległość mniej więcej 100 m. Podobny system, czyli Sonic Firehose, skonstruowała amerykańska firma SARA. Prowadzone są również badania nad działkami akustycznymi do stosowania w środowisku wodnym. Mają one służyć np. do odstraszania i unieszkodliwiania nurków przeciwnika w portach.

Media donoszą ponadto, że trwają eksperymenty nad bronią, w której są wykorzystywane ultradźwięki i infradźwięki. Niewiele wiadomo na ten temat, ponieważ istnieją wątpliwości co do tego, czy tego typu broń nie łamie dotychczasowych konwencji i przepisów międzynarodowych. Parlament Europejski już w 1999 roku wezwał do wprowadzenia globalnego zakazu rozwijania cywilnych i wojskowych projektów, które stosują wiedzę na temat technologii chemicznych, elektrycznych, wibracji dźwięku lub innych, zdolnych do wpływania na mózg, a przez to na zachowanie człowieka.

Przypuszcza się, że broń akustyczna (ultradźwiękowa) została użyta przeciwko pracownikom ambasady USA oraz Kanady w połowie 2017 roku w Hawanie. Co ciekawe, pewnego rodzaju bronią może być nawet… muzyka. Swego czasu mówiło się o tym, że Amerykanie do przesłuchiwania więźniów irackich wykorzystywali głośno nadawane piosenki, m.in. zespołu Metallica. ■

WOJSKOWY INSTYTUT TECHNICZNY UZBROJENIA

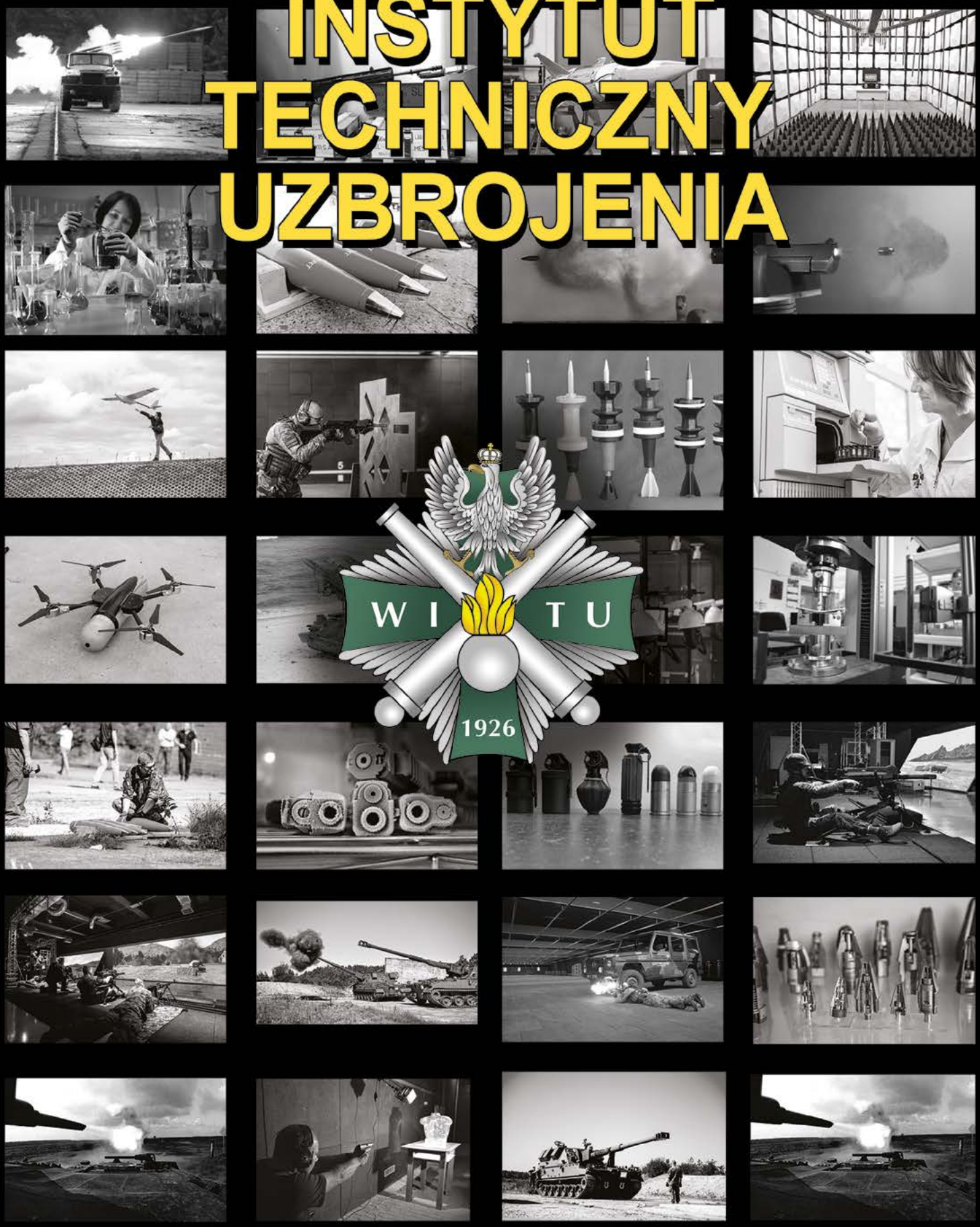

www.witu.mil.pl

witu@witu.mil.pl

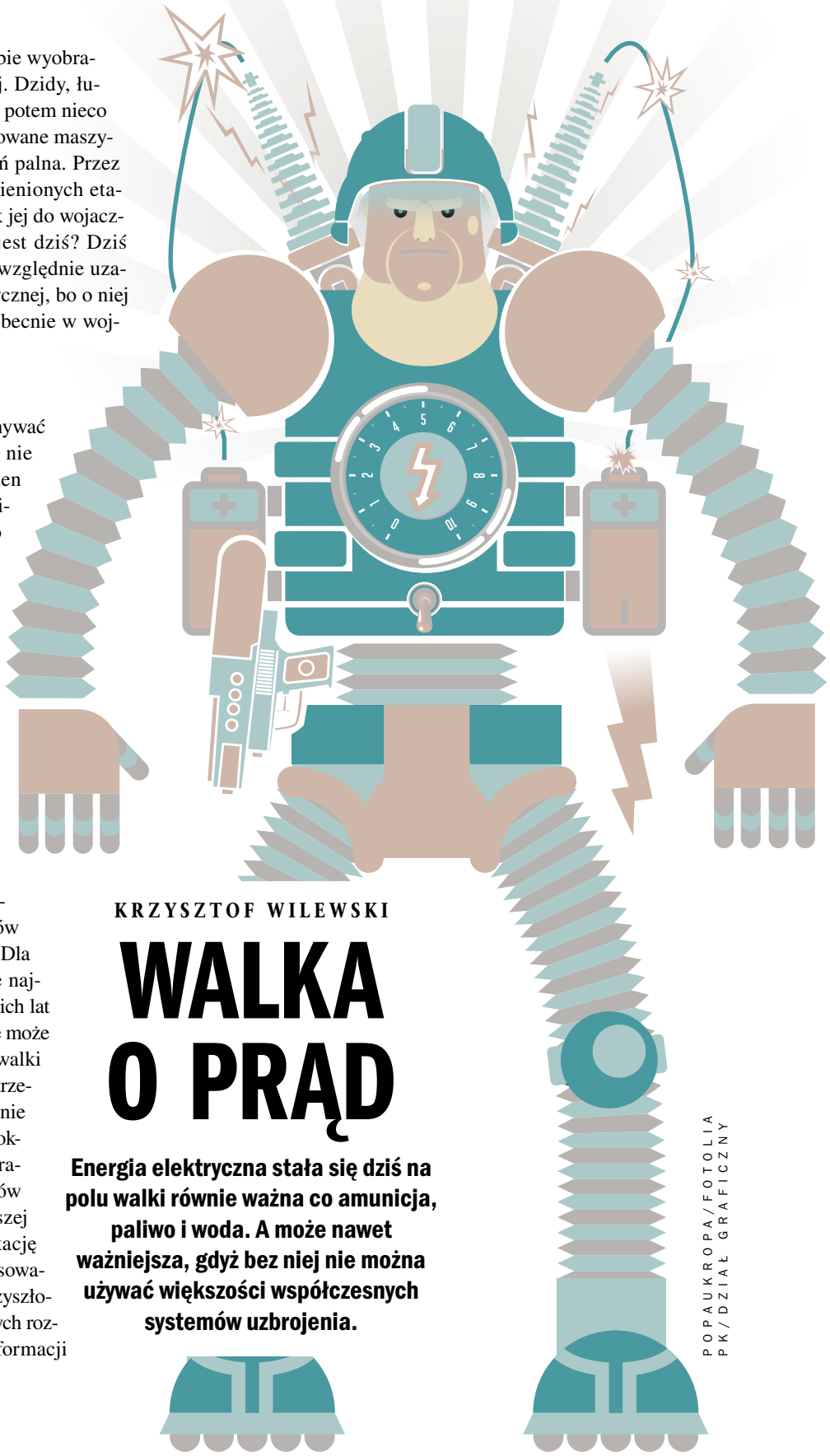

KRZYSZTOF WILEWSKI

WALKA O PRĄD

Energia elektryczna stała się dziś na polu walki równie ważna co amunicja, paliwo i woda. A może nawet ważniejsza, gdyż bez niej nie można używać większości współczesnych systemów uzbrojenia.

Owszem, można sobie wyobrazić wojnę bez niej. Dzidy, łuki, miecze, tarcze, potem nieco bardziej skomplikowane maszyny oblężnicze, wreszcie broń palna. Przez setki lat, na każdym z wymienionych etapów rozwoju oręża, człowiek jej do wojaczki nie potrzebował. A jak jest dziś? Dziś jest od niej całkowicie i bezwzględnie uzależniony. Bez energii elektrycznej, bo o niej mowa, nie sposób bowiem obecnie w wojsku funkcjonować.

NA TRZY SPOSOBY

Nikogo nie trzeba przekonywać o tym, że bez prądu raczej nie wzbije się w powietrze żaden nowoczesny samolot czy śmigłowiec, a nawet gdyby się to udało, to potem, ze względu na zaawansowaną elektronikę, jego obsługa w czasie lotu byłaby skrajnie trudna. Bez zasilania nie będą działać komputerowe systemy wspomagania dowodzenia, a także nowoczesne systemy uzbrojenia, począwszy od artylerii (bo nastawy dziś oblicza komputer), przez sterowane komputerowo rakiety i bomby lotnicze, na programowanej amunicji do działek transporterów opancerzonych skończywszy. Dla dowódców na całym świecie najbardziej istotną zmianą ostatnich lat jest jednak to, że bez prądu nie może dziś funkcjonować na polu walki nawet szeregowy strzelec. Potrzebuje on energii elektrycznej nie tylko po to, aby zasilić swój noktowizor czy celownik holograficzny, lecz także do środków łączności, które w najprostszej wersji zapewniają komunikację z przełożonym, a w zaawansowanych systemach żołnierza przyszłości – przesył kluczowych danych rozpoznawczych, rozkazów, informacji medycznych itd.

POPAUKROPA/FOTOLIA
PK/DZIAŁ GRAFICZNY

Nic więc dziwnego, że skoro energia elektryczna stała się na polu walki równie ważna co amunicja, paliwo, woda i pożywienie, inżynierowie pracujący na rzecz wojska nie ustają w wysiłkach, aby zapewnić jej tanie i łatwo dostępne źródła, zmieniając przy okazji żołnierza w miniaturową elektrownię. Choć pomysłów na zdobycie prądu jest wiele, dominują trzy zasadnicze kierunki: fotowoltaika – czyli przetwarzanie na energię elektryczną światła słonecznego, piezoelektryka – wytwarzanie prądu z naprężeń różnego rodzaju materiałów, oraz tryboelektryka – konwersja energii mechanicznej na elektryczną.

W przypadku fotowoltaiki, o której raczej trudno mówić, iż jest dziedziną nową, inżynierowie koncentrują się obecnie na poszukiwaniu materiałów przydatnych do wykonania ogniw słonecznych. Naukowcy z Pennsylvania State University stworzyli na przykład (z opatentowanych przez siebie tworzyw) ogniwa fotowoltaiczne w kształcie bardzo cienkich przewodów. Z włókien o grubości około 15 µm (czyli mniejszej niż ludzki włos), których budowa wewnętrzna przypomina wielowarstwową kanapkę – warstwy naładowane ujemnie i dodatnio przedziela materiał neutralny – można wykonywać na przykład odzież. Funkcjonalne prototypy ubrań tego typu mają zostać skierowane do badań w przyszłym roku.

Jeśli chodzi o materiały, z których może być wytwarzana nowa generacja ogniw fotowoltaicznych, świat nauki najwięcej nadziei pokłada w perowskitach. Co to jest? Perowskity to znana od połowy XIX wieku grupa minerałów zbudowanych z nieorganicznych związków chemicznych. Choć ich właściwości polegające na absorpcji energii słonecznej są znane już od kilkudziesięciu lat, to dopiero kilka lat temu udało się Polce, Oldze Malinkiewicz, absolwentce Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego oraz Politechniki Katalońskiej w Barcelonie, opracować tanią i bardzo efektywną metodę nanoszenia ich na różnego typu materiały, w tym na cienkie folie typu PET. Dzięki temu można z nich tworzyć ogniwa fotowoltaiczne właściwie dowolnych rozmiarów i dowolnych kształtów. Perowskity budzą ogromne nadzieje inżynierów, gdyż mają wydajność energetyczną zdecydowanie lepszą niż krzem. Ich wadą jest niestety szybka degradacja pod wpływem wilgoci oraz to, że zawierają toksyczny ołów. Naukowcy, m.in. z Uniwersytetu w Oxfordzie, starają się – z powodzeniem – zastąpić go cyną, ale na „produkcyjne" efekty ich badań trzeba będzie poczekać jeszcze kilka lat.

Drugim kierunkiem badań inżynierów nad źródłem prądu dla żołnierzy jest tryboelektryka. I choć podobnie jak w przypadku fotowoltaiki raczej trudno mówić o przełomowej technologii – weźmy chociażby dynama rowerowe – także i tutaj widać nowe rozwiązania i pomysły. Amerykańska armia testuje obecnie system zasilania dla spieszonego wojaka, czyli PowerWalk. Koncepcja jest banalnie prosta – to nic innego jak swego rodzaju szkielet zainstalowany wokół stawu kolanowego i napędzany przez ruch nogi podczas chodzenia czy biegu. Inżynierowie przekonują, że przez godzinę pracy PowerWalk zamontowany na obu nogach może wytworzyć tyle energii, że zasili ona nawet cztery smartfony albo jedną wojskową radiostację (niestety nie zdradzają na jak długo wystarczy jej prądu). W swoim założeniu system ma być inteligentny. Ma m.in. analizować ruch nosiciela pod kątem tego, kiedy ładowanie baterii jest najbardziej efektywne.

Ostatnim, trzecim wiodącym obecnie kierunkiem poszukiwania źródeł zasilania dla spieszonego żołnierza jest piezoelektryka. Naukowcy z całego świata pracują nad nanogeneratorami (czyli mikroskopijnymi generatorami), które potrafiłyby konwertować energię powstałą z m.in. przesuwania się materiałów tekstylnych oraz występujących w jego wyniku naprężeń i nacisków. Jednym z ośrodków mogących się pochwalić najbardziej zaawansowanymi pracami w tej dziedzinie jest School of Advanced Materials Science & Engineering przy Sungkyunkwan University w Korei. Trzy lata temu zaprezentowano tkaninę (już drugiej generacji), która była w stanie nie tylko wytworzyć energię niezbędną do zasilenia niewielkiego oświetlenia led, lecz także – co było znacznie ważniejsze ze względu na wcześniejsze problemy z trwałością materiału – wytrzymać 12 tys. cykli pełnego ładowania i rozładowania kondensatorów gromadzących prąd do oświetlenia.

IDEALNY POWERBANK

Osobnym, obok poszukiwań źródeł prądu, kierunkiem prac badawczo-rozwojowych nad nowymi systemami zasilania jest zagadnienie wydajniejszego przechowywania energii. Autorami jednego z najciekawszych pomysłów są z pewnością szwedzcy naukowcy z Laboratory of Organic Electronics Uniwersytetu w Linkoping, którym udało się stworzyć papier magazynujący prąd. Jak przekonują jego twórcy, kartka o długości 15 cm i grubości 0,5 mm może dać tyle energii, ile dwie baterie AA. Co bardzo istotne, power paper, bo tak nazwano produkt, można dowolnie formować.

Innym ciekawym patentem z dziedziny przechowywania energii jest superkondensator opracowany przez inżynierów z University of Central Florida (UCF), który nie tylko gromadzi kilka razy więcej energii niż urządzenia używane w elektronice obecnie, lecz także – a może przede wszystkim – działa znacznie dłużej niż one, wytrzymując ponad 30 tys. cykli ładowania i rozładowywania. Dla porównania, współczesny akumulator litowo-jonowy może być ładowany około 1500 razy, a potem jego pojemność zaczyna gwałtownie spadać. ■

Drony Global Hawk są zlokalizowane we włoskiej bazie lotniczej Sigonella.

NORTHROP GRUMMAN

KRZYSZTOF WILEWSKI

Wspólny system

Leonardo, Airbus i Kongsberg razem z Instytutem Technicznym Wojsk Lotniczych zbudują wirtualne laboratorium Sojuszniczego Systemu Obserwacji Obiektów Naziemnych z Powietrza.

Alliance Ground Surveillance (AGS) – czyli Sojuszniczy System Obserwacji Obiektów Naziemnych z Powietrza, to jeden z kilku strategicznych programów zbrojeniowych, które realizują obecnie państwa NATO. Zamysł jest taki, że kraje członkowskie sojuszu będą korzystały z jednego, wspólnego systemu rozpoznawczego bazującego na latających na wysokości kilkunastu kilometrów dronach. Co bardzo istotne, bezzałogowce mają być wyposażone w zaawansowane systemy radarowe, które umożliwią obserwację obiektów z dalszej odległości bez konieczności poruszania się nad nadzorowanym terenem.

Formalnie program AGS został uruchomiony w 2004 roku i początkowo zakładał, że system, który zacznie działać w 2010 roku, będzie się składał z dwóch typów platform rozpoznawczych – samolotów A321 (dostarczonych przez Airbusa) oraz dronów RQ-4B Global Hawk Block 40 (producentem jest koncern Northrop Grumman). Przewidywano, że AGS będą tworzyć cztery samoloty i cztery drony, więc początkowe koszty jego uruchomienia były bardzo wysokie – około 4 mld euro. Zrezygnowano zatem z samolotów A321, zostawiając tylko amerykańskie drony, dzięki czemu cena spadła do około 1,4 mld euro. Rezygnacja z produktów Airbusa spowodowała nie tylko wycofanie się z projektu Francji, Belgii i Hiszpanii, lecz także znaczące przesunięcie go w czasie – wstępną gotowość osiągnął on pod koniec 2017 roku.

Obecnie członkami programu AGS jest 15 państw, w tym – oprócz Polski – Bułgaria, Rumunia, Słowacja, Słowenia, Czechy, Dania, Niemcy, Włochy, Litwa, Łotwa, Estonia,

OBECNIE CZŁONKAMI PROGRAMU AGS JEST 15 PAŃSTW, w tym – oprócz Polski – Bułgaria, Rumunia, Słowacja, Słowenia, Czechy, Dania, Niemcy, Włochy, Litwa, Łotwa, Estonia, Luksemburg, Norwegia oraz Stany Zjednoczone.

Luksemburg, Norwegia oraz Stany Zjednoczone. Wymienione kraje, poza korzystaniem z danych rozpoznawczych gromadzonych przez zlokalizowane we włoskiej bazie lotniczej Sigonella drony Global Hawk, w mniejszym lub większym stopniu uczestniczą w budowie systemu, tzn. ich firmy dostarczają podzespoły i podsystemy.

W ubiegłym roku organizacja nadzorująca z ramienia NATO budowę systemu AGS, czyli NAGSMA (NATO Alliance Ground Surveillance Management Agency), podpisała z Instytutem Technicznym Wojsk Lotniczych wartą 30 mln euro umowę na opracowanie wirtualnego laboratorium systemu AGS, tzw. Battle Laboratory.

„Laboratorium będzie symulatorem całego systemu AGS. Podkreślam mocno: całego, wszystkich jego elementów, mniejszych i większych. Będzie można ulepszać w zasadzie dowolne jego składowe, m.in. pracując nad procedurami operacyjnymi tzw. TTPs [Tactics, Techniques and Procedures]", wyjaśnia dr inż. Jarosław Sulkowski, zastępca dyrektora ITWL ds. rozwoju i wdrożeń, kierownik projektu NATO AGS Battle Laboratory.

Jak mówi Sulkowski, ITWL zaproponował NAGSMA rozbudowę systemu AGS o wirtualne laboratorium, w którym można by, np. równolegle z trwającą „realną" operacją, przeanalizować konsekwencje podjęcia alternatywnych decyzji i gdy okażą się one lepsze, skuteczniejsze od tych podejmowanych przez prawdziwe drony, wprowadzić korektę do wydanych im rozkazów już w 2012 roku. NAGSMA, choć od początku wyraziła ogromne zainteresowanie polskim pomysłem, musiała jednak sprawdzić, czy strona polska jest w stanie go zrealizować.

„Na nasz koszt nie tylko wykonano studium uczestnictwa całego polskiego przemysłu w programie AGS, lecz także bardzo dokładnie prześwietlono Instytut właściwie pod każdym kątem, z naciskiem na bezpieczeństwo i jakość", wyjaśnia Sulkowski.

Po pozytywnym sprawdzeniu ruszyły żmudne negocjacje kształtu Battle Laboratory. Zakończyły się one sukcesem i podpisaniem we wrześniu 2017 roku umowy na jego budowę. Przedstawiciele ITWL-u nie ukrywają, że to ogromna szansa nie tylko dla Instytutu, lecz także dla całej polskiej zbrojeniówki. Podwykonawcami ITWL-u w tym projekcie mają być bowiem największe koncerny zbrojeniowe w Europie – Leonardo, Airbus oraz Kongsberg. Skorzysta również polska armia, gdyż po zakończeniu prac – w 2020 roku – Polska stanie się drugim po Włoszech krajem NATO, w którym znajdzie się system AGS.

„Umowa przewiduje bowiem, że zanim zbudujemy Battle Laba, musi powstać jego prototyp. On zaś po zakończeniu prac zostanie w naszym Instytucie", podkreśla Sulkowski. „Będziemy więc mogli go wykorzystywać do szkolenia, kiedy tylko zechcemy". ■

BRAZYLIA

Pierwszy po modernizacji

Resort obrony w 2009 roku podpisał z firmą Embraer wartą 140 mln umowę na modernizację tuzina odrzutowców, dziewięciu A-4KU do wersji AF-1B i trzech TA-4KU. Samoloty miały dostać m.in. nowy radar oraz nowy system zarządzania uzbrojeniem. Embraer miał też opracować nowy zestaw oprogramowania misyjnego. Modernizacja przedłuży czas eksploatacji samolotów A-4 do 2025 roku. Pierwszy AF-1B był przekazany w lipcu 2015 roku. Druga z dostarczonych maszyn rozbiła się w kwietniu 2016 roku. Według pierwotnego planu wszystkie AF-1 miały być przekazane lotnictwu floty w latach 2015–2017, ale program ma opóźnienia. WR ■

Lotnictwo marynarki wojennej otrzymało 23 kwietnia pierwszy samolot AF-1C, który bazuje na dwumiejscowej wersji szkolno-bojowej TA-4KU.

DEFESA AEREA AND NAVAL

ROSJA

ATOMOWY POSEJDON

W orędziu wygłoszonym 1 marca w Zgromadzeniu Federalnym prezydent Władimir Putin zapowiedział, że w ramach państwowego programu uzbrojenia na lata 2018-2027 rosyjska marynarka wojenna otrzyma bezzałogowe systemy z uzbrojeniem konwencjonalnym lub atomowym, które będą mogły niszczyć m.in. wrogie bazy morskie i zespoły okrętów. Agencja TASS poinformowała, że jednym z takich systemów będzie bezzałogowy pojazd podwodny Posejdon. Według anonimowego źródła w przemyśle zbrojeniowym będzie on mógł przenosić ładunek nuklearny o mocy do 2 Mt. Rosyjski pojazd ma się poruszać na głębokości powyżej kilometra z prędkością 60–70 w., czyli 110–130 km/h. Dzięki napędowi atomowemu posejdon zyska wielki zasięg i będzie bronią międzykontynentalną. WW ■

US NAVY

USA

Śmigłowce dla sąsiada

Amerykański Departament Stanu wyraził zgodę na sprzedaż Meksykowi ośmiu śmigłowców wielozadaniowych MH-60R. W nocie Defense Security Cooperation Agency podano, że wartość transakcji została oszacowana na 1,2 mld dolarów. Oprócz śmigłowców i wyposażenia Meksyk miałby dostać liczne urządzenia zapasowe, m.in. cztery silniki T-700 GE 401 C, sześć radarów APS-153(V) i tyleż transponderów systemu identyfikacji „swój-obcy" AN/APX-123. Transakcja objęłaby również uzbrojenie, w tym 30 lekkich torped Mk 54, 12 karabinów maszynowych GAU-21 kalibru 12,7 mm i tyleż samo M240D kalibru 7,62 mm. Do Meksyku miałoby również trafić 38 naprowadzanych laserem 70-milimetrowych rakiet Hydra (system APKWS II) oraz 19 bojowych i ćwiczebnych pocisków Hellfire. W ■

US NAVY

HOLANDIA

Miliardy na okręty

Barbara Visser, minister obrony, przedstawiła szczegóły finansowe planowanej modernizacji marynarki wojennej. Do 2025 roku do służby mają wejść dwie nowe fregaty, które zastąpią jednostki typu M. Ten program pochłonie 1–2,5 mld euro. Koszty budowy nowego okrętu zaopatrzeniowego szacowane są od 250 mln do 1 mld euro. Takie same widełki cenowe odnoszą się do drugiego okrętu wsparcia bojowego. Nie mniej niż miliard euro potrzeba będzie na następców sześciu niszczycieli min typu Alkmaar. Oprócz budowy planowana jest wymiana uzbrojenia okrętów. Ogółem holenderski resort obrony oszacował koszty modernizacji floty nawodnej na 6,7 mld euro. Kolejne 2,5 mld euro będzie potrzebne na nowe okręty podwodne. ■

FINLANDIA

NASTĘPCA HORNETA

Dowództwo logistyki fińskich sił obronnych wystosowało 27 kwietnia zapytanie ofertowe do rządów Francji, Szwecji, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych w sprawie udziału w programie „HX Fighter", w którym ma być wyłoniony następca samolotów F-18 Hornet, bowiem pięć firm lotniczych z tych państw odpowiedziało na zapytanie o informacje. Dwie z nich pochodzą z USA. Lockheed Martin oferuje Finom samolot F-35, a Boeing – F/A-18 Super Hornet. Poza tym w grze są szwedzki Gripen, francuski Rafale i brytyjski Typhoon.

W ramach programu „HX Fighter" Finlandia chce zakupić 64 samoloty za 10 mld euro. Decyzja o zamówieniu konkretnego typu ma być podjęta w 2021 roku. TWR ■

Dowódca fińskich sił obronnych

GEN. JARMO LINDBERG

Wymiana myśliwców F/A-18C/D Hornet ma nastąpić między 2025 a 2030 rokiem.

Lockheed Martin zaoferował Finom samolot F-35.

LOCKHEED MARTIN

RAFAŁ
CIASTOŃ

Peryskop Gundlacha

Rudolf Gundlach urodził się 28 marca 1892 roku we wsi Wiskitki koło Żyrardowa. Po ukończeniu szkoły średniej w 1910 roku rozpoczął studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Ryskiej. Gdy w 1915 roku uczelnia została ewakuowana do Moskwy, udał się tam również przyszły konstruktor, by rok później zostać powołany do armii carskiej. Po wybuchu rewolucji i obaleniu caratu Gundlach wstąpił do formowanego w Rosji I Korpusu Polskiego gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, walczył też w wojnie polsko-bolszewickiej 1919–1920. Pozostając żołnierzem w służbie czynnej, wrócił na studia i w 1925 roku uzyskał dyplom inżyniera mechanika na Politechnice Warszawskiej.

Inżynier Rudolf Gundlach był głównym projektantem opracowywanego na bazie modelu Ursus A samochodu pancernego wz. 29. Pojazd został wyprodukowany w serii liczącej około 10–13 sztuk i był używany do września 1939 roku. W czasie pełnienia służby w Wojskowym Instytucie Badań Inżynieryjnych, a następnie jako kierownik prac Wydziału Projektów i Konstrukcji Biura Badań Technicznych Broni Pancernych, nadzorował projektowanie podstawowego polskiego czołgu okresu międzywojnia, tj. 7TP, a także prace nad jego niedoszłym następcą – 10TP. Gundlach dostrzegał zasadniczą niedoskonałość ówczesnej broni pancernej, jaką był brak możliwości dookólnej obserwacji pola walki. Zaprojektował i wdrożył peryskop czołgowy, od jego nazwiska nazwany peryskopem Gundlacha. Rozwiązanie było wręcz genialne w swej prostocie. Do znanego już przecież i stosowanego, chociażby na okrętach podwodnych, peryskopu dołożono przystawkę pryzmatyczną, która umożliwiła obserwowanie nie tylko przedniej, lecz także tylnej półsfery pojazdu, przy czym jeden i drugi widok były dostępne jednocześnie: górny panel w peryskopie pokazywał widok przedni, dolny zaś – tylny. Obracając peryskopem, można było oczywiście obserwować również przestrzeń po bokach pojazdu. Opracowany w 1934 roku peryskop został zaakceptowany przez armię rok później, a w 1936 roku opatentowano go jako własność wynalazcy (dwa lata później urządzenie uzyskało patent amerykański).

Peryskop trafił do czołgów 7TP, ale jeszcze przed wybuchem wojny został także sprzedany Brytyjczykom, by jako Vickers Tank Periscope MK.IV trafić na pokłady czołgów Crusader, Churchill, Valentine i Cromwell. Po Brytyjczykach rozwiązanie zaimplementowali we własnych konstrukcjach również Amerykanie, a po kampanii wrześniowej zapoznali się z nim i wdrożyli je zarówno Niemcy, jak i Rosjanie.

Po klęsce II RP mjr Gundlach ewakuował się przez Rumunię do Francji, gdzie pracował w Biurze Przemysłu Wojennego przy Ministerstwie Przemysłu rządu emigracyjnego. Po upadku Francji konstruktor, z uwagi na trapiącą go wówczas chorobę, nie został ewakuowany do Wielkiej Brytanii i wojnę spędził początkowo na terytorium Vichy, a potem w okupowanej już Francji. Po zakończeniu wojny i dwuletnim procesie sądowym Gundlach uzyskał z tytułu praw autorskich 84 mln franków, jednak po odliczeniu kosztów sądowych, adwokackich i zaległych podatków zostało mu z tego około 17 mln, za którą to kwotę kupił farmę pod Paryżem, gdzie spędził resztę życia. Zmarł w 1957 roku. ■

RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

NIE MA PLANU B

Kiedy Amerykanie zerwali porozumienie nuklearne, nie tylko położyli na szali relacje z Iranem, lecz także przyczynili się do ochłodzenia stosunków z Europą. Są też państwa, dla których decyzja Donalda Trumpa jest sprawą życia i śmierci.

AP/VAHID SALEMI/EASTNEWS

Antyamerykański mural namalowany na ścianie byłej ambasady Stanów Zjednoczonych w Teheranie, 8 maja 2018 roku.

Praktycznie od początku swojej prezydentury Donald Trump zaznaczał, że podpisane w 2015 roku porozumienie nuklearne z Iranem jest nie tylko niekorzystne dla Amerykanów, lecz także w wielu punktach łamane. Mimo pozytywnych opinii Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, która nadzorowała wdrażanie podjętych zobowiązań, Teheranowi zarzucano potajemną kontynuację badań nad bombą atomową. Niepokój Amerykanów budził około 30-procentowy wzrost irańskich wydatków na zbrojenia (według ekspertyzy Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem jest to efekt zniesienia sankcji i są zachowane proporcje względem wzrostu całego budżetu kraju).

„Jest dla mnie jasne, że za pomocą zgniłej umowy nie możemy powstrzymać Iranu od stworzenia bomby atomowej. Ten dokument jest błędny u samych podstaw. (…) Nie przyniósł wytchnienia, nie przyniósł pokoju i nigdy to nie nastąpi", grzmiał Trump podczas przemówienia, które wygłosił 8 maja w Białym Domu. Amerykański rząd wezwał też swoich sojuszników do zaprzestania dalszej wymiany handlowej z Iranem i nałożył sankcje na tamtejszy bank centralny oraz najwyższych przywódców Hezbollahu. Zarazem powstała lista jedenastu warunków, które Iran musi spełnić przed przystąpieniem do nowych negocjacji. Rząd Donalda Trumpa wezwał m.in. do zaprzestania prac nad pociskami balistycznymi, wycofania swoich sił z Syrii i Iraku oraz zerwania relacji z Hezbollahem. Obecnie spełnienie tych wytycznych wydaje się wątpliwe.

BENIAMIN NETANJAHU, premier Izraela: „Umowa ta torowała drogę do utworzenia całego arsenału bomb nuklearnych [...], a zniesienie sankcji doprowadziło do katastrofalnych skutków".

GRA O 25 MLD DOLARÓW

Osoby z otoczenia Trumpa zaznaczają, że ta decyzja budziła kontrowersje nawet wśród najbliższych doradców prezydenta. Za utrzymaniem umowy nuklearnej miał się opowiadać zarówno sekretarz stanu Mike Pompeo, jak i dyrektor wywiadu narodowego Daniel Coats. Reakcja Teheranu była łatwa do przewidzenia. Prezydent Hasan Rouhani nazwał ruch Amerykanów wojną psychologiczną, dodając przy tym, że jest „szczęśliwy, iż ten upierdliwy człowiek opuścił pokład". Wyraził też nadzieję, że pozostałe strony porozumienia nie dopuszczą do jego unieważnienia. Nie obyło się jednak bez gróźb. W Teheranie parlamentarzyści spalili amerykańską flagę, skandując „śmierć Ameryce!", a irańskie władze ogłosiły gotowość do wznowienia prac nad wzbogaconym uranem w razie braku osiągnięcia porozumienia.

Obecna sytuacja nie jest komfortowa także dla pozostałych stron umowy nuklearnej. Oprócz Stanów Zjednoczonych przystąpili do niej wszyscy stali członkowie Rady Bezpieczeństwa ONZ (Chiny, Rosja, Wielka Brytania i Francja) oraz Niemcy i Unia Europejska. Za zachowaniem dotychczasowego statusu przemawiają przede wszystkim względy gospodarcze. Szacuje się, że wartość wymiany handlowej pomiędzy państwami Unii Europejskiej a Iranem wynosi ponad 25 mld dolarów. W 2017 roku tylko francuski gigant energetyczny Total podpisał kontrakt na wydobycie irańskiego gazu przekraczający miliard dolarów. Podobnie sytuacja wygląda w przypadku Airbusa, który przygotowywał się do dostaw samolotów dla Iran Air. Zgodnie ze słowami Trumpa wszystkie kontrakty będą musiały zostać zerwane w ciągu 90 lub 180 dni pod groźbą dotkliwych sankcji. Ruch ten z pewnością wpłynie na relacje Stanów Zjednoczonych z europejskimi sojusznikami, pokierowany jest jednak obawami Amerykanów o ich pozycję na Bliskim Wschodzie.

W ciągu ostatnich lat Iran znacząco zwiększył swoje wpływy w regionie. W Syrii może przebywać około 2 tys. irańskich doradców woj-

ESKINDER DEBEBE/UN

Osoby z otoczenia Trumpa zaznaczają, że decyzja o zerwaniu porozumienia nuklearnego z Iranem budziła kontrowersje nawet wśród najbliższych doradców prezydenta.

AMERYKAŃSKI RZĄD WEZWAŁ SWOICH SOJUSZNIKÓW DO ZAPRZESTANIA DALSZEJ WYMIANY HANDLOWEJ Z IRANEM

skowych oraz przynajmniej 10 tys. powiązanych z nimi bojowników. Coraz większą siłę stanowi także Hezbollah – liczbę jego bojowników w Syrii szacuje się na 8 tys. Zarazem w przeważającej większości szyickie Al-Haszd asz-Szabi (Siły Mobilizacji Ludowej) stacjonujące w północnym Iraku liczą ponad 100 tys. członków. Wraz ze zwycięstwem Hezbollahu w wyborach w Libanie Teheran przypieczętował swoją pozycję także politycznie. O ile taki rozwój wydarzeń może budzić wśród Amerykanów niepokój, o tyle u jednego z ich najbliższych sojuszników wywołuje prawdziwą panikę.

NAUKOWCY NA CELOWNIKU

Porozumienie nuklearne z Iranem zostało zawarte pomimo stanowczego sprzeciwu Izraela. Nie dziwi więc fakt, że Beniamin Netanjahu w pełni wspiera decyzję Donalda Trumpa. „Umowa ta torowała drogę do utworzenia całego arsenału bomb nuklearnych […], a zniesienie sankcji doprowadziło do katastrofalnych skutków", mówił premier Izraela, kiedy ogłoszono zerwanie porozumienia. Kilka dni wcześniej podczas publicznego wystąpienia Netanjahu przekonywał, że Teheran kłamał w sprawie prac nad wzbogacaniem uranu i wciąż dysponuje dokumentacją potrzebną do stworzenia bomby atomowej. Dowodem miały być dokumenty pozyskane przez Mosad.

Przed 1979 rokiem Iran był jednym z najbliższych sojuszników Izraela. Państwa te weszły na kurs kolizyjny po rewolucji islamskiej i objęciu władzy przez Ruhollaha Chomeiniego. Dekadę później irańscy naukowcy zapoczątkowali projekt AMAD, dzięki któremu Teheran miał nie tylko zostać potęgą nuklearną, lecz także raz na zawsze rozprawić się z Izraelem. Chociaż oficjalnie projekt został zamknięty w 2003 roku, a Teheran twierdził, że od tego czasu prowadzi wyłącznie badania pozwalające wykorzystywać uran w celach cywilnych, społeczność międzynarodowa wobec tych zapewnień pozostawała sceptyczna. W tym samym czasie Mosad wspólnie z izraelskimi siłami specjalnymi obrał na cel wszystko, co miało związek z irańskim programem nuklearnym. Żadna z przeprowadzonych operacji nie została jednoznacznie powiązana z Izraelem, jednak faktem jest, że tylko w 2010 roku zamordowano kilku kluczowych uczonych irańskich.

DECYZJA DONALDA TRUMPA ORAZ WYMIANA CIOSÓW MIĘDZY IZRAELEM I IRANEM NA PEWNO NIE POPRAWIĄ SYTUACJI NA BLISKIM WSCHODZIE, ALE JEST MAŁO PRAWDOPODOBNE, ŻEBY DOPROWADZIŁY DO OTWARTEJ WOJNY

Program nuklearny Teheranu to niejedyne zmartwienie Izraela. Wspierając działania Baszszara al-Asada, Iran wykorzystał wojnę domową w Syrii do stworzenia stałej infrastruktury wojskowej i wątpliwe jest, by członkowie Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej (jedna z dwóch gałęzi irańskich sił zbrojnych) porzucili zajmowane bazy. Ich obecność nie tylko pozwala zabezpieczyć szlak komunikacyjny z Libanem, lecz także skraca dystans do izraelskich granic. Kilka dni przed wycofaniem się Amerykanów z porozumienia po raz pierwszy w historii doszło do bezpośredniego ataku irańskich sił na pozycje Israel Defense Forces. Z terytorium Syrii w kierunku Wzgórz Golan wystrzelono około 20 rakiet. Większość z nich nie dosięgnęła celu, jedynie cztery spowodowały straty w tamtejszych umocnieniach.

Przypuszczalnie ataku dokonała jednostka specjalna Al-Kuds. Kilka godzin później izraelskie lotnictwo uderzyło w ponad 70 irańskich celów w Syrii, m.in. kwatery dowodzenia Al-Kuds, lotniska w Szajrat i Al-Mazza oraz umocnienia Hezbollahu w leżącym na pograniczu syryjsko-libańskim mieście Al-Kusajr. W ciągu ostatnich lat Izrael przeprowadza podobne operacje regularnie, ale ta była największa od czasu wojny Jom Kippur.

Mimo że izraelskie naloty uznawane są za odwet, najprawdopodobniej były one przygotowywane przez dłuższy czas. Nieoficjalne źródła podają, że Netanjahu wspominał o swoich planach kilka dni wcześniej, podczas rozmowy telefonicznej z Władimirem Putinem. Siły Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej miały zostać uprzedzone o ataku, co pozwoliło ograniczyć liczbę ofiar (Syryjskie Obserwatorium Praw Człowieka poinformowało o 23 zabitych żołnierzach i bojownikach) oraz uratować część sprzętu. Nawet jeżeli informacje te nie są prawdziwe, wiadomo że Izrael pozostaje w ścisłych stosunkach z Rosją. Kreml może apelować o zachowanie rozsądku i szukanie pokojowych rozwiązań, będzie jednak przymykać oko na izraelskie rajdy w głąb terytorium Syrii.

KURS KOLIZYJNY

Decyzja Donalda Trumpa oraz wymiana ciosów między Izraelem i Iranem na pewno nie poprawią sytuacji na Bliskim Wschodzie, ale jest mało prawdopodobne, żeby doprowadziły do otwartej wojny. Żadna ze stron nie dysponuje na tyle dużą przewagą, by odnieść zwycięstwo bez odnotowania dotkliwych strat. Znacznym utrudnieniem jest także brak wspólnej granicy lądowej. Co prawda Iran może wykorzystać siły ekspedycyjne oraz wspierane przez siebie bojówki, w tym Hezbollah i Hamas, ale tylko w ograniczonym zakresie. W innym wypadku mógłby nieodwracalnie utracić zajmowane w Syrii pozycje, a Hezbollah musiałby się liczyć z destabilizacją Libanu, w którym właśnie wygrał wybory. Dodatkowo otwarty konflikt obciążyłby irański budżet i, co się z tym wiąże, odbił się na nastrojach wewnątrz republiki. Wojna nie jest także w interesie Baszszara al-Asada, który potrzebuje wsparcia militarnego Iranu, aby pozostać przy władzy.

Nie oznacza to, że nie istnieją scenariusze, w których jedna ze stron wyłożyłaby wszystkie karty na stół. Punktem zapalnym może być próba dozbrojenia Hezbollahu w nowocześniejszą broń, w tym w bardziej precyzyjne rakiety. W przeszłości Chel ha-Awir (Korpus Powietrzny Izraela) wielokrotnie bombardował konwoje wiozące zaopatrzenie dla szyickiej bojówki.

Duże znaczenie ma także stanowisko Arabii Saudyjskiej. Jest ona wciągnięta w konflikt zastępczy na terenie Jemenu (więcej na str. 92–95), w którym zmaga się z siłami wspieranymi właśnie przez Iran. Jednocześnie w tym kraju widzi swojego największego konkurenta na polu gospodarczym. Choć jeszcze niedawno wydawało się to wręcz niemożliwe, obawy przed Teheranem mocno zbliżyły Arabię Saudyjską do Izraela. W marcu 2018 roku książę Muhammad ibn Salman, następca saudyjskiego tronu, stwierdził, że „Żydzi mają prawo do własnej ziemi" i że sformalizowanie relacji między dwoma państwami może być korzystne dla obu stron.

Niemal w tym samym czasie cały świat patrzył na spektakl, który się odbył podczas wizyty Emmanuela Macrona w Waszyngtonie. Między teatralnymi gestami dało się jednak wyczytać dwie rzeczy: prezydent Francji próbował odwieść Donalda Trumpa od wycofania się z umowy nuklearnej i jednocześnie zdobyć miano nowego przywódcy Europy. Mimo usilnych prób znalezienia kompromisu („Obecne porozumienie pozwala na powstrzymanie dążeń Iranu do stworzenia bomby atomowej, jednak to niejedyny problem. […] Należy doprowadzić do zakończenia programu balistycznego tego kraju oraz znaleźć polityczne rozwiązanie, które pozwoli uzyskać stabilność w tym regionie"), dotychczasowe zabiegi Macrona zakończyły się fiaskiem. O tym, jak ważne dla Francji są te starania, świadczy wypowiedź Jeana-Yvesa Le Driana, francuskiego ministra spraw zagranicznych, który w szczerym do bólu wywiadzie dla „Le Parisien" stwierdził: „Na stole są wyłącznie rozwiązania dyplomatyczne. Nie ma planu B. Planem B jest wojna". ■

INSTYTUT TECHNICZNY WOJSK LOTNICZYCH

ul. Księcia Bolesława 6, 01-494 Warszawa, skr. poczt. 96
tel.: 261 851 300; faks: 261 851 313
www.itwl.pl e-mail: poczta@itwl.pl

ZINTEGROWANY SYSTEM INFORMATYCZNY WSPIERAJĄCY ZARZĄDZANIE LOTNICTWEM SIŁ ZBROJNYCH RP

Analiza i ocena stanu bezpieczeństwa lotów

Ocena efektywności szkolenia lotniczego

Zarządzanie ryzykiem w lotnictwie

Monitorowanie działalności profilaktycznej

Turawa

SI TURAWA umożliwia zintegrowane zarządzanie systemem bezpieczeństwa lotów

POLITYKA FAŁSZYWEGO UŚMIECHU

Z Waldemarem Janem Dziakiem

o rysach na północnokoreańskim monolicie i kluczu do rozwiązania problemu zbrojeń nuklearnych rozmawia Tadeusz Wróbel.

Co się stało, Panie Profesorze, że przywódca Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, który niedawno groził zniszczeniem Waszyngtonu, zaczął wymachiwać w kierunku Amerykanów gałązką oliwną?

Kim Dzong Un w noworocznym przemówieniu zaproponował pokojową ofensywę czy, jak kto woli, politykę uśmiechu. Tę zmianę należy wiązać z kilkoma wydarzeniami, ale najważniejsza i najbardziej dotkliwa jest presja ekonomiczna i polityczna, połączona z sankcjami ekonomicznymi Rady Bezpieczeństwa ONZ. Na euforię jest jednak stanowczo za wcześnie. W sferze deklaracji takie stanowisko Kima można uznać za przełom, ale o pełnym sukcesie będziemy mogli mówić dopiero w sytuacji, gdy zapadną decyzje, które realnie przybliżą świat do pokoju. A do tego jeszcze daleko. W przeszłości z Północą

toczono rozmowy dwustronne, trzystronne, czterostronne i sześciostronne, nie wspominając o próbach dialogu bilateralnego między KRLD a kolejno: Japonią, Republiką Korei czy Chinami, po śmierci Kim Dzong Ila. Wszystkie one kończyły się spektakularnym fiaskiem, a jedynym zwycięzcą dialogu pozostawała Korea Północna, która zawsze grała tylko o jedno, o zyskanie czasu, i za każdym razem go zyskiwała. Do końca 2017 roku presja i sankcje nie zmusiły Kima do jakichkolwiek ustępstw w sprawie programu nuklearnego. Wprost przeciwnie – z Pjongjangu raz po raz słychać było kolejne buńczuczne oświadczenia, że Korea Północna nie zamierza ustąpić, a nawet zdecydowanie wyklucza jakiekolwiek rozmowy, których celem miałaby być rezygnacja z posiadania arsenału jądrowego i środków jego przenoszenia. I nadszedł rok 2018. W jakim stopniu jednak radykalna zmiana stanowiska Kima jest rzeczywiście jego wyborem, a w jakim tylko koniecznością? Jeśli weźmiemy pod uwagę najważniejsze fakty, dojdziemy do wniosku, że znalazł się w sytuacji wyjątkowo trudnej i ma tego świadomość. Między innymi ma prawo sądzić, że sankcje ekonomiczne, do których teraz solidarnie przyłączyły się również Chiny, dziś byłoby znacznie trudniej obejść niż w przeszłości.

Wcześniej Chińczycy opowiadali się za sankcjami, ale ich nie przestrzegali. Co spowodowało zmianę stanowiska Pekinu?

Mogły na tym zaważyć wydarzenia związane z północnokoreańskim testem nuklearnym z 3 września 2017 roku. Dwa miesiące temu, dzięki Japończykom, świat dowiedział się, że na poligonie nuklearnym KRLD, Punggye-ri, pod górą Mantap, zawalił się tunel, co spowodowało śmierć ponad 200 pracowników, a 250 osób odniosło rany. Test wywołał wtórne trzęsienia ziemi. Chiny są zaniepokojone tym, że istnieje np. ryzyko skażenia promieniotwórczego, tym bardziej że prawie dwumilionowe chińskie miasto leży 70 km od poligonu. Chińczycy wielokrotnie zwracali się do władz w Pjongjangu o to, by wpuścić na poligon Punggye-ri ich specjalistów; oferowali też pomoc, dotąd bezskutecznie.

Prawdopodobnie ostatni test przeprowadzono w tunelu o długości zaledwie kilkuset metrów, tymczasem powinien on mieć 5 km…

Zapadła decyzja polityczna, że próbę należy przeprowadzić bardzo szybko. Do tego testowany ładunek był 11 razy silniejszy niż bomba zrzucona na Hiroszimę.

Może to właśnie był główny powód zmiany polityki Pjongjangu?

Jeśli tak, to jest to zagrywka taktyczna. Nie mam pewności, czy możemy mówić o rzeczywistej zmianie strategicznej w polityce reżimu, bo nie wiadomo, co naprawdę siedzi w głowach północnokoreańskich polityków, zwłaszcza Kim Dzong Una.

Zapowiadany na czerwiec szczyt KRLD i Stanów Zjednoczonych ostatecznie został odwołany. Dlaczego tak się stało?

Trudno liczyć na sukces w sytuacji, gdy obie strony dzieli tak wielka przepaść: 70 lat wrogości i totalnego braku zaufania. Zerwanie szczytu było bardzo prawdopodobne, bo przecież obie strony nie uzgodniły nawet agendy spotkania, inaczej mówiąc, nie było wiadomo, o czym konkretnie zamierzają rozmawiać. Być może rolę odegrały tu też Chiny, bo po drugim spotkaniu Kim Dzong Una z prezydentem Chin, Pjongjang usztywnił stanowisko wobec USA. Trzeba też przyznać, że do udziału w szczycie nie kwapił się sam Kim Dzong Un, który wyraźnie szukał pretekstu, by spotkanie nie doszło do skutku. Do udziału w szczycie zniechęcały Kima także niezręczność i nieporadność ekipy Trumpa. Wydaje się, że reżim spodziewał się takiego rozwoju wydarzeń, przecież nieprzypadkowo władze nawet nie poinformowały społeczeństwa, że taki szczyt ma się odbyć, zatem nie muszą się tłumaczyć.

Amerykanom na dodatek zdarzają się gafy, które pogłębiają nieufność Pjongjangu…

Mieszkańcy Azji są bardziej wyczuleni na symbole i gesty niż ludzie Zachodu. Jedną z najbardziej niefortunnych wpadek była wypowiedź głównego doradcy prezydenta Donalda Trumpa, Johna Boltona, o zastosowaniu wobec Korei Północnej tzw. modelu libijskiego. Pozycji zwolenników rozmów z USA nie wzmacnia także fakt zerwania przez Donalda Trumpa porozumienia z Iranem.

W czym należy upatrywać przyczyn zmian stosunku Pekinu wobec Pjongjangu?

WIZYTÓWKA

PROF. ZW. DR HAB. WALDEMAR JAN DZIAK

Jest kierownikiem Zakładu Bezpieczeństwa Globalnego i Studiów Strategicznych w Instytucie Studiów Politycznych PAN, a także wykładowcą w Collegium Civitas oraz Akademii Dyplomatycznej w Warszawie.

AFP/KOREA SUMMIT PRESS POOL/EAST NEWS

Tegoroczne spotkanie przywódców obu Korei nie było pierwsze. Poprzednie nie przyniosły poprawy wzajemnych relacji.

Od dawna powtarzam, że klucza do rozwiązania problemu północnokoreańskiej broni atomowej trzeba szukać w Pekinie. W interesie Chin leży, aby „kwestię północnokoreańską" rozwiązywać, ale nie rozwiązać. Korea Północna jest dla Chin wygodnym i użytecznym narzędziem dyplomatycznej presji na sojuszników USA w regionie, głównie – Japonię i Republikę Korei. Chiny traktują północnokoreański reżim jak bufor. Perspektywa upadku KRLD i zjednoczenia Półwyspu Koreańskiego pod auspicjami Korei Południowej, bliskiego sojusznika USA, jest dla Pekinu jak zły sen. Korzyścią dla Chin jest również utrzymywanie przez KRLD liczącego się potencjału militarnego. „Nie zabija się psa, który tak dobrze pilnuje naszego podwórka i tak bezlitośnie kąsa naszych wrogów", powiedział jeden z chińskich naukowców. Chińczycy przez lata prowadzili własną grę, ale przekonali się, że sterowanie Koreą Północną pod rządami krnąbrnego Kim Dzong Una nie jest już dalej możliwe. Za Donalda Trumpa możliwość konfliktu zbrojnego stała się realna, w dodatku bez konsultacji z sojusznikami. W 1994 roku prezydent Bill Clinton chciał zaatakować północnokoreańskie instalacje związane z programem atomowym, ale sprzeciwiła się temu Korea Południowa. Chiny są państwem o największych wpływach gospodarczych w KRLD; największym inwestorem zagranicznym i pierwszym partnerem handlowym Korei Północnej. Tolerowanie KRLD wiąże się też z dostępem do cennych zasobów naturalnych, w tym węgla, złota, uranu. Nie bez znaczenia są również względy historyczne. I dziś słychać opinie, że Korea była kiedyś częścią Chin, a te zawsze stały na straży jej suwerenności, skąd niedaleko już do wniosku, że ChRL nadal nie traktuje KRLD jako zagranicy. Ważny, choć niedoceniany jest też argument o korzyściach ideologicznych.

Czy uda się przekonać Koreę Północną do rezygnacji ze zbrojeń atomowych?

Nawet jeśli dojdzie do porozumienia w tej sprawie, proces będzie rozłożony na wiele lat. Amerykanie popełnili błąd, gdy ogłosili, że ten problem załatwi spotkanie Trumpa z Kimem. Sporną kwestią jest to, jak obie strony interpretują słowo „denuklearyzacja". Dla Amerykanów oznacza ono całkowite, w pełni weryfikowalne rozbrojenie Korei Północnej, natomiast dla Koreańczyków z Północy to tylko pierwszy krok w wielkiej podróży w nieznane. Trzeba pamiętać, że reżim w Pjongjangu przyspieszył program prac nad bronią masowego rażenia w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, gdy stwier-

Nie mam pewności, czy możemy mówić o rzeczywistej zmianie w polityce reżimu, bo nie wiadomo, co naprawdę siedzi w głowie Kim Dzong Una

dził, że nie uda mu się zniwelować przewagi technologicznej USA i ich sojuszników w uzbrojeniu konwencjonalnym. Dlatego Koreańczykom trudno będzie się rozstać z bronią atomową, która w ich mniemaniu zapewniła im nietykalność. Sądzę jednak, że Kim mógłby się zgodzić na rezygnację z niej, ale cena byłaby bardzo wysoka. Zachód wraz z sojusznikami oraz Chinami musieliby zaoferować bardzo szeroki pakiet bezpieczeństwa, obejmujący gwarancje polityczne, w tym spełnić podstawowy, najważniejszy warunek, że świat nie podejmie prób obalenia reżimu. Równie ważne byłoby zapewnienie osobistego bezpieczeństwa członkom elity rządzącej, gdyby doszło do upadku reżimu z przyczyn wewnętrznych.

Czy indoktrynacja stosowana w KRLD oraz skala kontroli obywateli mogą wywołać bunt społeczny?

Dziś jeszcze nie, ale w przyszłości bym tego nie wykluczył, bo już pojawiają się pewne oznaki erozji północnokoreańskiego systemu, na co wpływ ma rozwój nowych technologii, które będą utrudniały utrzymanie kontroli nad społeczeństwem oraz izolacji od świata.

Jakie rysy dostrzega Pan na monolicie reżimu…

Choćby zmianę stosunku członków partii komunistycznej do jej lidera. Podczas VI Zjazdu w 1980 roku Kim Ir Sen wręczył delegatom partii japońskie telewizory (prezentowane jako krajowe), które obdarowani potraktowali jak relikwie. Sprzęt zajął w ich mieszkaniach honorowe miejsce, a sąsiedzi z zazdrością patrzyli na dar od półboga. Podczas ostatniego, VII Zjazdu w 2017 roku Kim Dzong Un sprezentował delegatom chińskie telewizory, które po dwóch dniach od zakończenia zjazdu pojawiły się… na czarnym rynku. Lider KRLD nie jest już takim bóstwem dla społeczeństwa jak wcześniej. Drugi przykład dotyczy przemytu kaset z zagranicznymi filmami. Przed laty groziła za to kara więzienia, dziś można się wykręcić mandatem. Dlaczego te sankcje się zmieniły? Bo oglądanie zakazanych filmów czy programów stało się masowe. To na razie są małe rysy, szczeliny, ale myślę, że z czasem będą się one powiększać, co doprowadzi do pęknięcia monolitu. Kropla drąży skałę.

Jakie opcje trzeba wziąć pod uwagę, jeśli nie uda się osiągnąć realnego porozumienia z Koreą Północną w sprawie broni atomowej?

Uważam że na stole leżą trzy scenariusze dalszego rozwoju wydarzeń. Obecnie w grze jest pierwszy, czyli presja dyplomatyczno-polityczna na Koreę Północną, połączona z surowymi sankcjami ekonomicznymi w myśl rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ. Nieodłącznym elementem tych działań jest także lekka presja militarna. Określenia „lekka" czy „miękka" są tu jak najbardziej na miejscu, ponieważ nie chodzi o realną groźbę wojskowej interwencji tu i teraz, ale o presję wojskową i uprzytomnienie elicie rządzącej w Pjongjangu, że bezpośrednia interwencja militarna Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników jest realna.

Może łatwiej byłoby po prostu pogodzić się z tym, że Pjongjang dysponuje bronią nuklearną?

To jest właśnie drugi scenariusz, który ma wielu zwolenników. Twierdzą oni, że Izrael, Indie i Pakistan po zyskaniu statusu mocarstwa nuklearnego stały się bardziej powściągliwe w działaniu i przewidywalne w sferze militarnej. Jest jednak istotna różnica między tą trójką a reżimem Kima. Korea Północna została uznana za państwo bandyckie, pariasa społeczności międzynarodowej. Pogodzenie się ze statusem atomowym reżimu oznaczałoby spadek prestiżu USA w świecie i utratę wiarygodności sojuszniczej. Jednocześnie zachęciłoby wiele innych krajów do posiadania broni atomowej. Tu prawdopodobna jest zasada domina.

Gdyby zatem nie doszło do osiągnięcia porozumienia w sprawie rozbrojenia reżimu, alternatywą byłaby trzecia opcja – wojna?

A to jest trzeci scenariusz. Amerykańska administracja może podjąć decyzję o interwencji, gdy dojdzie do wniosku, że zawiodły wszelkie próby i kanały polityczno-dyplomatycznego rozwiązania problemu. Opcja militarna jest jednak najtrudniejszym i najbardziej bolesnym sposobem rozwiązania problemu północnokoreańskiej broni atomowej. Amerykanie mają świadomość, że jeśli chcą powstrzymać Kim Dzong Una, to muszą to zrobić teraz. Wydaje się, że północnokoreańskie głowice bojowe nie mają jeszcze zdolności, by po locie w przestrzeni kosmicznej powtórnie wejść w atmosferę. Ponadto większość rakiet balistycznych ma napęd na paliwo ciekłe, co wymaga trwającego prawie godzinę przygotowania do odpalenia. Z informacji wywiadowczych wiemy jednak, że Pjongjang jest zainteresowany zastąpieniem go paliwem stałym, co pozwoliłoby na wystrzelenie rakiet znacznie szybciej, w dodatku z ruchomych platform. Korea Północna wciąż jeszcze potrzebuje czasu na udoskonalenie, przetestowanie, zmodernizowanie elementów programu atomowo-rakietowego, by udowodnić światu, że jest nietykalna, ale przy dotychczasowym tempie rozwoju nie potrzeba na to lat, lecz najwyżej miesięcy. Waszyngton doskonale o tym wie. ■

Pięcioletnia dziewczynka o imieniu Awsaf, jedno z tysięcy głodujących jemeńskich dzieci. Zdjęcie zostało wykonane w lutym 2018 roku w mieście Abjan.

AP/NARIMAN EL-MOFTY/APTOPIX/EAST NEWS

MICHAŁ ZIELIŃSKI

ZAPOMNIANA WOJNA

Organizacje pozarządowe na początku 2018 roku uznały wojnę w Jemenie za jeden z największych współczesnych kryzysów humanitarnych. Mimo to społeczność międzynarodowa przymyka oko na dramatyczną sytuację mieszkańców tego kraju.

Wojna w Jemenie za sprawą saudyjskich nalotów miała się zakończyć w ciągu kilku tygodni. Po ponad trzech latach walk nikt już nie łudzi się szybkim zwycięstwem. Mnogość stron konfliktu, skala cierpienia dotykającego ludność cywilną oraz zaangażowanie zewnętrznych mocarstw przywołują na myśl konflikt w Syrii. Tyle że o Jemenie mało kto pamięta.

Każdego miesiąca setki Jemeńczyków tracą życie w wyniku bombardowań, zamachów terrorystycznych, epidemii oraz głodu. Raport sporządzony w maju 2018 roku przez Biuro Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw Praw Człowieka okazał się druzgocący. Tylko w kwietniu 2018 roku w wyniku walk śmierć poniosło 236 cywilów, a kolejnych 238 zostało rannych. Zarazem nikt do końca nie jest w stanie stwierdzić, ile osób zginęło od początku tego krwawego konfliktu. Ostrożne szacunki zakładają od 9 tys. do 15 tys. ofiar, w tym ponad 5200 cywilów. Kolejne 50 tys. niewinnych ludzi odniosło rany. Przedstawiciele organizacji humanitarnych działających na terytorium Jemenu określają tę wojnę jako najgorszy trwający kryzys humanitarny. Według danych przedstawionych przez sekretarza generalnego ONZ António Guterresa, trzech na czterech mieszkańców tego kraju potrzebuje natychmiastowej pomocy, ponad 16 mln osób nie ma dostępu do podstawowego zaplecza medycznego. O tym, jakie niesie to konsekwencje, świat przekonał się jesienią 2016 roku. Trwająca od tego czasu epidemia cholery dotknęła ponad milion osób, a co najmniej 2255 kosztowała życie.

AMNESTY INTERNATIONAL ODNOTOWAŁA 36 NALOTÓW, KTÓRE ŁAMIĄ PRAWO MIĘDZYNARODOWE. BOMBY ZRZUCONE NA CELE CYWILNE, W TYM SZPITALE, SZKOŁY CZY MECZETY, DOPROWADZIŁY DO ŚMIERCI CO NAJMNIEJ 513 CYWILÓW

Kryzys humanitarny pogłębia blokada powietrzna i morska nałożona przez saudyjską koalicję. Miała być ona sposobem na powstrzymanie zaopatrywania bojowników →

BLISKO **18 MLN MIESZKAŃCÓW** JEMENU ZMAGA SIĘ Z BRAKIEM ŻYWNOŚCI, A CO DRUGIE DZIECKO PONIŻEJ PIĄTEGO ROKU ŻYCIA JEST CHRONICZNIE NIEDOŻYWIONE

Huti. W praktyce ogranicza nie tylko przepływ broni, lecz także o ponad połowę zmniejsza import najbardziej potrzebnych środków, w tym pożywienia i leków. Jednocześnie część z przetransportowanych dóbr dostaje się w ręce walczących frakcji, które usiłują je sprzedać po zawyżonych cenach. W efekcie w Jemenie szerzy się głód. Blisko 18 mln mieszkańców tego kraju zmaga się z brakiem żywności, a co drugie dziecko poniżej piątego roku życia jest chronicznie niedożywione. Według organizacji Save the Children, w wyniku wyniszczenia organizmu średnio 130 z nich każdego dnia umiera.

Powyższe statystyki obrazują, jak dramatyczna jest sytuacja w Jemenie. Nie pokazują jednak, że pogłębiający się kryzys humanitarny nie jest wyłącznie efektem lokalnej przepychanki. Za cierpienie każdej ofiary odpowiadają przede wszystkim dwa bliskowschodnie mocarstwa.

NIETYPOWA KOALICJA

Kiedy w 2012 roku w wyniku Arabskiej Wiosny prezydent Ali Abd Allah Salih ustąpił ze stanowiska, mało kto spodziewał się większych zmian w Jemenie. Władzę po nim przejął dotychczasowy wiceprezydent, Abd Rabbuh Mansur Hadi. Już w pierwszych dniach urzędowania polityk ten musiał stawić czoła tragicznej sytuacji ekonomicznej kraju i lokalnym konfliktom. Na północnym zachodzie szyickie bojówki Huti (które notabene zbojkotowały wybór nowego prezydenta) ścierały się z radykalnymi salafitami. Południe zostało zdominowane przez separatystyczną rebelię lokalnych plemion, które od kilku lat dążyły do uniezależnienia się od znienawidzonego rządu. Jednocześnie centrum Jemenu znajdowało się pod kontrolą najprężniejszego i najbardziej niebezpiecznego skrzydła Al-Kaidy, znanego jako Al-Kaida Półwyspu Arabskiego. Organizacja ta miała na koncie wiele skutecznych zamachów, w tym atak na amerykański okręt USS „Cole" oraz masakrę w Al-Chubar. Terroryści dali o sobie znać także w dniu zaprzysiężenia Hadiego. W wyniku wybuchu samochodu pułapki w mieście Al-Mukalla zginęło kilkunastu członków elitarnej Gwardii Republikańskiej.

Pod rządami Hadiego wszystkie z wymienionych frakcji wzmocniły swoją pozycję. Najwięcej zyskali Huti, którzy w ciągu kilkunastu miesięcy zdołali przejąć kontrolę nad całą prowincją Sada. Do 2014 roku to zajdyckie ugrupowanie (odmiana szyizmu, wyznawcy zajdyzmu stanowią 30% mieszkańców Jemenu) zdołało nie tylko zyskać przychylność wielu zewnętrznych frakcji, lecz także doprowadzić do udanej rebelii w Sanie, stolicy Jemenu. Po krótkich walkach bojownicy przejęli kontrolę nad miastem i zmusili prezydenta do ucieczki z kraju. Na polityczną scenę wrócił tymczasem Ali Abd Allah Salih i poparł swoich dotychczasowych wrogów. Za jego deklaracją polityczną poszły także konkretne czyny – do walczących rebeliantów dołączyły lojalne wobec Saliha siły bezpieczeństwa. Co ciekawe, w grudniu 2017 roku oskarżyli Saliha o brak lojalności i zabili byłego prezydenta podczas próby ucieczki z Sany.

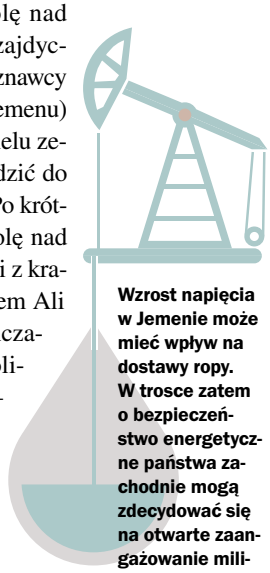

Wzrost napięcia w Jemenie może mieć wpływ na dostawy ropy. W trosce zatem o bezpieczeństwo energetyczne państwa zachodnie mogą zdecydować się na otwarte zaangażowanie militarne.

Powstanie Huti wywołało reakcję Arabii Saudyjskiej i innych państw zatoki, które na sukces szyickich bojówek odpowiedziały intensywnymi nalotami. Do koalicji przystąpiły m.in. Zjednoczone Emiraty Arabskie, Kuwejt, Jordania, Egipt oraz Maroko. Wsparcie dla powstałego sojuszu zapewniły także Francja, Wielka Brytania i USA. W niedługim czasie prezydenta Hadiego poparli również rebelianci z południa, co nawet dla lokalnych obserwatorów stanowiło niemałe zaskoczenie. Bojówki te pozostawały w konflikcie z rządem centralnym od połączenia Jemenu Północnego i Południowego w 1990 roku.

Za nietypową koalicją stał lęk przed diametralnym zwiększeniem wpływów Iranu w tym regionie. Już w 2015 roku przedstawiciele ONZ oskarżyli Teheran o szkolenie i dozbrajanie bojówek Huti, jednak jego działania znacznie wykraczają poza wsparcie militarne. Rywalizacja pomiędzy dwoma regionalnymi mocarstwami o wpływy na Bliskim Wschodzie toczy się od blisko 40 lat i nie ulega wątpliwości, że Jemen, zaraz po Syrii i Iraku, stanowi dla Teheranu kolejną okazję do osłabienia pozycji oponenta. W wypadku całkowitego przejęcia kontroli nad Jemenem, Iran objąłby pieczę nad cieśniną Bab al-Mandab, która łączy Morze Czerwone z Zatoką Adeńską i przez którą w dużej mierze odbywa się międzynarodowy transport ropy. Chaos w tym regionie pozwala także na infiltrację liczącej ponad 1770 km granicy Jemenu z Arabią Saudyjską, która nawet według Rijadu stanowi piętę achillesową królestwa. Z tych względów stłumienie rebelii Huti jest dla Saudów sprawą priorytetową.

ZBRODNIE WOJENNE

Tymczasem przedłużająca się operacja nie tylko nie przynosi efektów, lecz także doprowadza do tarć między członkami koalicji. Na początku maja 2018 roku media poinformowały o desancie żołnierzy Zjednoczonych Emiratów Arabskich na Sokotrę. Ten należący do Jemenu archipelag wyróżnia się unikatową biosferą. Przy czym nie toczyły się tam żadne walki. Celem ZEA najprawdopodobniej było przygotowanie zaplecza pod infrastrukturę, w tym kompleksy turystyczne. Ruch ten niemal doprowadził do starć z siłami saudyjskimi. Po kilkunastu dniach kryzys zażegnano, ale nie oznacza to, że w przyszłości jedno z państw koalicji ponownie nie spróbuje rozegrać czegoś na własną rękę.

Cień na działania koalicji rzucają także zbrodnie wojenne. Amnesty International odnotowała 36 nalotów, które łamią prawo międzynarodowe. Bomby zrzucone na cele cywilne, w tym szpitale, szkoły czy meczety, doprowadziły do śmierci co najmniej 513 cywilów. Oskarżenia te potwierdza wysoki komisarz ONZ do spraw praw człowieka, według którego około 2/3 zgonów wśród cywilów jest efektem nalotów koalicji. Zbrodni wojennych dopuszczają się również bojownicy Huti, którzy odpowiadają nie tylko za tragiczne w skutkach oblężenie Taizz, lecz także w brutalny sposób rozprawiają się ze swoimi krytykami, w tym dziennikarzami i aktywistami.

Obie strony są posądzane również o przeprowadzanie ostrzałów artyleryjskich na ślepo, w miejscach o dużej gęstości zaludnienia. Sytuacji nie poprawia postawa społeczności międzynarodowej, która masowo dostarcza walczącym frakcjom broń. Zarówno „New York Times", jak i CNN dotarły do informacji, które potwierdzały przemyt uzbrojenia z irańskimi oznaczeniami na terytorium Huti. Wśród nich znajdowały się m.in. rakiety ziemia-powietrze oraz ziemia-ziemia wykorzystywane później do ostrzeliwania saudyjskich miast. Z drugiej strony, sama koalicja oskarżana jest o używanie zakazanej broni, w tym bomb kasetowych brytyjskiej i amerykańskiej produkcji.

WIZERUNKOWA KLĘSKA

Na razie nie widać szans na zakończenie konfliktu w Jemenie. Rebelia Huti nie tylko nie chyli się ku końcowi, ale przez cały czas stawia opór koalicji, jednocześnie skutecznie terroryzując ostrzałami rakietowymi miasta Arabii Saudyjskiej. Jeden z największych ataków odbył się 25 marca 2018 roku, w trzecią rocznicę rozpoczęcia wojny. Wszystkie z siedmiu rakiet zostały przechwycone przez saudyjskie systemy Patriot. Odłamek zestrzelonej rakiety zabił obywatela Egiptu, który tym samym stał się pierwszą ofiarą ostrzału Huti w Rijadzie.

Raczej mało prawdopodobne jest, żeby tego typu incydenty doprowadziły do otwartej wojny między Arabią Saudyjską i Iranem, ale z pewnością wpływają na sytuację w całym regionie. Po obronie rządów Baszszara al-Asada w Syrii i ustabilizowaniu pozycji w Iraku, zachęcony sukcesami Teheran będzie próbował dalej rozszerzać swoją strefę wpływów, zwłaszcza że postępy bojowników Huti mogą zmusić Saudów do zmniejszenia swojego zaangażowania w innych wojnach zastępczych. W odpowiedzi mogą oni próbować destabilizować kraje, w których Iran ma ugruntowaną pozycję. Mowa tu przede wszystkim o Libanie. Scenariusz ten jest o tyle prawdopodobny, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy Saudowie zyskali kolejnego niespodziewanego sojusznika. W obawie przed szyicką ekspansją ich działania poparł Izrael. Nietrudno wyobrazić sobie sytuację, w której ten nietypowy duet decyduje się na konfrontację z Hezbollahem.

W odniesieniu do Zachodu wzrost napięcia w Jemenie może mieć wpływ na dostawy ropy. W trosce zatem o bezpieczeństwo energetyczne państwa zachodnie mogą zdecydować się na otwarte zaangażowanie militarne. Już teraz w centralnej oraz południowej części kraju operują brytyjskie i amerykańskie siły specjalne, prowadzone są także naloty wymierzone w Al-Kaidę Półwyspu Arabskiego oraz miejscowy odłam tzw. Państwa Islamskiego. To właśnie z tymi organizacjami wiąże się kolejne zagrożenie. Postępujący chaos może dać im pole do zwiększenia wpływów także poza Jemenem. Dla światowej koalicji do walki z terroryzmem oznaczałoby to nie tylko klęskę wizerunkową, lecz także powrót do stanu sprzed kilkunastu lat. Dla lokalnej ludności zaś sytuacja pozostałaby bez zmian. ■

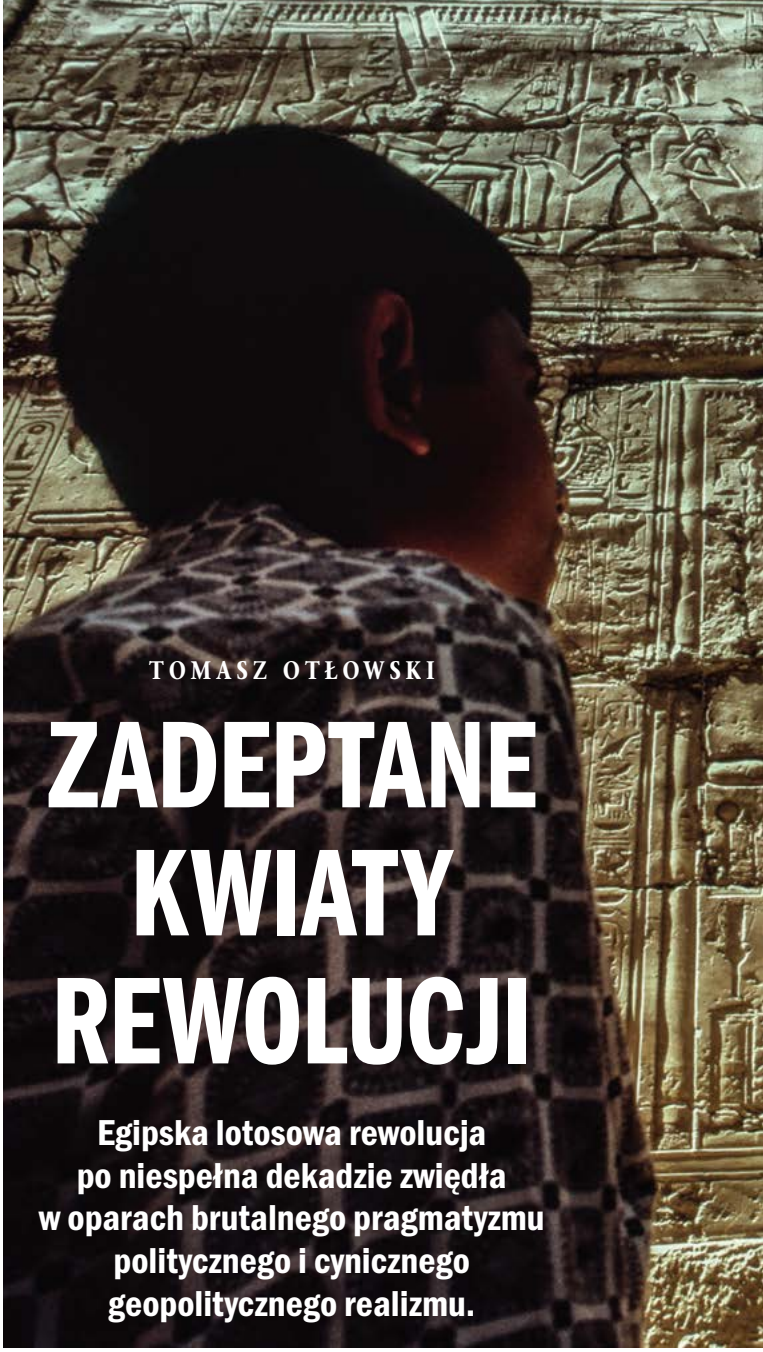

TOMASZ OTŁOWSKI

ZADEPTANE KWIATY REWOLUCJI

Egipska lotosowa rewolucja po niespełna dekadzie zwiędła w oparach brutalnego pragmatyzmu politycznego i cynicznego geopolitycznego realizmu.

Kiedy w marcu 2018 roku egipski prezydent Abd el-Fatah as-Sisi został wybrany na drugą kadencję, uzyskując w powszechnej elekcji 97% głosów, stało się jasne, że w najbliższych latach w Egipcie niewiele się zmieni, a już z pewnością nie na lepsze. Coraz mniej realne stają się szumne zapowiedzi rychłej demokratyzacji kraju i obietnice reform, składane od lat przez wojskowych. As-Sisi, rządzący krajem twardą ręką od czasu dokonanego przez siebie w lipcu 2013 roku wojskowego zamachu stanu, coraz wyraźniej wchodzi w rolę autorytarnego przywódcy na miarę Hosniego Mubaraka, wieloletniego dyktatora kraju. Mubaraka pozbawiono władzy w 2011 roku w efekcie rewolty Arabskiej Wiosny, As-Sisi zaś zdobył rządy w Egipcie po obaleniu pięć lat temu prezydenta Mohammeda Mursiego, wywodzącego się z islamistycznego Bractwa Muzułmańskiego.

DEMOKRACJA ZAWIESZONA NA KOŁKU

Paradoks – i największy dramat współczesnego Egiptu – polega na tym, że to właśnie Mursi i jego Bracia Muzułmanie objęli władzę nad Nilem w wyniku autentycznie wolnych i demokratycznych wyborów, jakich nigdy wcześniej w Egipcie nie było i chyba długo już nie będzie. Nikt nie zaryzykuje bowiem kolejnych eksperymentów z pełną i niczym nieskrępowaną demokracją w kraju, w którym tak silne (zwłaszcza na prowincji) okazało się poparcie dla konserwatywnych wartości islamskich. Krótkie i burzliwe rządy Bractwa z lat 2012–2013 otwarcie zmierzały do przekształcenia Egiptu w państwo islamskie, oparte na surowych regułach szariatu. Coś takiego nie mogło być jednak tolerowane w regionie, gdzie radykalny islam jest największym zagrożeniem dla geopolitycznego status quo oraz stabilności politycznej poszczególnych krajów. Egipska armia dokonała zatem zamachu stanu, stając na straży, jeśli już nie świeckości państwa, to co najmniej obowiązującej oficjalnie umiarkowanej wersji islamu. I choć tym samym demokrację w Egipcie zawieszono „na czas nieokreślony", działanie to spotkało się z pełnym politycznym poparciem zarówno ze strony innych krajów regionu, jak i społeczności międzynarodowej, w tym także Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej.

Od tego czasu egipskie władze coraz szerzej stosują represje nie tylko wobec członków i sympatyków ponownie zdelegalizowanego Bractwa, lecz także innych przeciwników politycznych (rzeczywistych lub domniemanych), podejmując działania dalekie od standardów demokracji. Korzystając ze specjalnych uprawnień stanu wyjątkowego (obowiązującego od kwietnia 2017 roku), władze coraz bardziej ograniczają swobody i prawa obywatelskie pod pretekstem walki z terroryzmem i ekstremizmem religijnym. Coraz ostrzejsza cenzura dotyka nie tylko klasyczne media (prasę, radio, TV), lecz także te społecznościowe, które przed siedmiu laty odegrały tak ważką rolę w wybuchu, a później sukcesie egipskiej lotosowej rewolucji, będącej jedną z niewielu relatywnie bezkrwawych i pokojowych odsłon Arabskiej Wiosny.

Symbolem obecnej sytuacji w kraju stały się wspomniane już niedawne wybory prezydenckie, będące w istocie farsą demokracji – niczym Władimir Putin w Rosji, As-Sisi nie miał w istocie żadnych liczących się kontrkandydatów. Stosując kruczki prawne i administracyjne, naciski finansowe, a w ostateczności nawet

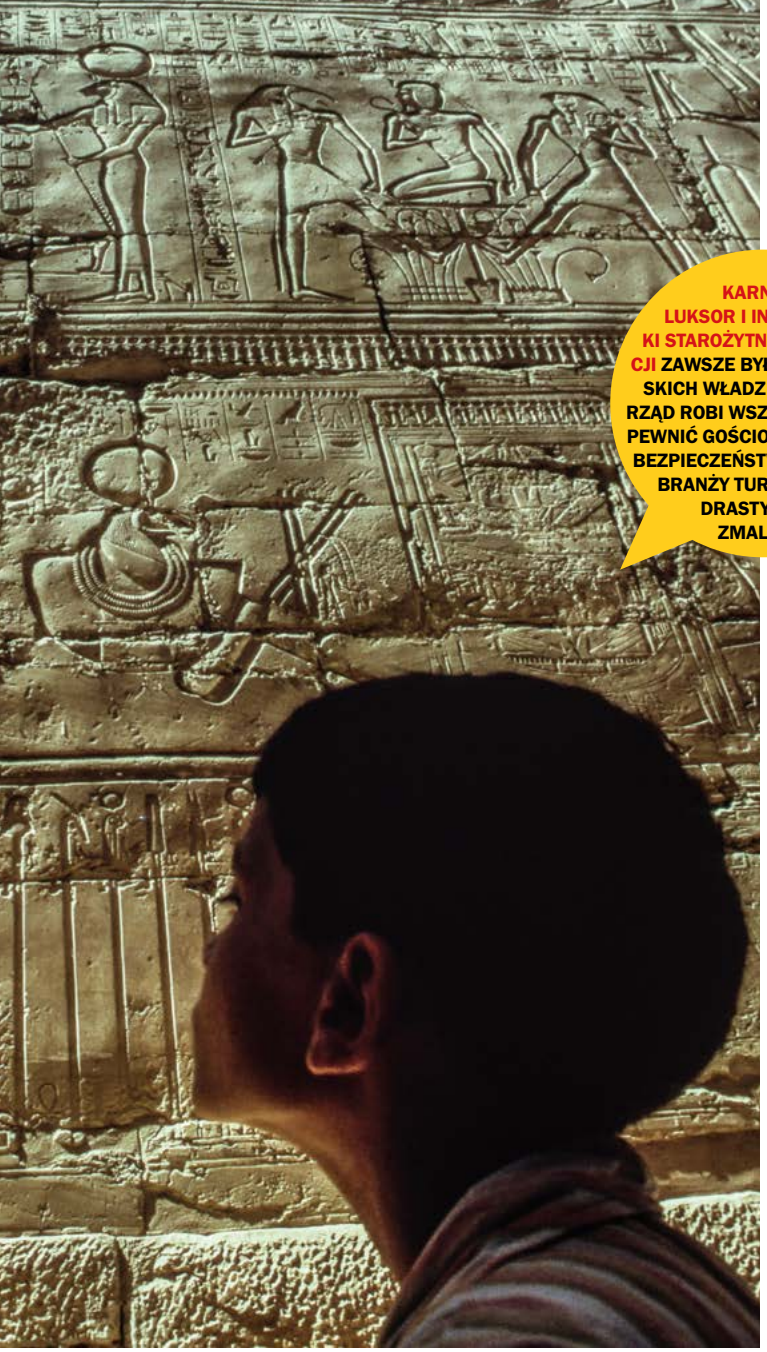

JEFFREY FOXX/UN

KARNAK, LUKSOR I INNE ZABYTKI STAROŻYTNEJ CYWILIZACJI ZAWSZE BYŁY DUMĄ EGIPSKICH WŁADZ. POMIMO ŻE RZĄD ROBI WSZYSTKO ABY ZAPEWNIĆ GOŚCIOM MAKSIMUM BEZPIECZEŃSTWA, DOCHODY BRANŻY TURYSTYCZNEJ DRASTYCZNIE ZMALAŁY.

zwykłe zastraszanie – władze skutecznie wyeliminowały w toku procedur przedwyborczych niemal wszystkich chętnych do stanięcia w polityczne szranki z urzędującym prezydentem. Niemal, bo wyjątek uczyniono dla Moussy Mostafy Moussy'ego – znanego egipskiego architekta i polityka, będącego jednak bliskim współpracownikiem As-Sisiego (prowadził jego kampanię wyborczą do chwili podjęcia decyzji o samodzielnym starcie). W celu zwiększenia frekwencji w lokalach wyborczych serwowano darmowe posiłki, sprzedawano po symbolicznych cenach luksusowe towary, wywierano też naciski na studentów, urzędników państwowych, policjantów i żołnierzy. Na niewiele się to zdało – frekwencja wyniosła nieco ponad 40% i była tym samym – jak na warunki egipskie – rekordowo niska. Co ciekawe, niemal 5% (ponad milion ludzi!) spośród biorących udział w głosowaniu Egipcjan skreśliło obu kandydatów i wpisało na karcie wyborczej nazwisko Mohameda Salaha, najpopularniejszego egipskiego piłkarza. Wszystko to dobitnie świadczy o skali społecznego niezadowolenia z pięciu lat rządów obecnej ekipy, wywodzącej się wszak w dużej mierze z kręgów powiązanych z dawną polityczną i militarną nomenklaturą z czasów Hosniego Mubaraka.

As-Sisi zdaje się jednak tym nie przejmować – ma przecież zagwarantowane kolejne pięć lat rządów (a już mówi się w Egipcie o planach przedłużenia prezydenckiej kadencji do sześciu lub nawet ośmiu lat) i całkowicie kontroluje sytuację polityczną w kraju. Cieniem na rządach ekipy As-Sisiego kładą się jedynie nie najlepsza sytuacja ekonomiczna oraz wciąż duże zagrożenie ze strony ekstremistów z Państwa Islamskiego. To zresztą kwestie ściśle ze sobą związane – groźba zamachów i ataków terrorystycznych odstrasza wielu turystów z Zachodu, co przekłada się na spadek dochodów branży turystyczno-hotelarskiej, stanowiącej jeden z filarów egipskiej gospodarki. Rząd robi więc wszystko, aby zapewnić turystom maksimum bezpieczeństwa, włącznie z wykorzystywaniem wojska do stałego patrolowania i pilnowania kluczowych obiektów oraz rejonów o charakterze turystycznym. Na większości terytorium kraju działania te – możliwe także dzięki specjalnym instrumentom prawnym zapewnianym przez obowiązujący od ponad roku stan wyjątkowy – przynoszą rezultaty. Wyjątkiem jest północna część półwyspu Synaj, od ponad trzech lat stanowiąca bastion tzw. prowincji Synaj (Wilajet as-Sinai) Państwa Islamskiego (IS).

Pomimo zaangażowania znacznych sił i środków egipskie siły bezpieczeństwa najwyraźniej nie radzą sobie jednak z islamistyczną rebelią na Synaju, która stopniowo obejmuje coraz to nowe regiony półwyspu. Sytuacja w tej części kraju jest znacznie bardziej niebezpieczna niż to wynika z oficjalnych danych i doniesień. Władze w Kairze ukrywają stan faktyczny przed opinią publiczną, także – a może zwłaszcza – tą międzynarodową, obawiając się dalszego spadku napływu zagranicznych turystów. Wiosną 2018 roku Egipcjanie podjęli na północy półwyspu zakrojoną na szeroką skalę ofensywę przeciwko IS, z udziałem czołgów, artylerii i lotnictwa. Stawką jest bezpieczeństwo głównych ośrodków turystycznych Egiptu na Synaju (kurorty w Szarm el-Szejk, Nuweibie, Tabie czy Dahab). Ponieważ półwysep Synaj na mocy egipsko-izraelskiego układu pokojowego z Camp David z 1979 roku stanowi strefę →

UTRZYMUJĄCE SIĘ NA WCIĄŻ RELATYWNIE WYSOKIM POZIOMIE **ZAGROŻENIA TERRORYSTYCZNE** SPRAWIAJĄ, ŻE REŻIM AS-SISIEGO I JEGO DZIAŁANIA CIESZĄ SIĘ PEŁNYM POPARCIEM MIĘDZYNARODOWYM

zdemilitaryzowaną, obecna operacja antyterrorystyczna jest koordynowana z Izraelem. Tel Awiw-Jaffa już wcześniej, w latach 2011–2015, kilkukrotnie wyrażał zgodę na stopniowe zwiększanie egipskiej obecności wojskowej na Synaju. Dzisiaj na tym półwyspie stacjonuje już 88 batalionów armii egipskiej, czyli około 42 tys. żołnierzy (jeszcze rok temu było to 41 batalionów z 25 tys. żołnierzy), co oznacza, że co dziesiąty egipski żołnierz pełni obecnie służbę na Synaju. W lutym 2018 roku władze w Kairze zwróciły się także do Izraela o bezpośrednie wsparcie militarne: od tamtej pory izraelskie siły powietrzne wykonały już ponad sto nalotów na pozycje i bazy IS w północno-wschodniej części półwyspu.

PREZYDENT ABD EL-FATAH AS-SISI ma zagwarantowane kolejne pięć lat rządów i całkowicie kontroluje sytuację polityczną w kraju.

STAN WYŻSZEJ KONIECZNOŚCI

Problemy z tzw. Państwem Islamskim w Egipcie to jednak nie tylko Synaj – od dwóch lat terrorystyczna aktywność IS (ale też komórek wciąż działającej w tym kraju Al-Kaidy) narasta także w głównej, afrykańskiej części kraju. Zamachy dotykają przede wszystkim Koptów (egipskich chrześcijan), a także różne mniejszości wyznaniowe w łonie samego islamu, głównie szyitów i sufich. Co ciekawe, wbrew wcześniejszym obawom po walkę zbrojną i terror nie sięgnęli jeszcze członkowie i zwolennicy Bractwa Muzułmańskiego, prześladowani od 2013 roku.

To właśnie utrzymujące się na wciąż relatywnie wysokim poziomie zagrożenia terrorystyczne sprawiają, iż reżim As-Sisiego i jego działania cieszą się pełnym poparciem międzynarodowym. Choć obecna ekipa rządząca w Kairze jest obciążona grzechem wojskowego puczu i obalenia demokratycznych władz, to As-Sisi i jego „aksamitny autorytaryzm" nad Nilem są powszechnie uznawane na świecie za stan wyższej konieczności. Za mniejsze zło niż rządy islamistów z Bractwa Muzułmańskiego, o chaosie na wzór panującego w Syrii czy Jemenie już na nawet nie wspominając.

Obecny rząd w Kairze ma pełną świadomość tych uwarunkowań geopolitycznych i stara się – trzeba przyznać, że dość skutecznie – wykorzystać je dla umocnienia pozycji Egiptu na arenie międzynarodowej, szczególnie w najbliższym otoczeniu (Afryka Północna i Wschodnia, Bliski Wschód). Egipt stał się w ostatnich kilku latach ważnym elementem regionalnego układu sił. A także aktywnym graczem, jeśli chodzi o działania na rzecz zwalczania zagrożeń ekstremistycznych i terrorystycznych w regionie – od Libii i Sahelu, przez Sudan, aż po Bliski Wschód (głównie Lewant i Zatokę Perską). Ich symbolem stała się m.in. seria ataków powietrznych, dokonanych przez egipskie lotnictwo bojowe na cele kalifatu w Libii w latach 2015–2016.

Rządzony przez juntę As-Sisiego Kair postawił w regionalnej rozgrywce na wypróbowane już aksjomaty polityczne i ideowe w postaci arabskiego nacjonalizmu i sunnickiej solidarności wyznaniowej. Tym samym Egipt otwarcie i jednoznacznie uplasował się po jednej ze stron ideologiczno-religijnego sporu w łonie islamu, współpracując z arabskimi i sunnickimi pobratymcami z Arabii Saudyjskiej (i jej sprzymierzeńcami z regionu Zatoki Perskiej) oraz Jordanii. Równocześnie kluczowymi aksjomatami w egipskiej strategii międzynarodowej pozostają zwalczanie islamskiego ekstremizmu i terroryzmu pod każdą posta-

cią organizacyjną i ideologiczną oraz sprzeciw wobec artykułowanych przez Ankarę planów restytucji tureckiej strefy wpływów w regionie (ewidentnie opartych na dawnych osmańskich resentymentach).

CHWIEJNE SOJUSZE

Wszystko to pchnęło Kair na szerokie i nieznane dotychczas wody regionalnej geopolityki i dyplomacji, czego efekty bywają nieraz zaskakujące, nawet dla samych Egipcjan. Jak wtedy, gdy w 2015 roku bezwarunkowe poparcie udzielane Arabii Saudyjskiej doprowadziło do udziału egipskich żołnierzy w wysoce kontrowersyjnej jemeńskiej wyprawie Rijadu. W operacji tej biorą udział „w imię arabskiej solidarności i bezpieczeństwa regionu" samoloty bojowe sił powietrznych Egiptu oraz okręty marynarki wojennej tego kraju, a także prawdopodobnie niewielki kontyngent sił lądowych.

Sojusz z Królestwem Saudów bywa też przez Rijad wykorzystywany z premedytacją, zwłaszcza gdy w grę wchodzą fundamentalne strategiczne interesy Egiptu. Tak jak wtedy, gdy w czerwcu 2017 roku Arabia Saudyjska niespodziewanie podjęła decyzję o zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Katarem – swym najbliższym do niedawna sojusznikiem w regionie – i ustanowieniu całkowitej blokady jego terytorium. Egipt był jednym z kilku państw arabskich, które bez wahania poparły decyzję Rijadu, a nawet zachęcały Saudów do eskalacji działań wobec Dohy, co wynikało jednak bardziej z chłodnej kalkulacji reżimu As-Sisiego, niż z samego faktu podporządkowania się liderowi nowego geopolitycznego bloku w tej części świata. Jak wspomniano, jednym z głównych paradygmatów aktywności międzynarodowej obecnych władz w Kairze stało się tępienie islamskiego fundamentalizmu, w każdej postaci i w każdym miejscu w regionie. Katar zaś naraził się swym sojusznikom w Rijadzie, Kairze czy Ammanie tym, że od lat w różnych miejscach Bliskiego Wschodu wspierał organizacyjnie, finansowo i materialnie zarówno samych Braci Muzułmanów, jak i struktury wyrosłe z tej grupy, takie jak np. palestyński ruch Hamas, od ponad dekady rządzący twardą ręką Strefą Gazy.

Egipskie obawy przed wpływami Bractwa Muzułmańskiego w regionie przybierają zresztą niemal formę obsesji – Kair widzi potencjalne oddziaływania i wpływy Braci wszędzie tam, gdzie napotyka problemy w swej polityce zagranicznej. Jak choćby w relacjach z Sudanem i Etiopią, w których formalnie głównym punktem spornym jest Wielka Etiopska Tama Odrodzenia (znana też jako Tama Tysiąclecia lub po prostu GERD, od skrótu swej angielskojęzycznej nazwy), budowana właśnie na Nilu Błękitnym przez Etiopczyków, a wspierana przez Chartum. Ale Kair, zaniepokojony perspektywą ewentualnego zamknięcia spływu wody z górnych partii Nilu i jego dopływów, węszy tu spisek Bractwa. Tym bardziej że będący zwolennikami powstania GERD Sudańczycy zacieśniają więzi polityczne i ekonomiczne z Turcją, jawnie wspierającą działania Bractwa Muzułmańskiego w całym szeroko rozumianym regionie. Niedawno ważnym elementem tych szybko poprawiających się relacji sudańsko-tureckich stało się wydzierżawienie Turkom przez Chartum strategicznej wyspy Suakin na Morzu Czerwonym, gdzie być może powstanie już niedługo turecka baza militarna.

Próbując zbalansować niekorzystne dla siebie trendy w regionalnej geopolityce, Kair usilnie dąży do pozyskania nowych sojuszników w tej części świata. Jednym z nich jest najmłodsze państwo świata, czyli Sudan Południowy, w którym Egipcjanie widzą zarówno przeciwwagę dla niechętnego im Sudanu, jak i pomost w relacjach z położonymi dalej na południe krajami Czarnej Afryki. Egipt wspiera ekonomiczne i humanitarne inicjatywy dla Sudanu Południowego, patronuje też idei przyjęcia tego kraju do Ligi Państw Arabskich. To ostatnie jest ideą nieco karkołomną, zważywszy na fakt, iż rdzenni Arabowie stanowią niewielki odsetek mieszkańców tego kraju (głównie w stołecznej Dżubie), a jego związki ze światem arabskim (i generalnie islamskim) są znikome.

TWARDOGŁOWI Z KAIRU

Autorytarne rządy ekipy Abd el-Fataha as-Sisiego nie są z pewnością spełnieniem marzeń Egipcjan, którzy siedem lat temu masowo demonstrowali na placu Wolności w Kairze, żądając demokracji i większej wolności. Tej zwykłej, codziennej i osobistej, ale też tej społecznej i państwowej. Nie jest to także szczyt marzeń dla wielu regionalnych i globalnych potęg, które – cytując prezydenta Donalda Trumpa – muszą się dzisiaj „użerać z twardogłowymi wojskowymi z Kairu". Przekleństwem dla Egiptu okazują się jego położenie geopolityczne i aktualne strategiczne uwarunkowania międzynarodowe, które w imię spraw szerszych i ważniejszych wymuszają zaakceptowanie przez świat takiego, a nie innego obrotu wydarzeń nad Nilem. Wszystko to oznacza jednak, że lotosowa rewolucja, która po pierwszych tygodniach swego trwania i pierwszych sukcesach miała realne szanse na pełny rozkwit, ostatecznie – po niespełna dekadzie – zwiędła w oparach brutalnego pragmatyzmu politycznego i cynicznego geopolitycznego realizmu. Pocieszeniem dla Egipcjan może być jedynie fakt, iż losy ich kraju nie potoczyły się tak, jak niedalekiej Syrii lub Jemenu. ■

JOE KANE/US NAVY

RAFAŁ CIASTOŃ

KOLEKCJA KLEJNOTÓW

Czy pomysł Pekinu na zbudowanie baz morskich oznacza ekspansję militarną, czy raczej stworzenie współczesnego jedwabnego szlaku?

Termin „sznur pereł" pojawił się w mediach i dyskursie politycznym już w 2005 roku i odnosił do chińskiej inicjatywy stworzenia infrastruktury portowej wzdłuż morskich szlaków komunikacyjnych, służącej temu, by szerzej wyjść na Ocean Indyjski. Perłami nazywano porty na należących do Mjanmy Wyspach Kokosowych, w bangladeskim Chittagongu, lankijskiej Hambantocie czy wreszcie pakistańskim Gwadarze. Niepokój, szczególnie w sąsiednich Indiach, wzbudziła zwłaszcza ta ostatnia lokalizacja. Twierdzono bowiem, że Gwadar przede wszystkim będzie pełnił funkcję militarną, a nie handlową.

WSPÓŁCZESNY JEDWABNY SZLAK

Dziś termin „sznur pereł" nieco się zdezaktualizował, a chińskie inwestycje kojarzone są raczej z inicjatywą nowego jedwabnego szlaku. Tyle że rozwijająca się w szybkim tempie chińska marynarka wojenna będzie w przyszłości potrzebować instalacji logistyczno-portowych, w innym bowiem wypadku nigdy nie stanie się siłą prawdziwie oceaniczną. Pierwszy port o takim charakterze powstał w Dżibuti i stanowi zaplecze operacji antypirackiej w Rogu Afryki, kolejny jest budowany prawdopodobnie w Jiwani, około 90 km od Gwadaru. Ostatnio australijskie media poinformowały natomiast o chińskich planach dotyczących Republiki Vanuatu, wyspiarskiego państwa zajmującego archipelag Nowych Hebrydów.

Chińską bazę w Dżibuti otwarto w połowie 2017 roku. Jest to instalacja o charakterze logistycznym, niesłużąca bezpośrednio projekcji siły w regionie. Co ciekawe, w tym miejscu, czyli na nieco ponad 23 tys. km^2, swoje bazy ma aż pięć państw, tj. Stany Zjednoczone, Francja, Włochy, Japonia i Chiny, a dwa kolejne – Niemcy i Hiszpania – korzystają z bazy francuskiej. O wyjątkowej pozycji Dżibuti decyduje idealne położenie geograficzne – na styku Zatoki Adeńskiej i Morza Czerwonego – pozwalające kontrolować zarówno szlak sueski, Róg Afryki, jak i Półwysep Arabski. Równie ważna jest stabilność polityczna tego kraju, jaką nie może się poszczycić żaden z sąsiadów.

Chiny są zaangażowane w operacje antypirackie w tym regionie od 2008 roku i brak infrastruktury portowej utrudniał stałą obecność ich marynarki wojennej na wodach Zatoki Adeńskiej oraz Oceanu Indyjskiego. Wybór Dżibuti na pierwszą bazę zagraniczną jest idealny również wizerunkowo – skoro jest tam obecnych militarnie sześć innych państw, trudno krytykować pomysł powstania kolejnej. Wreszcie, Chiny są ważnym partnerem gospodarczym wielu krajów afrykańskich i planują coraz większe inwestycje w tym regionie. Zaangażowanie w projekty infrastrukturalne w Etiopii oraz wydobycie ropy naftowej w Sudanie tak samo wymagają zaplecza logistycznego, jak udział w operacji antypirackiej.

Baza w Jiwani, jeśli rzeczywiście powstanie, będzie mieć zdecydowanie większe znaczenie strategiczne. Chiny są tradycyjnym sojusznikiem Pakistanu ze względu na konflikt z Indiami. Nowe Delhi traktuje plany szerszego wyjścia na wody Oceanu Indyjskiego jako element geostrategicznej rywalizacji tych dwóch azjatyckich potęg. Mimo długiej linii brzegowej (około 14,5 km) Chiny nie są bowiem mocarstwem oceanicznym. Morza: Żółte,

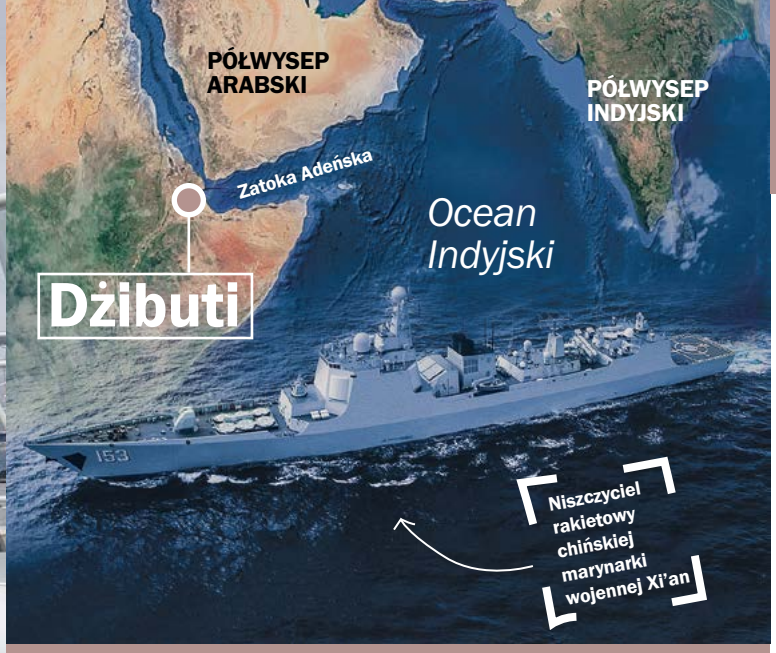

MD / DZIAŁ GRAFICZNY

Chińską bazę w Dżibuti otwarto w połowie 2017 roku jako instalację o charakterze logistycznym, niesłużącą bezpośrednio projekcji siły. A przecież Chiny są zaangażowane w operacje antypirackie w tym regionie od 2008 roku i brak infrastruktury portowej utrudniał stałą obecność ich marynarki wojennej na wodach Zatoki Adeńskiej oraz Oceanu Indyjskiego.

CHINY POTRZEBUJĄ DZIŚ MIEJSC, W KTÓRYCH OKRĘTY MOGŁYBY UZUPEŁNIĆ ZAPASY PALIWA, EWENTUALNIE PRZEJŚĆ DROBNE NAPRAWY I DZIĘKI TEMU ODTWORZYĆ ZDOLNOŚĆ BOJOWĄ

Prezydent Xi Jinping podczas ostatniego kongresu Komunistycznej Partii Chin stwierdził jasno, że celem Pekinu jest stworzenie silnej armii, a więc i jej morskiego komponentu, do roku 2050.

Wschodnio- i Południowochińskie, po pierwsze nie zapewniają bezpośredniego dostępu do wód otwartego oceanu, pod drugie dla Pekinu istotnym problemem jest silna pozycja Stanów Zjednoczonych na tych akwenach. Sieć amerykańskich baz w Japonii, Korei Południowej i na Filipinach, strategiczne partnerstwo z Republiką Chińską na Tajwanie, a także zbliżenie z Wietnamem są przez ChRL postrzegane często jako element amerykańskiej strategii okrążania.

BAZA MILITARNA CZY LOGISTYCZNA?

Obawy te są spotęgowane przez chińskie uzależnienie od handlu morskiego i tzw. dylemat Malakki, potencjalnie łatwe do zamknięcia wąskie gardło, kluczowe dla regionalnej i globalnej wymiany handlowej. Przed kilkunastoma laty pojawiła się nawet idea, by na przesmyku Kra w Tajlandii przekopać kanał, dzięki czemu powstałby alternatywny dla Malakki szlak handlowy, a kluczową rolę w tej inwestycji miał odgrywać kapitał chiński. Dziś pomysł ten nie jest forsowany, ale Państwo Środka stara się częściowo obejść cieśninę w inny sposób, a mianowicie przez stworzenie tzw. chińsko-pakistańskiego korytarza gospodarczego. Port w Gwadar jest elementem tej układanki, podobnie jak rurociąg i autostrada Karakorum, biegnące przez Pakistan ku Tybetowi. Transport lądowy nie jest na pewno alternatywą dla bezpośredniego szlaku morskiego, może być jednak traktowany jako sposób na zróżnicowanie możliwości, głównie jeżeli chodzi o przewóz ropy.

Skoro Gwadar jest inwestycją gospodarczą, obecność jednostek marynarki wojennej w tym miejscu byłaby niepożądana. Jiwani wydaje się zatem logicznym uzupełnieniem chińskiej obecności w Pakistanie. Port zlokalizowany niespełna 90 km od Gwadaru (60 km drogą morską) i około 30 km od granicy z Iranem oznacza chińską obecność nie tylko na wodach Morza Arabskiego, ale przede wszystkim u wrót Zatoki Omańskiej, w miejscu kluczowym w kontekście importu ropy naftowej. Stworzenie kolejnego hubu logistycznego umocniłoby pozycję Chin w zachodniej części Oceanu Indyjskiego, a przez to stałoby się solą w oku Indii i być może wpłynęłoby np. na zmniejszenie ich zainteresowania sytuacją na Morzu Południowochińskim.

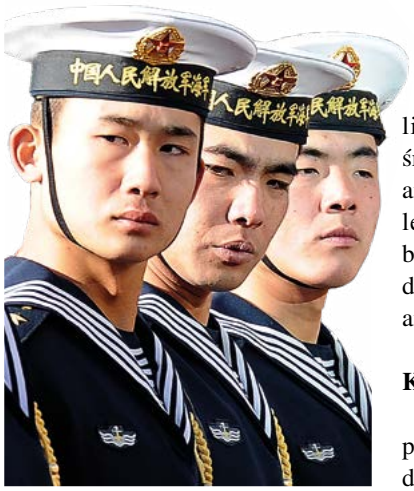

CHIŃSKA STRATEGIA, Z TYPOWO KONFUCJAŃSKĄ CIERPLIWOŚCIĄ I KONSEKWENCJĄ, JEST OBLICZONA NA DEKADY. O CZYM ZDAJĄ SIĘ ZAPOMINAĆ PAŃSTWA ZACHODU

Podana przez australijski dziennik „Sydney Morning Herald" informacja o sondowaniu przez Chiny możliwości udzielenia zgody przez Republikę Vanuatu na budowę portu wywołała medialną burzę w Australii i Oceanii. Ralph Regenvau, minister spraw zagranicznych wyspiarskiego kraju, stanowczo jednak zaprzeczył, by takie rozmowy się odbyły. Stwierdził także, że jako państwo niezaangażowane Vanuatu nie jest zainteresowane budową na swoim terytorium instalacji militarnej jakiegokolwiek kraju. Informacje te mianem fake newsa określił również rzecznik chińskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Chociaż doniesienia australijskiego dziennika raczej nie wzięły się znikąd, wydaje się całkiem prawdopodobne, że Pekin nie jest wcale zainteresowany bazą militarną w typowym tego słowa znaczeniu.

Bazy takie jak amerykańskie Guam czy Diego Garcia służą przede wszystkim zapewnieniu zdolności projekcji siły w regionie, a dopiero w drugiej kolejności zabezpieczeniu logistycznemu. Tymczasem Chiny potrzebują dziś raczej odpowiedników dziewiętnastowiecznych składów węglowych, czyli miejsc, w których okręty mogłyby uzupełnić zapasy paliwa, ewentualnie przejść drobne naprawy i dzięki temu odtworzyć zdolność bojową. Posiadanie tego rodzaju infrastruktury na południowym Pacyfiku, w odległości niespełna 2 tys. km od wybrzeży Australii i tysiąca kilometrów więcej od wybrzeży Nowej Zelandii, dałoby możliwość operowania marynarki wojennej nie tylko w obszarze tzw. drugiej linii wysp (rozciągającej się od środkowej części Japonii, przez Guam, ku wybrzeżom Nowej Gwinei), lecz także poza nią. Potencjalna baza byłaby więc bardziej podobna do tej w Dżibuti niż do instalacji amerykańskich.

KONFUCJAŃSKA STRATEGIA

Jak widać, polityka Pekinu wobec państw Oceanii jest bliźniaczo podobna do tej realizowanej wobec krajów afrykańskich. Chiny zaangażowały się m.in. w tworzenie infrastruktury w regionie – w Republice Vanuatu sfinansowały np. budowę lub przebudowę siedziby premiera, parlamentu, centrum konferencyjnego, obiektów sportowych, a ostatnio pojawiła się także obietnica nowej siedziby prezydenta, budynku ministerstwa finansów oraz remontu obiektu ministerstwa spraw zagranicznych. Chiny są także zaangażowane w modernizację lotniska. Dzięki bezpośrednim inwestycjom i pożyczkom umacniają swoją obecność w wyspiarskich państewkach, dzięki czemu mogą realizować tam swoje interesy polityczne.

Przed uzależnieniem od pieniędzy z tego źródła ostrzegała państwa regionu australijska minister rozwoju międzynarodowego Concetta Fierravanti-Wells. Twierdziła, że pożyczki Pekinu są udzielane na mniej korzystnych warunkach niż te z Banku Światowego czy Azjatyckiego Banku Rozwoju, a na dodatek nie do końca znane są warunki ich spłaty. Tego typu długofalowe podejście gwarantuje Chinom możliwość stopniowego zwiększania swoich wpływów.

Sznur pereł w kształcie, o jakim mówiono kilkanaście lat temu, nigdy nie stał się faktem, nie był bowiem Chinom niezbędny do realizacji celów ich polityki morskiej. Analizując ich strategię, trzeba pamiętać przede wszystkim o jednym – z typowo konfucjańską cierpliwością i konsekwencją jest ona obliczona na dekady, czego zachodnie analizy często nie biorą pod uwagę.

Prezydent Xi Jinping podczas ostatniego kongresu Komunistycznej Partii Chin stwierdził jasno, że celem Pekinu jest stworzenie silnej armii, a więc i jej morskiego komponentu, do roku 2050. Dopiero trzymając się tego horyzontu czasowego, można właściwie analizować poszczególne elementy militarnego wymiaru polityki morskiej Państwa Środka. ■

www.pcosa.com.pl

TADEUSZ WRÓBEL

Trudne partnerstwo

W kontaktach handlowych między Nowym Delhi a Moskwą ciągle pojawiają się spory i nieporozumienia. Czy Indie zrezygnują z kupna uzbrojenia od Rosji?

Indie nie zdołały porozumieć się z Rosją w kwestiach podziału kosztów prac badawczo-rozwojowych i transferu zaawansowanych technologii w programie budowy myśliwca piątej generacji i w kwietniu 2018 roku ogłosiły zakończenie wieloletniej współpracy. Innym problemem w relacjach z Moskwą, ale też z Waszyngtonem, mogą się okazać amerykańskie sankcje nałożone na firmy rosyjskiego sektora zbrojeniowego.

KONIEC CZY ZAWIESZENIE?

Rosja i Indie już na początku 2007 roku podpisały międzyrządową umowę o współpracy w ramach programu myśliwca piątej generacji. W grudniu 2010 roku zawarto nowe porozumienie – Hindusi zobowiązali się wyłożyć 295 mln dolarów na prace projektowe, które zakończyły się w czerwcu 2013 roku. I od tego czasu zaczęły się spory. Moskwa chciała od Nowego Delhi 5–6 mld dolarów na prace badawczo-rozwojowe. W Indiach uznano jednak, że rosyjskie oczekiwania są przesadzone i za taką kwotę można skonstruować własny samolot bojowy piątej generacji. Rosjanie zaś zarzucali Hindusom, że za darmo chcieliby wejść w posiadanie najnowszych rozwiązań, jakie powstały w ramach prac nad T-50.

Inną kwestią sporną była ocena samego prototypu maszyny Suchoja. Indyjscy wojskowi nie podzielali entuzjastycznych opinii Rosjan o tej konstrukcji i zażyczyli sobie wprowadzenia w niej około 50 udoskonaleń. Wśród postulatów były m.in. mocniejszy silnik i radar pracujący w promieniu 360 stopni. Koncern lotniczy Hindustan Aeronautics Ltd też nie był zachwycony rosyjską ofertą współpracy ze względu na 15-procentowy udział w programie, którego wartość szacowano na dziesiątki miliardów dolarów.

W 2015 roku wydawało się, że mimo tych sporów współpraca indyjsko-rosyjska jednak przetrwa, bo fiaskiem zakończył się prowadzony równolegle projekt średniego wielozadaniowego samolotu bojowego. Indie nie zdołały porozumieć się z francuską firmą Dassault Aviation

Ukraińcy pomagają Hindusom w utrzymaniu posowieckiego sprzętu wojskowego. Jak podał Paweł Bukin, dyrektor generalny Ukroboronpromu, w ostatnich trzech latach Indiom dostarczono produkty militarne za około 400 mln dolarów.

US NAVY

WSZELKIEGO RODZAJU RESTRYKCJE SPOWODOWAŁYBY WYPADNIĘCIE AMERYKAŃSKICH FIRM Z BARDZO ATRAKCYJNEGO RYNKU I JEDNOCZEŚNIE PRZYCZYNIŁYBY SIĘ DO ZWIĘKSZENIA UZALEŻNIENIA INDII OD DOSTAW ROSYJSKIEJ BRONI

INDIAN AIR FORCE

HINDUSI od 2008 roku kupili od Amerykanów broń za ponad 15 mld dolarów, m.in. samoloty transportowe C-17 Globemaster III i C-130J, morskie patrolowe P-8I, śmigłowce szturmowe Apache i transportowe Chinook.

C-17-Globemaster w barwach indyjskich sił powietrznych

w sprawie licencyjnej produkcji ponad stu myśliwców Rafale. W grudniu 2015 roku indyjscy i rosyjscy negocjatorzy uzgodnili, że Nowe Delhi zapłaci za trzy prototypy i transfer technologii 3,7 mld dolarów. Teoretycznie ówczesne uzgodnienia, uwzględniające m.in. zmiany konstrukcyjne, wydawały się korzystne dla Indii. Nie podpisano jednak wówczas formalnej umowy.

Na początku 2017 roku nadeszła nowa faza sporów. W lutym Rosjanie zapowiedzieli, że maszyna dla Hindusów będzie zupełnie nowym samolotem, w którym zostaną wykorzystane tylko niektóre technologie z programu T-50 PAK FA. W reakcji na to Nowe Delhi ogłosiło, że dołączy do projektu, jeśli będzie miało zagwarantowany transfer wszystkich technologii, w tym stealth. Ostatecznie, rezygnując z dalszej współpracy, Hindusi zasygnalizowali jednak, że nadal są zainteresowani projektem Suchoja, tyle że w grę wchodziłoby zamówienie partii gotowych Su-57, po ich wcześniejszym wejściu do służby w rosyjskim lotnictwie wojskowym. Tamtejsi eksperci lotniczy twierdzą bowiem, że wyznacznikiem tego, czy Su-57 dostanie drugą szansę, jest czas, jaki Rosjanie będą potrzebować na wdrożenie tej maszyny do produkcji. Nieudany przetarg na średni samolot wielozadaniowy oraz opóźnienie programu rodzimego lekkiego samolotu bojowego Tejas spowodowały, że siły powietrzne Indii znalazły się w bardzo trudnej sytuacji sprzętowej. Potrzeby obronne Indii są oceniane na 42 eskadry bojowe, a faktycznie jest ich o dziesięć mniej. Co więcej, część z jednostek jest wyposażona w stare samoloty MiG-21, MiG-27 i Jaguar, których czas użytkowania zbliża się do końca.

Decyzja Nowego Delhi w sprawie samolotu piątej generacji nie oznacza zerwania bliskich relacji z rosyjską zbrojeniówką. Potwierdza to kwietniowa wizyta Apurvy Chandry, dyrektora generalnego do spraw zamówień w tamtejszym resorcie obrony, w stoczni Jantar w obwodzie kaliningradzkim, która buduje dla Hindusów fregaty projektu 11356, oraz w zakładach produkujących śmigłowce i samoloty transportowe. Rosjanie liczą na to, że partnerzy z południa zainteresują się najnowszymi wersjami maszyn Ił-76 i Ił-78 (starsze już mają).

GRANIE SANKCJAMI

Amerykański prezydent Donald Trump 2 sierpnia 2017 roku podpisał ustawę o sankcjach wymierzonych w przeciwników USA, do których zaliczono Rosję, Koreę Północną i Iran. Wśród podmiotów objętych restrykcjami →

HINDUSCY WOJSKOWI TWIERDZĄ, ŻE NAZYWANIE KONSTRUKCJI SAMOLOTU SUCHOJ SU-57 MIANEM MYŚLIWCA PIĄTEJ GENERACJI JEST NIECO NA WYROST

znajdują się kluczowe rosyjskie firmy z branży zbrojeniowej, takie jak Suchoj, MiG, Rosoboronexport, Ałmaz-Antej, koncern Kałasznikow, Rostec, Rosyjskie Helikoptery czy Zjednoczona Korporacja Stoczniowa. Jest to źródłem kłopotów Indii, bo Moskwa pozostaje ich głównym dostawcą broni. Według poświęconego sankcjom raportu ekspertów Instytutu Studiów nad Obronnością i Analiz w Nowym Delhi, pomimo pewnego spadku w latach 2010–2017, nadal 68% importu obronnego pochodziło z Rosji. W latach 2013–2016 zawarto z nią 12 spośród 56 nowych kontraktów z dostawcami zagranicznymi. Tyle że wartość nowych rosyjskich umów stanowiła tylko 15,6% ich ogólnej sumy. Znacząca część zamówień trafiła bowiem do firm ze Stanów Zjednoczonych. Podpisały one co prawda tylko jeden kontrakt więcej niż Rosjanie, ale do Amerykanów trafi niemal 54% pieniędzy z zawartych w tym okresie umów importowych. Hindusi od 2008 roku kupili od Amerykanów broń za ponad 15 mld dolarów, m.in. samoloty transportowe C-17 Globemaster III i C-130J, morskie patrolowe P-8I, a także śmigłowce szturmowe Apache i transportowe Chinook.

Niemniej jednak jest mało prawdopodobne, by Rosja w najbliższym czasie straciła pozycję głównego dostawcy uzbrojenia i sprzętu wojskowego dla sił zbrojnych Indii. Jej atuty to koszty zakupu znacznie mniejsze niż wyrobów amerykańskich czy zachodnioeuropejskich. I tak rząd Indii podał, że Su-30MKI jest niemal trzy razy tańszy od myśliwca Rafale. Ponadto obsługa techniczna indyjskiego lotnictwa lepiej sobie poradzi z rosyjskim sprzętem, bo od ponad półwiecza ma do czynienia z samolotami sowieckiego pochodzenia. Co więcej, rezygnacja w nowym przetargu na zaawansowany średni samolot bojowy z ograniczenia się do maszyn jednosilnikowych otwiera możliwość udziału w nim firm rosyjskich.

Prawdopodobnie ostatecznie Waszyngton nie będzie nakładał na Indie sankcji za współpracę wojskowo-techniczną z Rosją, ponieważ nie leży to w jego interesie zarówno politycznym, jak i gospodarczym. Wszelkiego rodzaju restrykcje spowodowałyby wypadnięcie amerykańskich firm z bardzo atrakcyjnego rynku i jednocześnie przyczyniłyby się do zwiększenia uzależnienia Indii od dostaw rosyjskiej broni. Poza tym to mocarstwo jest ważnym partnerem politycznym USA w regionie, bo oba państwa niepokoi wzrost potencjału militarnego Chin i ich aktywność wojskowa w rejonie Oceanu Indyjskiego. Ponadto dla Indii zerwanie więzi z Moskwą oznaczałoby utratę nie tylko kluczowego dostawcy gotowych produktów, lecz także licznych licencji, z których korzysta rozwijany z niemałymi problemami rodzimy przemysł obronny. Z drugiej strony, Moskwa dla Nowego Delhi jest bardziej partnerem handlowym niż sojusznikiem politycznym, jak to było w czasach zimnej wojny.

NOWY GRACZ

W ostatnich latach na indyjskim rynku zbrojeniowym uaktywniła się Ukraina, która w pewnych dziedzinach konkuruje z Rosją. Jest interesującym partnerem dla Hindusów, bo oferuje po atrakcyjnych cenach sprzęt dobrze znany w ich siłach zbrojnych. Ukraińskie zakłady produkują części do broni i sprzętu wojskowego, które Indie przez dziesięciolecia kupowały w Związku Sowieckim, mają doświadczenie w modernizacji wielu z tych systemów.

Według Pawła Barbuła z firmy SpetsTechnoExport, spółki zależnej Ukroboronpromu, dotychczas podpisano już 400 umów indyjsko-ukraińskich. Dotyczą one m.in. modernizacji czołgów i pojazdów pancernych, sprzętu radiolokacyjnego i obrony powietrznej. Ukraińcy pomagają Hindusom w utrzymaniu posowieckiego sprzętu wojskowego. Jak podał Paweł Bukin, dyrektor generalny Ukroboronpromu, w ostatnich trzech latach Indiom dostarczono produkty militarne za około 400 mln dolarów. Połowę tej kwoty stanowił eksport okrętowych turbin gazowych.

Czy ta współpraca się pogłębi? Będzie to zależało od chęci Ukraińców do lokowania produkcji uzbrojenia na terenie Indii. Dotyczy to również innych państw, bo jednym z dążeń władz w Nowym Delhi jest zmniejszenie zależności ich państwa od importu w tej dziedzinie. Taki sposób zaopatrywania wojska jest bardzo kosztowny, a jednocześnie sprawia, że Indie są podatne na naciski polityczne. Dlatego np. przetarg na stworzenie przeciwlotniczego systemu obrony bezpośredniej, który ma zastąpić stare armaty, ograniczono wyłącznie do firm krajowych. ■

CEGOH/PIXABAY

ROBERT SENDEK

Kraj o powierzchni niewiele większej od tej, jaką zajmuje Warszawa, wydaje na wojsko niemal 10 mld dolarów rocznie.

Miniaturowe mocarstwo

W tegorocznym rankingu serwisu Global Firepower, porównującym potencjał militarny ponad stu krajów świata, Singapur zajął 67. miejsce, zatem nieco poniżej połowy stawki. Niewątpliwie do najciekawszych informacji podanych przez serwis należą imponujące kwoty, jakie ten mały azjatycki kraj wydaje na armię – mowa bowiem o budżecie wojskowym w wysokości 9,7 mld dolarów rocznie. Oznacza to, że pod względem wydatków na wojsko Singapur lokuje się tuż przed Polską, która jest przecież nieporównanie większa i ludniejsza. Singapur wydaje przy tym na armię niewiele mniej niż Holandia czy nawet Turcja, uważana przecież za regionalne mocarstwo. Okazuje się też, że kraj, który właściwie można by czapką nakryć, jest dużym importerem broni, a także coraz bardziej liczącym się producentem i eksporterem sprzętu wojskowego.

PO CO SINGAPUROWI ARMIA?

Analizując wojskowe możliwości Singapuru, trzeba zacząć od jego wielkości. Pod względem powierzchni rzeczywiście jest miniaturowy, gdyż zajmuje zaledwie 716 km^2 (dla porównania: obszar miasta stołecznego Warszawy wynosi 517 km^2). Jeśli jednak uwzględni się nie kilometry kwadratowe, jakie ten kraj zajmuje, lecz jego potencjał ludnościowy, to okaże się, że to państwo-miasto wcale nie jest aż tak małe. Zamieszkuje je aż 5,6 mln ludzi, jest zatem ludniejsze niż np. Dania, Finlandia czy Chorwacja, a raczej nie można powiedzieć, by były to kraje małe. Właściwym więc punktem wyjścia do mówienia o Singapurze i jego możliwościach obronnych nie jest jego powierzchnia, rzeczywiście znikoma, lecz liczba mieszkających tam ludzi.

Armia singapurska liczy dziś około 72 tys. osób w służbie czynnej oraz 400 tys. w rezerwie i pod względem liczebności niewiele ustępuje armii malezyjskiej. Wszyscy Singapurczycy płci męskiej mają obowiązek odsłużyć w wojsku dwa lata, kobiety taką służbę mogą podjąć dobrowolnie. Nakłady na armię są w tym kraju od lat bardzo wysokie, efekt zaś jest taki, że jest ona jedną z najlepiej wyposażonych w całej Azji Południowo-Wschodniej. Nie licząc Tajwanu, to Singapur wydaje też na wojsko najwięcej w regionie. Władze dopieszczają armię, wychodząc z założenia, że jej liczebność, jakość i wyposażenie będą działać odstraszająco na ewentualnego przeciwnika, dzięki czemu uda się zapobiec obcej agresji. Każdy bowiem możliwy konflikt będzie stanowił o istnieniu bądź nieistnieniu kraju. →

Wielkość i jakość singapurskiej armii wynikają zatem z troski władz tego kraju o bezpieczeństwo. Bezpośredni sąsiedzi, Malezja i Indonezja, od Singapuru mocno się różnią religijnie i etnicznie. O ile bowiem w Singapurze większość mieszkańców stanowią Chińczycy, a dominującym wyznaniem jest buddyzm, o tyle w obydwu ościennych krajach mieszkańcy są wyznawcami przede wszystkim islamu, główne narodowości zaś to Malajowie (w Malezji) i Jawajczycy (w Indonezji). Po uzyskaniu niepodległości w 1965 roku Singapur znalazł się w podobnej sytuacji jak Izrael, czyli państwo leżące w mało przyjaznym otoczeniu geopolitycznym. Władze singapurskie zdecydowały się w związku z tym na prowadzenie polityki inspirowanej koncepcjami izraelskimi. Zresztą rząd Singapuru wkrótce po ogłoszeniu niepodległości nawiązał bliskie kontakty z Izraelem i korzystał z jego wsparcia oraz pomocy, także infrastrukturalnej czy technologicznej. W ostatnich latach singapurskie obawy przed ewentualną wojną z sąsiadami zmalały, za istotniejsze zaczęto uważać zagrożenia związane z terroryzmem islamskim (w regionie znanych jest kilka punktów działalności islamistów, np. w południowych Filipinach czy Indonezji) oraz piractwo na Oceanie Indyjskim, zwłaszcza w cieśninie Malakka.

BEZ CZOŁGÓW I SAMOLOTÓW

Złośliwi mówią, że Singapur to kraj zamieniony w wielką halę produkcyjną. Rzeczywiście, coś w tym jest, przy czym władze tego azjatyckiego tygrysa gospodarczego postawiły na intensywny rozwój zwłaszcza tych gałęzi przemysłu, które są związane z nowymi technologiami. Inwestuje się w instytucje badawcze, mocno również wspiera i promuje własne projekty wojskowe. Wizytówką singapurskiego przemysłu zbrojeniowego jest koncern Singapore Technologies Engineering (ST Engineering), rozwijający rodzime projekty prowadzone przez cztery wyspecjalizowane spółki: ST Aerospace, ST Electronics, ST Kinetics i ST Marine. Głównymi obszarami ich działalności są odpowiednio: przemysł lotniczy, technologie informatyczne i komputerowe, pojazdy i broń strzelecka oraz budowa okrętów. W efekcie duża część broni pozostającej w wyposażeniu armii singapurskiej to miejscowa produkcja. Jest w czym wybierać, bo firmy singapurskie mogą zrealizować większość zamówień, z wyjątkiem może czołgów i samolotów bojowych, które kraj wciąż importuje.

Na przykład trzon rodzimej floty stanowią okręty, które albo zostały w całości zbudowane w Singapurze, albo też kraj ten miał znaczący wkład w ich budowę. Pięć z sześciu używanych przez Singapurczyków fregat typu Formidable, cechujących się właściwościami stealth, wybudowano na początku wieku co prawda na licencji francuskiej, ale w stoczniach singapurskich. To wcale nie jest wyjątek, lecz reguła – w maju ubiegłego roku odbyło się uroczyste podniesienie bandery na nowoczesnym, opracowanym i wybudowanym w Singapurze okręcie patrolowym RSS „Independence". Jest to pierwsza jednostka w swojej klasie z planowanych ośmiu. Budowa kolejnych szybko postępuje. Jesienią 2017 roku podniesiono banderę na następnych dwóch okrętach: RSS „Sovereignty" i RSS „Unity", w międzyczasie zaś zwodowano jeszcze dwa, RSS „Indomitable" i RSS „Fortitude", są one obecnie na etapie wyposażania. To duże i nowoczesne jednostki patrolowe, mające zastąpić służące od ponad 20 lat patrolowce typu Fearless.

WŁADZE SINGAPURU DOPIESZCZAJĄ ARMIĘ, WYCHODZĄC Z ZAŁOŻENIA, ŻE JEJ LICZEBNOŚĆ I JAKOŚĆ BĘDĄ DZIAŁAĆ ODSTRASZAJĄCO NA PRZECIWNIKA

W ofercie singapurskiego przemysłu zbrojeniowego znajdują się m.in. transportery opancerzone Bronco, kołowe wozy opancerzone Terrex ICV, gąsienicowe wozy piechoty Bionix AFV, haubice SSPH Primus (samobieżne) i FH-2000 (holowane), różne rodzaje broni strzeleckiej, amunicji itp. Singapur produkuje także sprzęt bezzałogowy (drony latające, a także nawodne i podwodne) oraz nowoczesne systemy łączności. Prowadzi również badania nad zaawansowanymi systemami precyzyjnego rażenia oraz technologią stealth w różnorodnych zastosowaniach, np. w szybkich łodziach patrolowych SMC (Specialized Marine Craft) Type II, przeznaczonych głównie dla sił specjalnych. Inwestowanie w przemysł zbrojeniowy przynosi efekty – z importera sprzętu wojskowego Singapur zamienia się w liczącego się na rynkach światowych producenta broni.

Nie przestaje jednak być dużym importerem sprzętu wojskowego. Według Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem SIPRI, jeszcze na początku obecnego dziesięciolecia Singapur zajmował piąte miejsce w świecie pod względem ilości sprowadzanego sprzętu. Niemal trzy czwarte importu pochodziło ze Stanów Zjednoczonych. Jeśli chodzi o siły powietrzne, Singapur dysponuje setką samolotów wielozadaniowych, w tym 40 maszynami F-15 Strike Eagle oraz 60 F-16 Fightning Falcon. Oprócz tego wyraził zainteresowanie kupnem F-35 Lightning II. Początkowo mówiło się, iż może chodzić nawet o sto samolotów tego typu, jednak ostatnio media donoszą, że najpewniej będzie ich o wiele mniej.

USMC

STRATEGICZNA WSPÓŁPRACA

Budżet wojskowy Singapuru obejmuje jednak nie tylko zakupy sprzętu czy koszty stałe (takie jak pensje czy emerytury dla personelu), lecz także dość wysokie finansowanie własnych jednostek stacjonujących za granicą. Ponieważ kraj nie ma odpowiedniej przestrzeni powietrznej, by piloci mogli ćwiczyć swe umiejętności, umowy na jej udostępnienie zawarto z rządami kilku państw. I tak np. we Francji stacjonuje 150 Eskadra Singapurskich Sił Powietrznych, dysponująca 12 samolotami M-346 Master. W Australii ćwiczenia prowadzi 126 Eskadra (latająca na 12 śmigłowcach Cougar) oraz 130 Eskadra (19 samolotów Pilatus PC-21). W Stanach Zjednoczonych odbywają się szkolenia na samolotach wielozadaniowych F-15 i F-16 oraz śmigłowcach szturmowych Apache. Współpraca z USA ma dla Singapuru znaczenie strategiczne. Od początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku udostępnia on Amerykanom bazę lotniczą w Paya Lebar oraz port Sembawang. Organizowane są również wspólne amerykańsko-singapurskie ćwiczenia, począwszy od największych, „Tiger Balm", przeprowadzanych corocznie od 1981 roku, przez „Forging Sabre", „Valiant Mark", po „Lightning Strike". Odbywają się one z różną częstotliwością, głównie na poligonach amerykańskich, ale także w Singapurze. Oprócz tego Singapur jako była kolonia Wielkiej Brytanii i członek Wspólnoty Narodów blisko współpracuje z władzami brytyjskimi. ■

Rosja może użyć broni jądrowej, wykorzystując do tego okręt podwodny. Taki atak od strony Morza Bałtyckiego na pewno przyniósłby efekt zaskoczenia.

BOGUSŁAW SZKUDLAREK

STARY NIEDŹWIEDŹ WCALE NIE ŚPI

Ze względu na prawdopodobieństwo ataku jądrowego z morza powinniśmy mieć zdolności do odstraszenia przeciwnika przy użyciu floty podwodnej.

Pomimo wielu lat względnego spokoju powinniśmy zachować czujność. Wśród licznych zagrożeń, którym musimy stawić czoła, największe zaniepokojenie może budzić dążenie Rosji do dominacji w Europie Środkowo-Wschodniej. Wielu polityków i wojskowych komentuje jej działania w tym regionie. Jerry Hendrix, dyrektor Programu Strategii i Sił Obronnych w waszyngtońskim Center for a New American Security, w artykule opublikowanym w lutym 2018 roku na łamach „National Review", zapowiedział, że „następnym krokiem Władimira Putina będzie zaatakowanie krajów bałtyckich (…). Jest oczywiste, że jego wielka strategia odbudowy rosyjskiego imperium polega na odzyskaniu państw buforowych (…)".

KONFRONTACJA ROSJA–NATO

Od czasu zakończenia zimnej wojny Rosjanie coraz bardziej intensyfikują szkolenie morskie, zwiększają liczbę patroli, a ich okręty więcej czasu spędzają na morzu. Wzmożona aktywność dotyczy nie tylko Morza Bałtyckiego, lecz także Północnego, Czarnego, Śródziemnego czy rejonu Arktyki. Zwiększenie działań floty rosyjskiej można zaobserwować szczególnie w czasie ćwiczeń NATO.

Rosjanie wprowadzają nowe rozwiązania techniczne i modernizują okręty, żeby podnieść efektywność sił morskich. Najnowocześniejsze rosyjskie uzbrojenie, w które wyposażają swoją flotę, zdążyli już zresztą przetestować w 2015 roku, kiedy przeprowadzili atak rakietowy z Morza Kaspijskiego na terytorium Syrii. Jak podają źródła prasowe, 26 rakiet Kalibr-NK zniszczyło wówczas 11 celów tzw. Państwa Islamskiego.

Ta demonstracja siły przyniosła Rosji wymierne korzyści. Przede wszystkim państwo to udowodniło, że osiągnęło zdolności do rażenia pociskami rakietowymi celów leżących w odległości od 1500 do 2500 km z okrętów mających dużo mniejszą wyporność niż jednostki używane do tej pory. Ponadto światowe media zaczęły zwracać uwagę, że Moskwa jest gotowa użyć siły militarnej w zdecydowany sposób. Odnotowano także sukces rosyjskich dyplomatów, którzy wynegocjowali zgodę na przelot pocisków rakietowych w przestrzeni powietrznej Iranu i Iraku. Zaskoczeniem nie było to, że Syria stała się rosyjskim poligonem wojskowym, lecz fakt wykorzystania przez Rosję okrętu podwodnego w wojnie przeciw terrorystom. Taka jednostka wystrzeliła rakiety manewrujące Kalibr na pozycje terrorystów niedługo po tym,

MINISTERSTWO OBRONY FEDERACJI ROSYJSKIEJ

Od czasu zakończenia zimnej wojny Rosjanie coraz bardziej intensyfikują szkolenie morskie, zwiększają liczbę patroli, a ich okręty więcej czasu spędzają na morzu.

jak Rosjanie przeprowadzili atak za pomocą okrętów floty kaspijskiej.

Trzeba dodać, że aktywność taka jak podejmowana w stosunku do Syrii, ma istotny wpływ, również pod względem politycznym, na budowanie mocarstwowej pozycji Rosji. Poza tym podkreśla jej siłę i determinację w działaniach militarnych, których z kolei czasami brakuje Zachodowi. Wykorzystanie do ataków na Syrię rakiet typu Kalibr nie jest uzasadnione ekonomicznie, ze względu na ich wysoką cenę. Można zatem przypuszczać, że ma ono wymiar propagandowy. Wysoki koszt użytego uzbrojenia podkreśla tendencje do utrzymania wpływów oraz dążenie do dominacji nie tylko w tej części świata. Kalibry można dodatkowo wyposażyć w głowice konwencjonalne lub w jądrowe, dzięki czemu rozszerza się zakres możliwości ich użycia. Z tego powodu zagrożone mogą być także inne obszary morskie, w tym Morze Bałtyckie.

Rosjanie jeszcze nie montują rakiet manewrujących na okrętach Floty Bałtyckiej. Na najnowszych korwetach projektu 20380 typu Stierieguszczij zainstalowano wyrzutnie pionowego startu systemu przeciwlotniczego Riedut, nic nie stoi jednak na przeszkodzie, aby zastąpił je Kalibr-NK. Dzięki temu zmniejszyłaby się rola iskanderów o zasięgu 500 km, stacjonujących w obwodzie kaliningradzkim.

O systemie uzbrojenia Kalibr Rosjanie informowali już wcześniej, ale dopiero dzięki praktycznemu zastosowaniu przestał on być traktowany wyłącznie jako element rosyjskiej propagandy. Moskwa rzeczywiście uzyskała dodatkowy instrument politycznego i militarnego nacisku przez realne, tym razem niejądrowe odstraszanie. Możliwość odpalania dużej liczby pocisków w małych odstępach czasu to znaczące wyzwanie dla systemów przeciwrakietowych.

GORĄCO NA BAŁTYKU

Użycie od strony Morza Bałtyckiego nowoczesnych zestawów rakietowych montowanych na okrętach podwodnych może też istotnie wpłynąć na potencjalny konflikt Rosja–NATO. Zasadność wykorzystania tego typu jednostek wynika z właściwości Bałtyku. Jest to płytkie morze, zmienne pod względem hydrologicznym, o niskim i zróżnicowanym zasoleniu, z dużym dopływem wód słodkich, które dodatkowo powodują zmiany temperatury wody, wpływają na tworzenie się warstw termicznych i zmieniają propagację fal hydroakustycznych. Usytuowanie miast, stoczni i innych ośrodków przemysłowych wywołuje dodatkowe szumy, co ma wpływ na detekcję obiektów w przestrzeni wodnej. W takim środowisku trudno wykryć okręty podwodne.

Rosja od kilku lat zdecydowanie zwiększa swoją aktywność wojskową w rejonie Morza Bałtyckiego. Co jakiś czas zresztą głośno jest o różnego rodzaju incydentach. W kwietniu 2016 roku samoloty Federacji Rosyjskiej Su-24 kilkakrotnie przelatywały nad niszczycielem USS „Donald Cook", a jeden z nich zbliżył się do amerykańskiej jednostki na odległość zaledwie 9 m. Zdarzenie miało miejsce na wodach międzynarodowych, w odległości 70 Mm (120 km) od Kaliningradu. Na pokładzie amerykańskiego niszczyciela był polski śmigłowiec SH-2G.

Do demonstracji siły Moskwa używa też okrętów podwodnych. Działania tej floty skierowane są przede wszystkim przeciwko Szwecji i Finlandii. W 2014 roku pojawiła się np. informacja o wykryciu rosyjskiego okrętu podwodnego w rejonie Sztokholmu, a rok później fińska armia zarejestrowała obecność niezidentyfikowanego obiektu u wybrzeża Zatoki Fińskiej w okolicy Helsinek.

SCENARIUSZ POD ROZWAGĘ

Rosja za wszelką cenę chce utrzymać dawne strefy wpływu, dobrymi przykładami są tu działania najpierw w Gruzji, później na Ukrainie. NATO nie opowiedziało się stanowczo po stronie żadnego z tych państw. Wielu strategów wojskowych wskazuje natomiast, że po Donbasie kolejnym punktem zapalnym może być przesmyk suwalski na pograniczu Polski i Litwy.

Warto rozważyć pewien scenariusz. Putin często się chwali, że jest w stanie zająć Pribałtikę w ciągu doby, a Polskę w cztery dni. Jest to wielce prawdopodobne, gdyż rosyjski potencjał wojskowy i ekonomiczny przewyższa zdecydowanie potencjał krajów bałtyckich i Polski. Podobnie jak w Donbasie mogą wkroczyć „zielone ludziki", wówczas nastąpi destabilizacja w rejonie, a administracja państwowa będzie →

WYKORZYSTANIE DO ATAKÓW NA SYRIĘ **RAKIET TYPU KALIBR** NIE JEST UZASADNIONE EKONOMICZNIE, ZE WZGLĘDU NA ICH WYSOKĄ CENĘ

potrzebować wsparcia wojska. Napięta sytuacja polityczna zacznie przybierać charakter przedwojnia i może dojść do regularnych walk.

Oczywiście na początku Rosja będzie zaprzeczać, że jest w jakikolwiek sposób zaangażowana w wydarzenia na spornym terytorium. Wypracowany schemat działania, procedury wojskowe i polityczne przerobiła już w Gruzji, Donbasie i na Krymie. W tej sytuacji społeczność międzynarodowa wymusi na Moskwie przyznanie się do działań na terenie państw należących do sojuszu i łamania międzynarodowego prawa konfliktów zbrojnych. Rosja wejdzie w spór z NATO ze świadomością, że jest na straconej pozycji. Dlatego będzie zmuszona podjąć działania, które wywołają zaskoczenie i pozwolą uzyskać przewagę. Jednym z wariantów może być zastosowanie broni jądrowej na małą skalę.

Należy jednak pamiętać, że jako członek NATO jesteśmy objęci zapisami artykułu 5 traktatu waszyngtońskiego, który mówi o tym, że atak na któregokolwiek z członków Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego powinien być interpretowany przez pozostałe państwa członkowskie jako atak na nie same. Dodatkowo zajęcie przez Rosję terytorium innego państwa będzie wiązało się z kosztownym i długotrwałym utrzymaniem sił własnych na terytorium wroga. Użycie broni jądrowej wpłynie też na moralność żołnierzy sojuszu i będzie miało – oprócz wojskowego i politycznego – wymiar psychologiczny ze względu na prowadzenie działań w terenie skażonym. Takie użycie będzie musiało jednak wiązać się z wyraźnym politycznym przesłaniem, że Rosja dąży do dominacji tylko w tej części Europy, tzn. Środkowo-Wschodniej.

Realizacja tego scenariusza stworzyłaby największe wyzwanie dyplomatyczne dla NATO, które musiałoby podjąć kroki, aby nie dopuścić do otwartego konfliktu i próbować ustabilizować sytuację na drodze pokojowej. W takim wypadku pojawia się pytanie, co zadeklaruje sojusz, a co faktycznie zrobi. Być może NATO nie zechce dopuścić do przeniesienia się konfliktu na inne kraje sojuszu i przystąpi do negocjacji z Rosją o wpływy w tej części Europy. Dzięki takiemu rozwiązaniu Moskwa, wykorzystując taktyczną broń jądrową, osiągnie efekt strategiczny, przy jednoczesnym dużym zaskoczeniu. Nie będzie się liczył wojskowy, fizyczny efekt użycia broni jądrowej, ale rezultat polityczny, rozumiany jako znaczący element w dalszych kontaktach na linii Rosja–NATO.

Możliwe, że kraje Zachodu, aby uniknąć konfrontacji atomowej, będą gotowe poświęcić na ołtarzu pokoju nie tylko Gruzję, Ukrainę, Litwę, Łotwę i Estonię, ale także Polskę. Wówczas wytworzyłoby się napięcie nie tylko na linii NATO–Rosja, lecz także Rosja–USA, podobne jak miało to miejsce podczas kryzysu kubańskiego czy wojny na Półwyspie Koreańskim.

SILNA FLOTA PODWODNA

Rosja może użyć broni jądrowej, wykorzystując do tego okręt podwodny. Taki atak od strony Morza Bałtyckiego na pewno przyniósłby efekt zaskoczenia. Dlatego konieczne jest rozwijanie obronności morskiej z uwzględnieniem rozbudowy floty podwodnej. Od Polski, jako członka sojuszu deklarującego siły narodowe zgodnie z kwestionariuszem planowania obronnego NATO, nie wymaga się posiadania okrętów podwodnych. Mimo to w sytuacji zagrożenia dla nas najbardziej efektywne będzie użycie takich jednostek. Przede wszystkim mogłyby one podejmować działania blokadowe, czyli uniemożliwiać rozwinięcie rosyjskich sił uderzeniowych z Kaliningradu i skutecznie zatrzymywać siły morskie już po wyjściu z portu, a także identyfikować, śledzić i zwalczać siły przeciwnika, aby nie dopuścić do uderzenia jądrowego z wrogiego okrętu podwodnego.

Należy także rozważyć, czy takie uderzenie nie mogłoby nastąpić z innego kierunku niż Bałtyk. Oczywiście nie można takiego scenariusza wykluczać, ale musimy zdawać sobie sprawę, że im odległość od uderzenia jest większa, tym czas na reakcję jest dłuższy i rośnie szansa na uniknięcie lub ograniczenie takiego taktycznego uderzenia jądrowego. Atak z lądu byłby trudniejszy, zważywszy na prowadzoną działalność wywiadowczą i rozpoznanie. Po prostu łatwiej go przewidzieć.

Ze względu na prawdopodobieństwo ataku jądrowego z morza powinniśmy mieć zdolności do odstraszenia potencjalnego przeciwnika przy użyciu floty podwodnej. Nie znaczy to, że możemy zapomnieć o rozwoju nawodnych sił morskich czy brzegowych jednostek rakietowych. Ważne jest też budowanie morskiej świadomości sytuacyjnej i skuteczne rozpoznanie w celu przeciwdziałania uderzeniom rakietowym. Jest to o tyle istotne, że w ostatnich latach analitycy wojskowi przypominają o strategicznym znaczeniu regionu Morza Bałtyckiego. W obliczu napiętych stosunków Rosja–NATO należy zawsze pamiętać, że stary niedźwiedź ze Wschodu wcale nie śpi. ■

Kmdr por. BOGUSŁAW SZKUDLAREK jest szefem
Wydziału Analiz Szkolenia Centrum Operacji Morskich
Dowództwa Komponentu Morskiego.

TOMASZ OTŁOWSKI

Taktyka asasynów

Zamachy skrytobójcze przestają już być wyłącznie specyfiką hermetycznego świata tajnych służb, a stają się coraz częściej elementem realnych konfliktów i starć w środowisku międzynarodowym.

Kiedy 4 marca 2018 roku po południu na ławeczce usytuowanej przy urokliwej ulicy w centrum angielskiego miasta Salisbury znaleziono dwoje nieprzytomnych ludzi – starszego mężczyznę i młodą kobietę, wykazujących objawy ostrego zatrucia i porażenia górnych dróg oddechowych – nikt chyba nie przypuszczał, że oto zaraz rozpęta się największa od czasu zimnej wojny afera dyplomatyczno-szpiegowska między Zachodem a Rosją. Już wkrótce okazało się bowiem, że poszkodowani to Siergiej Skripal, były agent rosyjskiego GRU i późniejszy współpracownik wywiadu brytyjskiego, oraz jego córka Julia, która dzień wcześniej przyleciała z Moskwy w odwiedziny do ojca. Według ustaleń brytyjskich służb, stali się oni ofiarami ataku z użyciem bojowego środka trującego o działaniu paralityczno-drgawkowym, najpewniej typu nowiczok – broni chemicznej o wysokiej toksyczności, eksperymentalnie produkowanej w Związku Sowieckim w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku.

Wszystkie tropy skomplikowanego śledztwa w tej sprawie prowadzą zatem do Rosji, która oczywiście wyparła się jakichkolwiek związków ze sprawą. Warto jednak pamiętać, że Moskwa ma na swym koncie przebogatą historię akcji z gatunku działań skrytobójców. Do najszerzej znanych przypadków takich akcji należą zabójstwa bułgarskiego dysydenta Georgija Markowa (zamordowanego w 1978 roku w Londynie przy użyciu rycyny wstrzykniętej czubkiem parasola) oraz byłego rosyjskiego funkcjonariusza służb specjalnych Aleksandra Litwinienki (zabitego w 2006 roku, także w Londynie, przez podanie w herbacie silnie radioaktywnego izotopu polonu). Do tej samej kategorii należy zaliczyć równie szeroko znany przypadek próby zabójstwa (przy użyciu dioksyny TCDD) Wiktora Juszczenki podczas kampanii w wyborach prezydenckich na Ukrainie w 2004 roku. Można jednak podejrzewać, że lista ta nie jest kompletna i podobnych incydentów było na przestrzeni minionych kilku dekad znacznie więcej, tylko umknęły uwadze współczesnych. Zamach na Skripalów okazał się ostatecznie nieskuteczny – i ojciec, i córka przeżyli, co ewidentnie stanowi plamę na honorze służb wywiadu zagranicznego Federacji Rosyjskiej, nie mówiąc już o podważeniu szeroko reklamowanej zabójczej skuteczności nowiczoka.

METODA „NA SZPIEGA”

Powyższe przypadki mogłyby zapewne pozostać wyłącznie historiami wyrafinowanych operacji z zakresu walki służb wywiadowczych, gdyby nie fakt, iż stanowią doskonały przykład mechanizmów i sposobów działania w ramach całkiem już współczesnej tendencji, jaką jest hybrydyzacja konfliktów. Proces ów, jak wiadomo, polega m.in. na niepokojąco łatwym przyswajaniu działań i środków do niedawna w ogóle niezaliczanych do kategorii klasycznych narzędzi prowadzenia wojen znanych z historii. Dotyczy to również metod oraz elementów kojarzonych dotychczas wyłącznie z wywiadem i szpiegami – w tym właśnie skrytobójczych sposobów eliminacji przeciwników. Te „wojny asasynów” przestają już być jednak wyłącznie specyfiką hermetycznego świata tajnych służb, a stają się coraz częściej elementem realnych konfliktów i starć w środowisku międzynarodowym. Bo jeśli nadrzędnym celem stron konfliktu międzynarodowego staje się dzisiaj zamaskowanie jego rzeczywistej natury i charakteru, a nawet samej prawdzi-

PK / DZIAŁ GRAFICZNY

INWENCJA I PRZEBIEGŁOŚĆ ASASYNÓW NIE MA W PRAKTYCE GRANIC

wej tożsamości uczestników – to metody rodem z wojen szpiegów i operacje à la James Bond pasują tutaj wręcz idealnie. Zwłaszcza że tego typu działania można przecież podejmować nie tylko wobec obcych szpiegów oraz renegatów i zdrajców (osób, które jako dawni funkcjonariusze służb lub rządu przeszli na stronę innego państwa). Skrytobójcze metody asasynów z powodzeniem dają się zastosować także wobec ludzi pełniących we wrogim państwie odpowiedzialne funkcje we władzach politycznych i wojskowych. To tzw. strategia dekapitacji wrogiego państwa – zespół działań i środków mających na celu eliminację w możliwie krótkim czasie większości (a optymalnie – wszystkich) osób na kluczowych, centralnych stanowiskach rządowych i decyzyjnych w atakowanym państwie, tak aby wywołać w nim całkowity paraliż władz i chaos decyzyjny (próżnię władzy).

Strategia dekapitacji to potencjalnie najtańsza i najprostsza metoda, która – wraz z kilkoma innymi równie nieskomplikowanymi technikami hybrydowymi, opisywanymi wcześniej na tych łamach – daje duże szanse na wygranie współczesnych wojen. I to bez angażowania regularnych sił zbrojnych na pełną skalę, a nawet potencjalnie w ogóle bez oddania ani jednego strzału. Można stosować ją otwarcie, w ramach regularnej wojny i przy użyciu klasycznych środków militarnych – jak Amerykanie polujący wiosną 2003 roku na Saddama Husajna i jego współpracowników podczas operacji „Enduring Freedom". Można też podjąć próbę jej realizacji, wpisując ją w specyfikę typowych działań hybrydowych – niejawnych, niejasnych i pozbawionych łatwo rozpoznawalnej odpowiedzialności sprawców. Narzędzia stosowane do niedawna wyłącznie w wojnach szpiegów są tu niezastąpione.

Trudno w tym kontekście nie zauważyć, że metody postępowania współczesnych asasynów – skrytobójców z patentem państwa mocodawcy, zaangażowanych do prowadzenia działań w ramach wojen hybrydowych – zaczynają coraz wyraźniej ocierać się o klasyczny terroryzm. Fakt, iż zleceniodawcami tych operacji wciąż są jednak państwa, choć najczęściej głęboko ukryte za szeregiem pośredników, „podwykonawców" itp., czyni całą tę sytuację szczególnie skomplikowaną. Bo przecież, zgodnie z klasycznymi definicjami terroryzmu, ma on charakter niepaństwowy i nieregularny. Być może zatem coraz bardziej aktywna i otwarta działalność nowożytnych asasynów, podejmowana w ramach wojen hybrydowych, każe już niedługo zweryfikować także i definicję terroryzmu.

ONI SĄ WŚRÓD NAS

Przypadek Skripala pokazuje również, że inwencja potencjalnych sprawców tego typu ataków nie ma w praktyce granic. Dosłownie i w przenośni, bo przecież użytego w Salisbury nowiczoka trzeba było na miejsce operacji przewieźć spoza Wielkiej Brytanii, co wymagało dość sporej inwencji i organizacyjnej przebiegłości. Ostatecznie gaz bojowy to wszak nie to samo co trutka na karaluchy. Tak czy siak, perspektywa rzeczywistości, w której niezidentyfikowani, profesjonalni zabójcy krążą po świecie ze śmiertelnie toksyczną bojową substancją chemiczną w bagażu, musi wzbudzać co najmniej niepokój.

Co gorsza, działania możnych tego świata są twórczą inspiracją dla innych, pomniejszych aktorów sceny międzynarodowej. Gdy świat zachodni żył sprawą Skripala, Kurdowie irańscy opłakiwali śmierć jednego ze swoich liderów, Qadera Qaderiego, zabitego 6 marca 2018 roku w północnym Iraku przez agentów irańskiego wywiadu. Organizacja, w której działał Qaderi – Kurdyjska Partia Demokratyczna w Iranie (KDP-I) – jest zresztą notorycznie nękana przez irańskich asasynów. W 1989 w Wiedniu zginął z ich rąk dr Abdul Rahman Ghassemlou, ówczesny lider i jeden z założycieli tej partii. W późniejszych latach Irańczycy eliminowali na Zachodzie wielu działaczy KDP-I, a także innych organizacji opozycyjnych (zwłaszcza Mudżahedinów Ludowych – MeK).

Jak więc widać, wojny asasynów coraz wyraźniej stają się jednym ze sposobów działania państw w dobie wojen hybrydowych. Tendencja ta się umacnia, wdrażane są też coraz to nowe środki i metody, i coraz bardziej rozmywa się odpowiedzialność za podejmowane akcje. Trzeba mieć tylko nadzieję, że użycie wobec Skripala zaawansowanych bojowych substancji chemicznych było jedynie kolejną (po rycynie, polonie i dioksynach) ekstrawagancką – nomen omen – „nowinką", nie zaś celowym testowaniem skuteczności nowych środków toksycznych, o znacznie wyższym poziomie letalności od dotychczasowych. ■

MARCIN RZEPKA

Inny wymiar F-35

Przekazana 22 maja 2018 roku przez zwierzchnika izraelskich sił powietrznych gen. dyw. Amikama Norkina informacja o użyciu przez Izrael samolotów F-35 w celu przeprowadzenia ataków na wybrane cele na Bliskim Wschodzie dowodzi co najmniej dwóch rzeczy: narastającego od miesięcy konfliktu izraelsko-irańskiego w regionie oraz znaczenia deklaracji politycznych i militarnych w konstruowaniu rzeczywistości bliskowschodniej.

F-35 staje się symbolem przemian zachodzących w Izraelu. Nie byłyby one jednak możliwe bez wyraźnego wsparcia amerykańskiego prezydenta Donalda Trumpa, które wykracza daleko poza sferę czysto symboliczną. Chodzi m.in. o przeniesienie ambasady amerykańskiej do Jerozolimy oraz wycofanie się Stanów Zjednoczonych z porozumienia atomowego z Iranem. Istotnie Amerykanie dają też premierowi Beniaminowi Netanjahu wolną rękę w kształtowaniu polityki w regionie z wyraźnym odniesieniem do Iranu, postrzeganego przez polityków izraelskich jako największe zagrożenie. Iranofobię premiera potęgują jeszcze wypowiedzi amerykańskiego sekretarza stanu Mike'a Pompeo, który 21 maja ujawnił „nową strategię nacisku na Teheran", zapowiadając nieznane dotąd w historii sankcje.

Oficjalne potwierdzenie gotowości bojowej samolotów F-35 to niewątpliwie zapowiedź obrony interesów Izraela, a przy tym retoryczna forma nacisku. Należy ją postrzegać jako część szerszej izraelskiej strategii informacyjnej. Oświadczenie Norkina – szeroko komentowane przez światowe media – można zatem odczytać jako przesłanie skierowane bezpośrednio do Teheranu. Generał wspomniał wszak o ataku na Wzgórza Golan przeprowadzonym z irańskich baz na terytorium Syrii.

Trudno też nie dostrzec oznak zmieniającego się klimatu politycznego w Iranie i konsolidacji tamtejszego obozu konserwatystów, którym niewątpliwie służą wypowiedzi Trumpa, Netanjahu, Pompeo i Norkina. Teheran postrzega już działania Izraela jako kontynuację polityki prowadzonej przez Waszyngton. Minister spraw zagranicznych Mohammad Dżawad Zarifi przestrzega natomiast, że atak Stanów Zjednoczonych spotka się z gwałtowną reakcją. Medialną odpowiedzią zaś Irańczyków na informacje o użyciu przez izraelskie lotnictwo w celach bojowych samolotów F-35 była zgodna z retoryką Teheranu sugestia o ich możliwym wykorzystaniu w atakach na Palestyńczyków.

Gdyby pominąć narastający konflikt izraelsko-irański, działania administracji Trumpa i wypowiedzi Netanjahu, to oświadczenie gen. Norkina można by uznać za jeden z istotnych punktów w programie obchodów 70. rocznicy powstania państwa Izrael oraz tamtejszych sił powietrznych. To jednak aż nazbyt idealistyczne. ■

MARCIN RZEPKA jest orientalistą, pracownikiem Instytutu Historii Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie.

HISTORIA

/ **100 LAT NIEPODLEGŁOŚCI**

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Zadaniem o najwyższym priorytecie, którego rangę wzmagała budowa, a następnie rozbudowa portu w Gdyni, była ochrona polskiej komunikacji morskiej. Na zdjęciu okręt podwodny ORP „Orzeł" w porcie gdyńskim, luty 1939 roku.

KRZYSZTOF KUBIAK

SKROJONA NA MIARĘ

Polska marynarka wojenna w dwudziestoleciu międzywojennym była narzędziem potencjalnie niezwykle groźnym, ale jednocześnie bardzo wyspecjalizowanym. To stanowiło o jej sile, ale też okazało się źródłem słabości.

Kiedy 28 listopada 1918 roku Józef Piłsudski, jako naczelny dowódca Wojska Polskiego i minister spraw wojskowych, wydał rozkaz o utworzeniu marynarki polskiej, miało to wymiar głównie symbolicznej deklaracji politycznej. Granice państwa nie zostały wszak określone, a jedynym uzasadnieniem pretensji do posiadania floty był ogólnikowy zapis 13. punktu deklaracji prezydenta Stanów Zjednoczonych Thomasa Woodrowa Wilsona o tym, że jednym z wojennych celów Ameryki jest stworzenie niepodległego państwa polskiego na terytoriach zamieszkanych przez ludność bezsprzecznie polską, z wolnym dostępem do morza.

Na ukształtowanie sytuacji umożliwiającej podjęcie faktycznych działań mających przynieść utworzenie siły zbrojnej na morzu trzeba było jeszcze poczekać. Dopiero w październiku 1919 roku oddziały dowodzonego przez gen. dyw. Józefa Hallera Frontu Pomorskiego zaczęły przejmować obszary przyznane Polsce w wyniku ustaleń traktatu wersalskiego. 18 stycznia polscy żołnierze obsadzili Toruń, 10 lutego zaś Haller dokonał w Pucku aktu symbolicznych zaślubin odrodzonego państwa z Bałtykiem.

IDENTYFIKACJA WROGA

Początki polskiej marynarki wojennej były bardziej niż skromne, ale już pierwszy pozyskany okręt, czyli kupiony pod koniec 1919 roku w Hamburgu parowiec żeglugi przybrzeżnej, który pod nazwą „Pomorzanin" przeznaczony był do prowadzenia prac hydrograficznych, okazał się nader przydatny w zupełnie innych okolicznościach. 16 sierpnia 1920 roku ewakuował bowiem z Łotwy pododdziały 18 Pułku Ułanów Pomorskich, zepchnięte w granice tego neutralnego państwa przez wojska bolszewickie. Z podziału floty niemieckiej Polska dostała zaś sześć wyeksploatowanych torpedowców, w Danii kupiono cztery poniemieckie trałowce, a w Finlandii dwie, budowane pierwotnie dla

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (3)

Czyszczenie torped oraz wyrzutni torpedowej na okręcie. 1930 rok

POLSKA MUSIAŁA NIE TYLKO **ZBUDOWAĆ OD PODSTAW FLOTĘ**, LECZ TAKŻE NIEZWYKLE STARANNIE ZAPROJEKTOWAĆ JEJ KSZTAŁT, BY WYMAGAJĄCY ZNACZNYCH NAKŁADÓW RODZAJ SIŁ ZBROJNYCH BYŁ JAK NAJBARDZIEJ ZINTEGROWANY Z WYSIŁKIEM OBRONNYM CAŁEGO PAŃSTWA

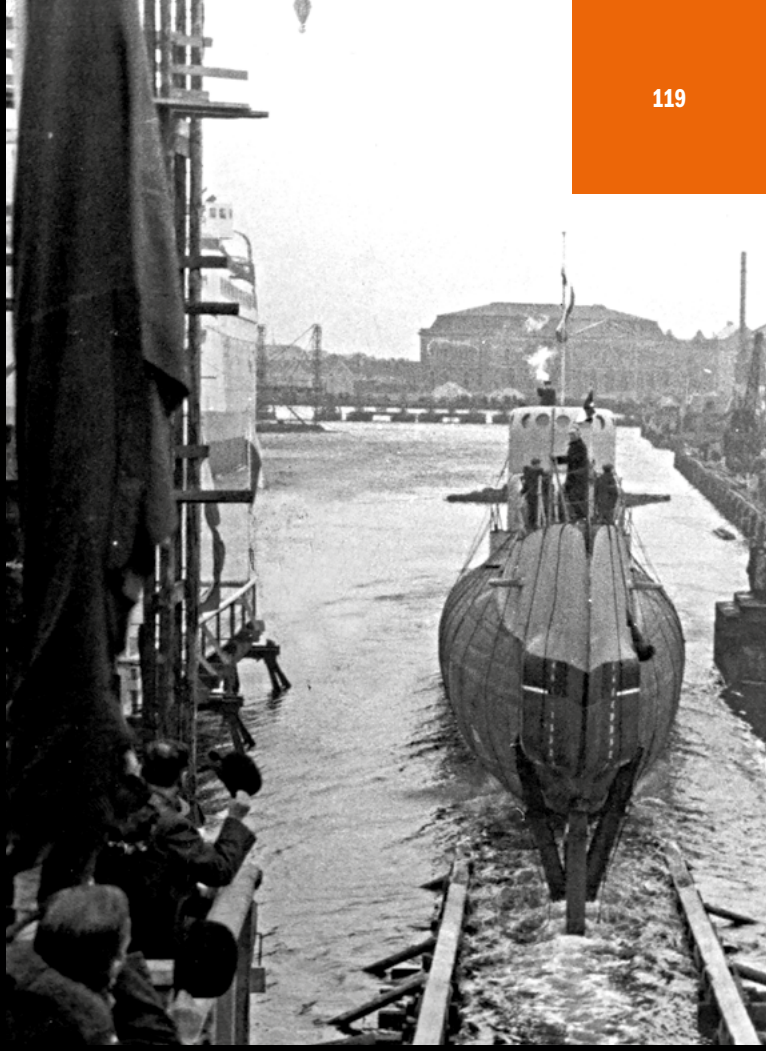

Wodowanie okrętu ORP „Orzeł". Holandia, Vlissingen, 1938 rok

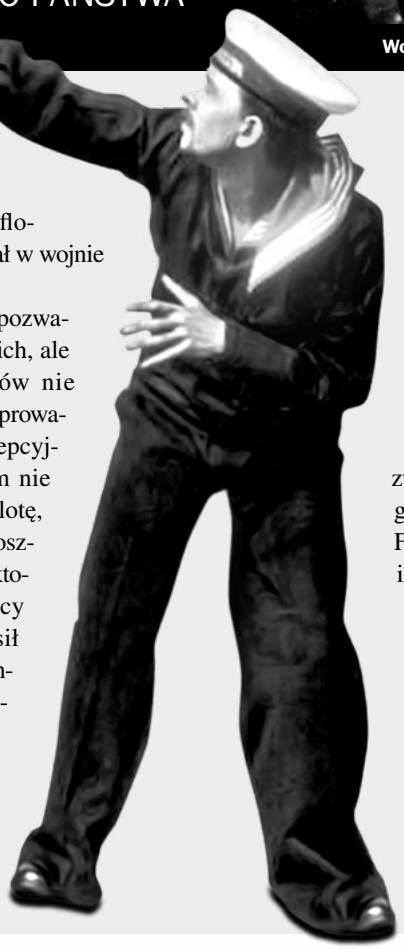

floty carskiej, kanonierki. Równocześnie z flotą powstawała flotylla rzeczna, która wzięła udział w wojnie z bolszewicką Rosją.

Ówczesny stan państwa nie pozwalał na dalszy rozwój sił morskich, ale mizeria posiadanych zasobów nie oznaczała, że zrezygnowano z prowadzenia prac studyjnych i koncepcyjnych. Polska musiała bowiem nie tylko zbudować od podstaw flotę, lecz także, biorąc pod uwagę koszty, niezwykle starannie zaprojektować jej kształt, by wymagający znacznych nakładów rodzaj sił zbrojnych był jak najbardziej zintegrowany z wysiłkiem obronnym całego państwa.

Zadania stawiane wówczas marynarce wojennej zostały wyspecyfikowane pod wpływem doświadczeń z wojny z bolszewikami oraz w następstwie porządku międzynarodowego będącego jej wynikiem. Warto przy tym wspomnieć, że kończący wojnę pokój ryski na niemal dwie dekady ukształtował ład polityczny od Morza Białego aż po Czarne. Zatem jeżeli w odniesieniu do zachodu Europy mówi się o tzw. porządku wersalskim, to w wypadku wschodu w pełni zasadne jest twierdzenie o ukształtowanym przez polskie zwycięstwo wojenne „porządku ryskim", którego bezpośrednimi beneficjentami były również Finlandia, trzy państwa bałtyckie (Litwa, Łotwa i Estonia), a także Rumunia.

Zbiór zadań stawianych przed flotą, sformułowanych ogólnie, był typowy dla większości państw morskich i obejmował obronę własnego wybrzeża i komunikacji morskiej oraz zwalczanie sił przeciwnika. Wobec militarnej marginalizacji Niemiec w wyniku postanowień traktatu wersalskiego przeciwnik mógł być wówczas tylko jeden – sowiecka Rosja. Co prawda Niemcy, mimo wyjątkowo drastycznego ograniczenia

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Marynarze podczas ćwiczeń z obsługi działka przeciwlotniczego w porcie w Gdyni

POLSCY DOWÓDCY OKRĘTÓW BYLI WYSZKOLENI NA POZIOMIE **CZOŁOWYCH FLOT ŚWIATA.** POZIOM PRZYGOTOWANIA ZWYKŁYCH MARYNARZY TAKŻE BYŁ WYSOKI

floty, nadal miały na morzu miażdżącą przewagę nad Polską, jednak koniunkcja procesów i zjawisk politycznych umożliwiła przyjęcie założenia, że w wypadku konfliktu z Sowietami zachowają one neutralność.

Zadaniem o najwyższym priorytecie, którego rangę wzmagała budowa, a następnie rozbudowa portu w Gdyni, była przy tym ochrona polskiej komunikacji morskiej. Uważano bowiem, znów kierując się doświadczeniami z czasów wojny polsko-bolszewickiej, że morze to najpewniejsza arteria dostaw pomocy z sojuszniczej Francji. Nawet neutralne Niemcy mogły bowiem stosować na swoim terytorium obstrukcję wobec transportów przeznaczonych dla Polski, choćby przez przyzwolenie na aktywne działania skomunizowanych związków zawodowych.

Ochronę komunikacji można przeprowadzić na dwa podstawowe sposoby – pasywnie, eskortując poszczególne statki handlowe lub sformowane z nich konwoje, bądź aktywnie, uniemożliwiając przeciwnikowi podjęcie działań przeciwko własnej żegludze. Polscy planiści byli świadomi tego, że samodzielne zbudowanie floty zdolnej do prowadzenia długotrwałych, zakrojonych na dużą skalę działań eskortowych między cieśninami bałtyckimi a Gdynią przekracza możliwości państwa. Zakładano co prawda współdziałanie w tej dziedzinie z zespołem francuskim, ale jego ewentualne wejście na Bałtyk było uzależnione od tak wielu czynników natury politycznej, że nie można było na tak kruchej przesłance budować planów rozwoju floty. Wobec ograniczonych możliwości realizacji opcji defensywnej pozostawała jedynie ewentualność utrzymywania przeciwnika z dala od własnych linii żeglugowych. Zamiar defensywy zamierzano przy tym zrealizować przez działania zaczepne na szczeblu taktycznym. I właśnie pod tym kątem była prowadzona rozbudowa polskiej marynarki wojennej epoki międzywojnia.

PRZEWAGA JAKOŚCIOWA

Zamysłowi takiemu sprzyjała geografia. Jedyna baza sowieckiej Floty Bałtyckiej znajdowała

10 lutego 1920 roku GENERAŁ JÓZEF HALLER dokonał w Pucku aktu symbolicznych zaślubin odrodzonego państwa z Bałtykiem.

się w Kronsztadzie, pod ówczesnym Piotrogrodem, od 1924 roku Leningradem, na wschodnim krańcu Zatoki Fińskiej. Od Gdyni to miasto dzieli około 700 Mm. Przed wyjściem na otwarty Bałtyk sowiecka flota musiała więc pokonać około 260 mil Zatoki Fińskiej, która w najwęższym miejscu, między estońskim Tallinem a fińskimi Helsinkami ma zaledwie około 40 Mm szerokości. Tam właśnie polska flota zamierzała zatrzymać Sowietów.

Nie mogąc rywalizować ze wschodnim sąsiadem pod względem liczby i kategorii okrętów – już pod koniec lat dwudziestych ubiegłego wieku Flota Czerwona zdołała przywrócić do służby trzy okręty liniowe typu Gangut, z artylerią główną w postaci 12 armat kalibru 305 mm, z których dwa pozostały na Bałtyku (jedną jednostkę przebazowano na Morze Czarne) – zdecydowano się na rywalizację jakościową i agresywne zastosowanie min morskich.

To dlatego dwa pierwsze polskie niszczyciele zbudowane w stoczni francuskiej, „Wicher" i „Burza" (w służbie odpowiednio od 1930 i 1932 roku), były w tamtym czasie największymi i najsilniej uzbrojonymi, a także najszybszymi jednostkami na Bałtyku, przewyższającymi pod tym względem wszystkie sowieckie jednostki tej klasy. „Wicher" dowiódł ponadto już w 1932 roku swej przydatności jako narzędzia „dyplomacji morskiej", gdy wchodząc demonstracyjnie do Gdańska, wymusił na tamtejszym senacie poszanowanie praw Polski w wolnym mieście.

Również trzy, zamówione także we Francji (wszak za pieniądze z francuskiego kredytu), okręty podwodne „Wilk", „Ryś" i „Żbik" (w służbie od 1931, 1931 i 1932 roku) przenosiły oprócz torped miny morskie. Mając trzy takie jednostki, można było – w razie kryzysu – utrzymywać co najmniej jedną w głębi Zatoki Fińskiej, z zadaniem natychmiastowego postawienia min na prawdopodobnych trasach przejścia sowieckiej floty.

Koncepcję utrzymywania przewagi jakościowej zachowano, zamawiając kolejne dwa niszczyciele w Wielkiej Brytanii. „Grom" i „Błyskawica" (w służbie od 1937 roku) były prawdopodobnie jednymi z najlepszych w swojej kategorii na świecie i miały realne szanse na nawiązanie walki z sowieckimi krążownikami. Kolejnym krokiem w budowie zdolności do powstrzymania floty sowieckiej przed wyjściem na otwarty Bałtyk było zamówienie stawiacza min „Gryf", w służbie od 1938 roku [rozmowa z ostatnim żyjącym marynarzem ORP „Gryf" na str. 126–129]. Zabierając 300 min, operująca w eskorcie zespołu silnych niszczycieli jednostka mogła postawić niezwykle trudną do sforsowania zagrodę na Zatoce Fińskiej, zdolną spowolnić bądź wręcz unicestwić sowieckie zamiary wyjścia na otwarty Bałtyk.

Gdyby jednak do tego doszło, a powstrzymanie przeciwnika przez siły nawodne okazało się niemożliwe, Polacy przygotowywali jeszcze jedną linię obrony na morzu. Tworzyć ją miały dwa duże okręty podwodne zamówione w stoczni holenderskiej – „Orzeł" i „Sęp" (w służbie od 1939 roku). Ich największym atutem była pokaźna jednostka ognia, licząca 20 torped (dla porównania niemieckie U-Booty typu II, jedyne, które miała Kriegsmarine, zabierały pięć torped), umożliwiająca prowadzenie długotrwałych działań bez konieczności powrotu do portu w celu uzupełniania uzbrojenia.

Tak skonstruowana flota morska, wspierana przez sześć trałowców rodzimej budowy („Jaskółka", „Mewa", „Rybitwa", „Czajka", „Czapla", „Żuraw", w służbie w latach 1935–1939) i dwie wspomniane wcześniej kanonierki oraz jednostki pomocnicze, a także system obrony wybrzeża z helską baterią uzbrojoną w cztery nowoczesne szwedzkie armaty kalibru 152,4 mm dawały szansę na odniesienie sukcesu w wojnie, do której była przygotowywana.

Oczywiście szanse marynarki znacznie by wzrosły, gdyby wspólnie z Polakami walczyli przeciwko Flocie Czerwonej Finowie (pięć okrętów podwodnych, dwa pancerniki obrony wybrzeża, siedem torpedowców, cztery kanonierki, stawiacz min) oraz Estończycy (dwa okręty podwodne) i Łotysze (dwa okręty podwodne). Jednak mimo podnoszenia tego zagadnienia w czasie niektórych narad dyplomacja nie zdołała poczynić żadnych ustaleń z potencjalnymi partnerami.

W PUŁAPCE UKŁADU ODNIESIENIA

Niezwykle dynamiczna zmiana sytuacji w Europie po roku 1933, zwłaszcza po 1936, kiedy Hitler przekonał się, że jego agresywne działania – w tym wypadku remilitaryzacja Nadrenii – nie spotykają się z żadną reakcją ze strony zachodnich mocarstw, postawiła Polskę w dramatycznej sytuacji wojskowo-politycznej. O ile wojska lądowe i lotnictwo mogły w miarę elastycznie reagować na zmianę priorytetów, jeśli chodzi o zagrożenia, o tyle marynarka wojenna swobodę w tej dziedzinie miała bardzo ograniczoną. Tworzono ją wszakże jako narzędzie potencjalnie niezwykle groźne, ale jednocześnie bardzo wyspecjalizowane. W zmienionych okolicznościach, w konfrontacji z innym przeciwnikiem, jej szanse gwałtownie zmalały, zwłaszcza wobec bezpośredniego zagrożenia rejonu bazowania z kierunku lądowego. W tej sytuacji jest niemal pewne, że odesłanie trzech niszczycieli do Wielkiej Brytanii było najlepszym krokiem, jaki można było poczynić. ■

Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje
w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie
Jana Kochanowskiego w Kielcach.

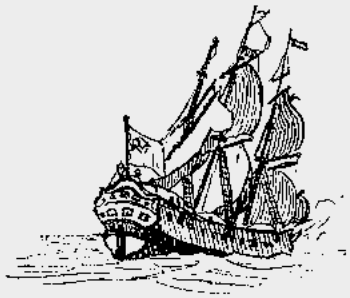

TOMASZ GOS

WŁADANIE NA MORZU

Marynarkę wojenną utworzył Józef Piłsudski specjalnym dekretem z 28 listopada 1918 roku. Co nie oznacza, że przed tą datą nie istniała polska flota wojenna.

Historia polskiej floty wojennej od czasów panowania pierwszych Piastów aż do rozbiorów Polski to przede wszystkim historia kaprów, którzy zdecydowali się walczyć w imię polskich władców głównie dla łupów wojennych. Niemniej jednak ich umiejętności wojenno-morskie miały wpływ na historię naszego kraju.

OKRĘTY SŁOWIAN

W X wieku zaczęło się tworzyć państwo Polan. Chociaż współcześni historycy nie są zgodni co do tego, czy we wczesnym średniowieczu faktycznie występuje wśród ludów słowiańskich nazwa „Polanie", to nie ulega wątpliwości, że z północno-zachodnich Słowian wywodzi się ród Piastów, który władał plemionami zamieszkującymi te tereny. W tamtym czasie jednym z ważniejszych szlaków handlowych dla tworzącego się państwa polskiego był ten morski, który wiódł od Wolina, przez Kołobrzeg, Gdańsk, Truso, do Nowogrodu na Rusi.

Handel i żegluga stanowiły o bogactwie grodów pomorskich. Dlatego niektóre z nich dysponowały nawet statkami przystosowanymi do dalekich rejsów. Takie jednostki miały od 7 do 18 m długości, do 5 m szerokości i około 1,5 m wysokości. Mogły zabrać na pokład do 10 t ładunku i około 40 ludzi. Na wyprawy wojenne można było też wziąć dodatkowo dwa konie. Słowianie nadbałtyccy nie tylko prowadzili bitwy morskie, lecz także potrafili desantować na wybrzeże przeciwnika jazdę konną.

Na przełomie X i XI wieku Słowianie nieustannie toczyli bitwy morskie, m.in. z Duńczykami, nie tylko na terenie

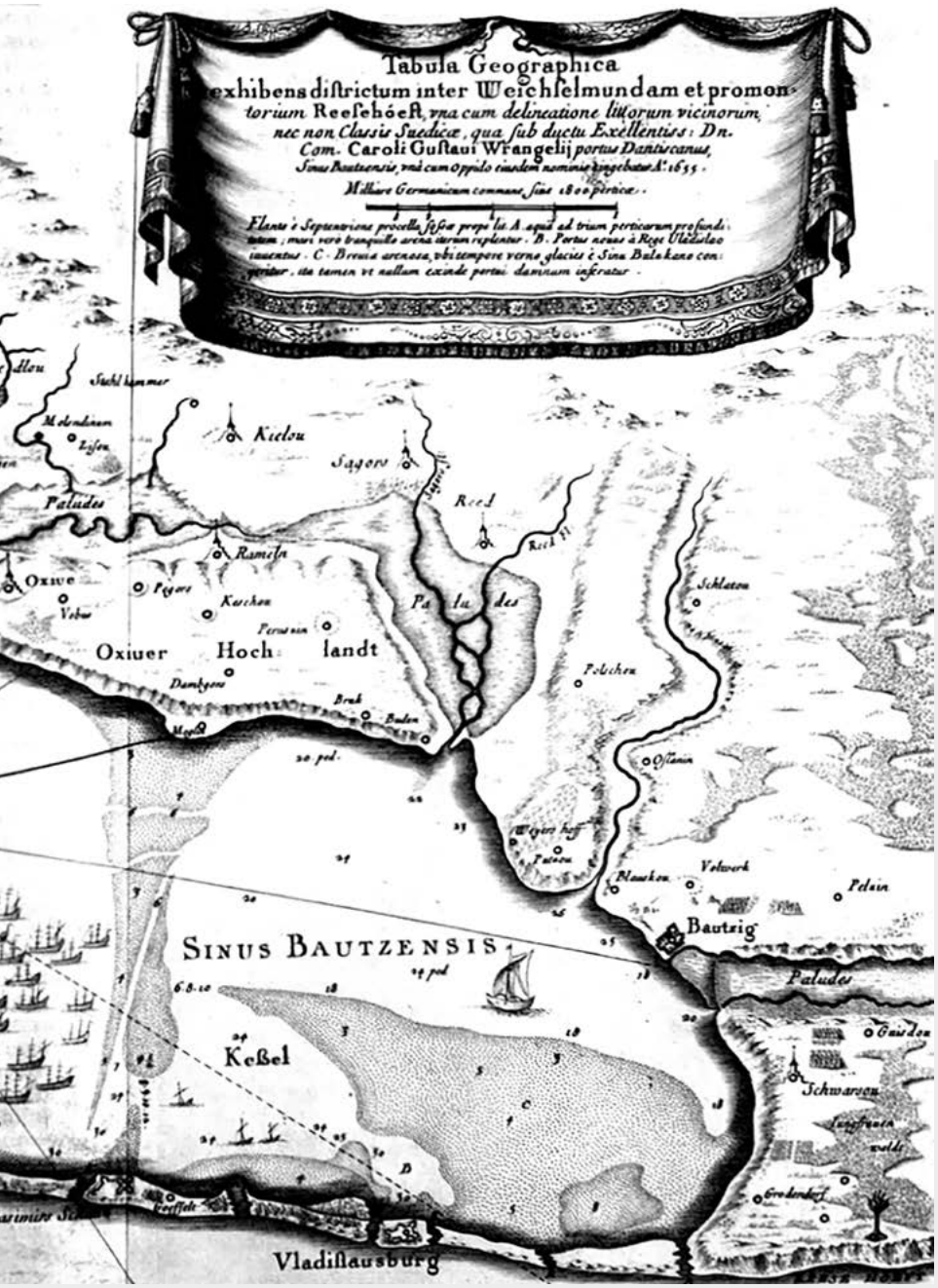

Mapa Zatoki Puckiej z 1655 roku, na wysepkach tworzących dzisiejszą Mierzeję Helską zaznaczone są twierdze Rzeczypospolitej: Władysławowo (Vladislausburg, dziś Chałupy w gminie Władysławowo) i Kazimierzowo (Casimirs Schanz, dziś Kuźnica w gminie Jastarnia).

PIERWSZY POLSKI OKRĘT, POD NAZWĄ „SMOK”, ZACZĘTO BUDOWAĆ W ELBLĄGU

Bałtyku, lecz także na Morzu Północnym. Polskim władcom zależało zaś na zdobyciu dostępu do morza, ale dopiero Bolesławowi Krzywoustemu udało się w 1116 roku przyłączyć do Polski Pomorze Gdańskie.

W XII wieku Duńczycy zawarli z Niemcami sojusz przeciwko Słowianom i jedni atakowali ich od strony lądu, a drudzy od morza. Słowianie stosowali wówczas ataki wyprzedzające – uderzali na wybrzeże Danii. Książęta Pomorza Zachodniego zwrócili się wówczas do polskich władców z prośbą o pomoc w walce z najeźdźcami. W Polsce był to okres rozbicia dzielnicowego. Dlatego osłabionemu państwu trudno było udzielić wsparcia sąsiadom. Książę pomorski Bogusław został zatem zmuszony w 1181 roku uznać zwierzchnictwo cesarza Niemiec Fryderyka I Rudobrodego.

Cesarskiego zwierzchnictwa nad Pomorzem nie uznała jednak Dania i rozpoczęła liczne ataki od strony morza na Pomorze Zachodnie. W 1186 roku książę Bogusław musiał złożyć hołd królowi Kanutowi VI i jego państwo na 40 lat trafiło pod panowanie Danii. Kiedy jednak przy wsparciu Polski odzyskano panowanie nad Pomorzem, pojawiło się nowe zagrożenie – Brandenburgia. Tamtejsi margrabiowie skierowali swoją ekspansję na Wschód. Wówczas też zaczął się rozwijać zakon krzyżacki, który chciał na Pomorzu stworzyć własne państwo. Ostatecznie zatem na początku XIV wieku Polska została odcięta przez zakon i Brandenburgię od Bałtyku.

Dopiero bitwa pod Grunwaldem złamała potęgę zakonu krzyżackiego. Po niej rozegrało się wiele walk. W jednej z największych bitew, pod Wiłkomierzem nad rzeką →

Świętą, oddziały polsko-litewskie pokonały wojska zakonne. Poległo wówczas kilkadziesiąt tysięcy osób, czyli więcej niż pod Grunwaldem. W tym czasie zakon krzyżacki popadł też w konflikt z Prusakami, którzy zamieszkiwali jego ziemie. Wielki mistrz Konrad von Erlichshausen nakazał Prusakom złożyć hołd. Gdy odmówili, zaczął ich prześladować. W Prusach powstała wtedy tajna rada, która postanowiła poddać swoje ziemie Polsce. Tamtejsi posłowie złożyli w 1454 roku hołd naszemu królowi jako swojemu władcy i specjalnym aktem inkorporacyjnym, po 150 latach zostały przywrócone Polsce Pomorze Wschodnie i całe Prusy. W ten sposób odzyskaliśmy dostęp do morza.

POLSKA BANDERA Z CZASÓW POWSTANIA STYCZNIOWEGO DLA ZAKUPIONEGO PRZEZ ZAMOYSKICH I CZARTORYSKICH OKRĘTU „PRINCESS", KTÓRY JAKO „KILIŃSKI" LUB „KOŚCIUSZKO" MIAŁ WEJŚĆ POD BRYTYJSKĄ BANDERĄ DO WALKI Z MARYNARKĄ WOJENNĄ IMPERIUM ROSYJSKIEGO

ŁUPY KAPRÓW

Flota polska działała w tamtych czasach na zasadach kaperskich. Uzbrajano statki handlowe i mobilizowano ochotników. Formą żołdu za udział w bitwach morskich były łupy wojenne, które dzielono między właściciela statku, kapitana i załogę. Kapitanowie mieli zaś wystawione przez króla listy kaperskie. Określały one, kto jest wrogiem, kto sojusznikiem, a kto zajmuje w konflikcie stanowisko neutralne. Pozwalały też zawiesić na okręcie kaperskim banderę państwa, w którego imieniu okręt toczył wojnę.

W praktyce jednostki wystawiała do walki Rada Miejska Gdańska na rozkaz króla polskiego. W wojnie trzynastoletniej na przykład gdańscy radni wystawili do walki z zakonem krzyżackim i ich sojusznikami około stu okrętów kaperskich. Ich załogi składały się z zasymilowanej ludności miast portowych, autochtonów pomorskich oraz osób z głębi Polski. Flota kaperska zwalczała m.in. statki zaopatrujące porty krzyżackie, jednostki państw utrzymujących handel z zakonem i krzyżackie rybołówstwo.

7 marca 1458 roku doszło do jednej z największych potyczek tamtych czasów. Wystawiono wówczas jednocześnie 21 listów kaperskich. Atak skierowano głównie na bałtyckie szlaki handlowe Hanzy, zwłaszcza Lubeki. W 1456 roku zaś, w bitwie koło Zalewu Wiślanego, kaprzy gdańscy rozbili grupę wrogich okrętów. Holendrzy chcieli obronić linie żeglugowe Amsterdamu prowadzące do portów zakonu krzyżackiego. Ponieśli jednak całkowitą klęskę.

Znany też jest epizod z września 1463 roku. Krzyżacy uzbroili 44 okręty, na które załadowano również dużą ilość żywności. Planowali wpłynąć na Zalew Wiślany, a potem rzeką dotrzeć do obleganego Gniewa. Jedenaście kaperskich okrętów zablokowało jednak Wisłę w okolicach Kiezmarku. Tam rozegrała się zacięta bitwa, w której flota krzyżacka poniosła klęskę. W rękach kaprów znalazły się ogromne zapasy żywności, uzbrojenie, 44 okręty krzyżackie, wzięto też około 600 jeńców.

ZYGMUNT II AUGUST był pierwszym królem, który zaczął budować polską potęgę morską.

Z GDAŃSKA DO PUCKA

Pierwszym królem, który docenił posiadanie własnej floty wojennej, był Zygmunt Stary. Wprowadził tę kwestię do programu polityki państwowej. Ostatecznie utworzył flotę królewską, liczącą kilkanaście średniej wielkości jednostek. Król sam wystawiał im listy kaperskie. Pierwsza wzmianka o królewskim żołnierzu morskim pochodzi z 1517 roku, kiedy to kpt. Adrian Flint został zatrzymany przez Duńczyków. Król zażądał wówczas zwolnienia zarówno kapitana oraz jego załogi, jak i zagarniętego statku wraz z towarem.

Po śmierci Zygmunta Starego, Zygmunt II August początkowo kontynuował rozwój floty kaperskiej. W 1567 roku musiał jednak przenieść jej bazę z Gdańska do Pucka. Państwa zachodnie uważały bowiem (niesłusznie zresztą), że flota kaperska jest gdańska, a nie polska. Wiązało się to z podejmowanymi przez państwa zachodnie różnymi działaniami odwetowymi, uderzającymi w gdański handel i żeglugę. To zaś wywoływało niezadowolenie gdańszczan.

Na dodatek kaprzy czuli, że mają poparcie króla, dlatego wysuwali w stosunku do władz Gdańska coraz to nowe żądania, co oczywiście jeszcze bardziej zaogniało sytuację między nimi a gdańszczanami. Ale przeniesienie bazy do Pucka nie osłabiło tych animozji.

Zygmunt August zaczął myśleć o budowie własnej floty. W grudniu 1569 roku zawiadomił dożę Wenecji, że jego przedstawiciel Antonio Angeli przyjedzie do tego miasta, żeby znaleźć i sprowadzić do Polski budowniczego okrętów. Zezwolenie na pracę w służbie króla polskiego dostał Domenicus Sabioncellus (w polskich dokumentach funkcjonuje jako Zaviazello). W źródłach pojawia się też wzmianka o drugim budowniczym – Jakubie Salvadore. Wykonali oni w Polsce model okrętu, który został zaakceptowany przez Komisję Morską utworzoną w 1568 roku przez Zygmunta Augusta. Przez wielu historyków jest ona uważana za zalążek polskich władz morskich.

Pierwszy polski okręt zaczęto budować w Elblągu. Do dzisiaj historycy nie są zgodni co do tego, czy była to galera, czy galeon. Niemniej jednak jednostkę zwodowano 14 czerwca 1571 roku. Prace wykończeniowe nad nią przerwała jednak śmierć Zygmunta II Augusta. Po kilku latach okręt uległ zniszczeniu i najprawdopodobniej go rozebrano. Jego nazwa historyczna to „Smok".

JEDENASTA KSIĘGA

Stefan Batory nie przywiązywał szczególnej wagi do rozbudowy potęgi morskiej. W 1585 roku uchylił zatwierdzone 15 lat wcześniej przez Sejm statuty biskupa Stanisława Karnkowskiego, określające zasady polityki morskiej oraz podległości Gdańska Rzeczypospolitej. Dokument ten potwierdzał prawo króla do nakładania embarga na handel morski z dowolnym krajem. Monarcha miał też prawo budowania nowych portów i tworzenia floty wojennej.

W latach 1577–1578 w Polsce powstał ciekawy dokument: „Księgi hetmańskie", którego autorem był Stanisław Sarnicki, protestancki duchowny. Dzieło to przewyższa pod względem merytorycznym polskie traktaty wojskowe z XVI wieku, a księga XI poświęcona jest bitwom morskim i budowie okrętów. Sarnicki apelował również w swojej książce o utworzenie szkoły morskiej. Było to pierwsze dzieło w polskim piśmiennictwie, które zajmowało się całokształtem problematyki morskiej i działań floty wojennej.

Kolejny z władców, Zygmunt III Waza, z pochodzenia był Szwedem i marzył o koronie króla także tego kraju, co zresztą mu się udało w 1587 roku. Protestancka opozycja w Szwecji doprowadziła jednak do buntu przeciwko katolickiemu królowi i doszło do jego detronizacji. To z kolei zaowocowało wieloletnią wojną Polski ze Szwecją. Ta zaś wymusiła na polskich władcach inwestycje w okręty.

Pod koniec XVI wieku budową i organizacją nowej floty zajął się starosta pucki Jan Wejher. Jednym z jej największych sukcesów była potyczka z 1606 roku w pobliżu Mierzei Helskiej z liczącą 19 okrętów flotą szwedzką. Najsłynniejsze walki morskie tamtego okresu odbyły się 28 listopada 1627 roku i przeszły do historii jako bitwa pod Oliwą. Polską flotą, liczącą dziesięć okrętów, na których znajdowało się 179 dział i 1160 marynarzy, dowodził Arend Dickmann. Odniosła ona wówczas zwycięstwo – jeden szwedzki okręt zatopiła, a jeden zdobyła.

KONIEC POLSKIEJ FLOTY

Władysław IV, za radą hetmana wielkiego koronnego Stanisława Koniecpolskiego, postanowił sprowadzić do Polski Kozaków zaporoskich z czajkami, czyli małymi łodziami bojowymi (do 20 m długości i do 4 m szerokości). Wiosną 1635 roku polska flota wojenna została wzmocniona o 15 czajek i 1500 Kozaków. Kolejne 15 czajek powstało z przebudowanych w Polsce zarekwirowanych batów – uzbrojonych łodzi używanych w potyczkach morskich. Bazą flotylli czajek był Królewiec. Ponadto w organizowanym przez Władysława IV systemie obrony morskiej Zatoki Gdańskiej kluczową rolę odgrywał Gdańsk, który był wówczas najlepiej umocnioną i wyposażoną polską twierdzą. Kolejni władcy starali się kontynuować rozbudowę floty, ale za panowania Augusta III nastąpił zmierzch Rzeczypospolitej morskiej. Po drugim rozbiorze, w 1793 roku Polska straciła Gdańsk wraz z całą flotą.

Koncepcje utworzenia marynarki wojennej nie były w centrum zainteresowania osób zaangażowanych w organizację powstań niepodległościowych w XIX wieku. Pojawiały się jednak próby wykorzystania sił morskich w walce z siłami zaborczymi. W 1864 roku zalążkiem polskiej floty powstańczej był na przykład okręt kaperski „Kościuszko". Polacy w czasie walk o niepodległość szukali wsparcia na Zachodzie. Pojawił się jednak pewien problem. Polska nie miała wówczas swojego terytorium, więc Wielka Brytania nie mogła jej uznać za stronę w wojnie z Rosją. Znaleziono wyjście z tej sytuacji – do któregoś z portów brytyjskich musiał wpłynąć statek pod polską banderą, te bowiem uznaje się za terytorium państwowe. Kupiono wówczas „Samsona" i „Princessę". Ten drugi, przemianowany na „Kościuszkę", ruszył na Morze Śródziemne, żeby dostać się na Morze Czarne, gdzie miał nękać rosyjską flotę. Rząd carski dowiedział się o tym i wymógł na Hiszpanii konfiskatę uzbrojenia oraz internowanie załogi.

Dopiero po odzyskaniu niepodległości mogliśmy wrócić do odbudowania floty wojennej. I tak się stało, kiedy polską marynarkę wojenną utworzył specjalnym dekretem z 28 listopada 1918 roku Józef Piłsudski. ■

PODPORUCZNIK
STANISŁAW PYREK

#RycerzeBialoCzerwonej

Był jednym z tych, którym w 1939 roku przyszło walczyć w obronie ojczyzny i o honor polskiej marynarki wojennej. Nigdy nie zwątpił w sens walki, którą załoga okrętu ORP „Gryf" toczyła z wrogiem jak równy z równym, mimo jego przeważających sił. Przez całą kampanię wrześniową zachował się godnie, czym podobnie jak pozostali obrońcy polskiego wybrzeża zasłużył na miano rycerza biało-czerwonej.

My też możemy do nich dołączyć!

ARCH. RODZINY PYRKÓW

POKŁAD SPŁYWAŁ KRWIĄ, A MY STRZELALIŚMY DALEJ

Ze Stanisławem Pyrkiem

o heroicznej walce polskich marynarzy z niemieckim lotnictwem rozmawia Piotr Korczyński.

W lutym 1939 roku jako dwudziestolatek wstąpił Pan na ochotnika do marynarki wojennej. Co zdecydowało o tym, że mieszkaniec podgórskich Lusławic wybrał służbę na morzu?

Między innymi bieda. Pochodzę z wielodzietnej rodziny. Ja byłem jednym z najmłodszych spośród czternaściorga rodzeństwa. Starsi bracia służyli w wojsku, niektórzy jeszcze przed I wojną światową. Jeden na przykład był rusznikarzem w Krakowie w pułku lotniczym. W tamtych czasach to był jedyny sposób na zdobycie lepszego zawodu. Co istotne, mój ojciec pracował jako kowal, miał własną kuźnię, więc mimo wszystko lepiej nam się powodziło niż innym mieszkańcom wioski. Zacząłem tam pracować, ale i tak postanowiłem poszukać własnej drogi. Jako że w domu były tradycje wojskowe, poszedłem w ślady starszych braci. Do marynarki zgłosiło się z południowej części kraju ośmiu ochotników, a dostało dwóch. Była bardzo ostra selekcja – odpadał nawet ten, kto miał chory ząb. Marynarka to była elita Wojska Polskiego. Byłem zdrowy i wysportowany, więc przyjęli mnie bez problemów.

WIZYTÓWKA

PPOR. STANISŁAW PYREK

Ostatni żyjący marynarz ORP „Gryf". Urodził się 30 kwietnia 1919 roku w Lusławicach koło Zakliczyna, jako syn Aleksandra i Katarzyny Pyrek z domu Gala. Za walki we wrześniu 1939 roku odznaczony został medalem „Za Udział w Wojnie Obronnej 1939" i Odznaką Weterana Walk o Niepodległość. W 2002 roku decyzją prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej awansowany do stopnia podporucznika. ■

Dostał Pan przydział na stawiacz min ORP „Gryf". Jaką funkcję pełnił Pan na tym największym polskim okręcie i jednym z najnowocześniejszych?

Do przysięgi był czas na robienie z cywila żołnierza – najpierw nauka musztry i wpajanie podstawowych zasad obowiązujących w armii. Następnie, w czerwcu 1939 roku skierowano mnie do Szkoły Specjalistów Morskich, która mieściła się na hulku ORP „Bałtyk" zacumowanym w porcie Gdynia-Oksywie. W szkole zdobyłem specjalność minera, a po ukończeniu kursu skierowano mnie na ORP „Gryf". Na okręcie zajmowałem się uzbrajaniem min przed zrzuceniem ich z torów do morza. Najprościej mówiąc, byłem odpowiednikiem sapera w wojskach lądowych.

Po usunięciu dział z „Gryfa" dostałem zadanie obsługi karabinu maszynowego.

Za udział w demontażu 10 września 1939 roku otrzymałem awans na starszego marynarza

Dla załogi ORP „Gryf" pierwszy dzień wojny był wielką bitwą z niemieckim lotnictwem. Jak Pan zapamiętał te dramatyczne chwile?

Ten dzień był dla nas tragiczny. Przede wszystkim zginął nasz kapitan, kmdr Stefan Kwiatkowski – został skoszony serią karabinu maszynowego jednego z niemieckich samolotów. Do dziś śnią mi się po nocach spływający krwią pokład „Gryfa" i porozrzucane szczątki moich kolegów na przybudówkach po którymś z kolei nalocie Luftwaffe. To były straszne chwile, ale po pierwszym szoku działaliśmy jak na manewrach. Kiedy kmdr Kwiatkowski został śmiertelnie ranny, przez chwilę dowodził nami jeden z bosmanów, kierował ogniem dział. Nawet kiedy urwało mu rękę, jeszcze około godziny stał na pokładzie z zaciśniętym opaską kikutem i dalej wydawał rozkazy! Taka była adrenalina. Przez kilka dni z jednej strony odpieraliśmy naloty lotnicze, a z drugiej prowadziliśmy pojedynek z dwoma niemieckimi niszczycielami. Walczyliśmy z nimi tak skutecznie, że przez nasze trafienia oba okręty wycofały się po postawieniu zasłony dymnej. Na jednym z niszczycieli zginęła wtedy obsługa karabinu maszynowego. W tych pierwszych dniach wojny zdaliśmy nasz marynarski egzamin; dorównaliśmy nieprzyjacielowi dysponującemu nie tylko przeważającą siłą w powietrzu, lecz także jedną z największych marynarek wojennych na świecie.

Chociaż po ciężkich uszkodzeniach od bomb „Gryf" zmienił się w płonący wrak w porcie helskim, załoga nie zaprzestała walki. Wręcz przeciwnie, marynarze zdemontowali działa z okrętu i włączyli się w obronę Helu. Jaka rola przypadła Panu w obronie półwyspu?

Mimo grozy po bitwie z niemieckimi lotnikami i marynarzami wśród załogi nie było żadnych oznak paniki ani niesubordynacji. Poza jednym przypadkiem. Chodzi o człowieka, który objął dowodzenie „Gryfem" na jeden dzień przed kmdr. Stanisławem Hryniewieckim. Kpt. Wiktor Łomidze-Wachtang, zastępca kmdr. Kwiatkowskiego, był oficerem kontraktowym z Gruzji. Niestety, w czasie nalotów niemieckich stchórzył i ukrył się pod najniższym pokładem. Podjął też kontrowersyjną decyzję o wrzuceniu do morza około 300 nieuzbrojonych min, co spowodowało, że nasz okręt stał się jedynie pływającą baterią artyleryjską.

Ja, po zdemontowaniu dział z „Gryfa", dostałem zadanie obsługi karabinu maszynowego. Za udział w demontażu okrętu 10 września otrzymałem awans na starszego marynarza. Awansował mnie dowódca baterii nadbrzeżnej im. Heliodora Laskowskiego, kpt. Zbigniew Przybyszewski. Wcześniej jednak miałem problemy. Kiedy po kolejnych nalotach „Gryf" osiadł na dnie basenu helskiego portu, kmdr Hryniewiecki polecił nam zdemontować broń, a następnie opuścić okręt. Rozkaz ten wydał jednak jeszcze przed oficjalnym objęciem „Gryfa" po kpt. Łomidze-Wachtangu. I gdy kapitan zobaczył, jak rozbijam jedną z szaf w mesie oficerskiej, kazał mnie postawić przed sądem wojennym za niszczenie mienia marynarki wojennej. Niewiele brakowało, a zginąłbym od kul plutonu egzekucyjnego złożonego z własnych kolegów! Przed sądem jednak wyjaśniłem, że wykonywałem rozkazy przełożonego.

W pierwszych dniach wojny zdaliśmy nasz marynarski egzamin; dorównaliśmy nieprzyjacielowi dysponującemu nie tylko przeważającą siłą w powietrzu, lecz także jedną z największych marynarek wojennych na świecie.

ARCH. RODZINY PYRKÓW

ORP „Gryf" w czasie kurtuazyjnej wizyty w Estonii tuż przed wybuchem wojny.

Legitymacja starszego marynarza Stanisława Pyrka

Zakłopotani oficerowie zwolnili mnie, ale byłem wówczas bliżej śmierci niż wtedy, gdy znalazłem się pod ogniem niemieckich samolotów i okrętów…

Jakie wydarzenie najmocniej utkwiło Panu w pamięci z obrony Helu?

Moment tuż po kapitulacji. Ten straszny żal – nasz, prostych żołnierzy – że to już koniec walki. Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: już po rozbrojeniu idziemy między szpalerem Niemców. Oni upojeni zwycięstwem, uśmiechnięci, obrażają nas. Kilku naszych z bezsilnej już złości podeszło do tych Niemców i ich… obsikało. Żaden z tych żołnierzy nawet się nie ruszył. A w nas była jakaś obojętność, jakby wszelki strach przed śmiercią wyparował w czasie walki. Przecież ci obsikani Niemcy mogli z łatwością zastrzelić naszych. Ale oni na to czekali! W chwili klęski śmierć nie była dla nas czymś strasznym, lecz wybawieniem! Niemcy jednak nie dali się sprowokować, a ich oficerowie nam salutowali, podkreślając, że doceniają bohaterską postawę załogi Helu.

Co Pana spotkało po dostaniu się do niewoli?

Prawie rok przetrzymywano mnie w twierdzy toruńskiej, w bardzo ciężkich warunkach. Tak więc można powiedzieć, że Niemcy docenili załogę „Gryfa" i obrońców Helu… Ktoś mi poradził, bym nie przyznawał się do tego, że byłem na okręcie specjalistą. Powinienem utrzymywać, że z wykształcenia jestem rolnikiem. Posłuchałem tej rady, która prawdopodobnie ocaliła mi życie, gdyż później wielu moich kolegów zginęło w czasie bombardowań zakładów przemysłowych, w których zostali przymusowo zatrudnieni. Jako rolnik, trafiłem do gospodarstwa w Krefeld koło Düsseldorfu. Moi gospodarze byli starszymi i, co pragnę podkreślić, dobrymi ludźmi. Jadłem na przykład z nimi posiłki, a było to zabronione! Miałem też własny pokój na poddaszu i nigdy nie brakowało mi jedzenia. Koledzy, którzy trafili do fabryk w miastach, często przymierali głodem.

Był jeden dramatyczny moment w pierwszych dwóch tygodniach pracy w Krefeld. Jak to młody żołnierz, który jeszcze niedawno wąchał proch na polu walki, nie chciałem słuchać poleceń jednego z Niemców dozorujących pracę na polu. Zwrócił mi uwagę – raz, drugi – a ja go ignorowałem. Wreszcie podbiegł do mnie i wyrwał mi motykę z rąk. Wtedy uderzyłem go tak mocno, że fiknął kozła i upadł. Gestapo przyjechało błyskawicznie. Pobili mnie mocno, a później chcieli rozstrzelać. Wstawił się za mną mój gospodarz, który tłumaczył ten wyskok młodym wiekiem.

Później już było spokojnie, aż do zwolnienia z niewoli w maju 1941 roku. To też jest ciekawy przypadek, świadczący o tym, jak straszna bieda panowała wtedy na wsi. Mianowicie zwolniono mnie, bo do pracy w Niemczech zadeklarował się za mnie Józef Karpiel z sąsiedniej miejscowości, w której mieszkała moja siostra. Pisywałem do niej, a w listach, zgodnie zresztą z prawdą, podkreślałem, że nie brakuje mi jedzenia. I tenże pan Karpiel, dowiedziawszy się o tym, zadeklarował się na dobrowolną zamianę. Ponadto mój ojciec, jako kowal, potrzebował pomocnika w kuźni, w której Niemcy kuli konie.

Po powrocie do domu zaangażowałem się – na tyle, na ile to było możliwe – w działalność konspiracyjną. Mój brat Franciszek był aktywnym członkiem Armii Krajowej, ale ja, jako zwolniony z niewoli marynarz, znajdowałem się pod szczególnym nadzorem Niemców.

Czy po wojnie utrzymywał Pan kontakty z kolegami z „Gryfa"?

Nie udało mi się odnowić kontaktów z kolegami. Tylko raz usłyszałem w radiowym koncercie życzeń komunikat, że „kolega z okrętu »Gryf«, mieszkający w Londynie przesyła Stanisławowi Pyrkowi serdeczne pozdrowienia". To było gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Kolegów z „Gryfa" pamiętam jednak, jakbym ich widział dzisiaj… Czas spędzony na pokładzie okrętu polskiej marynarki wojennej zaważył na całym moim długim życiu. ■

BITWA POD WISSEMBOURGIEM PODCZAS WOJNY FRANCUSKO-PRUSKIEJ, 4 sierpnia 1870 roku. Po stronie francuskiej wyróżnił się m.in. 1 Algierski Pułk Tyralierów. Rysunek zamieszczony we francuskiej gazecie z epoki.

TADEUSZ WRÓBEL

Tyralierzy z Atlasu

Francja w epoce kolonialnej posiadała rozbudowane formacje piechoty złożone z muzułmańskich mieszkańców Afryki Północnej.

W Algierii w 1841 roku utworzono nowe jednostki piechoty, do których rekrutowano miejscowych żołnierzy. Dowódcy francuscy cenili ich za dobrą znajomość terenów działań i przeciwnika, a także za lepsze niż w przypadku Europejczyków przystosowanie do panującego klimatu. Dekretem z 7 grudnia 1841 roku powstały trzy bataliony tyralierów – po jednym w każdej prowincji, na jakie podzielono Algierię. Nazwa jednostek nawiązywała do tradycji francuskiej lekkiej piechoty z czasów rewolucji i wojen napoleońskich. W czasie bitew tyralierzy poruszali się przed kolumnami piechoty liniowej, prowadząc m.in. zwiad.

PIERWSI DO BOJU

Oddziały te uczestniczyły w latach czterdziestych XIX wieku w kampaniach przeciwko społecznościom stawiającym opór kolonizatorom na terenach ówczesnej Algierii, która nie obejmowała terenów pustynnych. Pierwszą operacją wojskową poza Afryką, w której użyto tyralierów algierskich, była wojna krymska w latach 1854–1855. Francuzi wysłali do walki pułk marszowy tyralierów.

1 stycznia 1856 roku zostały utworzone trzy pułki tyralierów algierskich – RTA, po jednym w prowincjach Algier, Oran i Konstantyna. Każdy miał trzy bataliony, których liczbę zwiększono w 1865 roku do czterech. W 1858 roku północnoafrykańscy piechurzy znaleźli się w siłach ekspedycyjnych mających zająć Kochinchinę, jak nazywano wówczas południową część Wietnamu. Innym z kolei przyszło walczyć w następnym roku przeciwko armii austrowęgierskiej we Włoszech. W latach sześćdziesiątych XIX wieku Algierczycy uczestniczyli w bojach w Senegalu i Meksyku. Gdy w 1870 roku wybuchła wojna francusko-pruska, tyralierzy pierwszy raz stanęli w obronie Francji. Walczyli w armiach Loary i Wschodniej.

Władze republiki, która powstała w miejsce cesarstwa, postanowiły w 1872 roku odtworzyć trzy czterobatalionowe pułki tyralierów algierskich. Ich żołnierze byli

W operacjach poza terytorium metropolii władze w Paryżu chętniej używały tubylczych żołnierzy niż Francuzów. Na zdjęciu tyralierzy oczekujący na dworcu kolejowym.

„Le Petit Journal" z 14 lipca 1913 roku przedstawia na okładce tyralierów algierskich podczas parady z okazji święta narodowego Francji.

w składzie francuskich wojsk, które w 1881 roku wkroczyły do sąsiedniej Tunezji. Po jej opanowaniu, w 1884 roku sformowano tam ich czwarty pułk. W końcu XIX wieku Algierczycy oddawali życie za Francję podczas zdobywania Tonkinu (północny Wietnam), Madagaskaru i terenów Sahary. Nowe podboje kolonialne wymagały coraz więcej żołnierzy. Dlatego w 1899 roku liczbę batalionów w pułku tyralierów zwiększono do sześciu. Następne bataliony zaczęto tworzyć, gdy Francuzi postanowili przejąć kontrolę nad częścią Maroka. W latach 1907–1914 sformowano 16 nowych batalionów tyralierów. Jednocześnie Francuzi tworzyli w Maroku jednostki strzelców tubylczych, z których ewoluowali później tyralierzy marokańscy.

1 PAŹDZIERNIKA 1914 ROKU NA FRONCIE ZACHODNIM BYŁO 31 BATALIONÓW PÓŁNOCNOAFRYKAŃSKIEJ PIECHOTY ROZDZIELONYCH MIĘDZY 11 PUŁKÓW MARSZOWYCH

WIELKI ROZWÓJ

W ramach przygotowań do wojny z Niemcami, której wybuch uważano we Francji za nieunikniony, przyjęto w 1912 roku ustawę o reorganizacji jednostek piechoty. W dokumencie znalazł się zapis o zwiększeniu z czterech do tuzina liczby pułków tyralierów tubylczych. W następnym roku sformowano kolejne. Gdy w 1914 roku wybuchła wojna, dziewięć pułków miało 40 batalionów. Połowa z nich stacjonowała w ciągle niespokojnym Maroku. Poza tym były tam dwa bataliony strzelców tubylczych.

W pierwszej fazie z 22 batalionów tyralierów i dwóch batalionów strzelców sformowano dziesięć pułków marszowych, które rozdzielono pomiędzy trzy dywizje i brygadę. Do końca sierpnia do Francji wysłano jeszcze 10 batalionów w składzie czterech pułków marszowych. Pozostałe osiem batalionów stworzyło trzy pułki marszowe rozmieszczone w Maroku.

Tyralierzy uczestniczyli w sierpniu 1914 roku w bitwach pod Guise i Charleroi, a w następnym miesiącu – w kontrofensywie nad Marną. Po pierwszych krwawych starciach rozwiązano część zdziesiątkowanych jednostek. 1 października 1914 roku na froncie zachodnim było 31 batalionów północnoafrykańskiej piechoty rozdzielonych między 11 pułków marszowych.

W 1915 roku tyralierów użyto w drugiej bitwie pod Artois, podczas której zdziesiątkowana została polska kompania Legii Cudzoziemskiej, znana jako Bajończycy. W następnym roku żołnierze z Afryki Północnej przelewali krew za Francję pod Verdun i nad Sommą. W ostatnim roku wojny walczyli m.in. w bitwach nad Marną oraz w Pikardii i Szampanii. Potem uczestniczyli w marszu ku Mozie.

Ponoszone przez armię francuską straty spowodowały wzrost zapotrzebowania na żołnierzy tubylczych. W momencie zakończenia walk na froncie zachodnim było tam 18 pułków marszowych, mających po trzy bataliony.

Po zawieszeniu broni nadal tworzono nowe jednostki, bo w operacjach poza terytorium metropolii władze w Paryżu chętniej używały tubylczych żołnierzy niż

Francuzów. Pułki tyralierów były w armiach Dunaju i Węgier oraz okupującej Konstantynopol Dywizji Tureckiej. Wysłano je też do Lewantu i Rosji.

Od 1 sierpnia 1914 roku do końca roku 1919 dziewięć pułków tubylczych wystawiło 82 nowe bataliony. Z kolei ze zwiększonej liczby strzelców tubylczych, których w 1915 roku przemianowano na tyralierów marokańskich, utworzono dwa pułki marszowe. Do końca wojny sformowano dziewięć ich nowych batalionów.

CZAS ROZKWITU

1 stycznia 1920 roku powstały trzy nowe pułki organiczne tyralierów w Algierii i Tunezji, a także trzy następne pułki marszowe w Maroku. W połowie tegoż roku istniały 43 pułki – 12 organicznych i 31 marszowych. 1 października te ostatnie przeformowano w 30 pułków organicznych. W następnym roku jednostki stacjonujące w Tunezji stały się pułkami tyralierów tunezyjskich. Poza tym było 28 pułków algierskich i pięć marokańskich. W latach dwudziestych rozwiązano kilka jednostek w Algierii i Tunezji, ale jednocześnie sformowano trzy nowe w Maroku. 1 stycznia 1930 roku istniało 28 pułków tyralierów z Afryki Północnej.

W okresie międzywojennym część jednostek kolonialnych stacjonowała w garnizonach na terytorium Francji. W momencie ataku Niemiec na Polskę 1 września 1939 roku było ich 14 – 12 w czterech dywizjach piechoty północnoafrykańskiej (DINA) i dwa w dywizjach piechoty (DI). Również 14 pułków rozmieszczono w Afryce Północnej. Jeden był w tym czasie w Lewancie. Po wybuchu wojny zmobilizowano jeszcze sześć następnych pułków – trzy w Algierii, dwa w Maroku i jeden w Tunezji, a w pierwszych miesiącach 1940 roku kolejne sześć.

W marcu 1940 roku w siłach zbrojnych Francji służyło 320–340 tys. mieszkańców Maghrebu. W chwili ataku Niemiec na Francję 10 maja 1940 roku w jej armii było już siedem dywizji piechoty północnoafrykańskiej. Od 29 września 1939 roku do 3 czerwca 1940 roku do Europy przerzucono jeszcze cztery dywizje piechoty afrykańskiej (DIA) i 1 Dywizję Marokańską. Z 41 północnoafrykańskich pułków tyralierów w bojach w maju i czerwcu 1940 roku uczestniczyło 29. W wyniku walk w Belgii i północnej Francji do końca maja przestało istnieć 13 pułków wchodzących w skład 1, 2, 4 i 5 DINA, 43 DI i marokańskiej dywizji. Z niedobitków ewakuowanych z Dunkierki sformowano w Normandii cztery słabe bataliony, które wcielono do 1 Lekkiej Dywizji Piechoty Północnoafrykańskiej. W czerwcu tyralierzy walczyli m.in. nad Sommą, na przedpolach Paryża i pod Aisne.

ZMIERZCH IMPERIUM

Po zawarciu rozejmu z Niemcami większość armii kolonialnej pozostała wierna Vichy, co potwierdził później jej opór przeciwko Brytyjczykom w 1941 roku w Syrii i Libanie. Tylko niewielka część żołnierzy dołączyła początkowo do gen. Charles'a de Gaulle'a. Sytuacja zmieniła się w listopadzie 1942 roku po lądowaniu aliantów we francuskiej Afryce Północnej i zajęciu przez Niemców strefy nieokupowanej. Francuzi i ich wojska kolonialne przystąpili do walki z Niemcami i Włochami w Tunezji. Aż 70% walczących stanowili żołnierze z Maghrebu.

Poczynając od listopada 1943 roku, do Włoch zaczęły przybywać jednostki Francuskiego Korpusu Ekspedycyjnego. W przeddzień trzeciej bitwy o Monte Casino miała ona 112 tys. żołnierzy, w tym 67 tys. z Maghrebu. W kampanii włoskiej walczyło 30 batalionów tyralierów algierskich, marokańskich i tunezyjskich.

Jednostki korpusu weszły w skład 1 Armii Francuskiej, która wylądowała w Prowansji w sierpniu 1944 roku. We wchodzących w jej skład dywizjach walczyło o wyzwolenie Francji 28 batalionów tyralierów z Afryki Północnej. Część z nich w ostatnich tygodniach wojny operowała w Niemczech i Austrii.

Po zakończeniu II wojny światowej Francja użyła północnoafrykańskich piechurów w czasie konfliktów w Indochinach, Madagaskarze i Algierii. Ostatnie północnoafrykańskie jednostki armii francuskiej zniknęły na początku lat sześćdziesiątych wraz z upadkiem imperium kolonialnego. ■

W NIEWOLI

Kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy z francuskich kolonii dostało się w 1940 roku do niewoli niemieckiej. Oddzielono ich od jeńców europejskich i osadzono w 22 obozach, tzw. frontstalagach, w większości w okupowanej części Francji. W końcu 1940 roku przetrzymywano w nich około 80 tys. jeńców, głównie pochodzących z Afryki Północnej. Część z nich potem uwolniono na mocy porozumień między Niemcami a rządem Vichy. Pewnej grupie udało się zbiec, ale znaczniej więcej więzionych zmarło w wyniku chorób. ■

Legionowa uczta

ARCH. PIOTRA KORCZYŃSKIEGO

HISTORIA PEWNEGO ZDJĘCIA

Autorem jest „nadworny" fotograf pułku Stanisław Mucha.

Być może jest to fotografia *z imprezy wyprawionej przez legionistów* płk. Kazimierzowi Sosnkowskiemu.

Na odwrocie tej fotografii napisano tylko: „Udana rekwizycja". Uchwyceni na niej żołnierze mogą pochodzić z 4 Pułku Piechoty Legionów, gdyż zdjęcie to wykonał „nadworny" fotograf pułku Stanisław Mucha. Być może zrobił je wiosną 1916 roku w czasie kampanii wołyńskiej Legionów. Pewne jest, że zarejestrowano na nim jedną z nielicznych szczęśliwych chwil dla legionowego wojska, kiedy mogło się najeść do syta. Legioniści bili się dzielnie, spadał na nich deszcz odznaczeń i pochwał za męstwo, ale jeśli chodzi o wyposażenie i zaopatrzenie, to na listach c.k. kwatermistrzostwa byli oni zawsze na ostatnim miejscu, co znalazło odzwierciedlenie w strofach legionowej pieśni „Hej strzelcy": „siwe mundury, a w butach ich dziury". Z prowiantem nie było lepiej…

Możliwe, że ta rekwizycja związana była z imprezą, którą legioniści wyprawili płk. Kazimierzowi Sosnkowskiemu w dzień jego imienin 4 marca 1916 roku. Na przyjęciu w Karasinie znalazły się same „rarytasy". Jak wspominał Tadeusz Alf-Tarczyński, były chleb, prawdziwy ser szwajcarski, kiełbasa niewiadomego pochodzenia, truskawkowe konfitury z buraków i gwóźdź programu: czekoladówka, czyli zdobyczny samogon, w którym kucharz rozgotował czekoladę, by zabić smak wazeliny do czyszczenia karabinów. Po odchorowaniu zatruć ponoć biesiadnicy życzyli mu za ten pomysł niewyrafinowanie: „Bodajś draniu cholerny s..ł w godzinę śmierci drutem kolczastym". PK ■

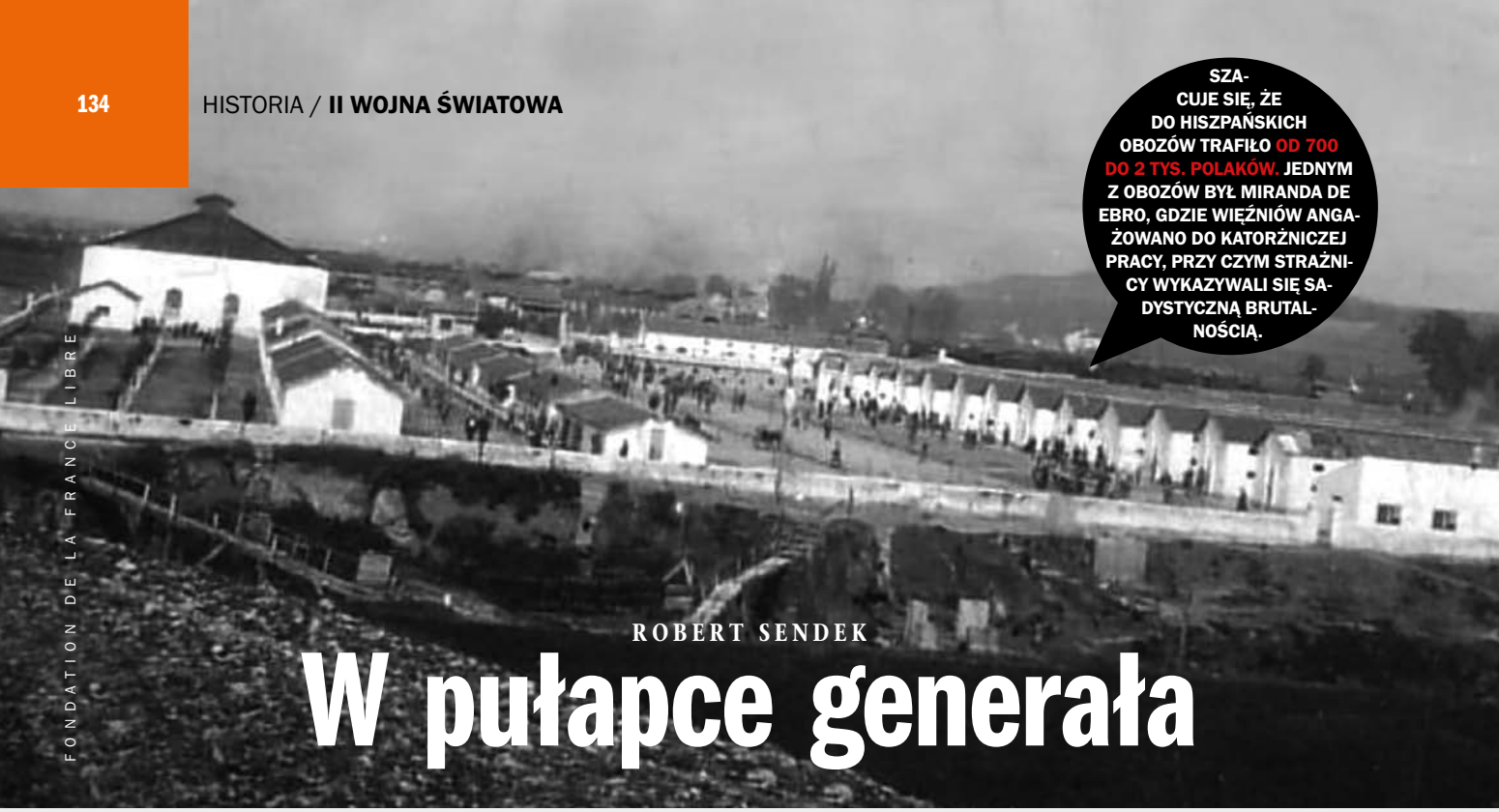

FONDATION DE LA FRANCE LIBRE

SZACUJE SIĘ, ŻE DO HISZPAŃSKICH OBOZÓW TRAFIŁO OD 700 DO 2 TYS. POLAKÓW. JEDNYM Z OBOZÓW BYŁ MIRANDA DE EBRO, GDZIE WIĘŹNIÓW ANGAŻOWANO DO KATORŻNICZEJ PRACY, PRZY CZYM STRAŻNICY WYKAZYWALI SIĘ SADYSTYCZNĄ BRUTALNOŚCIĄ.

ROBERT SENDEK

W pułapce generała

Nawet dwa tysiące polskich żołnierzy przeszło w czasie II wojny światowej przez obozy internowania w Hiszpanii.

Kapitulacja Francji w czerwcu 1940 roku oznaczała dla polskiego wojska w tym kraju katastrofę. Z takim trudem odtworzone na ziemiach zachodniego sojusznika, poszło w rozsypkę. Żołnierze mieli do wyboru albo przystąpienie do francuskiego ruchu oporu, albo ewakuację do Wielkiej Brytanii. Ze względu na ogromny chaos organizacyjny nie było jednak łatwo to zrealizować. O wyjątkowym bałaganie, jaki panował wśród sił alianckich w tym czasie, świadczy los Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich.

Jednostkę utworzono zimą 1940 roku, a już na przełomie kwietnia i maja wysłano ją do Norwegii, gdzie wzięła udział w bitwie o Narwik. Sytuacja we Francji pogarszała się z tygodnia na tydzień, w połowie czerwca podhalańczyków przerzucono do Bretanii, gdzie ostatecznie wobec przewagi przeciwnika jednostka została rozproszona. Około 400 żołnierzy przeprawiło się na brytyjskich okrętach lub francuskich statkach handlowych na drugą stronę kanału, część dostała się do niemieckiej niewoli, a reszta pozostała we Francji. Wielu na własną rękę zdecydowało się wówczas na dłuższą drogę – przez południową Francję do neutralnej Hiszpanii, a stamtąd, przez Portugalię, drogą morską do Wielkiej Brytanii.

UCIECZKA NA POŁUDNIE

Na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych ubiegłego wieku Hiszpania była w fatalnej kondycji. Krwawa i brutalna wojna domowa, ciągnąca się od kilku lat, zakończyła się dopiero wiosną 1939 roku. W trakcie walk poległo nawet kilkaset tysięcy osób. Kraj był zdewastowany i głęboko podzielony wewnętrznie. Do władzy doszedł gen. Francisco Franco, który rządził mocną ręką, niespecjalnie kryjąc sympatię dla hitlerowskich Niemiec.

Do takiego właśnie państwa latem 1940 roku zaczęli napływać polscy uciekinierzy z Francji. Władze hiszpańskie początkowo były tym zaskoczone. Ówczesny poseł RP w Madrycie Marian Szumlakowski pisał: „W okresie pierwszych dwu miesięcy przez Hiszpanię mógł przejeżdżać i przejeżdżał każdy, bez względu na wiek, nawet ci, u których znajdowała się broń i mundury. Hiszpania wypuszczała bez portugalskich wiz, na które potem całymi tygodniami trzeba było czekać". Później jednak, m.in. za sprawą nacisków niemieckich, hiszpański rząd zajął się tym problemem, co właściwie polegało na utrudnianiu Polakom przeprawy.

Uciekinierzy, bardzo często posługujący się sfałszowanymi dokumentami, przygotowywanymi przez francuski ruch oporu, byli wyłapywani, odstawiani do więzień, m.in. w miastach Burgos, Saragossa i Figueres, a następnie internowani i umieszczani w obozach. Największy z nich znajdował się w miejscowości Miranda de Ebro, położonej około 60 km na południe od Bilbao.

We wspomnieniach osób, które przeszły przez hiszpańskie ośrodki dla internowanych, często pojawia się stwier-

Baraki w obozie Miranda de Ebro. Warunki w nich były fatalne i niewiele różniły się od tych panujących w niemieckich obozach koncentracyjnych.

FONDATION DE LA FRANCE
LIBREZKOLEKCJA M. CHAUVET

W PROTEŚCIE PRZECIWKO STRASZNYM WARUNKOM W OBOZIE MIRANDA DE EBRO, W STYCZNIU 1943 ROKU WIĘŹNIOWIE URZĄDZILI **WIELKI STRAJK GŁODOWY**

dzenie, że były to „obozy koncentracyjne". Nie tylko z tego powodu, że służyły do izolowania ludzi niepożądanych, ale przede wszystkim dlatego, że warunki w nich były fatalne i niewiele różniły się od tych panujących w niemieckich obozach. Leopold Tebinka, żołnierz wojsk polskich we Francji, który zdecydował się przeprawić przez Hiszpanię i został tam aresztowany, opisywał to tak: „Obóz Miranda de Ebro zaplanowany i urządzony był tak, by zabijać – i rzeczywiście wielu więźniów zmarło na naszych oczach. […] Do jedzenia tutaj dostawaliśmy takie same czarne pomyje jak w poprzednich więzieniach, gnębił nas brud, wszy i biegunki". Więźniów angażowano do ciężkiej, wyczerpującej pracy, przy czym strażnicy bardzo często wykazywali się sadystyczną wręcz brutalnością, nie szczędząc opornym kijów.

Nie jest jasne, ilu właściwie polskich żołnierzy trafiło w czasie II wojny światowej do hiszpańskich obozów. Liczba Polaków bowiem nieustannie się zmieniała, część z nich wyjeżdżała, przybywali nowi, niektórzy posługiwali się obcymi (np. kanadyjskimi bądź brytyjskimi) dokumentami, a wielu sfałszowanymi, np. przez francuski ruch oporu. Szacuje się jednak, że było to od 700 do 2 tys. osób. Wśród uwięzionych znalazł się Antoni Kępiński, uczestnik kampanii wrześniowej i żołnierz WP we Francji, po wojnie pracujący jako psychiatra i filozof. Spędził w Miranda de Ebro dwa i pół roku. Swe doświadczenia wykorzystał po wojnie w pracy, lecząc ludzi, którzy przeszli przez niemieckie obozy koncentracyjne.

OPIESZAŁOŚĆ URZĘDNIKÓW

Niestety, we wspomnieniach więźniów, a także w dokumentach i raportach dotyczących sytuacji Polaków w Hiszpanii często powtarza się zarzut pod adresem polskich urzędników pracujących w tamtejszej ambasadzie RP. Otóż zwraca się uwagę na „zbyt formalistyczne i nieżyciowe traktowanie spraw ewakuacji oraz nienależyte rozumienie spraw chwili" (z raportu polskiego attaché wojskowego w Lizbonie płk. Fryderyka Mally'ego). Główną winą obarczano ówczesnego posła RP w Madrycie Mariana Szumlakowskiego, który, znając możliwości hiszpańskiej policji, próbował działać wyłącznie w granicach →

NA MSZĘ CHODZILI PRZEWAŻNIE TYLKO POLACY. A TO Z DWÓCH POWODÓW: PO PIERWSZE – BYLI BARDZO POBOŻNI, A PO WTÓRE – KOPALI W KAPLICY TUNEL DO UCIECZKI

Poseł RP w Madrycie MARIAN SZUMLAKOWSKI znał możliwości hiszpańskiej policji, ale próbował działać wyłącznie w granicach prawa i jak ognia unikał jakichkolwiek nielegalnych akcji.

prawa i jak ognia unikał jakichkolwiek nielegalnych akcji.

Nie spotykało się to ze zrozumieniem polskich oficerów, którzy pisali: „Nasi kierownicy placówek ewakuacji nielegalnej walczyli na terenie Hiszpanii z dwoma czynnikami, mianowicie z policją hiszpańską i niestety własnym Posłem" (raport gen. Tadeusza Klimeckiego, szefa Sztabu Naczelnego Wodza). Niestety, tę niechęć mocno odczuli na własnej skórze polscy więźniowie. O ile bowiem przedstawiciele brytyjskiej ambasady pojawiali się w obozach dość regularnie, żeby przywieźć więźniom z brytyjskimi paszportami prowiant, koce i ubrania, o tyle urzędnicy pracujący w polskim przedstawicielstwie bywali tam rzadko. Efektem było rozgoryczenie naszych żołnierzy, którzy utknęli w Hiszpanii na długie miesiące, niektórzy zaś spędzili w obozach nawet dwa, trzy lata. Z czasem wieść o formalizmie polskiego personelu ambasady w Madrycie rozniosła się wśród Polaków, decydując się więc na przeprawę przez Hiszpanię, starali się o dokumenty brytyjskie lub kanadyjskie, by mieć większą szansę na ratunek.

TUNEL POD KAPLICĄ

Wyjście z hiszpańskich obozów drogą oficjalną było dla Polaków utrudnione, więc z tym większą determinacją polscy żołnierze angażowali się w akcje nielegalne. Latem 1942 roku w obozie Miranda de Ebro znalazł się František Fajtl, czeski pilot służący w brytyjskich Królewskich Siłach Powietrznych. Zestrzelony nad Francją przedarł się do Hiszpanii, gdzie został osadzony właśnie w Miranda de Ebro. We wspomnieniach z dużą sympatią pisał o uwięzionych tam Polakach. Stwierdził, że stanowili oni najbardziej zwartą grupę wśród wszystkich cudzoziemców. Widział również, z jaką desperacją robili podkopy, aby się wydostać z obozu. Fajtl tak to opisywał: „Z boku, ciasno przylegając do boiska, stała kaplica, gdzie co dzień odprawiał nabożeństwo angielski ksiądz – również więzień. Na mszę chodzili przeważnie tylko Polacy. A to z dwóch powodów: po pierwsze – byli bardzo pobożni, a po wtóre – kopali w kaplicy tunel do ucieczki".

Prace nad podkopem trwały podobno sześć miesięcy, a ziemię wynoszono na zewnątrz w kieszeniach i puszkach po konserwach. W ucieczce miało wziąć udział 50 żołnierzy wtajemniczonych w projekt. Do jego realizacji jednak nie doszło, gdyż kluczowej nocy nastąpiła wsypa. Tajemnica się wydała, choć nie było jasne, w jaki sposób. Ostatecznie zbiegli jedynie trzej żołnierze, którzy przedarli się do Lizbony i stamtąd wysłali do obozu kartki z pozdrowieniami. Nie była to jedyna historia z Polakami, którzy próbowali ucieczki. Fajtl w swych wspomnieniach mówił o kolejnych dwóch tego typu próbach, również udaremnionych. Efekt był taki, że późnym latem 1942 roku Hiszpanie zerwali deski z podłóg we wszystkich barakach obozu i kazali wylać w to miejsce beton, żeby uniemożliwić robienie tuneli.

W proteście przeciwko warunkom w obozie Miranda de Ebro, w styczniu 1943 roku więźniowie urządzili strajk głodowy. Prowodyrami znów byli Polacy, do których dołączyli inni. Głodówka trwała tydzień, ale wieść o niej rozniosła się na tyle, że u władz hiszpańskich zdecydował się interweniować Watykan. Ostatecznie w marcu 1943 roku zwolniono z obozu ostatnich więźniów polskich i francuskich. Przewieziono ich do Madrytu, a następnie umożliwiono im ewakuację do Wielkiej Brytanii. ■

SIERŻ. JÓZEF MIKA

„Wielu młodych ludzi porwanych patriotycznym zapałem walczyło z Niemcami, ale zamiast nagrody czekało ich nowe zniewolenie", mówi mł. chor. Krzysztof Gaweł.

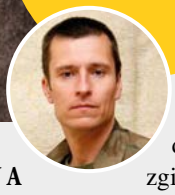

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

WYDOBYĆ Z NIEPAMIĘCI

Odwaga, siła, upór i determinacja – tak w kilku słowach można opisać tego niezłomnego.

Postać Józefa Miki wybrałem z kilku względów. Jego historia pokazuje dramatyczne losy Polaków po II wojnie światowej. Na naszych ziemiach trwała swego rodzaju wojna po wojnie. Wielu młodych ludzi porwanych patriotycznym zapałem walczyło z Niemcami, ale zamiast nagrody czekało ich nowe zniewolenie", mówi mł. chor. Krzysztof Gaweł. Od 2006 roku jest on instruktorem Szkoły Podoficerskiej Wojsk Lądowych w Poznaniu, gdzie prowadzi zajęcia, m.in. z historii wojskowości. „Nie dla wszystkich wojna zakończyła się w 1945 roku. Wielu, tak jak Józef Mika, wybrało dalszą walkę w szeregach tzw. II konspiracji.

ODWAGA ŻOŁNIERZA

We wspomnieniach jednego z partyzantów [w książce Apolonii Ptak „Prawem wilka"] przeczytałem taki opis Miki: »Wyróżniał się wyjątkowo zimną krwią. Było w tym trochę brawury, ale nigdy nie lekkomyślności. Nie popisywał się ani tym, że wykonuje wyroki, ani też odwagą. On tylko nie cofał się przed żadnym przedsięwzięciem. Był twardy i stanowczy«", cytuje mł. chor. Gaweł. Podkreśla również, że Mika może być dla współczesnych podoficerów przykładem determinacji i poświęcenia w służbie dla ojczyzny. „Opowiadam o Mice, by wydobyć z niepamięci losy tego żołnierza, którego – jak innych wyklętych – przez dziesięciolecia nazywano bandytami. Teraz natomiast odzyskują należne im miejsce w historii", podkreśla.

Józef Mika, ps. „Wrzos", „Szarotka", „Leszek", rocznik 1927, urodził się w Gruszowie pod małopolskimi Myślenicami i dorastał już w czasie wojny. W 1944 roku wstąpił do terenowej organizacji Batalionów Chłopskich, dowodzonej przez Józefa Trutego „Lisa", która w wyniku akcji scaleniowej została później włączona do AK. Wiosną 1945 roku nawiązał kontakt z oficerem Janem Dubaniowskim „Salwą" i wraz z żołnierzami „Lisa" wszedł w skład formujących się oddziałów Narodowych Sił Zbrojnych, zdecydowanych podjąć walkę z siłami komunistycznymi.

W listopadzie 1945 roku powstał partyzancki oddział „Salwy", opatrzony kryptonimem „Żandarmeria". Mika był członkiem oddziału niemal od samego początku. Ze względu na charakter, zdecydowanie i odwagę, szybko zdobył zaufanie „Salwy", zostając jego zastępcą.

PROWOKACJA

Wiosną 1947 roku, w związku z amnestią, na polecenie „Salwy" ujawnił się w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Bochni. Nie chciał się rozstawać z bronią, zgłosił się na ochotnika do walki z oddziałami UPA, jednak jego podania nie przyjęto. Gdy we wrześniu 1947 roku jego dowódca kpt. Jan Dubaniowski zginął w zasadzce w Rudzie Kameralnej koło Czchowa, Mika zdecydował się wrócić do podziemia. Utworzył niewielki oddział partyzancki, znany także jako oddział „Leszka", złożony zaledwie z pięciu żołnierzy. Podejmował on różnorakie akcje, chociaż z czasem ich liczba malała. W sumie od września 1947 roku do października 1950 oddział przeprowadził 72 operacje bojowe.

Mimo przeprowadzanych przez bezpiekę akcji, „Leszek" pozostawał nieuchwytny. Jego oddział utrzymał aktywność do jesieni 1950 roku, kiedy to został rozbity w wyniku działań UB. W zorganizowanej przez bezpiekę prowokacji uczestniczył m.in. były akowiec Marian Strużyński (znany później także jako Marian Reniak), zwerbowany w 1947 roku do współpracy z UB. Dwóch żołnierzy oddziału (Emil Przeciszewski „Wyścig" i Tadeusz Lenart „Kancik") zostało wówczas zabitych, Mikę zaś oraz Franciszka Mroza „Bobra" aresztowano. Mika został skazany na śmierć 12 maja 1951 roku. Wyrok wykonano w więzieniu przy ul. Montelupich w Krakowie 25 czerwca 1951 roku. ■

Na łamach „Polski Zbrojnej" publikujemy krótkie historie o podoficerach. Nie chcemy jednak tego cyklu tworzyć sami. Zależy nam na tym, by o bohaterskich poprzednikach opowiadali współcześni podoficerowie. Zapraszamy do lektury i kontaktu z redakcją pod adresem: podoficerowie@zbrojni.pl

CZY NKWD ZOSTAWIŁOBY W SPOKOJU WYSOKO POSTAWIONEGO W HIERARCHII MIEJSCOWEJ KONSPIRACJI OFICERA AK?

KPT. MIECZYSŁAW PRZYBYLSKI W OTOCZENIU RODZINY, ROZEMBARK 1944 ROK. PIERWSZA Z LEWEJ ŻONA KAPITANA.

ARCH. PRYWATNE

PIOTR KORCZYŃSKI

Mistrz konspiracji

Do śmierci pozostał wierny dewizie: „Im mniej o tobie wiedzą, tym lepiej dla ciebie”.

W „Ordre de bataille” 1 Pułku Strzelców Podhalańskich dowódcą 3 Batalionu był kpt. Mieczysław Przybylski „Michał”. Oprócz tego kierował Obwodem Armii Krajowej Gorlice, wchodzącym w skład Inspektoratu Nowy Sącz AK. Tyle można znaleźć na jego temat w internecie, niewiele więcej jest w publikacjach dotyczących konspiracji na tym terenie. Okazuje się, że powodem tego jest w dużej części postawa samego kapitana, który był tak dobrym konspiratorem, że nie zdołało go aresztować ani gestapo, ani NKWD. Nawet jego najbliższa rodzina nie wiedziała, jak wysoko w hierarchii miejscowej Armii Krajowej stoi Mieczysław Przybylski. Po powrocie z kampanii 1939 roku ukrywał się w domu brata, który mieszkał w oddalonej od głównych traktów wsi Rozembark (obecnie Rożnowice) niedaleko Biecza. Było tam nie tylko dobre schronienie, lecz także pewnego rodzaju kwatera główna, z której Mieczysław wyruszał na akcje lub inspekcje podległego mu terenu.

Bratanek kapitana, Andrzej Przybylski, miał wtedy kilkanaście lat i pamięta, jak wyjątkowym człowiekiem był jego chrzestny ojciec: „Stryj był w ciągłym ruchu. Do naszego domu nikt z jego ludzi nie miał prawa przychodzić, ale on wychodził z niego prawie każdego wieczora. Ani my, ani jego żona, z którą tutaj mieszkał, nigdy nie znaliśmy celu tych wypraw. Nie wiedzieliśmy, czy była to jakaś akcja zbrojna, czy »tylko« spotkanie konspiracyjne. Nie pamiętam, w jakiej jednostce wojskowej stryj służył przed wojną, nie znam też wielu szczegółów jego działalności podziemnej, ale zapamiętałem sobie na całe życie radę, której mi udzielił: »Im mniej o tobie ludzie wiedzą, tym lepiej. Póki nikt o mnie nic nie wie, póty jestem groźny dla nieprzyjaciela. I nikt się o mnie nie dowie«”.

Było to o tyle trudne, że należało uważać nie tylko na Niemców, lecz także na konfidentów. „Na ślad stryja nie udało im się wpaść, choć starali się bardzo”, kontynuuje opowieść Andrzej Przybylski. „Był też okres, kiedy stryj musiał zmienić miejsce zamieszkania i na pewien czas wyprowadził się od nas. I akurat wtedy zaczął nas odwiedzać głuchoniemy mężczyzna, który prosił o jedzenie. Nie wiem, w jaki sposób, ale mój ojciec odkrył, że on udaje niemowę. Powiedział mu wprost pewnego dnia: »Ty jesteś konfidentem! Ty umiesz mówić«. Od tej chwili więcej się u nas nie pokazał. Wokół naszego domu kręciło się wielu ludzi, ale niemieccy żołnierze zatrzymali się na dłużej przy nim tylko raz… żeby sobie narwać gruszek z przydrożnej gruszy. Stryj akurat był wtedy w swoim pokoju, ale on miał mocne nerwy i przeczekał ten moment spokojnie. Proszę sobie wyobrazić: dowódca największego oddziału partyzanckiego w okolicy i całego okręgu AK obserwuje z okna, jak Niemcy częstują się gruszkami jego brata, nieświadomi, kto na nich patrzy!”.

GŁÓD BRONI

Największym problemem dla miejscowej konspiracji był prawie całkowity brak broni. W okolicach Gorlic i Biecza nie było w 1939

roku żadnych większych bitew, po których zostałyby większe ilości uzbrojenia ukrytego przez wycofujących się polskich żołnierzy. Z takich schowków często korzystali konspiratorzy w pierwszych latach okupacji. W Obwodzie AK Gorlice było to wykluczone. Kpt. Przybylskiemu udało się pozyskać ze sztabu inspektoratu kilka pistoletów, a jego ludzie zdobyli gdzieś niemiecki mauzer bez kolby, którą dorobili w jednym z warsztatów stolarskich. Sytuacja poprawiła się trochę dopiero w 1944 roku, kiedy w Rozembarku pojawił się kolaborujący z Niemcami oddział Ukraińców. Wtedy też udało się kupić od nich trochę broni, głównie za wódkę z miejscowych bimbrowni. Dzięki temu w oddziale „Michała" znalazł się nawet rosyjski erkaem Diegtiariowa z charakterystycznym okrągłym magazynkiem. Ale nadal broni brakowało i do końca wojny stanowiło to największy problem kpt. Przybylskiego.

NAJWIĘKSZYM PROBLEMEM DLA MIEJSCOWEJ KONSPIRACJI BYŁ PRAWIE CAŁKOWITY BRAK BRONI. W OKOLICACH GORLIC I BIECZA NIE BYŁO W 1939 ROKU ŻADNYCH WIĘKSZYCH BITEW, PO KTÓRYCH ZOSTAŁOBY UZBROJENIE UKRYTE PRZEZ WYCOFUJĄCYCH SIĘ POLSKICH ŻOŁNIERZY

Jak wielki był głód broni w 3 Batalionie i jak bardzo determinował on działania żołnierzy chcących ją za wszelką cenę zdobyć, świadczy zdarzenie, które zapamiętał Andrzej Przybylski: „Pewnego razu podkomendny stryja Antoni Kotlinowski otrzymał wezwanie do gestapo do Gorlic. Kiedy po przesłuchaniu wyszedł z komendy, pierwszą myślą, która mu przyszła do głowy, było kupienie pistoletu od któregoś z niemieckich żołnierzy. Na szczęście nie zrealizował tego niefortunnego zamiaru. Przecież wystarczyłoby, żeby zagadnięty poszedł do gestapo, gdzie kilka chwil wcześniej Kotlinowski składał zeznania! W razie wsypy byłby zagrożony nie tylko on, ale też cała siatka AK w terenie!". Nie był to jedyny powód konfliktu z Kotlinowskim, notabene w oddziale odpowiedzialnym za wywiad i kontrwywiad.

Na przełomie maja i czerwca 1944 roku Kotlinowski, stojący na czele grupy egzekucyjnej, wykonał wyrok śmierci na niezwykle groźnym konfidencie zamieszkałym w Binarowej pod Bieczem. W czasie tej akcji dwóch członków grupy zostało rozpoznanych przez szwagierkę konfidenta. Już w drodze powrotnej Kotlinowski doszedł do wniosku, że trzeba wrócić i zlikwidować także ją oraz żonę skazanego. Tak też zrobił, czego nie pochwalił kpt. Przybylski. Niedługo po tym wydarzeniu Kotlinowski ponownie otrzymał wezwanie do gestapo, skąd żywy już nie wrócił.

We wrześniu 1944 roku kpt. Przybylski dostał rozkaz, by w ramach ogólnokrajowej akcji AK pod kryptonimem „Burza" pokierować koncentracją połączonych oddziałów Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich, a jednocześnie odebrać planowany zrzut broni z samolotów alianckich. Na miejsce koncentracji wyznaczono lasy w graniczącym z Rozembarkiem Bugaju. Kpt. Przybylski ze sztabem zainstalował się w miejscowym dworku 29 września. Wydawało się, że zarówno koncentracja oddziałów partyzanckich, jak i odbiór planowanego zrzutu zakończą się sukcesem, ale wtedy znowu pojawił się konfident.

DONOS KONFIDENTA

Jeden z mieszkańców Bugaja udał się do pobliskich Kwiatonowic, gdzie we dworze znajdowała się niemiecka szkoła podoficerska. Na miejscu poinformował o zgrupowaniu partyzanckim jej komendanta. Donosiciel za informację zażądał od niemieckiego oficera zegarka. Zaalarmowani elewi szkoły natychmiast ruszyli w stronę Bugaja, wzywając jednocześnie posiłki. Partyzanci „Michała" ze względu na słabe uzbrojenie i niewielkie zapasy amunicji nie mieli większych szans, by utrzymać swe pozycje i wyznaczone zrzutowiska. Po zapadnięciu zmroku kapitan rozkazał oderwać się od przeciwnika i wycofać. Wobec zaistniałej sytuacji nie doszło do zrzutu broni. Partyzanci mogli jednak mówić o szczęściu – w tym starciu żaden z nich nie zginął (nic też nie wiadomo o stratach Niemców). W czasie bitwy spłonęły tylko zabudowania jednego z gospodarstw. Konfident nie nacieszył się długo niemieckim zegarkiem, został schwytany przez akowców i rozstrzelany.

W niektórych publikacjach opisujących działalność Armii Krajowej na południu Polski można przeczytać, że „Michał" po wkroczeniu Armii Czerwonej na tereny Obwodu AK Gorlice ujawnił się, a nawet – że dopiero wtedy dostał od nowych władz stopień kapitana. „To nieprawda", zaprzecza Andrzej Przybylski. „Zaraz po wojnie stryj wraz z żoną wyjechał na Śląsk, do Zabrza. Nie ufał ani Sowietom, ani polskim komunistom. Zresztą, czy NKWD lub rodzime UB zostawiłyby w spokoju wysoko postawionego w hierarchii miejscowej konspiracji oficera AK? Stryj wyjechał do Zabrza pod zmienionym nazwiskiem i długo się nie ujawniał – właściwie do odwilży w 1956 roku. Wtedy też pierwszy raz nas odwiedził. To było do niego podobne – musiał być pewny, że nie wpędzi nas w żadne kłopoty. Można powiedzieć, że konspiratorem był do końca życia. Do swej śmierci w 1992 roku pozostawał wierny swej dewizie: »Im mniej o tobie wiedzą, tym lepiej dla ciebie«". ■

Targi Kielce
exhibition & congress centre

ufi
Member

MSPO

Patronat Honorowy Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
w roku 100-lecia Odzyskania
Niepodległości 1918-2018

XXVI Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego

4-7.09.2018

KIELCE

Partner strategiczny
PGZ
POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA

www.mspo.pl

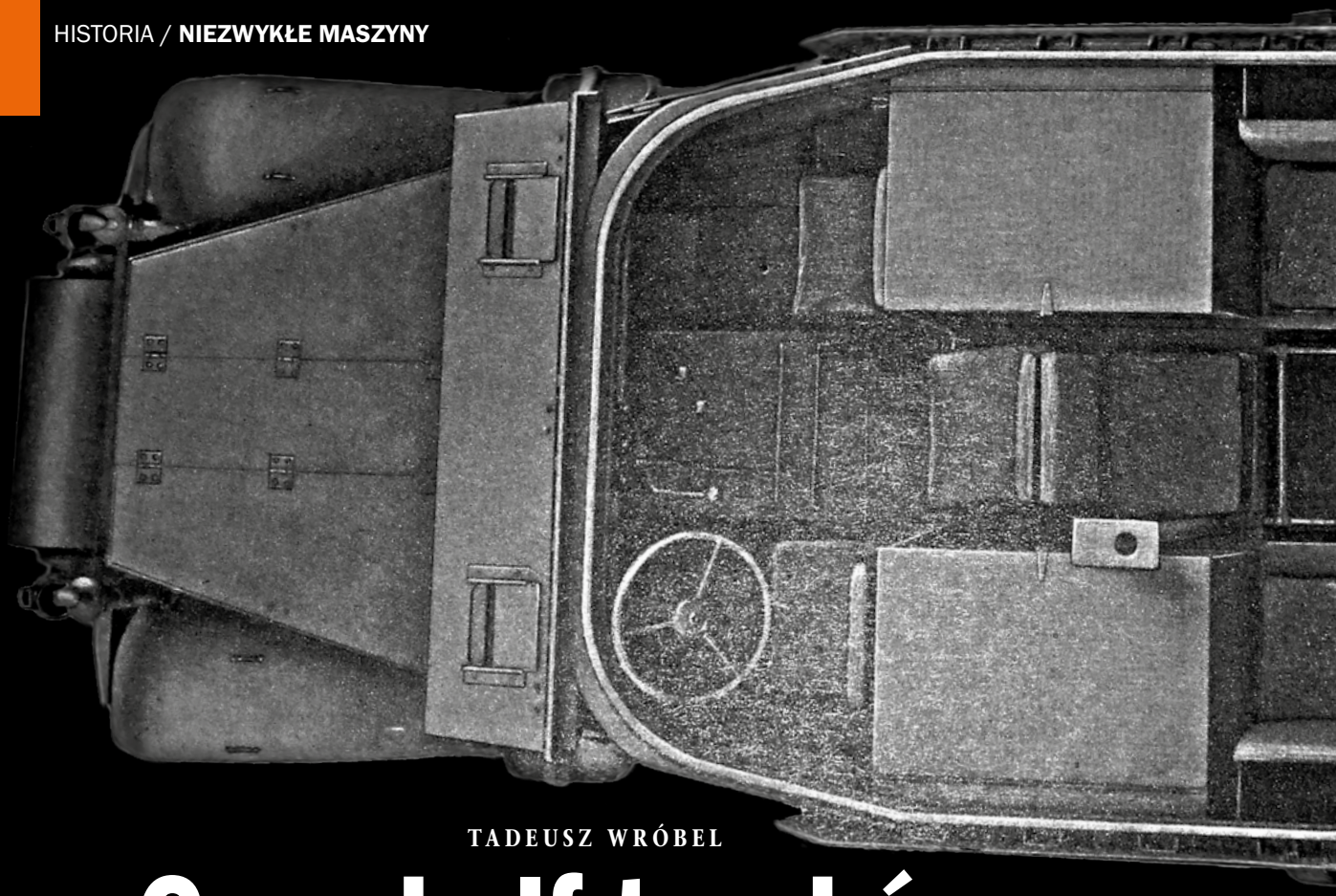

TADEUSZ WRÓBEL

Czas half-tracków

W latach 1940–1945 w USA wyprodukowano na potrzeby wojska kilkadziesiąt tysięcy opancerzonych pojazdów półgąsienicowych.

Armia amerykańska w latach dwudziestych ubiegłego wieku coraz powszechniej korzystała z pojazdów mechanicznych. Jednak wojskowych niepokoiły problemy zdarzające się podczas jazdy w trudnym terenie, na co wpływ miał duży nacisk kół na powierzchnię. Dlatego zainteresowali się rozwiązaniem, które jeszcze przed wielką wojną opracował, działając w Rosji, francuski konstruktor Adolphe Kegresse. Zastąpił on w samochodzie tylne koła gąsienicami.

WOJENNA POTRZEBA

Kegresse w okresie międzywojennym pracował dla francuskiej firmy samochodowej Citroen. W latach 1925 i 1931 armia amerykańska kupiła pewną liczbę pojazdów półgąsienicowych jego projektu, czyli half-tracków, na potrzeby testów. Te zaś wykazały, że należy dokonać zmian w konstrukcji zawieszenia. Następnie na zamówienie US Army wyprodukowano niewielkie partie różnych pojazdów, których używano do przewozu piechurów lub holowania dział w jednostkach artylerii. Pierwszy amerykański opancerzony half-track powstał w 1938 roku. Firma White Motor Co. zamontowała wówczas w swym opancerzonym samochodzie rozpoznawczym M2A1, zamiast tylnych kół, gąsienice pochodzące z półgąsienicowej ciężarówki T9. Pojazd otrzymał oznaczenie T7. W następnym roku pojawił się prototyp T14, który miał inny silnik.

Gdy w Europie wybuchła wojna, Stany Zjednoczone zaczęły szybką rozbudowę wojsk lądowych. Zapadła decyzja, by na bazie projektu T14, którego oznaczenie zmieniono na Half-track Car M2, uruchomić seryjną produkcję opancerzonych pojazdów półgąsienicowych. Ich pancerz nie był imponujący. Osłona przedniej szyby miała 12,7 mm grubości, a opancerzenie boków i tyłu kadłuba czy rastry chłodnicy – tylko 6 mm.

Na przednim zderzaku znajdował się przejęty z samochodu pancernego szeroki wałek, który miał zapobiegać grzęźnięciu w miękkim gruncie. W trakcie późniejszej produkcji zaczęto zastępować go wyciągarką, ale zdarzało się,

Z WOZÓW TYCH NADAL KORZYSTAŁO WIELE ARMII JESZCZE PRZEZ KILKADZIESIĄT LAT PO ZAKOŃCZENIU II WOJNY ŚWIATOWEJ, M.IN. PODCZAS KONFLIKTÓW ZBROJNYCH NA PÓŁWYSPIE KOREAŃSKIM, W INDOCHINACH I NA BLISKIM WSCHODZIE.

że pojazdy miały oba urządzenia. Zainstalowano też samouszczelniające się zbiorniki paliwa. Aby przyspieszyć dostawy M2, jego produkcję poza White Motor Co. powierzono też firmom Autocar Co. i Diamond T Motor Car Co.

Pierwsze wozy US Army otrzymała w maju 1941 roku. Do czasu zakończenia produkcji we wrześniu 1943 roku powstało 11 415 sztuk M2. Na potrzeby programu „Lend-lease" zbudowano też będący odmianą „dwójki" half-track M9, którego wyprodukowano 2026 egzemplarzy.

W wersji jako transporter piechoty ten wóz zabierał dziesięciu żołnierzy. Jednak wojskowi uznali, że potrzebny jest im większy half-track i M2 trafił do jednostek rozpoznawczych oraz artylerii, gdzie holował armaty przeciwpancerne. Część wozów transportowała też obsługi ciężkich karabinów maszynowych.

W latach 1940–1941 powstał pojazd Half-track Personel Carrier M3, dłuższy o 25 cm od M2, w którym mieściło się 13 ludzi. Poza transporterem piechoty wykorzystywano go też jako wóz dowodzenia i ambulans medyczny. Produkcja M3 ruszyła równolegle z M2 i do września 1943 roku wyprodukowano 12 391 jego egzemplarzy.

Z kolei zakłady International Harvester zbudowały pomiędzy grudniem 1942 a wrześniem 1943 roku 4625 half-tracków wersji M5, która była eksportowym ekwiwalentem M3, ale z lepszym od niego opancerzeniem. Większość tych pojazdów przekazano siłom zbrojnym brytyjskiego imperium i ich sojusznikom. 420 sztuk M5 dostarczono Związkowi Sowieckiemu.

Od października 1943 roku ruszyła produkcja wozów oznaczonych jako M2A1 i M3A1. Główną różnicą między nimi a starymi wersjami było uzbrojenie i jego montaż. M2 miał karabin maszynowy Browning M2 kalibru 12,7 mm i dwa chłodzone wodą kaemy Browning M1917A1 kalibru 7,62 mm. Te ostatnie szybko zastąpiono wersją M1919A4, chłodzoną powietrzem. Cała broń M2 była zamontowana na specjalnej „szynie", opasującej przedział transportowy. Z kolei M3 miał początkowo jeden karabin maszynowy kalibru 7,62 mm na podstawie słupkowej ulokowanej z przodu przedziału transportowego, ale później zastąpiono go kaemem kalibru 12,7 mm. W obu nowych wersjach obrotnice z karabinem maszynowym tegoż kalibru ulokowano na stropie obok stanowiska kierowcy. Przy ścianach bocznych i tylnej przedziału transportowego przytwierdzono mocowania dla kaemów M1919A4.

Produkcja tej wersji zakończyła się w marcu 1944 roku. Do tego czasu powstały 1643 nowe M2A1 i doprowadzono do tego standardu 1266 egzemplarzy M2. Wytwarzanie M3A1 kontynuowano zaś do czerwca 1945 roku. Zbudowano 6431 wozów, ale tylko 2862 były fabrycznie nowe, większość bowiem stanowiły konwersje z M3. Poza tym na potrzeby sojuszników wyprodukowano do marca 1944 roku 2959 wozów M5A1. Za to do grudnia 1943 roku powstało 1407 wozów M9A1.

DO RÓŻNYCH ZADAŃ

Na platformach half-tracków M2 i M3 zbudowano wiele wersji specjalistycznych, w tym pierwsze amerykańskie działa samobieżne, m.in. M3 GMC. Na half-trackach zamontowano stare armaty polowe M1897A5 kalibru 75 mm z łożem M2A3 i osłoną. Były one instalowane również na wozach M3A1. Pojazd miał odgrywać rolę niszczyciela czołgów. Podobne zadania przewidziano dla wozu T48 z armatą M1 kalibru 57 mm, która była kopią brytyjskiej armaty sześciofuntowej. Z 962 wyprodukowanych 650 przekazano Armii Czerwonej, a 50 Brytyjczykom. W 1943 roku na transporterach M2 zamontowano armaty przeciwpancerne M3 kalibru 37 mm zdjęte z samochodów Dodge WC 52 (niszczyciel czołgów M6 GMC).

Powstały też wersje uzbrojone w haubice – M3 HMC. T30 był połączeniem half-tracka M3 z działem M1A1 kalibru 75 mm. W przypadku T19 była to haubica M2A1 kalibru 105 mm. Na transporterach półgąsienicowych montowano też moździerze 81-milimetrowe.

Opracowano również kilka wersji pojazdów przeciwlotniczych, których bronią były sprzężone karabiny maszynowe M2 kalibru 12,7 mm. Wóz M13 MGMC miał stanowi- →

M3

sko Maxson M33 z parą kaemów. Choć wyprodukowano go w 1103 egzemplarzach, to tylko 159 użyto bojowo podczas walk pod Anzio we Włoszech. Część M13 przebudowano do wersji M16 MGMC, która miała stanowisko Maxson M45D z czterema karabinami M2. Ten sprzęt był powszechnie używany podczas walk w Europie. Powstały też 2252 pojazdy M15/M15A1 z armatą przeciwlotniczą M1 kalibru 37 mm sprzężoną z dwoma karabinami maszynowymi M2. Oparty na M5 wariant M17 miał kaemy kalibru 7,62 mm.

Dane o liczbie wyprodukowanych half-tracków są bardzo różne. Problemem jest to, że dokonywano licznych rekonwersji pojazdu. I tak, chociażby do wersji M3A1 przebudowano ponad 1730 dział samobieżnych i 2209 transporterów M3.

NIE TYLKO PIECHOTA

Half-tracki były głównie używane w 16 amerykańskich dywizjach pancernych. Swój chrzest bojowy przeszły w grudniu 1941 roku na zaatakowanych przez Japończyków Filipinach. Na archipelag dostarczono około setki pojazdów, w tym 50 w wersji z armatą 75-milimetrową. Następną operacją z udziałem rodziny M2 i M3 było lądowanie aliantów we Francuskiej Afryce Północnej w listopadzie 1942 roku. Ocena efektywności M3 GMC jako niszczycieli czołgów podczas afrykańskich starć z wojskami Osi nie była najlepsza, stąd w Europie zastępowano je nowoczesnymi niszczycielami czołgów. Z kolei M3 GMC sprawdzały się do końca wojny w walkach z Japończykami, w tym na Okinawie w 1945 roku.

Podobnie jak armaty 75-milimetrowe, także samobieżne haubice na platformie half-tracka były uznawane za rozwiązanie przejściowe i zostały zastąpione, jak tylko stało się to możliwe, samobieżnymi działami na podwoziach gąsienicowych, jak M7 Priest.

Żołnierze amerykańscy nadali półgąsienicowym transporterom mało chwalebne określenie „pudełka »Purpurowych Serc«", które nawiązywało do odznaczenia za rany. Podczas walk okazało się, że sześciomilimetrowe opancerzenie boków kadłuba nie chroni przed ogniem niemieckich karabinów maszynowych MG34 czy MG42. Brak dachu powodował, że żołnierze byli narażeni na trafienia odłamkami pocisków artyleryjskich lub ostrzał z powietrza.

Jednym z wniosków, które amerykańscy wojskowi wyciągnęli z użycia half-tracków, było stwierdzenie, że współdziałająca z czołgami piechota zmechanizowana musi mieć pojazdy całkowicie gąsienicowe. Niemniej jednak z wozów tych nadal korzystało wiele armii jeszcze przez kilkadziesiąt lat po zakończeniu II wojny światowej, m.in. podczas konfliktów zbrojnych na Półwyspie Koreańskim, w Indochinach i na Bliskim Wschodzie. ■

KRZYSZTOF
KUBIAK

Rakietą z lądu

Pierwsze skuteczne bojowe użycie kierowanych pocisków rakietowych odnotowano 21 października 1967 roku. Dwa egipskie ścigacze rakietowe sowieckiego projektu 183R (typ Komar) zatopiły wówczas rakietami P-15 (Styx) nie najnowszy, bo pochodzący jeszcze z czasów II wojny światowej, izraelski niszczyciel „Eilat" (były „Zealous", w służbie brytyjskiej od 1944, w Izraelu od 1955 roku). Wydarzenie to unaoczniło skalę zagrożenia dla okrętów nawodnych ze strony nowego, i wówczas rozwijanego z powodzeniem, przede wszystkim w Związku Sowieckim, rodzaju uzbrojenia. W latach zimnej wojny tego rodzaju oręż pozostawał jednak w wyłącznej dyspozycji państw, które zgodnie z niepisaną zasadą ograniczonej konfrontacji sprawowały nad nim restrykcyjną kontrolę.

Sytuacja się zmieniła, kiedy dominującą formą rywalizacji orężnej stały się działania zwane asymetrycznymi, w których siły zbrojne poszczególnych państw zmuszone są zmagać się z rozmaitymi ruchami zbrojnymi czy organizacjami powstańczymi, z formalnego punktu widzenia niereprezentującymi żadnego kraju. Niektóre państwa jednakże nader chętnie posługują się nimi do prowadzenia tzw. wojen zastępczych, w trakcie których nękają przeciwnika i zadają mu straty, nie angażując, przynajmniej formalnie, własnych żołnierzy. W czym przejawia się wojna asymetryczna na morzu, jako pierwsi przekonali się Izraelczycy. 14 lipca 2006 roku podczas konfrontacji między państwem żydowskim a wspieraną przez Iran szyicką organizacją Hezbollah, kontrolującą rozległe obszary Libanu, wystrzeloną z brzegu rakietą została trafiona korweta „Hanit" (typu Sa'ar 5, w służbie od 1995 roku). Pocisk C-802 produkcji chińskiej mieli wystrzelić libańscy szyici, ale nie ma żadnych wątpliwości, że stał za tym wyszkolony personel irański. Okręt izraelski, choć zostało zabitych czterech członków załogi, samodzielnie wrócił do bazy i po kilku dniach gotów był do ponownego wyjścia w morze.

Znacznie mniej szczęścia miała w roku 2015 załoga egipskiego kutra patrolowego typu Swiftship, należącego do straży granicznej. 15 lipca jednostka cumowała około 1000 m od brzegu, przy specjalnie w tym celu wystawionej bojce, w rejonie Rafah (przy granicy między Egiptem a Strefą Gazy, kontrolowaną przez wspierany przez Iran islamski Hamas). Wczesnym rankiem kuter został trafiony rosyjskim przeciwpancernym pociskiem kierowanym 9M133 Kornet. Analiza materiału filmowego – napastnicy, co obecnie należy uznać za typowe, swoją akcję udokumentowali i opublikowali w internecie – wskazuje, że pocisk był wyposażony nie w typową głowicę przeznaczoną do penetracji pancerza, lecz w ładunek termobaryczny, znacznie bardziej skuteczny wobec jednostki pływającej o lekkiej konstrukcji. Po trafieniu eksplozja spowodowała pożar, w konsekwencji zaś doszło do utraty jednostki. Wydarzenie pokazało radykalny wzrost zagrożenia dla jednostek manewrujących w rejonach przybrzeżnych, wywołany proliferacją nowoczesnych pocisków kierowanych. ■

Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

PAULINA GLIŃSKA

DEBIUTANCI NA MEDAL

Kadeci wojskowi z całego świata rywalizowali w zawodach użyteczno-bojowych na amerykańskiej uczelni West Point. Wśród nich znaleźli się polscy podchorążowie z Akademii Wojsk Lądowych.

ARCH. AWL

Zawody „Sandhurst” organizowane są przez amerykańską uczelnię West Point od 50 lat. Formuła tej prestiżowej rywalizacji obejmuje konkurencje na lądzie i wodzie, a uczestnicy sprawdzani są nie tylko pod kątem poprawności wykonania zadania, lecz także wyszkolenia, sprawności fizycznej, odporności psychicznej, współpracy w grupie oraz predyspozycji przywódczych – w kontekście liderów poszczególnych reprezentacji. W tegorocznej edycji po raz pierwszy wzięli udział także Polacy, podchorążowie z Akademii Wojsk Lądowych. Stało się to możliwe dzięki umowie o współpracy, którą w 2018 roku wrocławska uczelnia podpisała z amerykańską West Point. Dokument zakłada m.in. wymianę kadry obu akademii, wspólne projekty badawcze, konferencje, a także staże naukowe.

MIESIĄCE PRZYGOTOWAŃ

Polacy wiedzieli, że konkurencja będzie bardzo silna, więc przygotowali się do zawodów solidnie. Wiele krajów, w tym Wielka Brytania czy USA, biorą udział w „Sandhurst” od kilkudziesięciu lat, a w przygotowaniach pomagają im specjalne programy i podręczniki. „Dla nas takie zawody to nowość. Mieliśmy o tyle łatwiej, że w ubiegłym roku odgrywaliśmy rolę obserwatorów. Nasze spostrzeżenia wykorzystaliśmy podczas późniejszych przygotowań”, mówi mjr Aleksander Ziemiński, wykładowca Instytutu Dowodzenia AWL i jeden z opiekunów polskiego zespołu.

Do reprezentacji wybrano 11 podchorążych, w tym dwie kobiety. „Uważam, że wytypowaliśmy najlepszych z najlepszych, ludzi zmotywowanych, wysportowanych i chętnych do współpracy. Niektórzy są członkami sekcji działań bojowych, inni aktywnie działają w sekcji szkoleń wysokogórskich. W takim gronie już w październiku 2018 roku rozpoczęliśmy intensywne przygotowania”, dodaje mjr Ziemiński. Treningi odbywały się poza codziennymi zajęciami na uczelni. Zawodnicy ćwiczyli np. na hali sportowej akademii, gdzie mogli pracować nad sprawnością i zwinnością. Dzięki pomocy kolegów z medycznego cywilno-wojskowego koła naukowego doskonali też wiedzę z medycyny pola walki i pomocy medycznej. Podchorążowie trenowali także poza uczelnią. Kilka razy wyjechali do ośrodka szkoleniowego Wysoki Kamień w Szklarskiej Porębie. Tam pracowali nad kondycją, ćwiczyli elementy wspinaczki, doskonalili się w zadaniach taktycznych i logicznych. „Wiedzieliśmy, że na zawodach będą konkurencje z nawigacji, dlatego dwóm naszym nawigatorom kazałem poprowadzić całą grupę. Okazało się, że na zawodach to zaprocentowało”, mówi sierż. pchor. Maciej Łukaszewicz, kapitan zespołu.

Po zadaniach fizycznych przychodził czas na logiczne łamigłówki. „Korzystaliśmy z każdej okazji, by poćwiczyć. Dzięki współpracy z jednostką Nil mogliśmy wykonać strzelania sytuacyjne z karabinków M4, a wrocławskie Centrum Szkolenia Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych umożliwiło podchorążym szlifowanie umiejętności w zadaniach z użyciem łodzi rozpoznawczych”, mówi mjr Ziemiński.

Nasza ekipa skupiła się także na rozwijaniu współpracy. „Do niektórych zadań wprowadzaliśmy elementy konfliktu. Chcieliśmy, by podchorążowie sprawdzili się w sytuacjach, które przecież mogą się zdarzyć podczas zmagań i by potrafili znaleźć rozwiązanie, tak by z powodzeniem ukończyć zadanie”, mówi kpt. Artur Zielichowski z Instytutu Dowodzenia, instruktor i drugi opiekun polskiego zespołu. Ważną rolę do odegrania miał tu dowódca zespołu. „Tych kilka miesięcy przygotowań poświęciłem

Polscy podchorążowie uplasowali się na

18.

pozycji i zdobyli brązową odznakę „Sandhurst”.

ARCH. AWL

UŻYTECZNO-BOJOWE ZAWODY „SANDHURST” SĄ ORGANIZOWANE PRZEZ AMERYKAŃSKĄ UCZELNIĘ WEST POINT OD 50 LAT

w dużej mierze na poznanie kolegów. Musiałem się zorientować, jakie są ich mocne i słabe strony, choćby po to, by wiedzieć, których zawodników typować do poszczególnych konkurencji. Kluczem było też zgranie zespołu. Nie chodziło przy tym jedynie o to, by mechanicznie wykonywać pewne czynności, ale by dobrze się rozumieć”, mówi sierż. pchor. Łukaszewicz.

RYWALIZACJA ZA OCEANEM

Jedenastu studentów i dwóch opiekunów wyleciało za ocean w pierwszej dekadzie kwietnia. Zanim przystąpili do rywalizacji, przez trzy dni mieli czas na zapoznanie się z obiektami West Point i zasadami poszczególnych konkurencji. Potem z 63 ekipami z całego świata rozpoczęli dwudniowe zmagania. Na starcie stanęli kadeci m.in. z USA, Wielkiej Brytanii, Australii, Niemiec, Korei Południowej, Japonii, Brazylii, Chile, Kolumbii i Meksyku.

W 40-kilometrową trasę podchorążowie ruszyli z obowiązkowym zestawem startowym. Znalazły się w nim: broń – karabinek M4, hełm, cztery magazynki i kamizelka taktyczna. Do tego plecak, który ostatecznie musiał ważyć co najmniej 12 kg. „Zanim zawody się rozpoczęły, organizatorzy pokazali uczestnikom 58 podobnych do siebie obrazków, które musieliśmy zapamiętać. Na początku każdy z nas jeszcze o nich myślał, ale potem skupialiśmy się na wykonywaniu zadań. Pod koniec dnia, gdy byliśmy już dość zmęczeni, musieliśmy odtworzyć ten układ graficzny. Nie zrobiliśmy żadnego błędu”, opowiada sierż. pchor. Wiktoria Krzyształa z polskiego zespołu.

Zmagania trwały w sumie 36 godzin, z krótkimi przerwami na odpoczynek. Do zaliczenia było 11 konkurencji, a wśród nich strzelanie z karabinka M4 i pistoletu M9, rzut granatem, pokonywanie przeszkody wodnej na łodzi „Zodiak” czy wielobój siłowo-sprawnościowy. Dla podchorążych przygotowano też zadania nocne, m.in. z nawigacji. „Już na starcie musieliśmy oddać zegarki, telefony komórkowe, GPS. Do dyspozycji mieliśmy jedynie mapę topograficzną i busolę. Nie było łatwo, bo poruszaliśmy

ARCH. AWL

Reprezentacja Akademii Wojsk Lądowych wzięła udział w zawodach „Sandhurst" jako jedyna z Polski.

się po ciemku, w terenie lesistym, poprzecinanym pagórkami i skałami", opowiada sierż. pchor. Tomasz Kuś.

Dziewięcioosobowe teamy były sprawdzane też pod kątem znajomości procedur: medycznych, wezwania ognia z pola walki oraz czytania rozkazu bojowego, który poprzedzał każdą konkurencję. „W jednych zadaniach liczył się czas, w innych precyzja, a jeszcze w kolejnych liczba powtórzeń. Poszczególne ćwiczenia też miały swoją wagę. Trzeba było więc kalkulować, co się bardziej opłaca, np. noszenie opon czy ciężarów. Na pewno ten etap wymagał błyskawicznego podejmowania decyzji. Z dokładnym zrozumieniem rozkazów problem mieli nawet sami Amerykanie. My musieliśmy je jeszcze przełożyć na nasz język", mówi sierż. pchor. Łukaszewicz.

Podczas zawodów nie liczyło się wyłącznie poprawne wykonanie zadania. Instruktorzy oceniali również przestrzeganie norm czy wytrzymałość zawodników. „Ważne też było, jak dowódca stawia zadania, egzekwuje wykonanie polecenia i w jaki sposób dobiera zawodników. Nie bez znaczenia było też to, jak reaguje i rozwiązuje ewentualne konflikty oraz jak sprawnie pod jego dowództwem współpracuje cała drużyna", wspomina kpt. Zielichowski.

WYSIŁEK SIĘ OPŁACIŁ

Organizatorzy zawodów przygotowali też specjalny tor przeszkód, tzw. obstacle course. Zawodnicy musieli np. przeczołgać się na plecach pod drutem kolczastym, a także przejść pochyłą dwumetrową ściankę oraz szereg bali umieszczonych poziomo nad ziemią. „Wszystkie przeszkody należało pokonać zespołowo i liczył się czas ostatniego zawodnika", mówi kpt. Zielichowski. Podchorążowie musieli się też wykazać w zadaniach crossfitowych, polegających na wykonywaniu serii intensywnych ćwiczeń z dużą liczbą powtórzeń. „W tym roku było ich wyjątkowo dużo. Niemal każdą konkurencję wymagającą precyzji poprzedzały takie ćwiczenia. Jeśli więc mieliśmy zadania strzeleckie, wymagające maksymalnego skupienia uwagi, to chwilę wcześniej trzeba było np. przenosić opony czy skrzynki z amunicją. W ten sposób organizatorzy chcieli nas wybić z rytmu i zmęczyć przed kolejnymi wyzwaniami", mówi sierż. pchor. Łukaszewicz.

W ostatecznej klasyfikacji zwyciężyła drużyna US Air Force Academy. Polscy podchorążowie uplasowali się na 18. pozycji i zdobyli brązową odznakę „Sandhurst" (siedem pierwszych zespołów otrzymuje złotą odznakę, kolejnych siedem – srebrną, ci, którzy zajmą pozycje od 15. do 21. – zdobywają brązową odznakę). „Uważam, że nie mieliśmy słabych stron. Może zabrakło nam umiejętności szybkiego czytania amerykańskich rozkazów. Niektóre zespoły miały tłumaczy, więc może to dla nas jakieś doświadczenie na przyszłość", zastanawia się mjr Ziemiński. Dodaje jednocześnie, że osiągnięcie Polaków to duży sukces. „Uważam, że ekipa jest mocna. Podobnie jak Włosi i Brazylijczycy, byliśmy przecież debiutantami, ale z tej trójki wypadliśmy najlepiej", dodaje major.

Zdaniem członków zespołu, kluczem do sukcesu okazało się m.in. niesamowite zgranie. „Niemała w tym zasługa dowódcy teamu. Podczas takich zawodów bardzo ważne są działanie w grupie i dobre dowodzenie. Kilka miesięcy przygotowań doskonale nas scaliło, a Maćkowi udało się zbudować zgrany zespół", mówi sierż. pchor. Kuś. Podobnego zdania jest sierż. pchor. Krzyształa. Uważa też, że udział w zawodach był dla wszystkich członków teamu niezapomnianą lekcją współpracy. „Wymaga to oczywiście pewnego dopasowania się, zwracania uwagi na innych, może nawet troski o kolegów, ale też przekonania, że samemu zawodów się nie wygra", twierdzi sierż. pchor. Krzyształa.

Dowódca zespołu przyznaje z kolei, że „Sandhurst" to znakomity sprawdzian umiejętności przywódczych, hartu ducha i umiejętności pracy w zespole w warunkach skrajnego zmęczenie psychofizycznego. „Zdobyte podczas przygotowań i samych zawodów doświadczenie pozwoli na przeniesienie w przyszłości przynajmniej części pomysłów do naszej pracy na stanowiskach dowódców plutonów", zaznacza sierż. pchor. Łukaszewicz. ■

W SETNĄ ROCZNICĘ ZRYWU

KWIATY GENERAŁÓW

Dowódcy powstania wielkopolskiego mają swoje tulipany.

Imiona przywódców powstania wielkopolskiego nadano dwóm tulipanom wyhodowanym w Holandii. Biały kwiat otrzymał nazwę od pierwszego dowódcy zrywu, gen. Stanisława Taczaka, a czerwony – gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego. Ceremonia odbyła się w Poznaniu. Chrzestnymi białego tulipana byli: Jerzy Gogołkiewicz, wnuk pierwszego dowódcy powstania, oraz Maria Mielcarzewicz z zarządu Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego 1918/1919. Chrzestnymi czerwonego kwiatu zostali Anna Grajek, popularyzatorka historii powstania, oraz Wawrzyniec Wierzejewski, prezes Oddziału Wielkopolskiego TPPW. Dzięki zwycięstwu w powstaniu do Rzeczypospolitej wróciła prawie cała Wielkopolska. AD ■

Projekt wojownik

Z zawodnikami mieszanych sztuk walki będą trenować weterani.

Wspólne zajęcia edukacyjno-sportowe przeznaczone dla wojskowych mających za sobą służbę poza granicami kraju przewiduje „Projekt wojownik". Raz w miesiącu będą się odbywać treningi z mieszanych sztuk walki (mixed martial arts – MMA), które poprowadzą czołowi polscy zawodnicy. Szkoleni dowiedzą się o metodach radzenia sobie ze stresem, żywieniu osób uprawiających sport oraz będą mogli porozmawiać z przedstawicielami Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa. Jak informuje płk Szczepan Głuszczak, szef Oddziału Multimediów Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej, celem projektu jest integracja środowiska weteranów i zainteresowanie ich sportami walki. Na zajęcia m.in. w Warszawie, Giżycku, Gdyni, Świętoszowie, Rzeszowie i Krakowie będą zapraszani weterani, weterani poszkodowani i instruktorzy wychowania fizycznego z jednostek wojskowych. Organizatorem i pomysłodawcą projektu jest WCEO, a patronat honorowy nad nim objął minister Mariusz Błaszczak. AD ■

Ambasador sportowy projektu, pierwszy Polak walczący w federacji UFC (Ultimate Fighting Championship)

TOMASZ DRWAL

Nauka MMA pozwala nabyć umiejętności walki bezpośredniej, nieograniczającej się tylko do rzutów czy boksu, a pozwalającej stosować znacznie więcej technik. Czyni to walkę efektywniejszą, a żołnierza – wszechstronniejszym.

Azyl za oceanem

W 2009 roku Niloofar Rahmani rozpoczęła jako pierwsza kobieta w Afganistanie naukę pilotażu. Jak pisze dziennik „The Wall Street Journal", kiedy cztery lata później skończyła wojskową szkołę lotnictwa, kontrolująca kraj koalicja NATO przedstawiała ją jako symbol tego, co może osiągnąć kobieta w Afganistanie po obaleniu talibów. Jednak Rahmani prawie codziennie otrzymywała pogróżki od swoich rodaków, więc razem z rodziną zaczęła się ukrywać. W 2015 roku rozpoczęła szkolenie w USA z pilotowania transportowych C-300. Podczas pobytu w USA Rahmani wystąpiła o azyl polityczny. Afgańskie ministerstwo obrony apelowało do władz amerykańskich o odrzucenie jej wniosku, mimo to kobieta otrzymała azyl. AD ■

Niloofar Rahmani dosłużyła się w afgańskich siłach zbrojnych stopnia kaprala.

USAF

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Władca pomysłów

Dzięki jego innowacjom armia oszczędza miliony złotych.

Młodszy chorąży Tomasz Robak z 10 Opolskiej Brygady Logistycznej to prawdziwa złota rączka. Media nazywają go McGyverem, ale on nie lubi tego określenia. Nie lubi także, gdy jego wdrożone w życie pomysły nazywane są wynalazkami. „To raczej innowacje. Nie wymyślam nowych urządzeń, lecz udoskonalam istniejące", twierdzi. Takich innowacji ma na koncie sporo – od uniwersalnej ładowarki do wojskowych akumulatorów, ponadto ułatwienia w naprawie broni czy urządzenia do diagnostyki rosomaków.

„Jesteśmy dumni z mł. chor. Robaka. Promuje nie tylko naszą brygadę, ale też całe siły zbrojne. Jego wynalazki wykorzystywane są w innych jednostkach wojskowych, zazdroszczą nam ich także zagraniczni mundurowi", mówi kpt. Piotr Płuciennik, oficer prasowy 10 Brygady Logistycznej.

Tomasz Robak służy w armii od 24 lat, obecnie na stanowisku technika kompanii remontowej w 55 Batalionie Remontowym. Mówi, że pomysły same wpadają mu do głowy. Ktoś wskaże problem, a on już się zastanawia, jak go rozwiązać, jak usprawnić i ulepszyć urządzenie.

„Lata pracy spędzone w warsztacie procentują. Oszczędzamy czas i pieniądze, bo nasze wynalazki są dużo tańsze niż gotowe urządzenia sprzedawane przez firmy, które produkują je dla sił zbrojnych", zwraca uwagę mł. chor. Artur Natkański z 55 Batalionu Remontowego, pracujący wspólnie z chor. Robakiem.

WARSZTAT W WALIZCE

Opolscy logistycy nie tylko zabezpieczają zagraniczne misje oraz jednostki operacyjne na południu Polski. W brygadzie służą żołnierze, którzy zajmują się także naprawą i obsługą broni. Jeszcze niedawno do jednostki wjeżdżały ochraniane przez uzbrojonych żołnierzy ciężarówki – przywoziły karabiny do serwisu. Każdy taki transport oznaczał wysokie koszty. Teraz jest taniej, bo to rusznikarze jeżdżą naprawiać broń do innych jednostek. Stało się to możliwe, gdy Tomasz Robak wymyślił polowe stanowisko do obsługi i naprawy broni strzeleckiej wszystkich kalibrów (od 5,56 do 14,7 mm).

Komplet narzędzi i urządzeń diagnostycznych oraz oświetlenie mieszczą się w skrzyni, która po rozłożeniu staje się stołem warsztatowym. Taką walizkę żołnierze zabierają też na poligon i wykorzystują do napraw każ-

INNOWACJE, MODYFIKACJE...

POD KONIEC KWIETNIA 2018 ROKU INSPEKTORAT WSPARCIA SIŁ ZBROJNYCH PODSUMOWAŁ **OSIĄGNIĘCIA ŻOŁNIERZY W MINIONYM ROKU.**

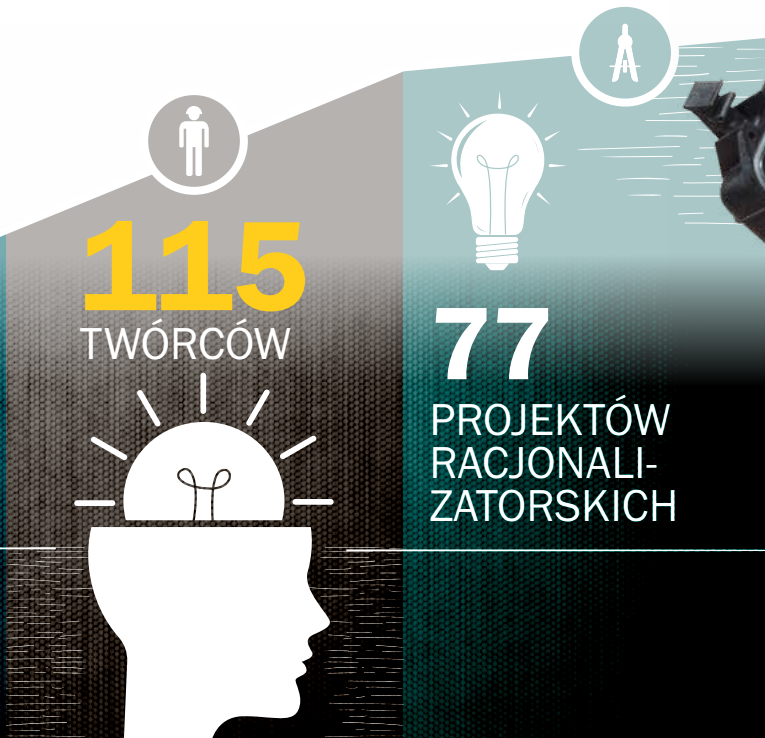

dego rodzaju broni strzeleckiej: pistoletów, pistoletów maszynowych, karabinków czy karabinów. W zestawie znajduje się także zgrzewarka. Jeśli broń przez pewien czas nie będzie używana, można ją zakonserwować: włożyć do folii i zgrzać. Wtedy nawet po kilku latach przechowywania można jej użyć jakby była tuż po serwisie.

Mł. chor. Robak podkreśla, że polowe stanowisko do obsługi i naprawy broni strzeleckiej to nie żaden epokowy wynalazek. Przyznaje jednak, że coraz więcej podobnych zestawów działa też w innych jednostkach.

STRZAŁ W DZIESIĄTKĘ

W swojej wojskowej karierze mł. chor. Robak był m.in. łącznościowcem. Nie dziwi więc jego kolejny pomysł: postanowił zbudować jedną ładowarkę do różnorodnego sprzętu elektronicznego. Ten wynalazek oznaczał koniec plączących się kabli i rozmaitych końcówek.

„Chciałem stworzyć jedno urządzenie, które będzie obsługiwać kilka typów akumulatorów. Dodatkowo będzie mogło regenerować te akumulatory i pokazywać ich pojemność. Powstało takie i można go używać i w warsztatach, i w warunkach polowych", wyjaśnia Robak.

Uniwersalną ładowarkę można podłączyć do sieci lub do akumulatora samochodowego, może też być zasilana za pomocą paneli słonecznych, czym zainteresowali się żołnierze sił specjalnych, gdyż taki sposób ładowania sprzętu przyda się im podczas działań bojowych. „Nie niszczy ogniw, ma wyświetlacz, który po ładowaniu pokazuje napięcie oraz pojemność akumulatora", tłumaczy młodszy chorąży. Teraz za pomocą →

TOMASZ **ROBAK**

Służy w armii od 24 lat, obecnie na stanowisku technika kompanii remontowej w 55 Batalionie Remontowym.

10 MLN ZŁ

TYLE ZAOSZCZĘDZONO DZIĘKI WDROŻENIU PROJEKTÓW W SIŁACH ZBROJNYCH RP

Wśród najlepszych jednostek znalazła się m.in. 10 BRYGADA LOGISTYCZNA. Szef IWspSZ przyznał nagrody za opracowanie projektów przynoszących korzyści ekonomiczne i nadał tytuły racjonalizatora wojskowego IWspSZ za 2017 rok. Wśród wyróżnionych byli podoficerowie z 55 Batalionu Remontowego mł. chor. Tomasz Robak i mł. chor. Artur Natkański oraz pracownicy resortu obrony narodowej z 11 Batalionu Remontowego Zdzisław Kaszuba i Roman Spurek.

ARCH. 10 BLOG, FREEPIK.COM, PK/DZIAŁ GRAFICZNY

jednego urządzenia można ładować, rozładowywać i regenerować wszystkie ogniwa zasilające radiostacje oraz sprzęt informatyczny używany w siłach zbrojnych.

To był strzał w dziesiątkę. „Szefostwo służby łączności Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych zamówiło kilka takich ładowarek i rozesłało je do różnych jednostek. Opinie były pozytywne, z urządzenia korzysta coraz więcej jednostek", opowiada Tomasz Robak.

KOMPLET NARZĘDZI I URZĄDZEŃ DIAGNOSTYCZNYCH ORAZ OŚWIETLENIE MIESZCZĄ SIĘ W SKRZYNI, KTÓRA PO ROZŁOŻENIU STAJE SIĘ STOŁEM WARSZTATOWYM

TABLICA DO ROSOMAKA

Mł. chor. Robak przyznaje, że najbardziej jest dumny z tablicy diagnostycznej do naprawy rosomaka, którą wymyślił i zbudował z części rozbitych maszyn wspólnie z kolegą z jednostki – mł. chor. Arturem Natkańskim. Kompleksowe stanowisko diagnostyczno-obsługowe systemów elektronicznych kołowego transportera opancerzonego Rosomak pozwala zlokalizować wszelkie usterki w systemach łączności wewnętrznej pojazdu, nawigacji satelitarnej, samoosłony pojazdu i detekcji strzałów. Także ten pomysł został wdrożony w armii.

„Wszystko zaczęło się w 2011 roku, kiedy z misji w Afganistanie wracały do kraju uszkodzone rosomaki. Nasz batalion remontowy nie miał narzędzi do diagnostyki sprzętu, który w tych wozach się znajduje. Nie byliśmy w stanie stwierdzić, co się zepsuło: systemy rosomaka czy zamontowane na nim urządzenia? Postanowiłem stworzyć specjalistyczne stanowisko diagnostyczne", wspomina wynalazca.

Do pierwszej wersji tablicy, nad którą pracował wraz z kolegami z warsztatu, wykorzystał m.in. okablowanie uszkodzonego rosomaka. Potem żołnierze zamówili tablicę diagnostyczną u producenta łączności wewnętrznej pojazdu. „Gdy rosomak dostawał nowe systemy, np. nawigacji satelitarnej, samoosłony czy detekcji strzału, my dodawaliśmy do tablicy nowe stanowiska diagnostyczne", opisuje Robak. Dziś większość napraw mogą wykonać żołnierze i nie trzeba tego zlecać firmom zewnętrznym. Dzięki temu w 2015 roku chorąży został laureatem konkursu na najlepszy projekt przynoszący efekty ekonomiczne w Inspektoracie Wsparcia Sił Zbrojnych.

Mł. chor. Robak twierdzi, że pomysłów na coraz to nowe innowacje dostarczają mu koledzy. Kiedyś na jednym ze szkoleń był świadkiem rozmowy o tym, jak drogie jest serwisowanie wojskowych radiostacji. Każda z nich musi przejść rocznie przynajmniej jeden serwis, a oryginalne zestawy diagnostyczne producenta kosztują kilkaset tysięcy złotych.

„Pomyślałem i stwierdziłem, że to, co jest niezbędne do wykonania takiej obsługi, możemy zrobić sami. Zaprojektowałem walizkę serwisową, znajdują się w niej wszystkie niezbędne urządzenia. Jej koszt to 10 tys. zł", mówi chorąży. I znowu usprawnił pracę oraz zmniejszył koszty.

Swoje wnioski racjonalizatorskie mł. chor. Robak zgłasza do Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych w Bydgoszczy, tam rozpatruje je specjalna komisja. „W dokumentacji muszę opisać po kolei wszystkie prace, które wykonałem. Jeśli mam opinie użytkowników, mogę je dołączyć. Wniosek opiniuje dowódca jednostki. Jeżeli zostanie zatwierdzony, zapada decyzja o wdrożeniu produktu albo w całych siłach zbrojnych, albo w konkretnej jednostce", tłumaczy Robak.

NAGRODY DLA NAJLEPSZYCH

Osiągnięcia swojej jednostki (urządzenia zaprojektowane i zbudowane przez żołnierzy 55 Batalionu Remontowego) żołnierze 10 Opolskiej Brygady Logistycznej prezentują podczas Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach. W 2015 roku brygada otrzymała od szefa Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych nagrodę za uniwersalną ładowarkę pakietów akumulatorowych.

„Na wystawie pokazujemy, że sprzęt wojskowy wykorzystywany w jednostkach produkowany jest nie tylko w koncernach zbrojeniowych i dużych firmach specjalistycznych. Część wyposażenia o specyficznych wymaganiach dla wąskiej grupy użytkowników powstaje także w jednostkach wojskowych, gdzie żołnierze projektują własne rozwiązania techniczne", mówi kpt. Piotr Płuciennik.

„Nasi podoficerowie zostali również laureatami konkursu o miano najlepszego projektu w kategorii przynoszącej niewymierne efekty ekonomiczne na szczeblu Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych w 2017 roku. Do konkursu zgłosiliśmy stanowisko diagnostyczne do systemu nawigacji kołowego transportera opancerzonego Rosomak, w całości zaprojektowane i wykonane przez żołnierzy z 55 Batalionu Remontowego", mówi kpt. Piotr Płuciennik.

Mł. chor. Robak nie obawia się, że zabraknie mu pracy, bo na rynku pojawiają się ciągle nowe maszyny, które można usprawnić. „Nowe pomysły same przychodzą mi do głowy. Gdy słyszę, że ktoś ma problem, staram się pomóc, przychodzę do pracowni i działam", opowiada. Nie może zdradzić, nad czym obecnie pracuje, aby konkurencja nie podkradła pomysłu. ■

MUZEUM WOJSK LĄDOWYCH w Bydgoszczy

ul. Czerkaska 2, 85-641 Bydgoszcz
tel. 261 41-20-26, fax 261 41-23-31
www.muzeumwl.pl
Znajdź nas na Facebooku

Oddział w Toruniu
ul. Sobieskiego 24-28, 87-100 Toruń
tel. 261 43-24-66
fax 261 43-24-65

Oddział we Wrocławiu
ul. Obornicka 108, 50-961 Wrocław
tel. 261 65-74-23, 261 65-74-24

ANNA DĄBROWSKA

DWAJ BRACIA

Na cmentarzu w Krośnie splotły się losy jednej rodziny.

Franciszek Płonka pochodził z Krosna. Przed wojną pracował tam jako urzędnik Polskich Kolei Państwowych, potem został zawiadowcą stacji w Jaśle. Jednocześnie w Batalionie Podchorążych Rezerwy w Biedrusku przeszedł przeszkolenie wojskowe, odbył też ćwiczenia w 2 Pułku Strzelców Podhalańskich w Sanoku. Po ich ukończeniu dowódca pułku wnioskował o awansowanie Płonki na stopień porucznika: „Oficer silnej woli, obowiązkowy, energiczny, podejmuje szybkie i trafne decyzje, zdolny wychowawca, o dużym poczuciu honoru i godności", napisał w uzasadnieniu wniosku.

AKCJA NA KASĘ

Od początku niemieckiej okupacji por. Płonka „Kubacki" włączył się w działalność konspiracyjną. Wspólnie z Zenonem Sobotą „Korczakiem" zainicjowali powstanie w Jaśle jesienią 1939 roku tajnej organizacji Młoda Polska, którą następnie włączyli do Związku Walki Zbrojnej. Po tym scaleniu „Kubacki" objął funkcję zastępcy szefa wywiadu i kontrwywiadu w sztabie Inspektoratu Krosno ZWZ, a w 1941 roku stanął na czele dywersji Inspektoratu ZWZ Jasło. Jednocześnie, kiedy na Podkarpaciu powstała ekspozytura Tajnej Organizacji Wojskowej (TOW), został w niej zastępcą dowódcy tego rejonu.

W połowie roku Franciszek Płonka namówił młodszego o trzy lata przyrodniego brata Józefa Czuchrę „Orskiego" do przejścia z jego oddziałem do TOW-u. „Orski" od początku 1941 roku służył w szeregach Narodowej Organizacji Wojskowej (NOW). Przed wojną, po ukończeniu szkoły tkackiej i odbyciu służby wojskowej w Przemyślu, pracował w fabryce wyrobów lnianych w Krośnie. W czasie okupacji był dwukrotnie aresztowany przez gestapo, ale zwalniano go po przesłuchaniach. Po trzecim zatrzymaniu, w lutym 1943 roku był torturowany w czasie śledztwa, ale zdołał uciec.

Kiedy na przełomie lutego i marca 1943 roku TOW scalono z Armią Krajową, Józef Czuchra stanął na czele oddziału dyspozycyjnego miejscowego rejonu Kedywu AK. Płonka natomiast został zastępcą por. Soboty, dowódcy Ośrodka Kedywu „Olgierd", powstałego na bazie TOW-u i obejmującego teren Inspektoratu Jasło i Obwodu Gorlice AK.

Obaj bracia brali udział w akcjach sabotażowych i dywersyjnych, likwidowali też niemieckich konfidentów. Oddział Płonki m.in. w 1942 roku zagarnął pieniądze Komunalnej Kasy Oszczędności w Gorlicach, podpalił w rejonie Zagórza dwa wagony wojskowego transportu przeznaczonego na front wschodni oraz transport paliwa. Najsłynniejszą akcją, w której brali udział bracia, był napad 26 stycznia 1943 roku na kasę zarządu firmy Karpathen Öl w Krośnie. Ich łupem padło wówczas blisko 800 tys. zł, które zostały przeznaczone na potrzeby AK.

Franciszek Płonka zorganizował także akcję zdobywania broni i amunicji na lotnisku w Krośnie. Zajmowała się tym na jego polecenie Krystyna Samborska „Zuch", pracująca jako kelnerka w kasynie na lotnisku. Niestety w maju 1944

ANNA DĄBROWSKA

Kamienny obelisk „W hołdzie żołnierzom wyklętym, ofiarom komunizmu". Na tablicy umieszczono siedem nazwisk osób zamordowanych, których miejsca pochówku nie udało się ustalić. Wśród nich znalazł się też Józef Czuchra.

roku została schwytana przez gestapowców. Po znalezieniu broni w jej domu była przesłuchiwana i torturowana. Zamordowano ją prawdopodobnie w Lesie Warzyckim pod Jasłem.

Pod koniec maja 1943 roku Franciszek Płonka został przeniesiony na stanowisko dowódcy Ośrodka Kedywu w Łańcucie. Zwlekał jednak z wyjazdem, 25 czerwca wziął jeszcze udział w likwidacji konfidenta w Sanoku. Następnego dnia podczas powrotu z Sanoka zepsuł się samochód, którym jechała część oddziału. W trakcie naprawy auta na drodze między Przysietnicą a Izdebkami zespół Kedywu został zaskoczony przez niemiecką żandarmerię. Wywiązała się strzelanina, w której zginęli Płonka i trzech innych partyzantów.

Niemcy nakazali pochować „Kubackiego" na cmentarzu żydowskim w Brzozowie. W marcu 1946 roku rodzina ekshumowała jego szczątki i złożyła je w kwaterze żołnierzy Armii Krajowej na krośnieńskim cmentarzu komunalnym. Dziś o Płonce przypomina także tablica w Liceum Ogólnokształcącym w Krośnie oraz wzniesiony w 1993 roku pomnik w Przysietnicy, w miejscu śmierci czterech żołnierzy Kedywu.

OSTATNIA UCIECZKA

Po śmierci Franciszka Płonki doszło do nieporozumień między „Orskim" i Zenonem Sobotą, dowódcą rzeszowskiego Kedywu AK. W rezultacie Czuchra przeszedł ze swoim oddziałem do Narodowej Organizacji Wojskowej. Po połączeniu jej z Armią Krajową został jesienią 1943 roku dowódcą oddziału partyzanckiego w inspektoracie AK Jasło o kryptonimie „OP-11", który liczył około 60 żołnierzy. Przeprowadził wówczas szereg akcji zbrojnych przeciwko Niemcom, m.in. zaatakował strażnicę graniczną w Czerlicznem i dowodził uderzeniem na transport niemiecki w Dziurdziowie. Za swoje zasługi został mianowany podporucznikiem czasu wojny.

Latem 1944 roku, w czasie akcji „Burza" oddział „Orskiego" wszedł w skład zgrupowania partyzanckiego OP-23 „Południe", a on sam był zastępcą dowódcy, kpt. Adama Winogrodzkiego „Korwina". W sierpniu, po kolejnych nieporozumieniach z nim, przeszedł z dwoma plutonami na teren Obwodu AK Krosno, a wkrótce potem, po wkroczeniu wojsk sowieckich na ziemie polskie, rozwiązał swój oddział.

„Orski" był poszukiwany przez NKWD i Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Ukrywał się, a w listopadzie 1944 roku udało mu się wymknąć z obławy. Powrócił do działalności konspiracyjnej i do wiosny 1945 roku przeprowadził kilka akcji zbrojnych przeciwko sowieckim okupantom. Władze Stronnictwa Narodowego, którym podlegał, poleciły mu jednak opuścić teren Podkarpacia.

Nie zdążył wyjechać. 31 marca 1945 roku został aresztowany przez UB w Rzeszowie. W czasie przesłuchania Józef Czuchra wyrwał pistolet oficerowi, zastrzelił go i ranił jednego ze strażników. Nie udało mu się jednak uciec, został śmiertelnie postrzelony przez wartownika. Świadkiem śmierci „Orskiego" był aresztowany wspólnie z nim Jan Radożycki „Owczarek", nauczyciel, szef Wydziału Informacji i Propagandy Obwodu Sanockiego AK, który ukrywał się po wkroczeniu Armii Czerwonej. Radożycki przeżył, a swoje wspomnienia opisał w książce „Aby o nich nie zapomniano".

Do dziś miejsce pochówku „Orskiego" jest nieznane. Na cmentarzu komunalnym w Krośnie, niedaleko grobu jego brata, stoi kamienny obelisk „W hołdzie żołnierzom wyklętym, ofiarom komunizmu". Na tablicy umieszczono siedem nazwisk osób zamordowanych, których miejsca pochówku nie udało się ustalić. Wśród nich znalazł się też Józef Czuchra.

Na krośnieńskim cmentarzu oprócz żołnierzy Armii Krajowej pochowano także obrońców z września 1939 roku. Wśród nich są mogiły lotników poległych na początku wojny, kiedy lotnisko w Krośnie było kilkakrotnie bombardowane przez niemieckie samoloty Dornier Do 17 F, należące do 14 Pułku Lotnictwa Rozpoznawczego Luftwaffe. Na lotnisku stacjonowała wówczas Szkoła Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich, którą pod koniec 1938 roku przeniesiono z Bydgoszczy do Krosna.

Wśród pochowanych w Krośnie znaleźli się lotnicy: kpr. Florian Koczuba, por. Antoni Kowalczyk, kpr. Wilhelm Machura, plut. Edward Rusin i szer. Wilhelm Stasik. Na terenie nekropolii znajdują się też Grób Nieznanego Żołnierza oraz mogiły Polaków poległych w czasie I wojny. Żołnierzom różnych narodowości zabitym w czasie wielkiej wojny poświęcono nagrobek w formie obelisku z tablicą pamiątkową i stalowym krzyżem. ■

Pani Małgorzacie Owczarek
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Męża
ppłk. Romana Owczarka
składają dowództwo i pracownicy
resortu obrony narodowej
7 Pomorskiej Brygady Obrony Wybrzeża.

Wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
oraz wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach z powodu śmierci
Matki
Panu Piotrowi Kozieł
składają komendant, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
45 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wędrzynie.

Łącząc się w bólu
z por. Sylwestrem Janowskim
z powodu śmierci
Ojca
kondolencje i wyrazy głębokiego współczucia
składają komendant oraz żołnierze i pracownicy
Wojskowej Komendy Uzupełnień w Łodzi.

Panu gen. bryg. Stefanowi Mordaczowi
wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje z powodu śmierci
Siostry
składają żołnierze i pracownicy
Zarządu Obrony Powietrznej i Przeciwrakietowej
Inspektoratu Rodzajów Wojsk
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Pani Annie Słodczyk
instruktorce z Klubu 10 Brygady Logistycznej
szczere wyrazy żalu i współczucia z powodu śmierci
Taty
składają żołnierze i pracownicy wojska
10 Brygady Logistycznej.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 17 kwietnia 2018 roku zmarł w Wersalu
ppłk Stanisław Bolesław Likiernik
ps. „Machabeusz", „Stach"
urodzony 25 czerwca 1923 roku w Garwolinie.
Od maja 1941 roku żołnierz Związku Walki
Zbrojnej Warszawskiego Okręgu ZWZ.
Od grudnia 1942 roku kapral podchorąży Armii
Krajowej w oddziale dywersyjno-bojowym „DB-17"
Kedywu, następnie zastępca dowódcy 226 plutonu
9 Kompanii Dywersyjnej Obwodu AK Żoliborz.
Od listopada 1943 roku służył w „Grupie Andrzeja",
przekształconej w oddział Kedywu „Kolegium A".
W Powstaniu Warszawskim dowódca drużyny
w Batalionie „Miotła", a od 12 sierpnia 1944 roku
w Batalionie „Zośka" Zgrupowania AK „Radosław".
15 sierpnia 1944 roku mianowany
na podporucznika. Trzykrotnie ranny w walkach
na Woli, po raz czwarty na Czerniakowie.
Uhonorowany Krzyżem Srebrnym Orderu
Wojennego Virtuti Militari, Krzyżem Oficerskim
Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Komandorskim
Orderu Zasługi RP, Krzyżem Walecznych
oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.
Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych

Naszemu Drogiemu Koledze
weteranowi misji w Afganistanie
kpr. Krzysztofowi Perżyło
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje z powodu śmierci
Mamy
składają koleżanki i koledzy korpusu podoficerów
5 Pułku Inżynieryjnego.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przesyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi". Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213, 261 845 230, 261 840 227

Wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Siostry
szefowi Zarządu Obrony Powietrznej
i Przeciwrakietowej
gen. bryg. Stefanowi Mordaczowi
składają dowódca płk dr Mirosław Szwed,
żołnierze i pracownicy resortu obrony narodowej
4 Zielonogórskiego Pułku Przeciwlotniczego.

„Ci, których kochamy, nie umierają nigdy,
bo miłość, to nieśmiertelność”
Emily Dickinson

Naszemu Drogiemu Koledze
kpr. Krzysztofowi Perżyło
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje
z powodu śmierci
Mamy
składają koleżanki i koledzy z sekcji personalnej
5 Pułku Inżynieryjnego.

Wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Ojca
kpt. Radosławowi Wójcickiemu
składają dowódca płk dr Mirosław Szwed,
żołnierze i pracownicy resortu obrony narodowej
4 Zielonogórskiego Pułku Przeciwlotniczego.

Wyrazy żalu i współczucia
z powodu śmierci
Żony
Panu Henrykowi Kałwie
składają żołnierze i pracownicy
Inspektoratu Uzbrojenia.

Wyrazy głębokiego współczucia Rodzinie
z powodu śmierci
płk. Adama Styszki
składają
dowódca płk dr Mirosław Szwed, żołnierze
i pracownicy resortu obrony narodowej
4 Zielonogórskiego Pułku Przeciwlotniczego.

CENTRUM WETERANA DZIAŁAŃ POZA GRANICAMI PAŃSTWA

Pamiętamy

mjr Marek Kaletka
2 czerwca 1994 roku,
UNIFIL Liban

mł. chor. Jarosław Maćkowiak
2 czerwca 2011 roku,
PKW Afganistan

plut. Tomasz Krygiel
8 czerwca 2004 roku,
PKW Irak

kpr. Andrzej Zielke
8 czerwca 2004 roku,
PKW Irak

st. chor. Jan Kiepura
10 czerwca 2013 roku,
PKW Afganistan

plut. Miłosz Górka
12 czerwca 2010 roku,
PKW Afganistan

kpr. Grzegorz Bukowski
15 czerwca 2010 roku,
PKW Afganistan

por. Robert Marczewski
21 czerwca 2008 roku,
PKW Afganistan

mjr Witold Kowalczyk
23 czerwca 1994 roku,
UNPROFOR Jugosławia

ppor. Wiesław Kuciński
23 czerwca 1994 roku,
UNPROFOR Jugosławia

plut. Paweł Stypuła
26 czerwca 2010 roku,
PKW Afganistan

szer. Jerzy Suchodół
29 czerwca 1979 roku,
UNEF II Egipt

Szczere wyrazy współczucia
mjr. Romanowi H. Soczówce
z powodu śmierci
Mamy
składają żołnierze i pracownicy
Dowództwa Brygady Wsparcia Dowodzenia
Wielonarodowego Korpusu Północny Wschód.

Rodzinie i Najbliższym
śp. płk. rez. Zygmunta Demidowskiego
szczere wyrazy żalu i współczucia
składają kadra zawodowa i pracownicy
resortu obrony narodowej
Zarządu Wojsk Rakietowych i Artylerii
Inspektoratu Wojsk Lądowych
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu gen. bryg. Stefanowi Mordaczowi
wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje
z powodu śmierci
Siostry
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
15 Gołdapskiego Pułku Przeciwlotniczego.

Panu ppłk. Romanowi Piediukowi
wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają dyrektor i pracownicy
Departamentu Polityki Bezpieczeństwa
Międzynarodowego MON.

Panu ppłk. Krzysztofowi Rutkowskiemu
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci
Ojca
składają szef, żołnierze i pracownicy
Delegatury Departamentu Kontroli
we Wrocławiu.

Panu płk. Włodzimierzowi Chupce,
szefowi Oddziału Kształcenia Zawodowego
DG RSZ
oraz Jego Rodzinie
wyrazy współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci
Teścia
składają komendant, żołnierze oraz pracownicy
Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki
w Zegrzu.

Panu ppor. Sylwestrowi Dulowi
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci
Ojca
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
16 Tczewskiego Batalionu Saperów w Nisku.

Pani Joannie Guza
oraz **Rodzinie i Bliskim**
wyrazy szczerego i głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Męża
składają rektor-komendant, żołnierze i pracownicy
Akademii Sztuki Wojennej.

Panu ppłk. Grzegorzowi Patykowi
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Ojca
składają koleżanki i koledzy
z Oddziału Organizacyjno-Planistycznego
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych
w Bydgoszczy.

Wyrazy najgłębszego współczucia i żalu
po śmierci
Ojca
Panu ppłk. Witoldowi Kaweckiemu
i najbliższej Rodzinie
składają komendant, żołnierze
oraz pracownicy RON
11 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Bydgoszczy.

Naszemu Dowódcy
Panu ppłk. Witoldowi Kaweckiemu,
Jego Rodzinie i Bliskim
wyrazy szczerego współczucia, wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach z powodu śmierci
Ojca
składają żołnierze i pracownicy RON
Batalionu Dowodzenia Inspektoratu Wsparcia
Sił Zbrojnych w Bydgoszczy.

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko".
Ks. J. Twardowski

Łącząc się w bólu i żalu z powodu śmierci
naszego Przyjaciela
dr. Radosława Żmigrodzkiego,
składamy
dr Małgorzacie Żmigrodzkiej
oraz Rodzinie
wyrazy współczucia i otuchy
w tych trudnych chwilach.
Koledzy, koleżanki oraz studenci Wydziału
Bezpieczeństwa Narodowego i Logistyki Wyższej
Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych.
Żegnamy Cię Radku.

Mjr. Grzegorzowi Sularzowi
oraz jego Rodzinie i Bliskim
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci
Mamy
składają kadra zawodowa oraz pracownicy
Zarządu Wojsk Pancernych i Zmechanizowanych
Inspektoratu Wojsk Lądowych
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

„Nie umiera ten,
kto pozostaje w sercu i pamięci bliskich".

Panu kmdr. Krzysztofowi Rychlewskiemu
oraz Rodzinie
wyrazy współczucia w trudnych chwilach
z powodu śmierci
Teściowej
składają żołnierze i pracownicy
Biura Infrastruktury Specjalnej.

„Ci, których kochamy nie umierają nigdy,
bo miłość to nieśmiertelność".

Panu Wojciechowi Klimasowi
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci
Żony
składają dyrektor, żołnierze i pracownicy
Biura Infrastruktury Specjalnej.

Łącząc się w żałobie, smutku i bólu
z Kochaną Ewunią
z powodu śmierci
Męża, Ojca oraz Dziadka,
a naszego przyjaciela i żołnierza
śp. ppłk. rez. Witusia Bąkowskiego,
wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje
składają Przyjaciele związani z grupą J-ów.

„Ludzie, których kochamy, zostają na zawsze,
bo zostawili ślady w naszych sercach".

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
śp. płk. lek. Piotra Gicali,
przewodniczącego Rejonowej Wojskowej Komisji
Lekarskiej w Krakowie
w latach 2004-2007.
Łącząc się w żałobie i smutku, składamy
kondolencje i wyrazy współczucia
Rodzinie i Bliskim.

Przewodniczący, żołnierze i pracownicy wojska
RWKL w Krakowie

Panu kmdr. ppor. Cezaremu Krakowskiemu
oraz Jego Bliskim
szczere kondolencje i wyrazy głębokiego
współczucia z powodu śmierci
Ojca
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Centrum Operacji Morskich –
Dowództwa Komponentu Morskiego
w Gdyni.

ANDRZEJ
FĄFARA

Husaria pod osłoną beczek

Wpołowie czerwca przypada 324. rocznica bitwy pod Hodowem, którą podręczniki historii traktują bardzo zdawkowo. W książkach dla szkół średnich nie ma o tym wydarzeniu żadnej wzmianki. Także Paweł Jasienica w swojej barwnej opowieści o tamtych czasach milczy na temat Hodowa. Ciekawe dlaczego? Nie jest to przecież żaden niechlubny fragment naszej historii. Wręcz przeciwnie. Skromny oddział polskiej jazdy (400–600 koni) obronił się przed 40-tysięczną armią tatarską. Ta ogromna dysproporcja sił upoważniła historyków do nazwania starcia polskimi Termopilami.

Jak to w ogóle było możliwe? I czy przypadkiem ci nieliczni piewcy bitwy pod Hodowem nie przesadzają? Okazuje się, że nie. Prof. Mirosław Nagielski z Uniwersytetu Warszawskiego, wybitny znawca tego okresu, ma jedynie wątpliwości co do liczby Tatarów. Te 40 tys. znaleźć można m.in. w „Pamiętnikach z czasów Jana Sobieskiego". Profesor podejrzewa, iż wraże siły mogły zostać trochę przeszacowane, ale i tak różnica musiała być ogromna.

Owe mikre siły polskiej jazdy, zdając sobie sprawę z przewagi tatarskiej, postanowiły bronić się w podolskiej wsi Hodów. Użyły do tego płotów, stołów, drzwi oraz beczek. Stało to w całkowitej sprzeczności z dotychczas stosowaną przez husarię taktyką, ale nie było innego wyjścia. Tatarzy atakowali pieszo, nasi odpierali kolejne szturmy rozpaczliwie, acz skutecznie. Starcia trwały kilka godzin. Wtedy Tatarzy wysłali Lipków [polscy Tatarzy, którzy w tym momencie walczyli po stronie sułtana – przyp. A.F.], by namówili obrońców do poddania. Ci jednak nie chcieli o tym słyszeć. Niezłomność Polaków została nagrodzona, gdyż Tatarzy nie ponowili już ataku i zarządzili odwrót.

Liczba zabitych po stronie polskiej pozornie nie była duża (kilkunastu towarzyszy, nie licząc czeladzi), ale trzeba ją przecież odnieść do liczby obrońców. Zginął m.in. jeden z dowódców, Konstanty Zahorowski. Niektóre źródła podają, że wszyscy mniej lub bardziej ucierpieli, a poważnie rannych było około setki.

Prof. Nagielski pisał w „Kwartalniku Bellona": „Los rannych żołnierzy wielce interesował króla Jana III Sobieskiego, a także hetmana wielkiego koronnego Stanisława Jabłonowskiego. Pierwszy już cztery dni po bitwie przekazał zapomogę w wysokości tysiąca złotych na lekarstwa dla poszkodowanych, a hetman dał 400 złotych dla cyrulika, niejakiego Mikołaja, na leczenie rannych. Wkrótce bohaterów spod Hodowa monarcha przyjął osobiście i hojnie ich obdarował".

W krótkim czasie z inicjatywy króla i na jego koszt powstał w Hodowie pomnik upamiętniający ostatni sukces polskiej husarii. Sukces bardzo nietypowy w porównaniu z Kircholmem, Kłuszynem czy Wiedniem, ale to nijak nie może tłumaczyć zdawkowości w dzisiejszym jego traktowaniu. ■

Fundacja
Dorastaj z Nami

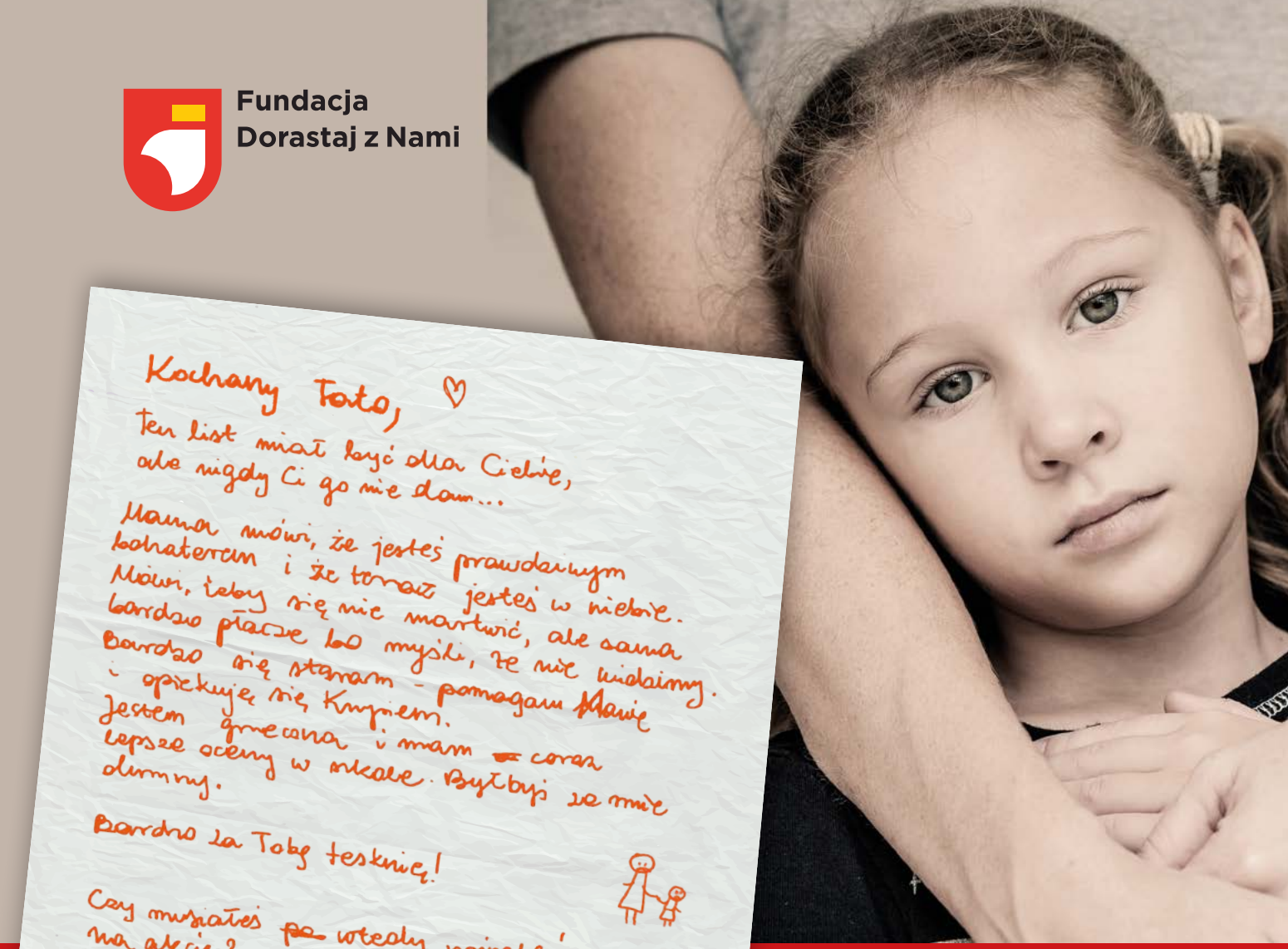

Kochany Tato,

Ten list miał być dla Ciebie,
ale nigdy Ci go nie dam...

Mama mówi, że jesteś prawdziwym
bohaterem i że teraz jesteś w niebie.
Mówi, żeby się nie martwić, ale sama
bardzo płacze bo myśli, że nie widzimy.
Bardzo się staram - pomagam Mamie
i opiekuję się Krzysiem.
Jestem grzeczna i mam coraz
lepsze oceny w szkole. Byłbyś ze mnie
dumny.

Bardzo za Tobą tęsknię!

Czy musiałeś wtedy pojechać
na akcję?

Ala

Tata Ali i Krzysia był żołnierzem. Zginął w Afganistanie, kiedy opancerzony Rosomak wyleciał w powietrze. Ala miała wtedy 4 lata a Krzyś zaledwie kilka tygodni.

Zostali sami z Mamą. Od 4 lat opiekuje się nimi **Fundacja Dorastaj z Nami**.

W Fundacji Dorastaj z Nami mamy pod opieką ponad 120 dzieci. Każda rodzina ma swój ból i swoją historię. Nie zwrócimy im Taty, ale wiemy, jak pomóc im bezpiecznie dorastać.

Pomóż dzieciom
Bohaterów
żyć bez Taty

Prosimy, przekaż darowiznę, wpłacając na konto fundacji 29 1030 1508 0000 0008 1545 4006, w tytule przelewu wpisz: pomoc-45.

Więcej na www.dorastajznami.org

HISTORIA
Polska Zbrojna

NOWY MAGAZYN

O TRADYCJI I CHWALE POLSKIEGO ORĘŻA

JUŻ W SPRZEDAŻY
POCZTA POLSKA
SALONY EMPIK

ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL